

RODZINA ROMARHIERTA.

Q

RODZINA ROMARHERTA

Obraz z życia rzeczywistego

PRZEZ

Marję Zofiję z Birathów

SCHWARTZ.

PRZEKŁAD ZE SZWEDZKIEGO

przez E. S.

Wydanie drugie.

DOBRA GRAFOWO.
WAGA.

WARSZAWA.

Nakładem **Jana Breslauera.**

przy ulicy Miodowej Nr. 489 d.

—
1877

Zbiory specjalne

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 6 5 3 2

Дозволено Цензурою,
Варшава, 30 Апрель 1877 года.



83469

w Drukarni S. Burzyńskiego, ulica Miodowa Nr. 1.

K-17/77/83469

ROZDZIAŁ I.

Właściciel obszernej i pięknej włości Ljungstafors nie podzielał ogólnie panującej w Szwecji opinii, że świetny poczet przodków stanowi główną wartość człowieka; chociaż bowiem kapitan Martenson — takie miał nazwisko — był najbogatszym właścicielem w całej okolicy, nie szukał przecież z tego tytułu znajomości z arystokratycznymi rodzinami w sąsiedztwie.

Nie przyszło mu też do głowy zaślubić jaką ubogą panienkę arystokratycznego rodu, co by podniosło jego powagę i znaczenie. Rozsądny, praktyczny i prawy Martenson czuł pewien wstręt do ludzi, którzy nie mając żadnej własnej zasługi, nieustannie wyjeżdżali na plac ze swymi przodkami, wysławiając ich świetne czyny.

Per Martenson był synem jedynakiem kowala w dobrach hrabiego Romarhierta, dawniejszego posiadacza hut Hilesta i Ljungstafors.

Z małych lat Per okazywał nieprzewyższony pociąg do żeglarskiego życia, i ojciec powierzył goswemu bratu, który był szyprem na szkucie należącej do fryszerki. Chłopiec wyrósł na tej szkucie, i gdy stryj umarł, Per sam został szyprem. W krótko potem utracił ojca i odziedziczył spadek po obydwóch, po ojcu i po stryju. Nie było to nic wielkiego, gdyż Per miał dwie ubogie siostry przyrodnie; rozdzielił więc między nie spadek, sobie mało co zostawiwszy. We dwa lata później, gdy mu się poszczęściło w podrózach, i oszczędził trochę grosza, przestał być szyprem i udał się do Sztokholmu. Tu, odmawiając sobie wszelkich wygód i przyjemności, żyjąc jak najoszczędniej, ukończył zupełny kurs nauk w szkole żeglugi, i jako sternik okrętu popłynął do Brazylii. Na tem stanowisku wkrótce chwalebnie się odznaczył gorliwością, zdolnością i pracą.

Tak upłynęło lat kilka. Per ciągle zajmował stanowisko sternika, jednając sobie zaufanie właścicieli okrętów i kapitanów, a miłość osady. Dzielny, skory do pracy, śmiały i nieustraszony, nie znał co trwoga; obowiązki swoje wypełniał skrupulatnie, przestrzegał karności, nieskazitelnym we wszystkim, co dotyczyło honoru i prawości charakteru. Na lądzie był spokojny, mileczący i nadzwyczajnie oszczędny, tak iż właściciele okrętów dziwili się, że tak mało brał ze swej pensji. Żyjąc byle czem, zostawiał w kassie okrętowej większą część swych zasług, aby jak mawiał, położyć węgielny kamień majątku, który zebrać postanowił.

— Panie Martenson, pytał go kapitan, więc serjo zamierzasz zostać bogatym?

— Najzupełniej serjo. Przy Bożej pomocy i własnej pracy spodziewam się nim zostać, odpowiedział Per.

Po kilku latach otrzymał od właścicieli okrętów polecenie, aby jako kapitan dowodził nowym okrętem, który udawał się do Anglii i Ameryki.

Podczas pierwszej podróży, zabawiwszy dłuższy czas w Anglii, poznał młodą dziewczę, córkę pewnego marynarza angielskiego.

Dziewczę było piękne i ubogie, co nieprzeszkodziło naszemu młodemu kapitanowi się zakochać. Zakochany Martenson udał się w dalszą podróż i znowu powrócił do Anglii, ale ani słowa nie wspomniał o swojej miłości, chociaż ile razy ujrzał piękną Mary, bardziej zakochany z nią się rozstawał.

Dopiero po upływie kilku lat szczęśliwych podróży, gdy tyle zaoszczędził, że mógł sobie kupić własny okręt, prosił o rękę ubogiej sieroty Mary i otrzymał jej słowo.

Od chwili jak Martenson się ożenił i został panem własnego okrętu, zdawało się, że w nagrodę jego niezmordowanej pracy, prawości i zamilowania porządku, szczęście uściśnęło go w swoich objęciach. Wszystkie podróże były pomyślne i zyskowne; zarobiony grosz wkładał w szczęśliwe spekulacje, i tym sposobem kapitał ciągle wzrastał.

Mary towarzyszyła mężowi w pierwszych latach jego podróży, ale gdy po pięcioletnim pożyciu małżeńskim, powiła mu córkę, musiała pozostać w domu.

Zacna kobieta nie chciała siedzieć spokojnie i utrzymywać się z funduszków przez męża wyznaczonych; postanowiła sama zarabiać na kawałek chleba. Założyła

więc sklep strojów damskich i wkrótce magazyn pani Martenson stał się modnym z tego głównie powodu, że właścicielka jego była cudzoziemką.

Świat dzisiejszy, mimo swojej oświaty, widzi wszystkie doskonałości w tem co się wyrabia za granicą, a przeciwnie wszystko mu złem się wydaje, co jest krajowe.

Bądź co bądź, podczas gdy mąż odbywał szczęśliwe podróże i dużo pieniędzy zarabiał, gdy współcześnie w przedsięwzięciach handlowych podwajał kapitały, ze swej strony Mary przykładła się do pomnożenia majątku, odkładając rocznie znaczną część dochodów jakie jej magazyn przynosił.

Upłynęło tak lat dziesięć, gdy Mary nagle zachorowała i umarła. Martenson, który właśnie powrócił z długiej podróży, sprzedał magazyn strojów damskich i swoją dziesięcioletnią córkę umieścił na jednej z pierwszych pensji żeńskich w stolicy. I znowu wyruszył w podróż na rok cały.

Za powrotem kupił wielką fryszerkę w Ljungstafora od hrabiego Romarhierta, w którego fabrykach pracował niegdyś jego ojciec.

Właściciel dwóch obok siebie leżących hut i wielkiego rodzinnego majątku w południowej Szwecji, hrabia przez marnotrawstwo doszedł do takiego niedostatku, że był zmuszony sprzedać Ljungstafora.

Kupiwszy fryszerkę, Martenson zaniechał podróży morskich, ale kilka okrętów, które były jego własnością, nie przestawały odbywać dalekich wycieczek, pod do-

wództwem zdolnych kapitanów, przynosząc mu wielkie dochody.

Osiadłszy w Ljungstafora, wziął do siebie córkę, przyjął do niej guwernantkę i nauczyciela muzyki i t. d. i starał się, ile możności dać jej najlepsze wychowanie, nie z próżności, ale jak mawiał dla tego, aby była dobrze zaopatrzoną skutą do bogatych ładunków, które miała później dźwigać.

Tak upłynęło lat trzy. Cała miłość kapitana Martenson skupiła się na córkę Elin, chociaż w czułości tej nie było nic miękkiego, słabego i zniewieściałego; owszem była surową i poważną, tak iż tylko można się jej było domyśleć pod powierzchownością szorstką i rozkazującą.

Surowy w pojęciach o honorze i sumienności, opinie te wczesnie wpajał w swoją córkę. Sam niezłomnego charakteru i do rozkazowania przywykły, żądał od niej ślepego posłuszeństwa. Prawy do najwyższego stopnia a mało dostępny słabościom uczuć, kapitan cenił nade wszystko prawość, honor i obowiązek, mniej przywiązując wagi do pociągów serca.

Z tego powodu Elin podziwiała i kochając ojca, współcześnie czuła dla niego cześć graniczącą z bojaźnią. W jej dziecinnej wyobraźni ojciec przedstawiał się jako istota doskonała i niedostępna, na którą patrzyła z miłością, ale nigdy nie odważyła się wyrazić swych uczuć.

Zdarzało się często, że Elin siedząc w kącie zamyślona, głowę wsparłszy na ręce, długo wpatrywała się w krzepką i okazałą postać i surowe oblicze ojca; serce jej pragnęło zbliżyć się do niego, a usta złożyć pocału-

nek na czole; nigdy jednak nie ośmieliła się spełnić tego życzenia, z obawy by nieuchyliła należnemu dlań uszanowaniu.

Elin skończyła lat czternaście, gdy zdarzył się wypadek, który wywarł wielki wpływ na losy młodej dziewczyny.

Hrabia Romarhierta miał syna i córkę; córka była cztery lata młodszą od Eliny, a syn już dorósł młodzieniec, siedem lat od niej starszy, czasami tylko na kilka tygodni przyjeżdżał do domu.

Elin widywała młodego hrabiego, i wydał jej się nieporównanie pięknym, dumnym i okazałym.

Nie inaczej musiał wyglądać Gustaw Waza, Gustaw Adolf lub Karol XII, myślała mała Elin, z dziecinną śmiałością wpatrując się w młodego hrabiego, gdy w towarzystwie ojca niekiedy odwiedził Ljungstafors, lub gdy zaproszono Elin do Hillesta, żeby się bawiła z hrabianką Helfrydą.

Tak w dziecinnej wyobraźni swojej, ozdobiła hrabiego Hermana wszystkimi cnotami bohatera klechd i podań szwedzkich, i młody arystokrata nie domyślając się wcale, był ideałem małej, bladej towarzyszkii zabaw swej siostry.

Elin miała lat czternaście, gdy guwernantka hrabianki Helfrydy wyszła za mąż, a na jej miejsce przyjechała inna do Hillesta.

Nowa ta guwernantka, młoda, dwudziestodwuletnia panna, była wysoka, wysmukła i olśniewająco piękna. Pełna wdzięków we wszystkich ruchach, i pociągającej szczeroty, widocznie była stworzoną do zawracania głów

mężczyznom, co się wkrótce sprawdziło na młodym hrabi, który właśnie bawił u rodziców, gdy przyjechała panna Zelma Fries.

Herman tak się wkrótce zajął czarującą guwernantką, że stary hrabia, mający wysokie wyobrażenie o szacunku, jaki szlachcic okazywać winien każdemu zostającemu pod jego opieką, zaczął się obawiać, aby piękność syna nie sprawiła na powabnej dziewczynie zbyt głębokiego wrażenia, które Bogu wiadomo jak daleko mogłoby ich zaprowadzić.

Niebezpieczeństwo było groźne i wypadało zaraz obmyśleć środki zaradcze; jakoż hrabia Herman, ostatni potomek starej rodziny, której początki sięgały czasów tak odległych, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, bajeczni królowie skandynawscy od nich pochodzili—otóż ten nieoceniony potomek został natychmiast wysłany w podróż na ląd stały, i dopiero po roku miał wrócić.

W owej okolicy był wielki brak młodych ludzi, a przytem z powodu słabości hrabiny, rodzina hrabiowska żyła w odosobnieniu, mało kogo przyjmując, tak iż piękna Zelma Fries mogła wybrać za przedmiot swych ognistych spojrzeń, chyba rządzącą fryszkerki lub buchhaltera, jeśli nie samego kapitana Martenson.

W pół roku po jej przybyciu do Hillesta, a we dwa dni po odjeździe młodego hrabi Hermana, stary hrabia wielce zadowolony z oddalenia syna, rzekł do Zelmy:

— Panno Fries, widziałas pani naszego najbliższego sąsiada kapitana Martenson?

— Nie, panie hrabio.

— Tem lepiej, mogę go pani dziś wieczór przedstawić. Jest najbogatszym właścicielem w okolicy, chociaż prosty dorobkowiec. Dziś jednak pieniądze jedyną szacunek i poważanie. Oplakane czasy, w których stara szlachta musi ustąpić miejsca szczęśliwym spekulantom!

Hrabia przechadzał się po pokoju. Hrabina wsparta na sofie, dorzuciła tonem przesadnie pańskim.

— O tak, więcej niż oplakane czasy, kochany Romarierta, gdy jeden z najstarszej szlachty Szwedkiej, zapominając o winnym sobie szacunku, zniża się do przedstawiania z takimi ludźmi jak ten Martenson.

Słowa te widocznie wyczerpały siły hrabiny, gdyż porwała flakonik z solami, i z grymasem znękania przyłożyła go do nosa.

— Kochana przyjaciółko, zimno odpowiedział hrabia, nie damom sądzić o takich rzeczach. Zresztą Martenson jest pod każdym względem zacny i prawy człowiek, i bez względu na bogactwo, trzeba go cenić; a przytem jest tak dumny, że ani przyjmuje zaproszeń od okolicznej szlachty ani sam zaprasza. Jeżeli tu przychodzi, to z musu, za interesami, o tem wiesz dobrze, słodka przyjaciółko.

To powiedziawszy zwrócił mowę do Zelmy i rzekł z łaskawym uśmiechem:

— Mężczyzna czerstwy i nie stary, a przytem wdo-wiec.

Zelma zarumieniła się i odpowiedziała niewysłowienie ujmującym uśmiechem.

W tej chwili wszedł służący i oznajmił o przyjeździe pana Martenson.

Kapitan miał teraz lat pięćdziesiąt dwa, ale jego powierzchowność wcale nie okazywała tak podeszłego wieku. Udatnej i okazałej postawy, miał włosy i wąsy czarne.

Wargi świeże, nieco wydatne, okazywały gdy je otworzył, białe zęby, którychby mu pozazdrościł nie jeden dwudziestoletni młodzieniec.

Ogorzałą twarz tu i owdzie porały zmarszczki, ale ogół fizjonomji nie miał nic starego. Głębokie ciemne oczy były pełne życia i powagi.

Przy pięćdziesięciu dwóch latach kapitan Per Martenson wyglądał wcale młodo, gdyż trudy i żywot czynny a pracowity wycisnęły na jego fizjonomji tylko piętno męskiej siły i czerstwości.

Takim też się wydał Zelmie, gdy wszedł i powitał z uszanowaniem hrabiego, a dość zimno hrabinę, która odpowiedziała prawie niedostrzeżonem skinieniem głowy.

Gdy hrabia przedstawił go Zelmie, kapitan ze zdziwieniem spojrzał na piękną młodą kobietę, a ukłon jego zdawał się cześć wyrażać.

W ciągu całogodzinnej rozmowy z hrabią Martenson nie spuszczał oka z Zelmy, która zaraz spostrzegła, iż sprawiła na nim wielkie wrażenie.

Z Martensonem stało się jak z wielu innymi rozsądnymi ludźmi, którzy w pracowitej i czynnej młodości nie popełnili żadnego głupstwa, i za to pokutować musieli w dojrzałym wieku.

Martenson, który nigdy nie był niewolnikiem namiętności, i nawet w miłości swej dla Mary i córki zawsze kierował się rozumem i wolą własną, teraz pięćdziesięcio-

kilkoletni starzec, namiętnie rozkochał się w młodej Zelmie, i w ciągu kilku miesięcy szalał prawie z tej miłości.

Prawdopodobnie Zelma umiała rozdmuchać w płomień iskrę, którą zatliła w sercu wdowca. Za to ręczyć nie będziemy, to jedno jest pewnem, że nie upłynęło czterech miesięcy, gdy ów niegdyś rozsądny człowiek, oświadczył się o rękę młodej guwernantki i rozumie się ją otrzymał.

W sześć tygodni po tem oświadczeniu, Zelma Fries nie była już guwernantką u hrabiego, lecz żoną właściciela Ljungstafors, a w niespełna trzy miesiące później, Elin, na żądanie swej macochy wróciła do Sztokholmu na pensję, której ochmistrząnią była kuzyna Zelmy.

ROZDZIAŁ II.

Kapitan, jak to się często zdarza starym mężom, był tak rozkochany w swojej młodej żonie, że jego miłość sprawiała niekiedy prawdziwą męczarnię Zelmie. Namiętność jego nie przystawała ani do wieku ani do charakteru i miała coś tak nienaturalnego, że zamiast rozgrzać serce młodej kobiety, owszem budziła w niej pe-

wien chłód i wstręt do człowieka, który chciał przemocą wydobyć z piersi uczucia odpowiednie swoim, jakby można rozkazywać sercu niby okrętowi, i zmusić je do spełniania wszystkich swoich życzeń.

Zelma wychodząc za kapitana, bynajmniej nie była kobietą zepsutą. Uboga i zależna, a przytem piękna, pragnęła swemi wdziękami obudzić uczucia i zostać żoną bogatego człowieka. Kapitan dość się jej podobał, nigdy jednak nie poczuła do niego głębszego pociągu, mimo wszelkich z jego strony ognistych dowodów miłości. Gdy szalone zaloty rozkochanego starca nie znajdowały wzajemności, w padając z jednej ostateczności w drugą, obarczał gwałtownemi wyrzuty młodą żonę, której jedy-ną winą to było, że wyszła za niego bez miłości.

Gdyby kapitan mógł choć na chwilę usłuchać głosu zdrowego rozsądku, sam by poznał, że najlepszym sposobem pozyskania życzliwości żony, byłoby postępowanie z nią serdeczne i przyjacielskie, że nie powinien był wymagać od niej tego, czego dać nie mogła, i nie zmuszać do uczuć, które dobrowolnie z serca płyną.

Martenson przeciwnie tłumił w zarodzie budzącą się życzliwość ku niemu żony, i tym sposobem zaraz w początkach powstała głucha nieprzyjaźń między małżonkami.

Znużona ciągłemi wyrzutami, Zelma pragnęła dobrocią i uległością pojednać kapitana z chłodem, który mimowolnie wiał z jej serca. Usiłowania te jednak były daremne; owszem, jeszcze bardziej jej zaszkodziły, gdyż Martenson stał się zazdrośnym i niedowierzającym i w tych zabiegach żony upatrywał maskę osłaniającą

występne uczucia. Tak w ciągłych burzach minął pierwszy rok pożycia nowożeńców, który jednak był bardzo nauczającym dla Zelmy, gdyż gruntownie poznała fantazje i słabości swojego męża, a któryż mężczyzna od nich jest wolny? To zastanawianie się nad charakterem męża dało jej broń przeciw wszelkim jego wybuchom. Zelma zaczęła odgrywać rolę zakochanej, by zadowolnić życzenia Martensona. Niebawem spostrzegła, że nie tylko serce starego męża na tem cierpiało, iż za gorącą miłość odpłacała mu dość chłodnem przywiązaniem; obrażona próżność grała tu także niepoślednią rolę. Pożyciwy kapitan wziął za dobry pieniądz ten liczman uczucia i uwierzył w udaną miłość Zelmy. Młoda kobieta schlebiała jego próżności, gorąco przyklaskiwała jego dumnej wzgardzie dla arystokracji, chwaliła jego moc charakteru i zapewniała męża, iż jest najzupełniej szczęśliwą, będąc tak od niego kochaną.

Od czasu jednak jak Zelma zaczęła udawać miłość, stosunki pozorne małżonków polepszyły się w prawdzie, ale wewnętrzne zostały zerwane na zawsze. Zelma straciła wszelkie przywiązanie i szacunek dla męża. Upatrywała w nim tylko słabości, których lękała się obrazić, ale przestała dostrzegać to, co było rzeczywiście szanowaniem i zacnem w jego charakterze. Jego gwałtowność wydała się jej prostactwem, serdeczne uczucia grubą zmysłowością, moc duszy żądzą panowania, duma pychą ciemieży, prawość charakteru owocem pychy, niechęć do arystokracji rodowej, dufaniem w pieniądze, a postępowe i liberalne opinie, fantazją dorobkowicza. Pełna goryczy w przekonaniu, że mąż jest dla niej niesprawiedliwy,

w ciągłej obawie wybuchów jego gwałtownego charakteru, gorąco pragnąc jakim bądź sposobem zdobyć nad nim przewagę, z dniem każdym stawiała się zimniej obłudną, coraz doskonalej udając miłość, która w istocie łudziła kapitana, ale nie mogła go tak dalece przekonać, by niedowierzanie zupełnie zmarło w jego sercu. Zbyt głęboko było one zakorzenione, i Martenson bądź co bądź, był zazdrosny.

Tak upłynął rok drugi.

Młody hrabia Herman Romarhierta, po dwuletnim pobycie za granicą, wrócił do Hilesta. Gdy znowu ujrzał Zelme, wydała mu się równie piękną jak dawniej, a jeszcze powabniejszą. Miłość jego dla niej odżyła z nową mocą, i pomimo wzgardy, jaką z całą swoją rodziną czuł dla dorobkiewicza z Ljungstafors, zaczął często dom jego odwiedzać.

Mijała zima, Zelma była niezmiernie roskochaną w swoim mężu, a młody hrabia wynajdywał tysiączne interesy do Ljungstafors.

Z nadejściem wiosny hrabia Romarhierta odjechał ze swoją rodziną do starego rodzinnego zamku w południowej Szwecji. Po odejździe hrabiego zaszła uderzająca zmiana w charakterze Zelmy. Zapadła w głęboką tęsknotę i smutek, zdrowie jej znacznie osłabło, rumieńce znikły, oczy zagasły i kapitan postrzegł z przerażeniem, że jego piękna małżonka stała się jak kwiat bliski zwiędnięcia. Postanowił tedy bezzwłocznie pojechać do stolicy, zasięgnąć rady najznakomitszych lekarzy, a współcześnie być na konfirmacji Eliny, która miała się odbyć na Ziełone Świątki.



W stolicy kapitan i jego żona spotkali hrabiego Romanhierta, który był niezmiernie grzeczny i uprzedzający. — Elina znowu ujrzała ideał swych lat dziecińczych, o którym nie przestała marzyć na pensji, ale młodzieniec wcale nie zwracał uwagi na szesnastoletnią dziewczynę, która też w istocie nie miała w sobie nic powabnego i nikła zupełnie przy swojej macosze.

Elina należała do tych młodych dziewcząt, które w szesnastym roku życia są jeszcze zupełnymi dziećmi. Wysoka, chuda, niezgrabna, bez żadnego wdzięku w poruszeniach, miała rysy twarzy nierozwinięte, cerę brudną, włosy niepewnej barwy, a wyraz oczu zamglony. — Niepodobna było przewidzieć, czy będzie kiedy ładną lub czy na zawsze zostanie brzydka.

Rysy twarzy, chociaż dość regularne, przy większym rozwinięciu mogły stać się niekształtnymi. Oczy duże ciemne, otwarte, różnej barwy, nie były piękne, gdyż nie miały wyrazu, a brak zupełny brwi czynił przykre wrażenie. Nos prosty i kształtny mógł stać się za najmniejszem powiększeniem rażącym, a usta choć małe i osłaniające piękne zęby, miały nieco grube wargi. Czoło było za wysokie, skronie zbyt wklęsłe, a włosy niepewnej barwy wpadającej w popielaty kolor, nie pozwalały przewidywać jakimi się staną później. Dodajcie do tego blade żółtą cerę, niezgrabne ruchy i chude ręce, poruszające się jakby nie należały do reszty ciała, a mieć będziecie obraz szesnastoletniej Eliny Martenson, podobniejszej do młodej nieopierzonej sroki, niż do powabnej, kwitnącej dziewczyny. Lekarze przepisali podróż do wód zarówno dla Zelmy jak dla Eliny. Kapitan, który miał pilne interesa

wymagające osobistej jego obecności, nie mógł towarzyszyć żonie.

W pierwszych dniach czerwca Zelma i Elina odjechały do Strömstadt i przybywszy na miejsce, ku wielkiemu zdumaniu Eliny, zostały przyjęte przez młodego hrabiego Hermana. Sześć tygodni potoczyło się w niezmierzony ocean czasu, jak słodki sen dla Zelmy, jak bolesne przebudzenie do cierpień i walki dla Eliny, która wróciła z Strömstad jeszcze bledszą niż była dawniej.

Przyjechawszy do stolicy, Elina rozstała się ze swoją macochą, na którą oczekiwał małżonek. Gdy parowiec przybijał do lądu, Zelma spostrzegłszy męża nad brzegiem, rzekła do Eliny:

— Nie trzeba wspominać o tem, żeśmy w Strömstad spotkały hrabiego.

Nazajutrz kapitan z Zelmą odjechali do Ljungstafora, a Elina jeszcze na rok pozostała na pensji. Martenson zabrał z sobą starego kolegę, kapitana okrętu Troberga. Obadwaj zaczęli razem zawód jako prości żeglarze na szkucie fryszerki, z tą atoli różnicą, że Troberg wprowadził tak jak Martenson został kapitanem i przez długie lata dowodził jednym i tym samym okrętem, ale nie dorobił się majątku jak jego czynny i roztropny towarzysz.

Teraz osłabiony i niezdolny do dalekich podróży, chętnie przyjął ofiarowaną sobie pocziwem sercem gościnność w domu Martensona, był bowiem sam, bez rodziny.

R O Z D Z I A Ł III.

Znowu nastała wiosna.

W obszernej sali na dole kapitan Martenson stał przy oknie, wyglądając na ogród.— Kapitan Troberg siedział w krześle trzymając w ręku gazetę, nie czytał jednak, i patrzył na stojącego przy oknie przyjaciela.— Co tam widzisz osobiwego? zapytał. Od godziny już wlepiłeś oczy w ogród jak w tęczę.— Czy nie widziałeś, którądy poszła? zagadnął Martenson, nie odpowiadając na pytanie.— Kto poszła? Przecież tu w domu jest kilka kobiet.— Mówię o żonie.— Poszła w głąb ogrodu. Jeśli masz do niej interes, to ją każ prosić. Zawsze to lepsze, niż po całych godzinach wypatrywać ścieżki w ogrodzie.— Posłuchaj Troberg, chciej mi jasno odpowiedzieć na jedno pytanie.

Martenson obrócił się do przyjaciela i utkwiał w nim wzrok badawczy.— Wiesz przecie, że zawsze jasno odpowiadam.— A więc powiedz,— czy nie zdaje ci się, że postępowanie mojej żony jest zmienne i obłudne?— Bynajmniej, ale za to twoje względem niej wydaje mi się szkodliwe i nedorzeczne; mógłbyś wyczerpać cierpliwość aniola. Jesteś zazdrosny jak głupiec.— Mam do tego powody. Niech mi djabli porwają, jeśli wiem jakie, chyba że we mnie widzisz niebezpiecznego gacha. Żaden obcy mężczyzna tu nie zajrzy. Sama nie bywa nigdzie w są-

siedztwie i żyje jak pustelnica; — taki sposób życia może się podobać dwom starym marynarzom, ale młodej, pięknej kobiecie musi się wydawać bardzo nudnym.

— Doprawdy! Możebyś chciał, żebym prowadził dom otwarty i zabrał znajomość z całą szlachtą okoliczną, aby jaki paniczek zawrócił głowę Zelmie? Nie, bracie, nic z tego nie będzie! Nie po to się ożeniłem, by mię zwozdiła osoba, którą kocham.

— Jesteś przeklęcie dziwaczny sternik na oceanie małżeństwa, widocznie przeznaczony na rozbitka. Alboż nie widzisz, stary przyjacielu, że kiedyś już zrobił takie potworne głupstwo, żeniąc się w tych latach z młodą kobietą, toś przecie nie kupił sobie niewolnicy, którą możesz zamykać i pozbawiać wszelkiej swobody, a przeciwnie obowiązkiem jest twoim uprzyjemnić jej życie, nie przeszkadzając młodej duszy używać uciech światowych. Chcesz ją strzedz dla siebie, zgoda, ale jakich środków używasz?

— Kochałem ją do szaleństwa, nie szczędziłem dla niej pieśszot i najczulszych dowodów miłości, jak niewolnik leżałem u nóg i całowałem jej stopy—i na cóż mi się to zdało? W drugim roku naszego pożycia zdawało mi się, że mię kocha, ale to był sen zwodniczy! Dziś widzę jasno smutną rzeczywistość — wszystkie jej pieśszoty są udane. A te łzy, gdy jest sama, ten cichy wewnętrzny smutek — czyż to wszystko nie wymownie świadczy, że jestem zwodzony? — Jeszcze nie jesteś, ale niezawodnie będziesz, jeśli tak dalej uweźmiesz się z nią obchodzić. Powiedz mi, ile miałeś lat żeniąc się z terazniejszą żoną? — Pięćdziesiąt dwa. — Pięćdziesiąt dwa,

i dwadzieścia dwa, więc tylko trzydzieści lat różnicy. Mógłbyś wygodnie być jej ojcem, a ty, stary dzieciaku, zaczynasz od padań do nóg, oświadczeń miłosnych i prośb o wzajemność! Niech mię djabli porwą, jeśli jeszcze nie pisał na jej cześć sonetów — byłbyś dalibóg, kapitalny głupiec! Gdybyś miał na pokładzie choć jeden pakiecik z ładunku, który nazywają zdrowym rozsądkiem, pewniebyś tak niedorzecznie nie postępował. Byłbyś poznał, że w twoim wieku słowa namętne i ogniste zapaly, są śmiesznością, i że tylko ojcowskiem przywiązaniem i przyjaźnią możesz przyciągnąć ku sobie młodą kobietę. Wypadało ci naprzód wzbudzić w niej szacunek i zaufanie, aby widziała w tobie najlepszego swojego przyjaciela. A ty coś uczynił? naprzód obraziłeś ją niesprawiedliwą zazdrością i obudziłeś w niej myśli, które prędzej czy później popchną nieszczęśliwą kobietę do występku. Straciłeś jej zaufanie, szpiegując wszystkie jej poruszenia z niedowierzaniem, śledząc każde jej słówko i postępek. Niesprawiedliwością swoją straciłeś jej szacunek, i zamiast być najlepszym przyjacielem swojej żony, jesteś po prostu stróżem jej więzienia, i musi biedna ci pochlebiać, żebyś trochę rozpuścił jej więzy. Sam dobrowolnie zniweczyłeś szczęście was obojga i stałeś się ciężarem towarzyszek życia, którą wspierać i bronić było twoim obowiązkiem.

Kapitan stał nieruchomy przed przyjacielem z założonemi na piersiach rękami: rzekłbyś skamieniały go słowa Troberga. W istocie, było one niby zwierciadło prawdy, które trzymał przed nim, i w które żaden śmiertelnik nie zdoła z zimną krwią spojrzeć.

Nakoniec kapitan zawołał: — Może byłoby i lepiej, gdybym jej popuścił cugli, aby przez przeszkody zdeptała moje serce i honor. — Zaufanie i delikatność niekoniecznie płodzą obłudę, odpowiedział Troberg; przeciwnie, jest ona zwykle dziekiem niedowierzania i przymusu. A zresztą czy jest co warta taka wierność, której tylko brak sposobności do przemienienia się w wiarołomstwo, lub nad którą nieustannie trzeba czuwać? Gdybyś trochę zastanowił się nad swoim położeniem, byłbyś tak sobie postanowił: Jeśli Zelma mnie nie kocha, to jej zmuszać do miłości nie mogę i nie będę. Jeśli chcę być kochanym, powinienem uprzyjemnić jej życie. Jeśli w nagrodę za to zwiedzie mię i zapomni co jest winna mojemu sumieniu i mojemu honorowi, ha, niech hańba na niej ciąży; ale nigdy się tak dalece nie poniżę, bym jak nędzny szpieg czuwał nad wszystkimi jej krokami.

Rozmowę przerwało wejście Zelmy.

W przeciągu ostatniego roku zbladła i znacznie schudła. Cała powierzchowność młodej kobiety zdradzała, że jakiś tajemny robak toczy jej serce i życie. Pomimo tej zmiany Zelma była nadzwyczajnie powabna, a jej wdzięczne ruchy przyciągały oczy i zniwalały serca.

Zelma podeszła do męża i podała mu list mówiąc:

— Od Eliny.

Potem siada na krześle i oparła głowę z wyrazem znużenia.

— Ah, ah, otrzymałeś listy! rzekł kapitan i utkwili w żonie wzrok nieufny i badawczy. Kto ci je dał? Przecież mówiłem, że wszystkie listy mają być mnie oddawane? — Inspektor dał mi list.

Zelma dobitnie wymówiła ostatni wyraz, nie zmieniając swojej postawy.

— Czy jesteś pewną, żeś tylko ten jeden list dostała? pytał kapitan nie posiadając się z zazdrości. — Możesz zapytać inspektora. Niezawodnie bardziej wierzysz jego słowom niż moim. — Bynajmniej, jest bowiem tak grzeczny, że powie to tylko, co sobie życzysz. — W istocie! Dowodzi to, że nie bierze z ciebie przykładu, odpowiedziała z goryczą Zelma, i powstawszy zamierzała odejść. — Dokąd idziesz? — Per! krzyknęła Zelma, odwracając głowę i patrząc na męża z wyrazem obrażonej dumy. Zapominasz, że nie jesteśmy sami. We cztery oczy można znieść pewne obrazy, ale gdy je trzeci słyszy, ranią śmiertelnie i nieuleczenie.

To rzekłszy śpiesznie wyszła z pokoju.

— Do pioruna, Martenssonie, chybaś naprawdę oszalał, że tak obchodzisz się ze swoją żoną. Jak Boga kocham, na jej miejscu będąc, powiedziałbym ci straszne głupstwo, i porzuciłbym cię na zawsze! Masz chyba diabła w sobie, lub chcesz zmusić żonę do niewierności, bo rzeczywiście wybrałaś najlepszą drogę.

— Daj mi pokój, Troberg; jestem najmocniej przekonany, że otrzymała listy i boi się, bym się o tem nie dowiedział. Ha, łotr inspektor, zapowiedziałem mu przecie, aby do moich rąk oddawał wszystkie listy! — Któżby mógł do niej pisać? — Djabli ją wiedzą — który z jej kochanków. Jak się nazywają, tego mi ona pewnie nie powie. — Martensson, stary przyjacielu, posłuchaj dobrej rady. Śpiesznie zmień kierunek okrętu, bo jeśli tak bę-

dziesz płynął dalej, jak Boga kocham, osiadasz na miełiznie, i gorzko pożałujesz; gdy już będzie zapóźno. — Pożałuję? Bądź spokojny. Byłem zawsze uczciwym człowiekiem, ale jak mi Bóg miły, zemszczę się strasznie, jeśli mię oszuka! — A czy chcesz żeby cię oszukała? — Nie. — Więc zmień postępowanie i zamknij w sobie niegodną podejrzliwość, jeśli nie chcesz obojga was wtrącić w przepaść zguby.

Kapitan przechadzał się wszerek i wzdłuż po pokoju, jakby szukał uspokojenia dla duszy wzburzonej. Nakoniec stanął przed Trobergiem i rzekł: — Masz słuszość, stary przyjacielu; jestem kompletny głupiec i wielki już czas przyjść do rozumu. — To dobrze, czytajże teraz list córki, potem staraj się pogodzić z żoną i pomyśl, jakaby dla niej znaleźć rozrywkę. Litość dalibóg bierze patrzeć na nią, tak zmizerniała. — Czyż doprawdy Zelma się bardzo zmieniła? — Oczywiście że bardzo, a ja powiadam z Figarem: „Nudy tuczą tylko głupców.“ Twoja żona pędzi życie nędzne, opłakane, niezdolne, a jednak chcesz, by kwitła jak róża i była wesoła jak skowronek.

Kapitan rozpieczętował w milczeniu list córki i czytał. List zawierał tylko przyjacielskie przypomnienie matkosze, że obiecała przyjechać po nią na Święty Jan i zabrać z pensji do domu.

Ta prosta treść wywołała nową walkę w duszy kapitana. Nakoniec odezwał się głośno, jakby odpowiadając na własne myśli:

— Niech jedzie i przywiezie córkę.

ROZDZIAŁ IV.

W ośm dni po rozmowie, którąśmy opowiedzieli w poprzedzającym rozdziale, elegancki powóz podróżny zajechał przed dwór Ljungstafora.

Było to w pogodny, piękny wieczór czerwcowy. Z powozu wysiadły dwie kobiety, Zelma i Elina. Kapitan przywitał żonę i córkę z zachmurzonym czołem i wymuszonym uśmiechem.

Zaledwie się przywitani, gdy drugi powóz podróżny zatrzymał się przed gankiem, i dwóch mężczyzn wysiadło.

— Hrabiowie Romarhierta! rzekła Zelma, która ich pierwsza zobaczyła, i po chwili goście weszli do sali, gdzie kapitan przyjął ich grzecznie, ale bez żadnych ceremonji. — Kapitanie, rzekł stary hrabia z serdeczną otwartością, pozwolisz pan czy nie, jesteśmy twoimi gośćmi na dni kilka, dopóki nie ułożymy się o sprzedaż Hillesty. I obracając się do Zelmy dodał:

— Niech piękna pani domu raczy darować mnie i mojemu synowi, że tak wpadamy nieproszeni, ale kapitan wie, iż sprawę trzeba w tych dniach załatwić w sądach, a obecność nas obojga jest konieczna.

Gdy weszli hrabiowie, Zelma zarumieniała się jak piewonja, potem strasznie zbladła i głos jej drżał, gdy na

powitanie hrabiego wymówiła kilka słów uprzejmych. Po ojcu, który z rycerską grzecznością pocałował Zelme w rękę, zbliżył się Herman, by ją także przywitać. Elina po wejściu hrabiów usunęła się za Zelme i usiadła przy oknie, którego franki prawie zupełnie ją zasłaniały. Stary hrabia zaczął rozmowę z kapitanem, Herman pozostał z Zelma, i Elina mogła ze swego siedzenia doskonale widzieć wyraz twarzy i poruszenia obojga. Gdy Herman ujął rękę Zelmy, spostrzegła Elina, że na twarzy macochy rozlała się najżywsza radość, a z oczów promieniło szczęście.

W spojrzeniach Hermana było coś tak namiętnego, że Elinie się zdało, iż spala tę, w którą były utkwione.

— Spodziewam się, szanowna pani, że nam nie weźmiesz za złe, iż z powodu naglających interesów, odwołujemy się bez ceremonji do pańskiej gościnności, rzekł młody hrabia. Ale oczy jego mówiły tak wiele i tak wymownie, że biedna Elina dostała zawrotu głowy. — Hrabiowie Romarhierta są zawsze pożądanymi gośćmi, odpowiedziała Zelma. — Dziękuję, rzekł Herman i rzucił przeletne ukradkowe spojrzenie na kapitana, a upewniwszy się, że jest bardzo zajęty rozmową z ojcem, dodał po cichu: — Widzisz pani, że dotrzymuję słowa, i nie zważam na żadne przeszkody; długoż tak będziesz uciekać? — Kto wie, że nie zwycięży, musi uciekać, odpowiedziała Zelma również cicho. — Dopóki go nie dogonią, odparł Herman.

W tej chwili wszedł kapitan Troberg i przedstawił go gościom. Teraz dopiero przypomniawszy sobie Zelma o obecności Eliny. Herman skłonił głowę, nie spoj-

rzawszy nawet na chudą wybladłą dziewczynę i usiadł obok Zelmy na sofie. Troberg siadł przy Elinie, a tymczasem kapitan i stary hrabia wyszli z pokoju. Elina tylko jednym uchem słuchała, co jej mówił Troberg, a całą duszą wsłuchiwała się w rozmowę młodego hrabiego i macochy.

Hrabia otworzył książkę, która leżała na stoliku przy Zelmie. — Raj utracony, rzekł spojrzawszy na tytuł. Czytasz pani to arcydzieło Milтона? zapytał Zelmę, obejmując ją ognistym spojrzeniem. — Już przeczytałam, odpowiedziała Zelma i podniosła oczy na młodzieńca. — Wistocie? — W takim razie masz pani wyobrażenie, jak musi być nieszczęśliwym ten, którego z raju wygnano — nie prawdaż? — Nie mam żadnego, nigdy nie byłam w raju, więc z doświadczenia nie mogę ocenić straty. — Przecież każdy człowiek miewa błogie chwile szczęścia. — Może być, nie przeczę — myślę jednak, że mało kto doznaje wielkiej szczęśliwości. — I nigdy jej nie znałaś? — zapytał głos stłumiony. — Nigdy. — Więc i nie kochałaś nigdy? — W głosie hrabiego była gorycz i boleść. — Nie każda miłość prowadzi do raju. — A czyjaż w tem winna? — Zapewne nie miłości; nasza wyobraźnia własna jest temu winna, a najwięcej to, że nie umiemy albo raczej nie chcemy być szczęśliwi. — Nie możemy, nie śmiemy. — Człowiek wszystko może, i na wszystko się odważy, gdy chce i mocno postanowi. Niech mię dziś wypędzą z raju, jutro niezawodnie powrócę, i póty będę dobijał się do drzwi, aż mi je otworzą. Czy sądzisz pani, że nigdy się tam nie dostanę?

Hrabia pochylił się i dodał po cichu:

Wiecznież pani będziesz mię odpychać? Roztrząskam głowę o drzwi, jeśli mi nie otworzysz. — Drzwi będą otwarte odpowiedziała Zelma głosem niepewnym i dodała: ale nie ja otworzę. — To znaczy, że mam odejść bez żadnej nadziei: czy tak? — Tak. — Elina raczej odgadła, niż usłyszała tę odpowiedź. Hrabia zbladł i powstał. — Więc przeszłość była igraszką? wyszeptał.

Zelma milczała. Hrabia porwał za kapelusz i powiedział głośno:

— Chciałbym wiedzieć, gdzie poszedł kapitan z ojcem? — Są w kantorze z sędzią okręgowym, odpowiedział Troberg patrząc przez okno. Martenson mówił, że zaraz wróci. — Prawdziwie, przykro mi bardzo, że siedzimy tu jak nieproszeni goście, mówił hrabia; chciałbym też zapytać się kapitana, czy moja obecność jest niezbędnie konieczną do załatwienia sprawy, bo jeśli nie, to jeszcze dziś w wieczór bym pojechał do N. — Czy hrabiemu tak pilno? — zapytał Troberg. — Boję się być natrętnym, wiem dobrze, że kapitan Martenson nie lubi szlachty i nie chętnie ją widzi u siebie. Zapewne to uprzedzenie podziela jego rodzina. — Nie sądzę, rzekł Troberg z załopotaniem patrząc na Zelmę i czekając, żeby coś powiedziała. Tak młode i uprzejme damy, jak żona i córka Martensona, dodał, nie mogą mieć nedorzeczných uprzedzeń. — Kapitan Troberg ma słuszość, rzekła Zelma z wysiłonym uśmiechem. — Więc panisobie życzy, bym pozostał? zapytał hrabia, obracając się do Zelmy i patrząc na nią błagalnym wzrokiem. — Tak jest, panie hrabio, spo-

dziewam się, że nie będziesz krzywdził mnie i mojego męża powątpiewaniem o naszej gościnności.

Kapitan Troberg spytał o coś Elinę, a gdy ta odpowiedziała, hrabia rzekł z cicha:—Czy mam odjechać? Odpowiedź pani rozstrzygnie o mojem życiu lub śmierci!—Pozostań! szepnęła Zelma i śpiesznie wyszła z pokoju.—Kocha go, pomyślała Elina. O, mój Ojczel! mój dobry ojczel!—Muszę prosić panią Martenson, żeby była grzeczniejszą dla hrabiego, pomyślał Troberg i wyszedł.

Herman i Elina zostali sami, ale młody hrabia zdawał się nie zwracać na to uwagi. Wyjawszy pugilares, napisał kilka słów ołówkiem, wydarł kartkę i schował ją do kieszeni kamizelki.—Tymczasem Elina wyszła na ganek.

W kilka minut później kapitan i stary hrabia wrócili do dworu, i zastali Elinę stojącą na ganku, a Hermana siedzącego na sofie.

ROZDZIAŁ V.

Następnego poranku Zelma otworzyła drzwi od pokoju Eliny i rzekła:

— Może pójdziesz ze mną na przechadzkę do parku?

— Bardzo chętnie, odpowiedziała Elina biorąc kapelusz.

I zeszły do parku.

Zelma nadzwyczajnie wesoła i ożywiona, żartowała z Eliny, która była smutną i zamyśloną i z wyrazem boleści i zdziwienia patrzyła na piękną i powabną twarz Zelmy, podobnej do pysznie rozkwitłej róży. Nigdy jeszcze nie wydała się tak piękną Elinie; a jednak w serce młodej dziewczyny wciskało się uczucie nienawiści na myśl o wcorajszej rozmowie z hrabią.

Zapewne pod wpływem tego uczucia, Elin przerwała nagle wesołe szczebiotanie Zelmy, pytając:—Czy mama widziała się już dziś z tatą?—Nie, ale się zobaczymy przy śniadaniu, odpowiedziała Zelma obojętnie.

Tejże chwili zbliżył się ku nim hrabia Herman i po wielu udanych wykrzykach zdziwienia z powodu tak ранego spotkania się, zapytał, dokąd iść zamierzają, a Zelma rzekła:—Elin, proszę cię, pobiegnij do ogrodnika i powiedz mu, żeby przyszedł do nas przed południem, ja już dalej nie pójdę; odpoczne na tej ławie i tu na ciebie zaczekam.

Elin spojrzała na macochę z niechęcią i ociąganiem się, nie śmiała jednak sprzeciwić się rozkazowi.

O czem rozmawiali hrabia i Zelma, niwiadomo; to jedno tylko wiemy, że gdy Elin powróciła od ogrodnika, hrabia wydał się jej niezmiernie wzruszony, a Zelma poważna i smutna. Milcząc powrócili do dworu, gdzie już zastali kapitana na ganku. Stary hrabia także wyszedł ze swoich pokoiów i powitał panie.

Śniadanie było dość chłodne. Kapitan się nachmó-

rzył, stary hrabia był zamyślony, a Herman nie spuszczał oczów z Zelmy, która starannie unikała jego spojrzeń. O milczącej Elinie nikt nie pomyślał. Kapitan Troberg spoglądając z ukosa na Zelmę i Hermana, jak mógł podtrzymywał rozmowę.

Nakoniec wstano od stołu. Stary hrabia i kapitan udali się bezwzględnie do Hillesta z sędzią okręgowym i pisarzem. Na twarzy kapitana malowały się uczucia, które nie musiały być przyjemne.

Po odjeździe męża, Zelma zaproponowała przejażdżkę po jeziorze: Elin i Herman przyjęli propozycję, ale Troberg się wymówił i pozostał w domu. Łódź popłynęła ku wysepkom, na których Zelma pokazywała Elinie różne rzadkie rośliny, które sama zasadziła. Rozmawiając ciągle ze swoją pasierbicą, zdawała się zapominać o obecności hrabi i tylko czasami rzucała na niego ukradkowe wymowne spojrzenia.

Gdy powrócili, kapitan był już w domu, i kiedy po raz drugi zobaczył żonę w towarzystwie Hermana nachmórzono jego czoło zasępiło się jeszcze bardziej. Po obiedzie, gdy podano kawę, a mężczyźni palili cygara w pokoju kapitana, Herman wyszedł do Zelmy i Eliny, które siedziały pod lipami na dziedzińcu, i zapytał, czy nie zechcą się przejść do ermitarza, który, będąc małym chłopcem kazał wystawić, gdy jeszcze ojciec był właścicielem Ljungstafors.

Zelma przyjęła propozycję. Po raz trzeci spotkał ich kapitan. Po raz trzeci piękny, ogólnie kochany i podziwiany hrabia Herman towarzyszył jego żonie i nic dziw-

nego, że krew gorącej niż zwykle zawrzała w żyłach zazdrosnego męża.

Następnego poranku kapitan stał w oknie. Troberg siedział na sofie. Kogóż spotkały jego oczy, gdy wyrzwał na ogród.

Herman przechadzał się z Zelmą i Eliną.

— Nie mógłbyś mnie powiedzieć, przyjacielu Troberg, do której się zaleca?—Kto się zaleca?—Hrabia Herman. Do kogo się umizga, do Eliny czy do Zelmy?—Pewnie do żadnej, a może do obydwóch.—Do obydwóch! Więc się zaleca i mojej żonie?—Kochany Martenson! nie bądźże znowu głupi i raz przecie zrozumiej, że gdy młody szlachcic jest z dwoma młodemi kobietami, to im prawi mnóstwo grzeczności, które nie mają żadnego znaczenia.—Tak mówisz, nie mają znaczenia? A po cóż je gada?—Żeby przyjemnie czas przepędzić.—I ty chcesz wmówić we mnie, że uczciwa i wierna żona może słuchać podobnych grzeczności! — A cóżby w tem było złego, zwłaszcza jeśli, jak twoja żona, ma starego zazdrośnika męża.

Kapitan milcząc przeszedł się parę razy po pokoju i znowu stanął w oknie.—Chodź no tu, Troberg, zawołaj żywo do przyjaciela, kładąc rękę na jego ramieniu.—Przypatrz się dobrze twarzy hrabiego i powiedz, co wyraża.

Troberg spojrzał na młodzieńca, który szedł obok Zelmy i odpowiedział:—Hrabia zdaje się być zachwycony.—Tak, tak, powiedz całą prawdę, wygląda jak człowiek, którego pochłania jedna wyłącznie namiętność. No, w którą jest zakochany? Prawdopodobnie on jeden tylko

mógłby ci dać dokładną odpowiedź na to pytanie. Kto wie, może mu wpadła w oczy twoja córka ze swem bogatym wianem.—Patrz, upadła chustka, przerwał kapitan, hrabia ją podniósł. I trzyma dość długo. Ale czyja to chustka, nie widziałeś? — Nie, mój bracie; gdy patrzę z tyłu na ludzi, nie mogę widzieć, co robią ze swemi rękami.—Jeszcze jej nie oddał—mówił dalej kapitan. Teraz zakręcają w boczną aleję.—Rzecz przykra w istocie, bo nie będziesz mógł dłużej szpiegować swej żony. Fi, co za szkaradne zatrudnienie! Czy wiesz Martenson, że grasz djabelnie nędzną rolę?

To powiedziawszy Troberg wziął gazetę i usiadł.

Kapitan zabębnił marsza na szybach.

ROZDZIAŁ VI.

Elin wróciła właśnie z przechadzki i zabierała się przebrać do obiadu, gdy kapitan wszedł do pokoju córki.

Zamknawszy drzwi starannie, usiadł na sofie i rzekł: —Elino, mam ci coś powiedzieć bardzo ważnego; chodź więc i siadaj przy mnie.

Rysy twarzy kapitana miały wyraz surowy i smutny.

Elin milcząc siadła przy ojcu. Z lekkiego drgania jej rzęs można było poznać trwogę jej duszy.

— Dziecięciem będąc, kochałaś mię nad wszystko w świecie. Byłem twoją największą radością i najwyższym szczęściem. Wyrosłaś z dziecka na dziewczę, cóż teraz serce twoje czuje dla ojca? — To samo co zawsze, odpowiedziała Elin głosem drżącym z mocnego wzruszenia. Ty ojciec jesteś jedyny, którego serce moje kocha, a to serce kocha cię tak głęboko i bez granic, że wszystko chętnie i z radością poświęcę, byle ci sprawić przyjemność, byle oddalić od ciebie troski.

Kapitan położył rękę na głowie córki i rzekł głosem cichym i stłumionym: — A jednak dopomagasz osobie, która mnie zwodzi.—Ojcz! zawołała Elin zarumieniona.—Milcz i słuchaj. Kocham twoją macochę nad życie, ale ona mię nigdy nie kochała. Ha! jest to nieszczęście, którego nikt nie zmieni; jeśli jednak kocha innego, jest to występki, który pomszczę paląc w łeb jej kochankowi, a potem sobie. Zrozumiałaś mię?—Zrozumiałam — I wiesz, że twój ojciec nie mówi próżnych pogroźek, i że co powie zrobi. Wszak to wiesz?—Wiem.—A więc pamiętaj abyś nie pomagała do czynów, które mogą doprowadzić twoją macochę do złamania mi wiary, gdyż to byłoby narażać się na utratę ojca. Jeśli widzisz, że wchodzi na drogę zakazaną, nie żądam od ciebie byś ją zdradziła, gdyż wszelką zdradą się brzydzę; chcę tylko, byś ją przestrzegła o następstwach jej występków i żebyś sama w niczem nie dopomagała jej do złego. To moja córka może przyrzec swojemu ojcu.—Przyrzekam, odpowiedziała Elin, okrywając gorącemi pocałunkami rękę ojca i dodała: Uczynię

wszystko, co się może przyłożyć do twego szczęścia i twojej spokojności, drogi ojcze. — Szczęście moje, kochane dziecię, już przeżyło swoje dni najpiękniejsze, i tak zwykle bywa, gdy mężczyzna w moim wieku zakocha się w młodej niewieście. To powiedziawszy kapitan, powstał i złożył pocałunek na bladym czole dziewczicy.

Na obiedzie było kilka obcych osób i wszyscy członkowie sądu ziemskiego. Towarzystwo było wesołe, rozmowa toczyła się żywo, jedna tylko Elin była smutną i milczącą, ale nikt nie zwracał uwagi na bladą, niepozorną dziewczę, której całą zaletę stanowiło to, że była dziewczynką bogatego Martensona.

Po obiedzie, gdy rozdano kawę, Elin usłyszała, jak macocha przechodząc szeptała hrabiemu Hermanowi:

— A teraz zajm się pan Eliną, jeśli nie chcesz obudzić zazdrości w moim mężu.

Elin zarumieniała się z gniewu, siedząc przy oknie pochylona nad robotą. Tejże chwili przysiadł się do niej Herman i rozpoczął mówić o rzeczach oklepanych, stanowiących zwykły przedmiot salonowych rozmów. Daremnie jednak usiłował zająć młodą dziewczynę i sam okazać się zajęтым; Elin odpowiadała półsłówkami i bardzo jeszcze pochyliła się nad robotą.

Kapitan śledzący wszystkie poruszenia Hermana, wzniósł z trwożliwego zachowania się córki, że młody hrabia prawil jej bardzo czułe grzeczności; jakoż, udało się Hermanowi w ciągu kilku godzin wprowadzić w błąd podejrzliwego męża.

Martenson nie należał do tych dorobkiewiczów, co sobie poczytują za szczęście, gdy mogą kupić podupadłe-

go szlacheica na zięcia i tym sposobem wcisnąć się do rodzin arystokratycznych. Przeciwnie czuł głęboko zakorzenioną niechęć i wzdarcę dla tej klasy, jak mawiał, próżniaczek i miałby sobie za obelgę myśl wydania córki za arystokratę. Zresztą był przekonany, że jedyną pobudką tych zalotów jest interesowność. Stary marynarz złościł się patrząc, że Herman tak nadskakuje jego córce, i mruczał pod nosem.

— Chyba djabeł wda się w tę sprawę, jeśli jutro z pomocą sędziego okręgowego nie skończę kupna i nie pozbędę się tych hrabiowskich darmożjadów. Córka moja nigdy nie wyjdzie za tego próżniaka, niech się próżno nie ludzi.

Pod wieczór całe towarzystwo używało przejażdżki po jeziorze i gdy młody hrabia podawał rękę damom przy wsiadaniu do łodzi, Elin spostrzegła, iż wcisnął kartkę w ręce Zelmy i współcześnie coś jej szepnął. Smutna, pamiętając słowa ojca, Elin siadła milcząca i rozmyślała, jak ma sobie począć. Hrabia prawil jej różne grzeczności, których słuchała z roztargnieniem, nie nie odpowiadając. — Jeszcze dziś w wieczór muszę rozmówić się z macochą i powiedzieć jej otwarcie, że się wdala w grę niebezpieczną, myślała Elin.

Podczas wieczery usłyszała jak jej macocha rzekła cicho do młodego hrabi: — Za godzinę w altanie.

Wkrótce towarzystwo się rozeszło, a Elin postanowiwszy odwiedzić macochę od schadzki w altance, — w kilka minut później weszła do jej pokoju.

Zelma zmarszczyła się na jej widok i zapytała niecierpliwie: — Cóż tam znowu? Czego chcesz? — Chcę z to-

ba pomówić, moja matko, odpowiedziała Elin stanowczo. — O tej godzinie? Doprawdy kochana Elin, wybrałaś się wcale nie w porę, i darujesz, że ci bez ceremonii oznajmię, abyś schowała do jutra to, co mi masz powiedzieć. — Nie mogę i nie chcę czekać. — W istocie? I ja mam się ugiąć przed twoją wolą? Tego już nadto. Oświadczam ci stanowczo, że dziś cię nie wysłucham. — Choćbyś mię miała ztąd wypędzić, matko, pozostanę. Musisz mię wysłuchać, i nie pójdziesz do altanki na schadzkę z hrabią Hermanem.

Zelma drgnęła, jakby dotknięta rospalonem żelazem.

Co ty mówisz, Elin? — Zupełną prawdę, wiesz. o tem matko. Słyszałam, jakieś się umawiała z hrabią, i... — Więc mię szpiegujesz, zawołała Zelma. Twój ojciec kazał ci śledzić wszystkie moje słowa i kroki i sobie donosić, nieprawdaż? O, rzecz okropna, być otoczona od szpiegów, którzy każde słówko przekręcają. — Matko, wysłuchaj mię spokojnie, jeżeli nie chcesz, by się stało nie-szczęście. Pomyśl, że pokój ojca przylega do twojego. Gdybym chciała lub miała polecenie cię szpiegować, to-bym tu-nieprzyszła i nie odwodziłabym cię od schadzki. Po prostu opowiedziałabym ojcu, com słyszała. Bądź jednak przekonana, że poniosę największe ofiary, a nie sprawię ojcu tej niezmiernej boleści, w jaką by go pograżyła pewność, że ty matko kochasz innego.

Elin ujęła rękę Zelmy i mówiła dalej z namiętnym prawie wyrazem:

— Nie wiesz matko, coby go kosztowała ta pewność, bo inaczej nie igrałabyś tak okrutnie z jego sercem, tem

zaczem i prawem sercem, które nie zna, co jest słabość i wiarołomstwo. O, gdy o tem pomyślę, krwawemi łzami oplakuję to, com słyszała i widziała. Ilekroć rzuciłaś spojrzenie miłośne na hrabiego Hermana, dreszcze mię przejmowały, gdyż mi ciągle brzmiały w uszach te słowa: „Odbiorę sobie życie zabiwszy wprzód jej kochanka, i niech ta, co mię zwiódła, wlecze potem nędzny żywot w wyrzutach sumienia.“

Elin wymówiła te wyrazy z taką mocą, że Zelma zadrżała.

— A teraz, gdy wiesz, że nie przeżyłby przekonania o twojej niewierności, czyż jeszcze masz ochotę utrzymywać występne stosunki z hrabią? Nie, tego nie zrobisz. Nie możesz być tak okrutną, nie możesz tak odplacać za miłość ojca, nie możesz go zmuszać, by zemstą i samobójstwem zakończył życie. Nie możesz być sprawczynią tylu nędzy. Ty, coś mi wydarła serce ojca, nie wydzieraj ze mi jego życia. Ach, chętnie żyć będę ukryta i zapomniana, byle tylko on był szczęśliwy, ale będę cię nienawidzić i przeklinać, jeśli go przywiedziesz do rozpacz.

Zelma zakryła twarz chustką i płakała. Elin patrzyła na nią chwil kilka milcząc, a potem zbliżywszy się, ujęła jej rękę. Zelma odepchnęła Elinę, zerwała się z krzesła i rzekła gniewnie: — Nie sądź, że ci się udało mię wzruszyć zuchwałemi wymysłami! Nie, płacę z gniewu i złości, żem przykuta do człowieka, którego nie kocham i który robił co mógł, żeby mi życie w piekło zamienić. Płacę, że ty śmiesz obarczać mię wyrzutami, nienawidzę cię za upokorzenie jakiego doznaję. Precz ztąd.

wychodź, zdradź mię, jeśli chcesz — ale nie pokazuj mi się na oczy! — Nie odejdę dopóki nie przysięgniesz, że zrywasz stosunki miłosne z młodym hrabią, odpowiedziała z mocą Elin. — Możesz tu stać do sądnego dnia, bo nie przysięgnę. — Strzeż się, rzekła Elin głucho i postąpiła krok ku niej. Nagle jednak zmienił się wyraz jej twarzy; z boleścią i rozpaczą padła do nóg Zelmy i wyciągnąwszy ku niej ręce zawołała: — Na miłość Boską błagam cię, ulituj się nad sobą samą i przysięgnij, gdyż czuje taką ku tobie nienawiść, że chociaż jestem dziecko, prędzej zrobię to, że ojciec będzie twojej śmierci opłakiwał, niż na to pozwolę, abyś ty go przywiodła do rozpacz. Wszelka litość zamilkła w mem sercu, tak się brzydzę twojem niegodnem postępowaniem. O! nie przyprowadzaj mnie do ostateczności, ale powróć do Boga i obowiązków żony. — Milcz, zawołała Zelma, i nie myśl, że wyłudziś na mnie obietnicę, któraby była przyznaniem się do winy, o jaką mnie oskarżasz. — Dobrze, i w tym razie wiem, jak mam sobie postąpić, rzekła Elin podnosząc się. Nie wszystkie serca są tak skamieniałe jak twoje. Jeśli wyjdiesz z tego pokoju, rozpowiem całemu domowi, żeś poszła na schadzkę z kochankiem. Tak jest, tak, jeśli natychmiast nie zerwiesz występnych stosunków, całemu światu ogłoszę twą hańbę.

R O Z D Z I A Ł VII.

Herman stał w altanie i niecierpliwie wyglądał przez otwarte drzwi szklane, przysłuchując się, czy nie dojdzie go szelest stąpań.

Nagle usłyszał, że ktoś prędko zbliża się lekkim krokiem. W końcu alei ukazała się postać niewieścia, która nie szła lecz biegła. Gdy się zbliżyła — Herman zawołał:

— Droga Zelmo, jak długo każesz na siebie czekać! — Byłem już...

Herman umilkł, gdyż ta, do której mówił, odrzuciła szal zasłaniający jej oblicze, i hrabia poznał Elinę.

— Nie spodziewałeś się pan mię zobaczyć, rzekła młoda dziewczica, urywanym i niepewnym głosem, ale ta, której oczekujesz, nie przyjdzie. Chciej pan wysłuchać cierpliwie, co mu powiem.

Mówiąc to Elin weszła do altanki i odetchnąwszy ciężko, padła na krzesło. W całej jej postawie widoczne było gwałtowne wzruszenie. Herman poszedł za jej prz ykładem i także usiadł.

— Postępek mój — odezwiała się Elin po chwili milczenia, może się wydać niewłaściwym, nieprzyzwoitym nawet, aleś usłuchała głosu serca, które mi mówiło, że mogę się odwołać do pańskiego honoru.

Elin umilkła nie wiedząc, jak swoją myśl wyrazić.

Hrabia czekał chwil kilka, a gdy Elin milczała, rzekł: —Chciej pani być przekonaną, że nigdy jeszcze nie odwoływano się napróżno do mojego honoru.—Cieszy mnie ta wiadomość, więc też poprzestaną na prośbie, abyś pan dziś jeszcze w wieczór ztąd odjechał.—Z jakiego powodu? Chciej mi pani przynajmniej to powiedzieć.—I pan się oto pytasz mnie, córki człowieka, którego krzywdzisz, nadużywając jego gościnności! Alboż pan możesz choć na chwilę pomyśleć, że jestem w znowie z kobietą, która oszukuje mojego ojca?—Jesteś pani zbyt surową i nie przebierasz w wyrażeniach.—Zbyt surową! Ach, czem są moje słowa w porównaniu z nieszczęściem, jakie miałeś pan zwalić na nasze głowy? Co na tem zależy, jakich słów użyję, byłem mogła skłonić pana, abyś natychmiast odjechał, byle dowieść panu, że postąpisz jak człowiek bez czci i serca, jeśli dłużej tu zabawisz i nie zerwiesz związków, które pana poniżają, a całą naszą rodzinę wtrącają w nędzę? Gdybyś pan miał dokładne wyobrażenie o ogromnej krzywdzie, jaką chcesz nam wyrządzić —zadrżałbyś ze zgrozy.—Doprawdy nie wiem, co pani chcesz przez to powiedzieć. — Hrabio Romarhierta! mój ojciec kocha mają macochę, uwielbia ją, ubóstwia. Jest zazdrosny i będzie nieublagany, jeżeli się dowie o tem, co ja wiem. Jam tylko jednego człowieka kochała, i tym jest mój ojciec. Dla niego, dla jego szczęścia, gotowam najboleśniej ponieść ofiary, gotowam życie poświęcić. Otóż, on sam mi powiedział, że w dniu, w którym się przekona, iż jest zwodzony, odbierze życie sobie i temu, który jest przyczyną jego nieszczęścia. A teraz czy pan zostanie i dla swoich namiętności narazisz życie dwóch

ludzi na niechybną zgubę? —Nie, odjadę jeszcze tej nocy. Dzięki! Przrzecz mi pan jeszcze, że nigdy nie zbliżysz się do mojej macochy, i że będziesz postępował, jakby ona już umarła dla ciebie.—Nie pani, niech ci wystarczy, że się oddalam; więcej nie żądam.—O nie—nieodjedziesz pan, dopóki mnie nie zapewnisz, że przestaniesz na zawsze odrywać serce mojej macochy od mojego ojca, że nie będziesz z nią utrzymywał listownych nawet stosunków, które mogą na zawsze uczynić nieszczęśliwym mojego ojca. Pomyśl pan, ileś mu już wyrządził złego, jak jest niegodnem uwodzić serce kobiety zamężnej—i chciej postąpić jak przystoi na człowieka honoru. Błagam pana o przyszłość mojego ojca: ach, nie odmawiaj mej prośbie!

Hrabia był wzruszony tą wymowną prostotą słów dziewczicy. Chwycił jej ręce i rzekł:

— Prośba pani będzie wysłuchaną. Nie zbliżę się już do pańskiej macochy i postaram się zapomnieć że żyje. Czyś pani zadowolona?—Tak jest. Wszak prawda, że to, zaszło między nami i macochą, na zawsze zamrzna pańskich ustach? Nigdy i z żadnego powodu nie wspomnisz pan o tem nikomu?—Nie, jak mi Bóg i moj honor miły, nigdy!

Mówiąc to hrabia, przycisnął do ust swoich rękę Eliny.

— Przepraszam, panie hrabio, odezwał się gruby głos za Hermanem, a współcześnie ciężka ręka spadła na jego ramię,—bardzo przepraszam, że przerywam jego całą rozmowę. My marynarze nie chętnie widzimy, gdy takie jak pan fireyki żartują sobie z honoru i uczciwości naszych kobiet, a mamy nie gorsze jak pan wyobrażenia

o honorze. Poszę mi powiedzieć, jak u diabła poważyleś się obrazić mię w ten sposób?

Na te słowa kapitana hrabia i Elin mimowolnie powstali, śmiertelnie bledzi.

— Panie kapitanie, upewniam pana, że moje spotkanie z panną Eliną jest zupełnie przypadkowe.—Doprawdy? A dokogóż jest ten list pisany? Jeśli nie do Eliny, to do mojej żony, a w takim razie obelga jest większą. Może w ciemności nie poznajesz pan tego haniebnego pisma; zaraz panu poświęcę.

To mówiąc kapitan zapalił świecę jednego ze ściennych lichtarzy i podał hrabiemu list pisany na różowym papierze.

— Może mi pan powiesz, kto jest autorem tej niegodnej bazgraniny? Znasz go pan zapewne? Może wiesz, do kogo list adresowany? Znam rękę i nazwisko podpisanego, ale w tym domu są tylko dwie kobiety, moja żona i moja córka, a więc list pisany do jednej lub do drugiej. No, do której?

Herman rzucił przelotne spojrzenie na list.—Pismo jest moje i list ten ja pisałem, rzekł prawie wzgardliwym tonem.—Tak, więc się pan przyznajesz?—Podpisu swego nigdy się nie zapieram, odpowiedział dumnie i chłodno Herman.—I masz zupełną słuszość. Ale do kogo są pisane te czułe słowa? Kogo one lżą w moim domu?—Kto list otrzymał, niech odpowie na to pytanie.—Ja nie powiem.—Nie! krzyknął kapitan i przystąpił doń kilka kroków bliżej.—Nie, gdyż tu nie chodzi o mój, ale o drugiej osoby honor, której wykrywać nie myślę; człowiek honorowy nie może się podobnej nikiemności dopuścić.—

Masz się pan za człowieka honorowego, a zniżasz się do nędznej roli uwodziciela? Zapominasz chyba, żeś mię w każdym razie obraził, jako ojca lub jako męża. Odpowiadaj więc, kogoś obraził?

Nastąpiła śmiertelna cisza, która trwała chwil kilka. W piersi hrabiego wrzała straszna walka. Nakoniec odpowiedział:—Panie kapitanie, nie żądam, abym ja, jedyny winowajca, obciążał swój występki rolą donosiciela. Czyn to niegodny mężczyzny. Gotów jestem dać panu wszelkie zadość uczynienie, jakiego zażądasz, ale więcej nadto nie uczynię.—A jakie zadość uczynienie? Uwiodłeś moją żonę czy córkę, i chcesz swój występki tem nagrodzić, że albo mi życie odbierzesz, albo mię zrobisz zabójcą, i to nazywasz pan zadośćuczynieniem godnem honorowego człowieka?

Kapitan roześmiał się szydersko.—Co do mnie, mówił dalej, żądam by niewinna była wolną od podejrzeń, a winowajczyni wykrytą.—Ojciec, jam winna! wyjąkała Elin chcąc zakończyć, to zajście bolesne, które mogło mieć okropne następstwa.—Więc to ona? zapytał kapitan obracając się ku hrabiemu i zacisniętą pięścią o stół uderzając.—Zdaje się, że świadectwo moje jest zbyteczne, gdy panna Elin sama się przyznaje? rzekł Herman, który jaśniej niż Elin widział, co dalej nastąpi. — Nie, musisz pan sam wyznać, że jesteś uwodzicielem tego dziewczęcia, abyś jej dał jedyne, możliwe zadośćuczynienie, jakie przyjąć może po nocnej z tobą schadzce.—Jakież to zadośćuczynienie zapytał Herman, któremu zapalały oczy, gdyż nie mógł przypuszczać, aby człowiek, który dawniej był szyprem przy fryszerce jego ojca, brat kowalek o miłę

mieszkających, ośmielił się żądać, by jedyny syn hrabiego Romarhierta ofiarował swoją rękę jego córce.

— Kochany Hermanie odezwał się dźwięczny głos za kapitanem, kiedyś się poważyl uwieść córkę zanego człowieka, nie masz innego sposobu na powetowanie winy, jak ofiarować jej swoje nazwisko. Czyn ten nakazuje ci honor, i mój syn nie może postąpić inaczej. Czy mię rozumiesz? dodał stary hrabia rozkazującym tonem.— Rozumiem, odpowiedział Herman, tłumiąc w sercu oburzenie dumy.—Ja jednak nie przyjmuję i nie mogę przyjąć ofiary, jaką chce uczynić hrabia Herman, rzekła Elin z godnością. Nie możemy być małżonkami.—Więc nie chcesz: być żoną hrabiego? zapytał kapitan.—Stanowczo nie chcę.—I wolisz dzwigać hańbę całe życie—Wolę, niż być nieszczęśliwą w małżeństwie.

Kapitan położył rękę na ramieniu córki i rzekł głuchym głosem:—Jeśli odmówisz przyjęcia jedynego zadosyćuczynienia, jakie ci dają, znaczyć to będzie, żeś skłamała nieszczęsna, i że nie ty jesteś winowajczynią! Jeśli wzgardzisz nędznym darem, który ma hrabiowskim nazwiskiem pokryć twoją hańbę, zmuszony będę żądać innego zadosyćuczynienia.

— Ojcie, mam dopiero lat siedemnaście, a ty mię skazujesz na całe życie nieszczęścia dla odpokutowania błędu jednej chwili zawołała Elin z rozpaczą.—Nazywasz to błędem jednej chwili! krzyknął ojciec na list pokazując. Nie, to jest głębokie poniżenie się, którego niczem nie wynagrodzisz, a które tylko osłonić możesz. Alboż nie widzisz, żeś śmiertelnie obraziła ojca?

Cała postać Eliny wyrażała rozpacz. Biedna, milcząca oddychając z trudnością.

— No, mój panie, rzekł kapitan zwracając mowę do młodego hrabiego, czyś gotów wziąć tę dziewczynę za żonę?

Herman milczał, ale stary hrabia odpowiedział.—Cóż, Hermanie, czyż twój ojciec ma poraz drugi za ciebie odpowiedzieć, że do tychczas każdy hrabia Romarhierta postępował jak człowiek honorowy?—Nie potrzebujesz ojcie przypominać mi mojej powinności. Gotów jestem pod każdym względem zadość uczynić żądaniom kapitana.—Dobrze, więc w przyszłą niedzielę będzie zapowiedź, a za trzy tygodnie ślub, rzekł kapitan i obracając się do córki dodał: Możesz pozostać w moim domu, dopóki ci mąż nie weźmie; ale przestałaś być mojem dziećciem od chwili, gdyś zapomniała otem co honor i uczciwość wymagają od panny. Ty, mój panie, otrzymasz co do grosza majątek swej żony, jaki na nią przypada po matce, ale nigdy nie licz na spadek po mnie. Okrywając ojca nieślawą, straciła prawo do ojcowskiego majątku—więc ją wydziedziczam!

To powiedziawszy kapitan wyszedł z altanki.

Elin stała nieruchoma: jarzący blask świecy padał na jej blade jak marmur, skamieniałe z bóleści lica, i tylko gwałtowne bicie serca zdradzało, że to nie posąg lecz żyjąca istota.

Stary hrabia postąpił ku niej i rzekł łaskawie:—Nie smuć się, moje dziecie. Postaram się rozbroić gniew ojca, i znowu wszystko będzie dobrze.—Dobrze! powtórzyła Elin i spojrzała na hrabiego. Nie! nigdy, nigdy, już do brze nie będzie! I zakrywszy twarz rękoma, jęczała!—

O mój ojcie, mój ojcie jakże okrutny jest los twojej córki!—Ten los sama pani sobie zgótowała, rzekł Herman z goryczą.

Na dźwięk tego głosu Elin podniosła głowę i spojrzała na niego takim wzrokiem, że spuścił oczy.—Zostawmy Elinę samą, niech się uspokoi. Jutro, moje dziecko, pomówimy więcej.

To mówiąc stary hrabia, wziął pod rękę syna i wyszli z altanki.

Zostawszy sama, Elin spojrzała dokoła, jakby szukając jedynej istoty, coby jej boleść podzieliła, i spojrzenia jej padły na list, który jeszcze leżał na stole, ten listni-szczesny, co tak zgubny wpływ wywarł na jej życie. Porwała go z konwulsyjnym poruszeniem i nie patrząc na treść, zbliżyła do świecy i dopiero, gdy płomień go zniszczył, Elin odetchnęła głęboko, swobodniej i padła na kolana modląc się z głębi uciśnionego serca.

Opuścimy ją by wysłuchać rozmowę starego hrabi z synem, gdy wrócili do swego pokoju.

Ojciec i syn milcząc, przeszli ogród, ale jak tylko weszli do pokoju, Herman zamknąwszy drzwi, zawołał:—Co to ma znaczyć, ojcie? Czyż rzeczywiście mam zasłużyć córkę szypra Martensona? Chcesz tego koniecznie, ojcie?—A wynajdźże inny sposób wyjścia z tej sprawy z honorem? zapytał spokojnie hrabia i rzucił się na sofę.—Ja tej dziewczyny nigdy nie kochałem, nigdy jej nawet nie powiedział jednego słowa miłości. Jest dla mnie osobą zupełnie obojętną i wcale niewinną zarzutu, jaki jej czynią.—Wszak sama się oskarżyła? zagadnął hrabia

mierzając syna bystremspojrzeniem.—Niewątpliwie, oskarżyła się sama, lecz tylko ze wspaniałomyślności żeby...

Herman umilkł.

— Żeby ocalić swoją macochę, dorzucił stary hrabia. Ba, domyslałem się tego.—Nie wymieniałem nazwiska pani Martenson, ojcie.—Zapewne, żeś niewymienił, ale ona cię wymieniła. Nie ma już o tem mowy; myśl tylko jak ty szlachcie, człowiek honorowy, wyjdiesz z tej sprawy, w której swoją lekkomyślnością pozbawiłeś czi istotę niewinną. Pokaż mi drogę inną niż tę, którą ci wskazałem.

Herman milczał. Hrabia mówił dalej.—Przecież ani na chwilę nie możesz dopuścić tej myśli niegodnej, aby szlachetna młoda dziewczica cierpiała jedna za to, coś ty z drugą zawinił? przecież nie możesz na to pozwolić, aby na jej pocziwej sławie ciążyła niezatarta plama.

Hrabia mówił spokojnie, ale surowo. Herman uparcie milczał.

— Przypuśćmy, że do altanki weszła nie młoda dziewczica, ale jej macocha i że mąż jej was zeszedł. Jakie byłoby następstwa? W każdym razie brzydkie zgorszenie, a może i coś gorszego, w czym hrabia Herman Romarhierta nie odegrywał by roli zaszczytnej. Co uczyniła Elin? Ocaliła ciebie i jeszcze drugą osobę, siebie samą poświęciwszy. Powinnością więc jest twoją w związku małżeńskim starać się wynagrodzić szlachetność, jakiej ci dała dowód.—Zapominasz, ojcie, jaki jest przedział między nami?—Hermanie, czyś tak został w tyle swojego czasu, że nie rozumiesz, iż szlachcie nie więcej dziś znaczy niż każdy inny człowiek? Minęły czasy, gdy uro-

dzenie pozwalało mu popełniać wszelkie głupstwa i wyrządzać krzywdy mieszczanom i chłopom. Dziś kochany Hermanie jest tylko jeden przedział między ludźmi—to jest wyższe lub niższe ich ukształcenie moralne. Zarzucasz może, że ja nie podzielam tej opinii, że inaczej cię uczyłem starając się dać jasne pojęcie o tem, co honor przede wszystkim nakazuje szlachcicowi, I dziś jak zawsze, mam wysokie wyobrażenie o szlachcie, jako o klasie, którą uszlachetniło ukształcenie, i zawsze z dumą pomyślę, że należę do jednej z najdawniejszych rodzin w Szwecji. Ale z drugiej strony mam wysokie wyobrażenia o obowiązkach szlachcica i noszę głęboko wyryte w sercu go-dło szlachty francuzkiej: *Noblesse oblige*. *) Uwieść niewinną dziewczę i opuścić, zakłócić pokój rodziny i świętość małżeństwa znieważyć—podobnych czynów, nie chcę by zarzucano członkowi rodziny Romarhierta. A jednak tyś się dopuścił tak niegodnego czynu, powodowany ślełą namiętnością. Tylko szlachetności dziewczicy zawdzięczasz, żeś wyszedł bezkarnie, i jeszcze się wahasz, czy masz dać swoje nazwisko pannie, której ty zresztą żadnego nie uczynisz zaszczytu! Zaiste, mój synu, przynosisz hańbę starożytnemu domowi Romarhiertów,

Stary hrabia powstał i dodał, kładąc rękę na ramieniu syna:—I ja bywałem słaby i jam popełniał głupstwa. Podobalem sobie w przepychu i życiu wystawnem i zmarnowałem znaczną część swojego majątku. Nigdy jednak nie dopuściłem się słabości, któraby rzuciła cień na mój

honor i moje sumienie i spodziewam się, że mój syn nie zmusi ojca by się za niego rumienił.

— Więc ojczu, chcesz stanowczo, bym zaślubił Elinę Martenson? czy taka jest twoja wola?

— Moja wola? odparł stary hrabia i dumnie spoj-rzał na syna. Jesteś pełnoletni, a przeto nie podlegasz mojej woli; sądziłem jednak, że uczucie własnego honoru nakaze tak uczynić hrabiemu Hermanowi Romarhierta. Potrzebaż mojej woli! by cię skłonić do postąpienia, jak przystoi na uczciwego człowieka? W takim razie musiał-bym ci oświadczyć, że nie jesteś moim synem. Dalsze twoje postąpienie zostawiam zupełnie twojemu honorowi.

To powiedziawszy, stary hrabia przeszedł do sypialnego pokoju i zadzwonił na służę.—Herman przechadzał się po pokoju, mrużąc jakieś słowa bez zwiąsku.

Gdy nazajutrz obudził się stary hrabia, służący po-dał mu list od syna. List zawierał następujące wyrazy:

„Ojczu! Odjeżdżam, bo chcę uniknąć wszelkich nie-przyjemności spotkania. Proszę cię, racz wspólnie z kapitanem zamówić zapowiedzie dla mnie i Eliny... Sam przyjadę do Ljungstafors w dniu, w którym kapłan ma połączyć potomka rodziny Romarhierta z córką szypra Martensona. Dając jej tak szlachetne nazwisko, sądze, że pod każdym względem wynagrodzę obelgę, którą sobie przypisuje, choć jej nigdy nie doznała. Ale to jest wszystko, co jej dać mogę.—Odjeżdżam teraz do stolicy i tam oczekuję na twój przyjazd; później pojedziemy razem do Kungsborga i opowiem matce i siostrze, jaki zrobiłem wybór.—Twój posłuszny syn:

Herman.

*) Szlachectwo ma obowiązki.

Hrabia zgniótł list w zamyśleniu i mruknął:

— Dumny malcze, gniewaj się, jak chcesz, a musisz być prawdziwie szlachetnym i zacnym człowiekiem.

We trzy tygodnie później był dzień ślubu Hermana i Eliny.

Zaproszono niewielu gości, a między temi dwie siostry kapitana, kowalki wraz z mężami, i kilku dalekich krewnych hrabiego Romarhierta, sąsiadów kapitana. Zdawało się, że spraszając swych krewniaków, kapitan chciał upokorzyć arystokratycznych kuzynów pana młodego.

Przed południem przyjechał stary hrabia, ale sam.— Mój syn będzie o wpół do szóstej, rzekł do kapitana, a ślub może odbyć o szóstej. Żona moja jest chorą i nie może być na uroczystym obrzędzie.

Punkt o wpół do szóstej zatrzymał się przed gankiem lekki powóz podróżny i wysiadł z niego hrabia Herman z dumnie podniesioną głową i zimnym wyrazem twarzy. Zmieniwszy suknie podróżne na czarne ubranie, wszedł do salonu. W kwadrans potem kapłan połączył go z Eliną na całe życie.

Elin była mocno wzruszoną w czasie obrzędu, a gdy kapłan wymawiał błogosławieństwo, podniosła żelazwione oczy i nieśmiało spojrzała na człowieka, który odtąd miał być dla niej wszystkim w życiu. Ale on stał zimny, bez czucia, z dumnie podniesioną głową, i ani spojrzała na biedną, która w jego twarzy szukała śladu choć odrobiny współczucia.—Stary hrabia pierwszy zbliżył się wyrazić swoje życzenia państwu młodym! Serdecznie, po ojcowski uściskał Elinę i rzekł głosem wzruszonym:

— Błogosławie ci, moja córko!

Do syna nie rzekł ani słowa, tylko zimno ścisnął go za rękę. Przeciwnie kapitan pocałował córkę, gdyż tego zwyczaj wymagał,—ale z ust jego nie wyszło ani jedno słowo miłości i życzliwości, chociaż oczy Eliny błagały o nie z rozpaczą.

Zelma była blada, podobna do złego sumienia, gdy całowała pasierbicę i jej męża, który patrzył na nią z gorczą i dumą.

Goście wypili zdrowie państwa młodych, a w kilka chwil później Herman wyszedł z pokoju.

Elin rozmawiała z półkownikową D. krewną Hermana, a jej spojrzenia były jakby przykute do podróżnego powozu, który stał przed gankiem.

W kilka minut po wyjściu Hermana, ujrzała go, jak szybko zbliżył się do powozu, którego drzwiczki otworzył sługa. Po chwili woźnica trzasnął z bicia i powóz z Hermanem potoczył się daleko.

Elin mimowolnie zerwała się z sofy i pobiegła do okna przekonać się o prawdzie tego, co widziała. Gdy powóz zawrócił na główny trakt, gdy widoczną była obelga jaką tym odjazdem wyrządził jej Herman, nieszczęsna padła bez zmysłów przy oknie, w chwili gdy koło jej ucha rozległy się te wyrazy:

— Co to ma znaczyć? Zdaje się, że pan młody porzuca swoją oblubienicę!

Był to wykrzyk półkownikowej, która także patrzyła na powóz.

ROZDZIAŁ VIII.

Upłynęło lat dziesięć.

Na skalistych wybrzeżach południowej Szwecji mieli hrabiowie Romarhierta od czasów niepamiętnych rozległy majort, Kungsborgiem zwany, który przechodził z ojca na syna i przynosił książęce dochody. Ojciec starego hrabiego zniósł majorat, a wiodąc życie marnotrawne, zadłużył Kungsborg zarówno jak inne posiadłości, tak dalece, iż ojciec Hermana odziedziczył zaledwie połowę tego, co jego rodzic posiadał. Świat jednak wcale nie wiedział o tym upadku wielkiej fortuny.

Nadęty pychą rodzinny Romarhierta, ojciec Hermana usiłował poprawić swój stan finansowy, żeniąc się z bogatą arystokratką, w nadziei że spłaci długi ciężące na dobrach. Taki miał zamiar, ale gdy się ożenił, wrodzony pociąg do zbytku i przepychu wziął górę nad rostopnem postanowieniem prowadzenia życia oszczędnego. Naturalnem tego następstwem było, że stracił majątek żony dostateczny do oswobodzenia dóbr z ciążących na nich hipotek, a prócz tego musiał sprzedać Ljungstafors i Hillesta, które, jak czytelnikowi wiadomo, nabył kapitan Martenson.

Wkrótce po ślubie Hermana z Eliną umarł stary hrabia, zostawiając wdowie swojej, synowi i córce odłużony Kungsborg i małą posiadłość przyległą, nie przynoszącą

żadnego dochodu, gdyż dawniej była prostym zamkiem dla myśliwców.

Przez lat ośm zajmując się sam gospodarstwem, starał się Herman poprawić swoje finanse, spłacając częściowo długi powiększonym dochodem i tym sposobem zapewnić sobie niezależność. W końcu jednak poznał, że wszelkie usiłowania były daremne, a gdy wierzyciele naciskali, rad nie rad postanowił sprzedać zamek rodzinny Romarhierta, który od lat tysiąca należał do tej hrabiowskiej rodziny. Z wielką boleścią odważył się na ten krok rozpaczny i jego duma hrabiowska niezmiernie na tem cierpiała, ale honor nie pozwalał mu dłużej trzymać majątku, gdy poznał, że tylko coraz większe robił długi i dążył do oczywistej zguby. Nie łatwo było znaleźć kupca na odłużony majątek, który znacznie podupadł przez długoletnie zaniedbanie; a przy tem wierzyciele domagali się sprzedaży przez licytację. Właśnie w tej chwili krytycznej, zgłosił się do hrabiego pełnomocnik jednego kupca. Po kilkotygodniowej korespondencji, Kungsborg wraz z ruchomościami, obrazami i inwentarzem został sprzedany za ośmkroćstotysięcy talarów niejakej pani Stephensen z Ameryki północnej. Hrabia Herman otrzymał znaczną sumę, ale i długi na majątku były ogromne, i po opłaceniu wszystkich wierzycieli, cały majątek Hermana stanowił zamek myśliwski Furuhof i dwadzieścia tysięcy talarów, które na rachunek swej matki i siostry ulokował w znanym domu handlowym.

W rok po tej sprzedaży, w najpiękniejszej porze letniej, rządcą Kungsborga otrzymał list zawiadamiający, że nowa dziedziczka do majątku wkrótce przyjedzie.

Z dawnych sług hrabiego pozostali wszyscy, którzy tylko chcieli, aż do przyjazdu pani Stephensen. Do najdawniejszych sług należał marszałek dworu Eklund. Od lat czterdziestu służył rodzinie Romarhierta, odziedziczywszy po ojcu urząd marszałka dworu, który z ojca na syna przechodził w rodzinie Eklundów przez kilka pokoleń. Nie przeto dziwnego, że terażniejszy stary Eklund był niezmiernie przywiązany do rodziny hrabiowskiej i patrzył na nią z pewną czcią religijną. Kiedy biedak dowiedział się, że majątek został sprzedany, z rozpaczrywał sobie resztki włosów na łysej głowie. Chciał natychmiast złożyć swój urząd i iść za swemi panami do Furuhof, ale musiał usłuchać przedstawień hrabi Hermana, chociaż mu było niezmiernie przykro służyć dziedzicze nie arystokratycznego rodu.

— Obowiązkiem twoim jest zostać, dopóki nie uwolnią cię nowa właścicielka, mówił hrabia Herman; powinienś bowiem wszystko jej zdać co jest pod twoją pieczę.

Hrabia znał charakter starego sługi, i wiedział, że przywykł sumiennie wypełniać swój obowiązek.

— Prócz tego—mówił hrabia—możesz być mi użyteczniejszym na tem stanowisku, niż w Furuhof. Twoja nowa pani jest niezmiernie bogata, gdyż spłaciła wszystkie hipoteki i posiada Kungsborg oczyszczony z wszelkich długów. Może ci przeto być na starość użyteczną, gdy ja nic dla ciebie nie zrobię.

— Łaskawy panie hrabio, czyż to ja tak źle służyłem memu panu, iż mnie posądza o interesowność? — mówił żałośnie stary marszałek dworu.

— Bynajmniej, mój poczciwy Eklund. Ale chcę, byś tymczasem pozostawał w Kungsborg, a wiem, żeś zawsze był mi posłuszny.—I będę nim zawsze.—Dobrze! Jeśli nowa dziedziczka ci się nie spodoba, możesz wtedy przenieść się do Furuhof, rzekł hrabia, i Eklund zatrzymał urząd pocieszając się tą myślą, że spełnił tylko wolę swojego pana.

W ciągu pierwszego roku stary sługa nie chciał wierzyć, że ma innych panów, nie hrabiego Hermana. Jeśli mu się co nie podobało lub co takiego zaszło, o czem, jak sądził, hrabię należało zawiadomić, szedł zaraz do Furuhof i zdawał relację, jakby Herman miał jeszcze co wspólnego z Kungsborgiem.

Hrabia słuchał go, uśmiechając się melancholicznie i gdy stary skończył, odpowiadał mu zawsze:

— Zapominasz, przyjacielu, że już nie jestem panem Kungsborga.

Stary wdychał i ze ściśnionem sercem wracał do domu, a po kilku tygodniach znowu zapominał o rzeczywistości, i Herman znowu mu ją przypominać musiał. Gdy rządca zawiadomił, że nowa właścicielka spodziewana jest za tydzień, Eklund zupełnie oprzytomniał, przestał wątpić o tem, że nie służy już hrabiemu Romarhierta i smutny, stroskany starzec zaczął robić przygotowania do przyjęcia nowej pani. Z uczuciem boleści i dumy wydał rozkazy, aby oczyszczono pokoje, szczególnie zaś chodziło mu o to, aby były w największym porządku zbrojownia i galerja obrazów i portretów familijnych. Eklund odbył przegląd wspaniałych komnat ze staro-

świeckimi kosztownymi sprzętami, a gdy już wszystko było uporządkowane, zatrzymał się w wielkiej sali, gdzie świetne niegdyś dawano bale, i zadumany patrzył na wspaniały komin z białego marmuru, nad którym były rzeźbione herby domu Romarhierta. Starzec westchnął głęboko, zdjął z głowy czapeczkę i ze łzami w oczach wyszeptał:

— I to także ma dostać się mieszczance! Biedny mój jaśnie pan hrabia, jakież to dla niego upokorzenie!

Gdy tak starzec duma boleśnie, my tymczasem po krótko opiszemy czytelnikowi zamek Kungsborg. Okolice, w której leżał zamek, była raczej dziką i wspaniałą surową, niż powabną i czarującą. Ciemne lasy, wyniosłe góry i szerokie morze, budziły podziw, zadumę i smutek. Serce uczułoby się spokojniejszym, widząc więcej łąk powabnych i błoni ozłoconych promieniami słońca. Ale zamek i okolica podobne były do bohatera minionych wieków, który tu obrał sobie miejsce wiecznego spoczynku. Gmach mieszkalny z czterema wieżyczkami i grubymi murami, zachował zupełnie charakter średniowiecznego zamku panów feudalnych. W parku zarosłym stuletniami dębami i brzoźami, promień słońca rzadko się przedarł przez gąszcz liści. Ogród założony w staroświeckim stylu z zrostosłupami jodeł i rotundami lip rozłożystych wyglądał dziko, ciemno, ponuro. Na lewo był wielkim nakładem urządzony w późniejszych czasach tak zwany park kwiecisty, piękny, ujmujący, niby mały raj z pyszną oranżerją, krętymi ścieżkami i marmurowymi wodotryskami.

Pałac, albo właściwiej mówiąc zamek, był przodem obrócony do ogrodu. Mały raj kwiecisty leżał po lewej a park po prawej stronie. W tyle pałacu był dziedziniec zasadzony topolami włoskimi i zamknięty żelazną bramą ciągnącą się do dwóch skrzydeł zamku, a od bramy most zwodzony nad wyschłym dziś rowem wśród wałów, prowadził na gościniec. Dom był jednopiętrowy. Dół od dawna stanowił właściwe mieszkanie, urządzone według nowoczesnego przepychu i do przesady posuniętego zbytku. Długi szereg pokoi składały: sale jadalne, salony, biblioteka, sala do tańca, sale bilardowe, pokój do palenia tytoniu, gabinety, sypialnie i t. d. Pierwsze piętro zachowało nienaruszony charakter staroświecki: duma starego hrabiowskiego rodu wymagała, żeby wszystko to utrzymać w pierwotnej postaci; więc gdy robaki stoczyły jaki sprzęt, kazano robić nowy ale zupełnie podobnego kształtu i materji, i tym sposobem stare umebłowanie przez długie wieki zachowało dawną świetność i pewną świeżość. Tu była długa galerja portretów i obrazów, sala herbowa, zbrojownia archiwum i olbrzymia sala godowa z hrabiowskimi herbami nad kominem; dalej szły mniejsze sale i szereg małych pokoi. Po prawej stronie wielkiej sali był tak zwany pokój zwierciadlany, w którym wszystkie ściany od podłogi do sufitu okryte były zwierciadłami. Z tej sali przechodziłeś do pokoju w wieży, który był w siedemnastym wieku sypialnią ówczesnego hrabiego Romarhierta małżonki, o której opowiadano smutne historie. W tym pokoju umarła, i jak ogólnie utrzymywano, i dziś jeszcze tu zagłada. Sprzęty pozostały nieruszone, gdyż od śmierci hrabiny

Gunilli nikt tu już nie mieszkał. Godnem jest uwagi, że tu tylko wcale nie odnawiano sprzętów, i widocznie skazano ten pokój na zapomnienie. Nawet stary Eklund nie rozciągał tu swojej pieczy, i nakazując oczyszczenie pokoiów, zawsze zapominał o sypialni hrabiny Gunilli.

Po tej krótkiej wycieczce po starym zamku, wracamy do wątku naszego opowiadania.

ROZDZIAŁ IX.

Nadszedł nakoniec ów ważny dzień, w którym przyjechać miała pani Stephensen. Stary Eklund, jak za czasów hrabiów Romarhierta, kazał służbie przywdziać świąteczne szaty, i rozstawił ją w dwóch rzędach w przysionku którego wysokie słupy wieńczyły teraz bluszcze i kwiaty. Sam ubrany czarno, w trzewikach i jedwabnych pończochach, stał na czele licznych sług, błyszczących liberją hrabiów Romarhierta.

Rządca czynił różne uwagi i zarzuty przeciw rozporządzeniom Eklunda, ale stary marszałek uparcie twierdził, że wszystko, co się tyczy zamku i obsługi zostaje pod jego wyłącznym nadzorem i rządca w to mieszać się nie powinien. Rządca, człowiek młody, który przyjechał

do Kunsborga już po jego sprzedaży, serdecznie się śmiał ze starego marszałka dworu, i straszył go, że nowa pani wcale nie będzie zadowolona z jego rozporządzeń. Nic to niepomogło, gdyż Eklund uważał się za mistrza w swojej sztuce. Przecież od lat czterdziestu przyjmował hrabiów Romarhierta, i małym chłopcem będąc widział, jak ojciec jego urządzał przyjęcia, gdy państwo wracali do zamku!

Wkrótce po południu zajechał lekki, elegancki powóz podróżny. Służący zeskoczył z kozła, by opuścić stopień, ale już go uprzedził Eklund, i głęboko się ukloniwszy, stał przy otwartych drzwiczkach powozu. Z powozu wyskoczył naprzód młody człowiek i podał rękę wysokiej, wysmukłej, czarno ubranej kobiecie, w której postawie było coś dumnego i rozkazującego. Twarz jej osłaniał lekki woal podróżny; kobieta nie odrzuciwszy go, przeszła szybkim krokiem około Eklunda i rozstawionych sług, nie spojrzawszy ani w prawo ani w lewo.

Tymczasem młody człowiek pomógł wysiąść z powozu drugiej kobiecie średnich lat, i oboje udali się za czarno ubraną damą, witając przyjaznym uśmiechem rozstawionych służących, a nawet młody człowiek ścisnął za rękę starego Eklunda. Po powozie podróżnym nadszedł powóz z rzeczami, na których siedziały dwie służące. Stojący w przysionku słudzy, którym się bardzo niepodobało, że pierwsza dama—jak się domyślali, ich przyszła pani, nawet na nich nie spojrzała, gdy hrabiowie Romarhierta zawsze ich witali łaskawie, rzucili się teraz do powozu odpakowywać rzeczy. Stary Eklund pospie-

szyl za nową dziedziczką Kungsborga. Jeden ze sług otworzył na rozcież podwoje od pierwszego pokoju, to jest wielkiej sali jadalnej, w której stał stół nakryty. Stary Eklund zbliżył się do swojej nowej pani, chcąc zdjąć z niej płaszczyk podróżny; ale odmówiła mu skinieniem ręki i rzekła złą szwedczyzną:

— Pan zapewne jesteś tu marszałkiem dworu?— Tak jaśnie pani.— Nie jestem żadna jasna pani, lecz po prostu pani Stephensen, rzekła akcentem zdradzającym brak wprawy w mówieniu po szwedzku.

Zdjęła kapelusz i siadając dodała: — W krótkce każę pana przywołać.

Stary Eklund uklonił się i odszedł głęboko wzdychając, że jego pani nie jest żadną jaśnie wielmożną, lecz prostą panią Stephensen.

Gdy trzej podróżni zostali sami, młodzieniec zdjął płaszczyk z młodej kobiety i rzekł po angielsku:—Widok nowego mieszkania jakoś zasmucił cię Stefanio, a jednak sądziłem, że będziesz tu szczęśliwą i bardziej zadowoloną, niż w Ameryce.— Szczęśliwszą, bardziej zadowoloną powiadasz? odparła Stefanja obracając ku niemu blade, cudnie piękne lica. Ach Jakóbie, mój los nieszczęśliwy wszędy mi towarzyszy.

— Z losem tym jednak powinnabyś się pogodzić Stefanio, zauważył Jakób, zdejmując płaszcz podróżny ze starszej kobiety.

Stefanja nie odpowiedziała i przeszła w poprzek sali na prawą stronę gdzie był wspaniały salon niebieski. Jakób poszedł za nią, a starsza kobieta zawróciła w lewą stronę, żeby jak mówiła, bliżej przypatrzeć się miejscowości, dopóki nie spodoba się Stefanji przyjmą posiłek.

I my pójdziemy za Jakóbem, ale w przód skreślimy w kilku rysach portret młodego człowieka.

Nazywał się Jakób Lange. Twarz lekko pociągła wyrażała niepospolity rozum i prawość charakteru. Czoło miał szerokie i wyniosłe. Oczy średniej wielkości tkwiły głęboko, barwy nieoznaczonej, ale ich spojrzenia rozumne i błyszczące czyniły je niewymownie pięknymi. Spoczywał w nich cały świat duchowy. Nos pięknych linii, nie był może dość wyraziście męzkim, usta kształtne z dwoma rzędami białych zębów i uśmiechające się raczej serdecznie niż wesoło.

Te piękne rysy okalały czarne połyskujące włosy i ciemna broda. Młody człowiek był słusznego wzrostu, kształtny, nie wymuszony a bardzo ujmujących ruchów; głos miał piękny, dźwięczny, prawie muzykalny. Dodajcie do tego wielostronne ukształcenie, wielkie czytanie, doświadczenie nabyte w podróżach i lat dwadzieścia dziewięć, a przynacnie że mężczyzna z tylu przymiotami mógł być bardzo niebezpiecznym dla niewieściego serca.

Jednym z głównych rysów charakteru Jakóba była zupełna zgodność duszy z powierzchownością. Nie skaziła go jeszcze żadna pozioma i nieszlachetna namietność, a jego serce było równie czyste i niezsute jak czoło otwarte i pogodne. Gdy wszedł do błękitnego salonu, Stefanja siedziała na małej sofie, i głowę wsparłszy na poręczy utkwiała wzrok w marmurowym posągu, który przedstawiał Ceres szukającą swej córki Prozerpiny. W spojrzeniu młodej kobiety było jakieś zapomnienie teraźniejszości, a w rysach twarzy wyraz gorzkiej boleści.

Powierzchność pani Stefanji Stephensen mimowolnie zwracała na siebie oczy.

Z pierwszego wejrzenia każdy by ją nazwał piękną, chociaż bliżej wpatrzywszy się dostrzegał niezupełną regularność rysów. Było jednak coś czarującego i niewymownie powabnego w tej bladej, pięknej, nieco smagławej twarzy, w wielkich dziwnego wyrazu oczach, w wysokim dumnym czole i drobnych, surowo zaciśniętych ustach, których piękne wargi za najmniejszym otwarciem drgały namiętnie, ukazując lśniącej białości zęby. Włosy miała ciemne, kasztanowatego połysku, kibić wysmukłą, ale zdradzającą siłę i zdrowie, chociaż zupełny brak rumieńców na jagodach, zdawał się zapowiadać osłabione zdrowie.

Wkrótce można było poznać, że nie żadne fizyczne cierpienie, ale boleść duszy zniszczyła tę krasę młodości i piękna. A jednak Stefanijs była piękną, chociaż w jej fizjonomi uderzała naprzód duma, surowość i powaga. Jakim sposobem to pierwsze wrażenie było tak miłe i dla niej korzystne? Trudno sobie było zdać sprawę: być może, pod tą dumą, pod tą surowością i powagą, biło serce uczuło tkliwych, łagodnych i wzniosłych, które są ozdobą szlachetnej niewiasty.

Jakób zbliżył się do Stefanji, usiadł obok i ujął jej rękę, którą zawiesiła na sofę. — Stefanijs, rzekł, po co te posępne marzenia, których sobie wytłumaczyć nie umiem, gdy pomyślę, żeś tak gorąco pragnęła osiąść w tych stronach? Dla czego, stanąwszy na tej ziemi, poddajesz się smutkowi i rozpacz?

Jakób i Stefanijs zawsze rozmawiali po angielsku.

— Dla tego, że przeceniła swoje siły mniemając, że będę inną niż jestem w istocie. Ach, Jakóbie, jestem słaba kobieta, nic więcej, chociaż tobie się zdaje, że moja dusza posiada wielką mężką siłę. — Mężką nie, ale niewieścią, siłę kobiety ukształconej i rozumnej. Wiem, że masz tę moc duszy, i dla tego dziwię się, że się gryziesz bez żadnego widocznego powodu. Nie jesteś dziś ową dawną Stefanijs, która z chrześcijańską rezygnacją znosiła swój los i w czynnym a użytecznym życiu szukała ulgi i rozrywki dla swych boleści. — Owszem, jestem tą samą Stefanijs jaką mię ukształciłeś, zawołała młoda kobieta. Ale widzisz Jakóbie, podczas podróży i bezczynności, myśli moje spletały się z tak gorzkiemi, wspomnieniami, że teraz jak ołów ciąży na mej duszy. I podobna jestem do tej nieszczęsnej — (tu Stefanijs wskazała na Cererę), która szuka swojej córki. I ja szukam celu dla swojego życia, ale gdzie, gdzie go znaleźć? — W spełnianiu swoich powinności jako niewiasta i chrześcijanka, odpowiedział Jakób. Ach, Stefanijs, jesteś bogata, niezależna. Słuchaj, po co trwonić czas w posępnych marzeniach, po co zatruwać sobie życie wspomnieniami boleści, której nic nie może złagodzić? Nie lepiej wyciągnąć ręce ku wszystkim, którzy cierpią i potrzebują pomocy? Wówczas zabraknie ci czasu dla rozpacz. — Masz słusność. Precz, cikliwa słabości! rzekła Stefanijs i powstawszy, wstrząsnęła głową, jakoby odpędzając myśli natrętne.

Jakób podniósł się także.

— Czy wiesz Jakóbie, mówiła Stefanija, że słysząc ciebie, często się pytam: Czy te słowa rozumne i poważne, w istocie mówi młody mężczyzna, czy też uosobniony rozum? Jesteś niezwykajny człowiek z tem swoim sercem z czystego i szlachetnego kruszcu. — Wiesz aż nadto dobrze Stefanijo, że nie zawsze słucham zimnego rozumu, i masz dowody, że mogę także być niewolnikiem swoich namiętności. Wszelako dążyłem do uszlachetnienia się, czując, że to oddziaływa na ciebie, i byłoby mi bardzo boleśnie, gdybyś teraz uległa nie wytłumaczonej słabości. — Jakóbie, chwila słabości nie często powróci, odpowiedziała Stefanija, kładąc rękę na sercu; ale tu jest rana, której ani czas, ani żadna zmiana okoliczności nie zabliźni.

To mówiąc, wróciła do jadalnego pokoju, gdzie już miss Jene Smith siedziała przy stole, zabierając się do jedzenia.

— Miły Boże, że też to wy kochane dzieci nigdy nie jesteście głodne! zawołała po angielsku do wchodzących, kładąc w usta kawał pulardy. Po długiej podróży można przecie mieć dobry apetyt.

Stefanija uśmiechnęła się i usiadła przy stole. Jakób nalał sobie wina i wody i powiedział, że nie jest głodny.

ROZDZIAŁ X.

Następnego dnia dość wcześnie z rana, gdy Jene jeszcze mocno spała, Stefanija weszła do wielkiej sali balowej i patrzyła na herby Romarhierta wyróżnione w marmurze nad kominkiem. Miała na sobie białą ranną suknię, ugarniowaną koronkami. Założywszy ręce na piersi, patrzyła na herby z nieopisanym wyrazem dumy i niechęci. W całej jej postawie i rysach twarzy było coś surowego i groźnego. Rzekłbyś te godła hrabiowskie budziły w jej piersi nawał uczuć gorzkich i bolesnych. Popatrzwszy długo na herby, chwyciła za wiszący przy kominku sznurek od dzwonka, i zadzwoniła siadając.

Sługa ukazał się we drzwiach.

— Prosić tu marszałka dworu, rzekła nie odwracając głowy Stefanija. W kilka minut potem wszedł Eklund. Ubrany był czarno, w stroju dworskim jak zwykle, gdy hrabiowie Romarhierta bawili w Kungsborg. Gdy wszedł, Stefanija obejrzała się do koła, a gdy skłoniwszy się głęboko pozostał przy drzwiach, rzekła:

— Proszę się zbliżyć, panie Eklund, pragnę z panem pomówić.

Po kilku nowych pełnych czci ukłonach, Eklund postąpił kilka kroków na środek sali. — Dla czego herby hrabiowskie są jeszcze tutaj? zapytała wskazując na kołnierz. — Gdy Kungsborg sprzedawano Jaśnie pani, zastrzeżone było w kontrakcie, że ma być ustąpiony w niezmie-

nionym stanie, musiało więc i to pozostać, zwłaszcza że nie można było zabierać bez popsucia kominka.

— Ależ herby hrabiowskie należą do rodziny i nie mogą być drugim ustępowane. Choćbym nawet miała prawo je zatrzymać, nie uczyniłabym tego, gdyż brzydzę się wszystkim, co mi przypomina arystokrację i czasy feudalne. Dla tego zechcesz panie Eklund dziś jeszcze kazać zburzyć kominek i wyjąć herby, które pan odeszlesz dawniejszemu posiadaczowi, jeśli wiesz, gdzie się teraz obraca.

Stary Eklund wyglądał jak człowiek, który się dusi. Osłupiałym wzrokiem wodził po Stefanji jak po bluźnierce, która znieważa świętości, a usłyszawszy ostatnie słowa, odpowiedział z wybuchem dumy:

— Mój dawny pan, hrabia Romanhierta mieszka tu w sąsiedztwie, w swoim majątku Furuhof.—Dobrze więc, każesz pan odnieść mu te herby. — Rozkazy jaśnie pani będą spełnione. — Już raz powiedziałam panu, że nazywam się po prostu pani Stephensen. Chciej pan o tem pamiętać.

Stary marszałek dworu skłonił się czerwony jak burak z oburzenia.

Stefanija mówiła dalej: — Proszę mi powiedzieć, dla czego wczoraj wszyscy słudzy wystąpili w liberji.—Hrabia Romanhierta, sprzedając Kungsborg zostawił służbie jej dawną odzież, i żeby w godny sposób przyjąć jaśn... chciałem powiedzieć swoją panię, słudzy przywdzieli liberję, którą zawsze nosili z dumą, gdy należała do ich szlachejnych panów.

Było coś wzruszającego w uszanowaniu i czci, z jaką osiwały sługa mówił o swoich dawnych panach, wyrazy też starca sprawiały pewno wrażenie na Stefanji. Milcząc patrzyła nań długo, surowe jej rysy przybrały wyraz łagodniejszy, i rzekła z przyjacielskim prawie uśmiechem.

— Jak widzę, kochasz pan bardzo swoich dawnych panów i ich rodzinę.—Tak, szanowna pani, kocham z całego serca. Eklund umilkł i tylko łza zabłysła w jego oku.—No, dobrze, prześlesz pan tę rzeźbę, która jest pamiątką familijną, hrabiemu, a pamiętaj, żeby jej nie uszkodzono przy wyjmowaniu ze ściany.

Eklund skłonił się w milczeniu. Serce mu się krajało na myśl, że można coś wyrwać z pałacu Kungsborg, który jak sądził, mógł znowu powrócić do rodziny hrabiiego. Starzy zarówno jak młodzi miewają swoje złudzenia, gdy te pochlebiają ich życzeniom.

— Jest jeszcze druga rzecz, o której prosiłabym pana Eklunda pamiętać, mówiła dalej Stefanija,—żeby słudzy dostali ubranie cywilne. Niemogę patrzeć na liberję, zwłaszcza na hrabiowską. Nie chcę mieć przy sobie niewolników, lecz ludzi wolnych. Sługa w liberji nazbyt mi przypomina czasy feudalne, abym cierpiała w moim domu tak obmierzły zwyczaj. — Przecież muszą słudzy być jakoś ubrani? — Nie mogą być bez liberji! — Czemu nie? Niech noszą odzież porządną i chlubną, więcej nie potrzeba. Zresztą później o tem pomówimy, gdy przejrzymy listę służących, która mi się wydaje zbyt długą.

Eklund znowu się skłonił.

— Chciej pan mię oprowadzić po tych pokojach, któ-

rych staroświecka fizjonomia niezmiernie mi się nie podobą. Zamierzam wszystko to przemienić.

— Przemienić powtórzył osłupiały Eklund. Ach, szanowna pani, ależ to byłby okropny występki! Racz pani zważyć, że te pokoje są pamiątką wielkości upłynionych czasów. Hrabiowie Romarhierta zawsze najusilniej oto się starali, aby utrzymać to piętro w jego pierwotnej postaci, i nie podobna wierzyć, abyś pani zamyślała naraż zburzyć to, co przez długie wieki najstaranniej przechowywano. Byłoby to zniszczeniem pamiątek szlacheckiego rodu.

Starzec wymówił to głęboko wzruszony.

— Mój przyjacielu, odparła nowa dziedziczka, szlachetny ten ród sprzedał swój majątek rodzinny; ja zaś nie mam żadnego powodu przechowywać pamiątek, które mi są nietylko obojętne, ale wstrętne, bo mi przypominają czasy ucisku, których nienawidzę.

To mówiąc Stefanja, weszła do galerji obrazów. Stając się na środku, powiodła spojrzeniem po długim szeregu familijnych portretów, któremi ściany były okryte. Nakoniec wzrok jej spoczął na czterech próżnych miejscach.

— Jakie obrazy ztąd zabrano?— zapytała wskazując na próżne miejsca. — To były portrety ojca jaśnie hrabiego, jego matki, siostry i jego własny. — Tak! A czemuż pozostały inne? Przecież i one należą do pamiątek rodzinnych, i tylko dla niego mają wartość. Bo w moich oczach jest to tylko kupa gratów.—Szanowna pani zapomina, że jej pełnomocnik nabył Kungsborg pod tym jednym warunkiem, że jej będzie oddany w całkowitym

stanie, z meblami, obrazami i wszelkimi sprzętami. — Co znowu! przecież te stare portrety nie należą do sprzętów, a przeto w żadnym razie nie mogły być objęte warunkami sprzedaży. Zechcesz przeto pan je zabrać i odeśłać jedynej osobie, która jest ich rzeczywistym właścicielem.

Stefanija chciała iść dalej, ale nagle zatrzymała się przed jednym portretem niewieścim. Strój pokazywał, że portret był z siedemnastego wieku.— Co to za dama? zapytała Stefanija i z zajęciem wpatrywała się w piękne rysy. Zdawało jej się, że duże czarne, zadumane oczy poruszyły się nagle, a piękne ale smutne usta otworzyły się do mówienia.— To hrabina Gunilla Romarhierta, odpowiedział z wachaniem i niechęcią Eklund.— Dla czego jej portret zawieszony jest w kącie oddzielnie od innych? — Bo była córką prostego rybaka z Francji i... Eklund zamilkł. Stefanija żywo obróciła się ku staremu słudze i spojrzawszy mu bystro w oczy, powtórzyła:

— I co? Czemu pan nie mówisz dalej.

— Bo to długa historia, która tylko rodzinę Romarhierta obchodzi. To jedno mogę powiedzieć, że ten portret nigdy nie zajmował miejsca między wizerunkami szlachejnych pań i panów, dopóki ojciec dzisiejszego hrabiego nie kazał go tu powiesić. Jakoż był umieszczony we właściwym według czasu porządku między innymi, ale gdy stary hrabia zmarł, młody kazał portret tu za drzwiami powiesić.

Stefanija uśmiechnęła się gorzko i rzekła:

— Więc ten portret nie ma dla waszego byłego pana żadnej wartości? — Tak jest, bo nawet jest skazą na

drzewie genealogiczmem szlachetnej rodziny, i niezawodnie byłby hrabia kazał go znowu wynieść na starych, gdyby nie szanował życzenia starego hrabiego, który chciał koniecznie by portret hrabiny pozostał w tej sali. — Ale jakaż przyczyna tej wzgardy? Byłaż to kobieta złego prowadzenia? — O, bynajmniej! ale była córką rybaka. — I to cała jej wina? odparła z uśmiechem Stefanija. No, odeślesz pan hrabiemu wszystkie inne obrazy, ale ten dla siebie zatrzymam. W moich oczach córka rybaka jest jedyną istotą w rodzinie Romarhierta, którą wysoce cenię, właśnie dla tego, że była dziecięciem ludu.

Stefanija szybko opuściła galerję i przeszła inne pokoje, słowa nie rzekłszy. Nakoniec przebyli do gabinetu zwierciadlanego, zkąd przechodziło się do sypialni hrabiny Gunilli.

— Te drzwi od jakiego są pokoju? zapytała Stefanija. — O, tu dawniej była sypialnia hrabiny Gunilli. Nigdy nikomu nie przyszło do głowy zrobić tam porządek. Sprzęty częścią się rozpadały, częścią je stoczyły robaki, gdyż nic tam nie poruszono od chwili jak hrabina umarła. — Otwórz pan drzwi.

Eklund z wielką biedą otworzył zamek zardzewiały i kurzem okryty. Nową właścicielkę Kungsborga uderzyło powietrze ciężkie i zatęchłe, dowodnie świadczące, że drzwi te długie lata nie były otwierane. Pokój przedstawiał widok osobiwy. Obszerne łóżko z frankami z grubego adamaszku, w wielu miejscach rospadło się zupełnie, a zasłona zwieszała się w łachmanach około tego siedliska pajęczyny. Hebanowy modlitewnik, któ-

ry stał w kącie, był tak warstwą kurzu pokryty, że nie można było poznać, z jakiego materiału był zrobiony. Mole i robaki prawie zupełnie zniszczyły wysokie krzesła. Na nocnym stoliku stał jeszcze stary srebrny puhar, prawdopodobnie ten sam, z którego konająca ostatni raz usta zwilżyła. Staroświecka toaleta z resztkami strojów stała na chwiejących się nogach między oknami, a biurko z drzewa orzechowego, zupełnie poczerniałe, przylegało do ściany. Hrabiovska korona nad łóżkiem i krucyfiks nad modlitewnikiem, były jedyne rzeczy, które ząb czasu nie zniszczył. W pokoju tym, prawdopodobnie przybytku łez i boleści, wiał jakiś duch świeckiej pychy, dziwnie sprzeczy z duchem miłości chrześcijańskiej, który wlewał w duszę nieszczęśliwej mieszkanki cierpliwość i pociechę.

Tak myślała Stefanija, ze wzruszeniem patrząc na obraz Chrystusa i na wiszący na krześle różaniec.

Długo tak stała milcząca, zadumana w tym nieszczęsnym pokoju. Nakoniec westchnęła głęboko i przemówiła do Eklunda w te słowa:—Proszę mi uporządkować ten pokój. Myślę z niego zrobić swoją sypialnię.—Nie podobna, szanowna pani, tu mieszkać nie można, odpowiedział przerażony starzec.—A to dla czego?—Bo dusza katolickiej hrabiny nigdy nie miała spokoju, i od czasu, jak umarła, nikt tu nie odważył się mieszkać. Niechybne nieszczęście spadnie na tego kto tu ośmieli się niepokoić nieboszczkę, której dusza jeszcze błądzi po ziemi. — Tak! więc sądzicie, że powraca? zagadnęła Stefanija, uśmiechając się wzgardliwie.—Sam na własne uszy słyszałem, jak tu coś płakało i jęczało.—Wierzę, ale to

mnie nie odwiedzie od powziętego zamiaru. Pokój ten będzie moją sypialnią.—Nieszczęście panią spotka, zapowiedział Eklund. Dusza katolicka hrabiny, nie cierpiąca nas protestantów, zemści się na pani za naruszenie jej spokoju, ośmielił się dodać Eklund.—Bynajmniej, na mnie się nie zemści. gdyż jak ona jestem dziecięciem ludu. Gdybym była Romarhierta, o zapewne, nieszczęście by mnie nie minęło! Ale dość tego, każ pan natychmiast uporządkować pokój, i pamiętaj, aby nie uszkodzono wyniesionych złąd sprzętów.

ROZDZIAŁ XI

Stefanija Stephensen napisała następujący list do swojej przyjaciółki, hrabiny Elin Romarhierta w Paryżu:

Kochana Elin!

Jestem teraz nie tylko właścicielką ale i mieszkanką starego feudalnego zamku Kungsborg i zgodnie z naszą obietnicą, pośpieszam dać ci o sobie wiadomość. Musiałabym chyba całą książkę napisać, żeby ci dać wyobrażenie o tem, com uczuła na widok tego miejsca. Przed oczami mej duszy przesunęły się wszystkie niesprawiedliwości, za które dawny posiadacz musi odpokutować.

Na raz rozbudziły się w mej piersi złe uczucia, a nad wszystkimi górował gniew na tę dumną i wyniosłą rodzinę. Myśli moje uleciały ku tobie, wspomniałam na wyrządzoną ci krzywdę, i w piersi mojej powstała żądza nieprzeparta upokorzenia tego człowieka, który nawet w ubóstwie zachował nieugiętą dumę. Nie byłam już tą Stefaniją, której lubiłaś charakter pojednawczy i powolny; poczułam nagle, że stanę się nieubłaganą mścicielką doznanych zniewag, i upokorzę tę rodzinę, której pycha tyle łez niewinnych wycisnęła. Gdybym uległa, pierwszemu wrażeniu, pomściłabym cię niezawodnie i zgniotła rodzinę, którą już ciężkie nawiedziły nieszczęścia. Ale z sobą zabrała moc zażegnującą wszelkie złe, a tą mocą był Jakób. Już dźwięk jego głosu wpłynął jak balsam kojący ranę, i przypomniał mi twoją prośbę, abym nie szukała zemsty, ale pogodzenia ciebie z niemi.

Biedna Elin! Chcesz zapomnieć, że zdeptano twoje serce, że...

Ale nie myślmy o tem, bo zaraz krew wrze w moich żyłach z oburzenia i gniewu: do zemsty, którą postanowiłam, potrzebny jest spokój i zupełne panowanie nad poszeptami gniewu. Nie myślę zgnieść tego człowieka, którego jedynym występkiem jest pycha, chcę go tylko ugiąć i nauczyć, że jest coś z czego można być słuszniej dumnym niż ze świetnego imienia i zbutwiałych przodków.

Wiadomo ci, że kupując Kungsborg, zatrzymałam wszystkich służących, którzy pozostać chcieli, i zapewne hrabia Romarhierta namówił wszystkich do zostania, bo tylko woźnica i pokojowiec za nim się udali. W tym

półku rzadców, buchalterów, kasjerów, marszałków dworu i sług wszelkiego stopnia, jeden szczególnie budzi zajęcie, to jest stary marszałek dworu, którego przezwalałam intendentem, nie mogąc cierpieć dawnego szumnego tytułu. Starzec ten nazwiskiem Eklund, wyrósł w Kungsborgu, gdzie jego ojciec, dziad i pradziad byli również marszałkami dworu. Wychowany w religijnej czci dla tej rodziny, której jego przodkowie służyli, napił się pewnym duchem arystokratycznym, i biedak gryzie się okrutnie, że musi teraz służyć kobiecie, której nie może nazwać Jaśnie panią. W jego przekonaniu wszelkie ulepszenie lub zmiana wewnątrz zamku, jest profanacją i pewnem świętokradztwem; to też nieraz gniewam się na starca, którego całym światem był i jest Kungsborg i jego panowie. Historję domu Romarhierta umie na palcach z najdrobniejszymi szczegółami. O każdym portrecie, o każdym pokoju i sprzęcie, opowie ci mnóstwo rzeczy ciekawych i autentycznych, ale też tu się kończy zakres jego wiadomości.

Łatwo odgadnąć, że takie wyłączne zajęcie się jedną rodziną ma swoje źródło w serdecznem do niej przywiązaniu, można też śmiało powiedzieć o starym słudze, że ciałem wprawdzie mi służy, ale jego serce pozostało na usługach dawnego pana, który w jego oczach jest uosobioną doskonałością, jakąś istotą wyższą, podziwu i czci godną. Pojmujesz więc, że ten starzec mię zajął i że osobliwsze wrażenie sprawia na mnie widok jego fanatycznego przywiązania. Nie spotkałam jeszcze Hermana Romarhierta, ale na każdym kroku w tym starym zamku feudalnym trafiam na nowy dowód wrodzonej pychy tego

chudego szlachetki. Zdaje się, że pogarda dla mieszczań jest głównym rysem jego charakteru. Tak na przykład kazał powiesić za drzwiami portretzony jednego zeswych przodków, która była córką rybaka, nim została hrabiną—nie chciał bowiem patrzeć na to przypomnienie skazy na czystym drzewie genealogicznem, jak powiada stary Eklund. Elino, czy ten rys nie jest dla ciebie dostatecznym dowodem, że on czuje wstręt do wszystkiego, co by mu przypomniało, iż sam ożenił się z mieszczańką? Cóż w istocie spodziewać się można po sercu, które lat dziesięć zachowało stary przesąd? po człowieku, który swą młodą małżonkę porzucił od ołtarza i nigdy potem nie widział? Nie, Elino, nieszczęście musi ugiąć tego człowieka i zmusić do wyznania, że urodzenie jest próżną marą i że tylko prawdziwa wartość moralna wynosi jednych ludzi nad drugich. Ciekawa jestem ujrzyć człowieka, który stojąc nad progiem nędzy, uparcie trwa w swej wrodzonej pysze. Kazałam zdjąć herby hrabiowskie i portrety familijne i jutro mu je odeśle. To go zmusi do odwiedzin, a po odwiedzinach ułożę plan dalszy.

Wkrótce znowu do ciebie napiszę. Bądź spokojną, ufaj w przyszłość i staraj się zachować wrodzoną ci świeżość i giętkość umysłu i charakteru. Ach, Elino, masz zupełną słuszość, gdy mówisz: „Nie opłaca się żyć i smutki.“

Jakób i Jane pozdrawiają cię serdecznie. Pierwszy jest bardzo czynny, założył tu warsztaty mechaniczne i szkołę rzemieślniczą dla dorastającej młodzieży. Oby postęp ogólnego dobrobytu okolicy był nagrodą jego

trudów! Czyś zauważyła, że Jakób nie zna, co to jest interes osobisty? żyje i chce żyć tylko dla ogólnego dobra. Dla tego nie dziw się, że nie miał powodzenia w Ameryce, gdzie główną rolę grają: osobista korzyść i zyski. Pomimo jednak tej wady Amerykanów często tęsknią do tego ludu oświeconego i wolnego, który olbrzymim krokiem zdążył naprzód na drodze cywilizacji. Nie ociągaj się z odpowiedzią, której oczekuje twoja przyjaciółka.

Stefanija.

ROZDZIAŁ XII.

Łaskawy czytelnik zechce nam towarzyszyć do mieszkania hrabiego Romarhierta. Furuhof zbudowany od kilku wieków był zawsze tylko myśliwskim zamkiem. Był to budynek niezbyt obszerny i jednopiętrowy. Dół zajmowała obszerna izba, na której ścianach wisiały sprzęty i narzędzia myśliwskie. Dziś przybrana na sposób nowoczesny, stanowi bibliotekę i pracownię. Pokój po prawej stronie zamieniono na jadalnię, a mały alkierz po lewej został teraz sypialnią hrabiego Hermana. Na pierwszym piętrze była także obszerna izba, gdzie dawniej wisiały skóry rozmaitych upolowanych zwierząt. Teraz urządzono tu salon dla starej hrabiny. Miłość sy-

nowska zrobiła co mogła, by matka zapomniała, że już nie mieszka w świetnym zamku Kungsborg; pokój bowiem umeblowany był z prawdziwym zbytkiem i niebrakowało tu żadnego z tych cacek i świecidełek, bez których wielki świat obyć się nie może. Po prawej stronie była sypialnia hrabiny, po lewej pokój jej córki Helfrydy, oboje urządzone wygodnie i elegancko. Hrabia Herman kazał wyciąć część lasu otaczającego dom, i założył ogród który, jak obiecywał, z czasem będzie bardzo piękny. Do Furuhof nie należały żadne grunta orne; jedyną przyległość stanowiła knieja ze zwierzyną, nie przynosząca żadnego dochodu właścicielowi. Gdyby nie mały kapitał majątku domu Romarhierta, rodzina hrabiowska umarłaby z głodu w Furuhof.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a przez wzniosłe i gęste jodły otaczającego dwór lasu, kilka promieni przedarło się wpadając do biblioteki, gdzie hrabia Herman pogrążony w głębokiej zadumie, siedział oparłszy głowę na rękę. Przed nim leżała na stole otwarta książka, ale spojrzenie jego, utkwione w ścianę, patrzyło wewnątrz rozmarzonej duszy. Tak siedząc w lekkim odzieniu aksamitnem z wyłożonem kołnierzem koszuli śnieżnej białości, z odrzuconą w tył szlachetną, dumną głową, podobny był do średniowiecznego rycerza, który melancholicznie marzy o swych czynach bohaterskich. Godnem jest uwagi, że w pewnych rodzinach arystokratycznych twarze przechowują przez długi szereg pokoleń właściwy charakter, tak iż zdaje się być kopjami jednej i tej samej osoby. Podobnie było w rodzinie Romarhierta. Wszyst-

kie portrety familijne, z małemi nieznaczącemi odcieniami, miały uderzające podobieństwo. Rysy hrabiego Hermana świadczyły wymownie, że pochodził z domu Romarhierta. Szerokie, wyniosłe czoło, piękny orli nos, duże ciemno niebieskie oczy, z pięknie zagiętymi brwiami, poważnie a dumnie zamknięte usta, z nieco krótką górną wargą, — wszystkie te rysy były dziedzicznymi w tej rodzinie; nawet jasno blond włosy, jasne wąsy i budowa ciała silna a kształtna i średniego wzrostu, należały do Romarhiertów. Cała powierzchowność młodego hrabiego świadczyła o czystej, niemieszanej krwi arystokratycznej. Nie mniejsze podobieństwo było w charakterach, i rzecz można, wszyscy hrabiowie Romarhierta dziedziczyli jednakowe cnoty i wady. Ojciec hrabi Hermana wprawdzie w wielu rzeczach odstąpił od wrodzonej pychy swoich przodków, było to jednak owocem długoletniego pobytu za granicą i rozleglejszego poglądu na świat, nie zaś wrodzonych skłonności duszy.

Herman znowu miał praktyczniejszy rozum i wewnętrzny popęd do czynnego życia, który nie był w charakterze jego przodków. Zo to odziedziczył po nich nie ugiętą dumę, której zda się nie złamać nie mogło. Teraz siedział Herman pogrążony w bolesnych rozmyślaniach nad smutną przyszłością swego domu, gdyż widział z przerażeniem, że dochody nie nastarczają wydatkom. Herman miał przed oczyma smutny obraz nędznego dochodu od kapitaliku, którego postanowił nietykać, aby zabezpieczyć przyszłość swej matki i siostry, a tymczasem wydatki w dwójnasób przewyższały przychód. Gryzło go to także, iż człowiek młody i rozumny prowadzi życie

zupełnie bezczynne, bo cóż mógł przedsięwziąć hrabia Romanhierta dla pomnożenia dochodu? Jak wszyscy synowie rodzin szlacheckich został żołnierzem i nie nabył żadnych w życiu pożytecznych wiadomości. Oficer konnej gwardyi królewskiej umiał jeździć na koniu, musztrować się i tańczyć. Talenty te jednak jakkolwiek piękne, nie dają chleba, a żołd ledwie wystarczał na sprawienie mundurów. Po śmierci ojca spostrzegłszy, że finansowe sprawy rodziny wymagały całej jego troskliwości, Herman podał się do dymisji, i wyłącznie poświęcił się gospodarstwu wiejskiemu.

W ciągu kilkoletniego zarządu dobrami Kungsborg został w istocie doskonałym rolnikiem, ale gdy już miał ciągnąć korzyści ze swej nauki i doświadczenia, wierzyliście tak go ze wszelkich stron nacisnęli, że dla zadowolenia ich musiał sprzedać majątność. Teraz przeszło od roku Herman pędził czas w bezczynności, gryząc się i rozmyślając, jak wydobyć się z finansowych kłopotów i lepszy byt sobie zapewnić. Troska o chleb powszedni ołowiem ciążyła na jego dumie, którą nieustannie oburzała myśl, że potomek starożytnego rodu musi pracować na utrzymanie, gdy znowu rozum i głos wewnętrzny go oskarżał, że żyje bezczynnie i uszczupla skromny fundusz, który przeznaczył dla matki i siostry.

W tych myślach pogrążony, nie słyszał Herman, że drzwi się otworzyły i wszedł stary pokojowiec, osiwiwały na usługach jego ojca, a teraz jedyny jego służący.

— Przepraszam Jaśnie pana hrabiego — rzekł pokojowiec — ale marszałek dworu pyta, czy może widzieć jaśnie pana.

Herman wyprostował się, przesunął rękę po czole, zbierając swoje myśli i spojrzał na sługę.—Marszałek dworu? powtórzył, jakby nie wiedział o kim jest mowa.— Tak jaśnie panie, Eklund.—A! on—niech wejdzie. Herman powstał i przeszedł się po pokoju. Po chwili ukazał się we drzwiach stary Eklund i skłoniwszy się ze czcią głęboką, a serdecznem spojrzeniem powitawszy dawnego pana, zatrzymał się u progu. — Witaj, kochany Eklund, rzekł przyjaźnie Herman podając staremu słudze rękę, którą Eklund z rozczeniem przycisnął do swoich ust i wyjąkał:—Niech Bóg błogosławi jaśnie panu hrabiemu.—Pójdź bliżej i siadaj. — To mówiąc Herman wskazał na krzesło, a sam zaczął się przechadzać po pokoju. Eklund poczytałby sobie za największe zuchwalstwo usiąść w obecności hrabiego, więc pozostał na miejscu.—No cóż, nowa właścicielka przyjechała do Kungsborg? jakże ci się wydała? zapytał hrabia, zatrzymawszy się przed starym marszałkiem dworu. — Trudno tu powiedzieć, panie hrabio. Tak jest niepodobna do innych ludzi, że jej jeszcze zgola nie rozumiem. Jest to tak dumna a współcześnie tak... tak... Eklund się zająkał.—No przyjacielu, dlaczegoś zamilkł? Doprawdy jaśnie panie hrabio, nie wiem jak mam powiedzieć. Czasami nie ma w sobie nic pańskiego i nie okazuje żadnego szacunku dla tego, coby czcić należało. Wydaje mi się poganą, a może nią jest w istocie, bo z daleka przybywa.—A jakże się z tobą obchodzi? — O, czasem bardzo po przyjacielsku i chce, żeby wszystkim służącym nie zbywało na niczem, ale...—Ale co? mów przecie! — Ale obchodzi się znowu ze swoim majątkiem tak okropnie, że serce

się kraje patrząc; kiedy Jaśnie pan hrabia znowu wróci do Kungsborg, wszystko już będzie zniszczone i zmienione.—Kiedy znowu wróci do Kungsborg? Kochany Eklund nie łudź się próżno, — nigdy już tam nie wrócę! — Herman znowu się przeszedł po pokoju. Eklund mówił dalej: — Czemużby nie, jaśnie panie hrabio? Przecież pan hrabia może odkupić swoje stare dziedzictwo. Dlatego powinniśmy tam wszystko pozostać po dawnemu. — Posłuchaj przyjacielu, nie mogę odkupić bo jestem za ubogi. —Ależ panie hrabio... — Milcz; wiem już, co chcesz powiedzieć, ale wiem także, iż powinienem postępować, jak przystoi na uczciwego człowieka. Czy sądzisz, że godzi się hrabiemu Romanhierta brać majątek kobiety, której nigdy nie uważał za swoją żonę, i której nigdy nie więcej nad swoje nazwisko nie dał? Nie mów więc o tem; wiadomo ci, że w tym punkcie jestem i będę z sobą w zgodzie. Stary marszałek dworu ciężko wzdychał. Herman znowu obszedł do koła pokój. Eklund kalsznał i rzekł na koniec:

— Dziś przysłała mię tu moja nowa pani.

Herman się zatrzymał. — Czego chcesz odemnie? — Poleciała mi oddać to panu hrabiemu. To mówiąc Eklund podał mały pachnący liścik. Herman popatrzył chwilę na wytworną pieczętkę, na której stały te głoski S. S., złamał ją i czytał.

„Panie hrabio! Przyjechawszy tu, z przykrością poznałam, że mój pełnomocnik źle zrozumiał dane mu polecenia, gdy uważał zbiór portretów familijnych jako rzeczy, które mogą być sprzedane. Co do mnie, zaliczam je do rzędu przedmiotów takich jak pomnik grobo-

wy, których się nie zbywa. Pozwól pan przeto, że mu odeślę to, czego nie miałam zamiaru kupić i zatrzymywać nie myślę, bo jest wyłączną pańską własnością. Prócz tego kazałam zdjąć pański herb, który zapewne przez zapomnienie zostawiono nad kominem w wielkiej sali. Nie mówiąc już o tem, że podobne rzeczy nie mogą być w posiadaniu mieszczańki, szczególnie dla mnie, dziecka rzeczypospolitej amerykańskiej, byłoby wstrętem mieć w swoim domu spuściznę po czasach feudalnych.

Z poważaniem, *Stefanija Stephensen*."

Twarz Hermana kilkakrotnie się zmieniła podczas czytania tego listu. Z zachmurzonego czoła i ściągniętych brwi można było wyczytać, że był obrażonym, upokorzonym i współcześnie zdziwionym. Zwolna złożył list i zapytał:

— Czy masz inne jakie polecenie?

— Tak jest, panie hrabio, mam oddać zbiór portretów i zdjęte herby.

— Dobrze; powiedz Fryderykowi, żeby wzięł wszystko i tu przyniósł. Potem wracaj po odpowiedź.

Herman zasiadł do pisania.

R O Z D Z I A Ł XIII.

Podczas rozmowy w Furuhof opisaney w poprzedzającym rozdziale, Jakób stał na skraju parku z założonymi na piersiach rękoma i patrzył na błękitną powierzchnię morza siniejącą w dali.

Jednym łokciem oparty o pień wyniosłego dębu, puścił wodze smutnym, bolesnym myśłom. Lekka chmura melancholji rzuciła cięń na jego wyniosłe, otwarte czoło i mogłeś czytać w zacnem, szlachetnem obliczu, że jego dusza staczała walkę z dręczącymi myślami. W tej chwili lekka rączka spoczęła na jego ramieniu, i spłoszony marzyciel odwrócił głowę.—Ach, to ty Stefanijo! i ucałował jej rękę. — Wolnoż mi zapytać co wypatrujesz? gdzie biegły twoje myśli, zacny marzycielu? pytała Stefanija.—Tam daleko, odpowiedział Jakób i wyciągnął rękę ku morzu.—Do ojczyzny?—Do ojczyzny! powtórzył Jakób z melancholicznym uśmiechem. Stefanijo, gdzie jest moja ojczyzna? Pokaż mi miejsce na ziemi, gdzie nie jestem obcy?—Tu!—Mylisz się, i tu jestem obcy, bo wszędy brak mi tego, co mają drudzy—związków rodzinnych. — Ale nie zbywa ci na przyjaciółkach, — chyba że Stefanija przestała już być twoją przyjaciółką?—Owszem, jest więcej niż przyjaciółką, bo Stefanija jest mojem własnem dziecięciem! krewną mojej duszy. —A więc?—A więc

Stefanijo, gdy myśli biegną tam daleko, gdy rzucę wsteczne spojrzenie na moje życie, na lata młodsze i walkę z materialnymi potrzebami, gdy wspomnę na nieustanne dążenie do moralnego i umysłowego rozwoju, i na tysiączne przeszkody i niepowodzenia,—prawie zmuszony jestem wierzyć, że się urodziłem pod nieszczęśliwą gwiazdą, gdyż muszę oddać sobie tę sprawiedliwość, że pracowałem jak mogłem, a jednak stały zawsze przeciw mnie nieprzyjemne okoliczności.

— Nie sądź, przyjacielu, że to były nieprzyjemne okoliczności, odpowiedziała poważnym tonem Stefanijsa; niepowodzenie swoje przypisz raczej prawemu i otwartemu charakterowi swemu, który nie umie postępować samolubnie. Surowa sumienność zabraniała ci szukać korzyści, które twój talent i nauka mogły łatwo osiągnąć. Smutna to prawda, ale niemniej prawda, że nie zawsze są szczęśliwymi ludzie dobrzy i surowej prawości, ale najpospoliej tacy, którzy umieją wyzyskiwać drugich na swoją korzyść. Ale Jakóbie, po co te smutne myśli? Ty i ja jesteśmy dwoje obcych na tym świecie, bez żadnych krewnych i bez ojczyznej zagrody. Właśnie dla tego przystajemy do siebie jak dwie istoty, które na to żyją, aby były drugim użyteczne. Ja jestem niezmiernie bogatą. Ty wprawdzie nie posiadasz znacznego majątku, ale za to masz rozległy i głęboki umysł. Uczysz mnie stosownie używać majątku dla pożytku drugich i własnego zadowolenia. Ty pracujesz, a ja mam tylko liचे zadanie wydawania pieniędzy. To, co ty posiadasz, jest owocem twej pracy, co ja wydaję, jest cudzych trudów zarobkiem. Prócz tego jesteś młody i obdarzony bogatemi,

niepospolitemi przymiotami umysłu, które stanowią twój ogromny kapitał: dość ci go tylko zużytkować.

— Masz słusność, Stefanijo, jestem młody i lubię własną pracą torować sobie drogę i łamać przeszkody, pomimo upartego nieszczęścia, które mię ciągle przesładowuje. Czasami jednak się zdarza, że rozum nie wystarcza do szczęścia i nie zapełnia próżni serca. Tak też ze mną bywa. I serce ma swoje potrzeby, i ono umie głośno się odezwać. A wtedy boleśnie czujesz, że jesteś sam, zdradzony od istoty, która była najgorętszym celem twych życzeń.

— Lepiej żyć sam niż być przykutym do istoty, którą musisz gardzić.—Stefanijo!—Cicho, Jakóbie niech wypowiem wszystko. Kobieta, która zdradzi takie serce jak twoje, jest godną pogardy i dziękuj Bogu, że cię uchronił od ciężkiej doli, jakabyś dźwigał złoczywsty z nią swoje losy. Myśleć o niej, jest to najdroższe skarby rzucać w błoto.

Jakób zmarszczył czoło z wyrazem niezadowolenia i nic nie odpowiedział. Stefanijsa zwróciła rozmowę na inny przedmiot i rospyttywała o nowych zakładach i warsztacie rękodzielniczym, który Jakób założyć zamierzył o pół mili od Kungsborga w należącym do niego folwarku Akersnäs. Podczas tej rozmowy Stefanijsa wsparła się na ramieniu Jakóba i zwolna szli przez park ku domowi, z którego zawrócili ku warsztatom, żeby się im bliżej przypatrzeć. Słońce znikło za widnokręgiem, gdy Stefanijsa powróciła do zamku, smutna, zamyślona. Jakób odjechał do Akersnäs, gdzie kazał sobie urządzić parę pokojów, aby w każdej chwili mógł doglądać postę-

pu roboty. Stefania wchodziła na szerokie stopnie ganku, gdy zbliżył się ku niej z obnażoną głową i głębokim ukłonem Eklund i rzekł podając list:

— Jaśnie pan hrabia polecił mi oddać to pani.

Stefania uśmiechnęła się na te wyrazy *jaśnie pan*, milcząc odebrała list i weszła do sali. Rzuciwszy dziwnie wyzywające spojrzenie na herbową pieczętkę, młoda kobieta szeptała:

— Niezawodnie list ten trąci nieznosną pychą i mam wielką ochotę go nie czytać.

Odłożyła list na stół, ale po chwili wzięła go znowu mówiąc: — Cóżkolwiek jednak zawiera, trzeba go przeczytać. I złamała pieczętkę. W liście stały następujące wyrazy. Najszanowniejsza pani! Ośmielę się jutro odwiedzić panią i ustnie załatwić sprawę obrazów. Co raz zostało sprzedane, nie może być wzięte, tylko odkupione. Z wysokiem poważaniem,

Herman Romarhierta.

Stefania uśmiechnęła się i w ciemnych jej oczach mignęła błyskawica, gdy pomyślała:

— Dobrze, podniósł moją rękawicę. Będzie walka, ale dumny hrabio, nie znasz swego przeciwnika.

I z gniewnem poruszeniem zgniotła list w drobnej rączce.

ROZDZIAŁ XIV.

Hrabia Herman odesławszy starego Eklunda z odpowiedzią do Stefani, przebrał się i poszedł na górę do matki. Hrabina leżała na sofie w salonie, a mocne rumieńce jej twarzy zdradzały gorączkę. Przed otwartymi szklanymi drzwiami od balkonu siedziała panna Helfryda, dwudziestoletnia dziewczica. Fizjonomia jej bardzo przypominała brata. Słusznego wzrostu, okazałej postawy, miała wysokie czoło, wielkie oczy niebieskie, nos prosty i piękne usta z poważnym wyrazem. Twarz nieco pociągła, biała, lekko różowa, włosy znacznie ciemniejsze niż brata, zaczesane do góry spadały za uszami w długich zwojach.

Tak siedząc w muślinowej sukni zapiętej pod szyję i oszytej koronką, Helfryda miała wiele podobieństwa do średniowiecznej damy. Twarz jej nie wyrażała ani pychy ani usprawiedliwionej dumy, ale nosiła znamię prawdziwej, szlachetnej godności, nakazującej szacunek. Gdy wszedł brat, podniosła głowę pochyloną nad robotą, i serdeczny uśmiech rozlał życie po jej poważnych rysach. Nawet dumne i zwykle zimne lica hrabiny rozjaśniły się i wyciągnęła do syna swą białą wychudłą rękę.

— Jakże zdrowie? zapytał młody hrabia całując podaną sobie rękę. Sądzę, że z gorączką trochę lepiej. Co mówił doktor odjeżdżając? — Żeś dostała kataru, ma-

mo, i że ze swemi słabemi piersiami powinnaś starannie unikać przeziębienia.

— Widzisz Hermanie, że miałam słuszość utrzymując, iż nie jestem niebezpiecznie chorą, chociaż ty i Helfryda w łada przeziębieniu upatrujecie zaraz wielkie niebezpieczeństwo. Teraz czuję się daleko lepiej, i zrobisz mi wielką przyjemność zabierając Helfrydę na przechadzkę. Tymczasem spróbuję usnąć, a gdybyś czego potrzebowała, to zadzwonię na Marję.

Helfryda chciała pozostać przy matce, ale hrabina rzekła z czułym uśmiechem stanowczo:

— Dzieci, chcę tego!

Helfryda wstała i pocałowałszy matkę w czoło swemi świeżemi ustami, wyszła z Hermanem. Piękny był zaiste stosunek hrabiny do jej dzieci, a brata do siostry.

Hrabina Romarhierta była wcale miłą kobietą, gdyby otrzymała inne wychowanie, gdyż przyroda uposażyła ją bogato pod wielą względami, ale spaczona edukacja popsuła wszystkie dobre przymioty. Jedyńca bogatej i dumnej rodziny, przywykła była od lat najmłodszych ślepo dogadzać wszystkim swoim fantazjom; z mlekiem też macierzyńskim wyssała pogardę dla niższych stanów, głęboko zakorzenioną w szlachcie szwedzkiej, zwłaszcza bogatej i niezmuszonej koniecznością łączyć się z mieszczanami.

Ten kierunek wychowania stłumił najpiękniejsze popędy duszy dziewczęcy. Szczęściem nie miała charakteru wyniosłego i gwałtownego, więc też mimo uległości, z jaką wszystkie jej fantazje zadawano, zachowała do pewnego stopnia dobroć serca i szlachetność uczuć. Zo-

stawszy słuszną panią, zdawała się zapowiadać dobrą żonę i matkę; ale napojona przesadami o wysokości swego rodu, nie umiała do siebie przywiązać tych nawet, którym wiele dobrego świadczyła. Grzeczna, z pańska łaskawa, stawiała między sobą i osobami mieszczańskiego pochodzenia nieprzebytą granicę, uważając spoufalenie się z „podobnymi ludźmi“ jako ułbanie należnemu dla swego stanu szacunkowi. Wychowana w dostatkach, zaślubiona człowiekowi, którego uważała za niezmiernie bogatego, nigdy nie przypuszczała, że może nadejść dzień, w którym widmo nędzy zajrzy jej w oczy. Jako żona i matka uchodziła za wzór doskonałości, nie też dziwnego że dzieci czciły ją i kochały jak bóstwo. A jednak jako matka popełniła jeden wielki błąd, wychowując dzieci w przesądnych wyobrażeniach o godności swojego stanu i podsycając zwłaszcza w sercu syna wrodzoną pychę, która w istocie stała się główną wadą charakteru hrabiego Hermana. Równoważąc ten zgubny wpływ, stary hrabia uczył syna obowiązków szlachecka i sprawił, że młody Herman stał się najdumniejszym i zarazem najbardziej rycerskim przedstawicielem swojego stanu. Cała miłość Hermana zwracała się ku matce i siostrze. Dla ich szczęścia byłby nawet gotów poświęcić swoją dumę. W latach młodszych podczas garnizonowego życia, jak wielu młodych ludzi, Herman był niewolnikiem lekkomyślnych i poziomych namietności, ale po zejściu z Zelmą, które swoją wolnością okupił, nagle zasmakował w surowych obyczajach.

Ciężką była dla Hermana karą boleść, jaką sprawił matce swoim ożenieniem się z Eliną i uczucie upokorze-

nia, jakim go ten związek przejmował; dlatego pomimo zaleceń ojca, pycha jego nie mogła pozwolić na ujrzenie kiedykolwiek raz odepchniętej małżonki. Z tą samą nieugiętą dumą zrzekł się wszelkich korzyści, jakie jego małżeństwo zapewniło mu pod względem finansowym i w najkrytyczniejszej chwili nie chciał dotknąć majątku Eliny, którym prawnie mógł do woli rozporządzać. Charakter Helfrydy był złagodzoną kopią charakteru jej brata; szlachetne uczucia miały w nim tak stanowczą przewagę, że wszelki cień pychy znikał, a pozostała tylko szlachetna duma. Odziedziczyła jednak po przodkach religijną cześć dla nazwiska, które nosiła i nieprzypuszczała nigdy, by je mogła kiedy zmienić na mieszczańskie. Dusza Helfrydy podobną była do świeżo spadłego śniegu, tak była czystą i bez skazy. Tłem jej był spokój i powaga, która tem miłszem czyniła jej przywiązanie do matki i brata, była bowiem tak prosta i niewyszukana, iż zdawałeś się widzieć, jak jej serce biło silnem i pełnem uderzeniem czułości. Cała jej istota pełna godności, miała w sobie coś królewskiego, wyłączającego wszelką wesołość i płochosć młodzieńczą. Harmonijna jej dusza nie dopuszczała niczego, coby przekraczało granice powagi i godności.

Po tym krótkim opisie, pójdziemy za bratem i siostrą, którzy trzymając się pod rękę, szli jedną z tysiącznych ścieżek do lasu.

— Hermanie, co mówił doktor o chorobie mamy?—pytała Helfryda. Niezmiernie mię to niepokoi, chociaż przywykliśmy do jej słabości, gdyż ile zapamiętać mogę, zawsze była chorowitą.

— Nie mówił nic innego prócz tego, com powiedział przy mamie — odpowiedział Herman. Dodał tylko, że piersi w ostatnim roku znacznie się pogorszyły, i że w przyszłości musi zachowywać jak największą ostrożność.

Nastąpiła chwila milczenia. Myśli obojga przewidywały smutną prawdę, że matka niedługo pożyje, ale milczeli nie chcąc jedno drugiego zasmucić.

— Był tu Eklund—odezwał się Herman. Jego pani go przysłała.

— Czy myśli nas odwiedzić?—zapytała rumieniąc się Helfryda, i w otwartej jej twarzy można było czytać, że podobny krok ze strony mieszczańskiej właścicielki Kungsborga uważałaby za nieprzystoisty.

— O nie—odparł Herman. Ta pani, jak się zdaje, pogardza szlachtą. Prawdopodobnie dla tego kazała zdjąć nasze herby i portrety familijne i przesłała mi je z tym listem.

Hrabia podał siostrze list Stefanii. Z pozornym spokojem odczytała Helfryda pismo i z dziwnie pytającym wyrazem spojrziała na brata.

— Cóż powiesz o tym liście?—zagadnął Herman.

— Ma zupełną słuszość utrzymując, że takie skarby rodzinne się nie sprzedają, i że nie mogą być innym odstępione.

— A jednak zostały sprzedane.

— To wielki błąd, Hermanie.

— Ach Helfrydo, nie wiesz dobrze, co mówisz—odparł Herman, potarłszy ręką czoło. Zważ, że pełnomocnik kupił pod tym jedynie warunkiem, iż wszystko zo-

stanie w niezmiennym stanie, a gdybym tak nie sprzedał, to wierzyciele mojego ojca puściliby majątek na licytację, na czym stracilibyśmy tyle, że ani bym wszystkich długów zapłacił, ani cośkolwiek dla was oszczędził. Tym czasem zrobiłem to, że matka i wy jesteście zabezpieczeni od nędzy. Helfrydo, Helfrydo, nie wiesz chyba, ilem ucierpiał zgadzając się na tę sprzedaż, ale nie było innego wyboru, jak postąpić uczciwie i zapłacić wszystkie długie, lub męczyć się jeszcze lat kilka z krzywdą wierzycieli i własnego honoru. Więc też nie wahałem się w wyborze.

— A cóż teraz myślisz począć, biedny mój bracie?— zapytała Helfryda, żałośnie spoglądając na Hermana.

— Odkupię to, co jej zdaniem nie mogło być sprzedane—odpowiedział wzdychając hrabia.

Helfryda wpatrywała się w niego z uwagą, przeczuwając, że ten odkup narazi go na znaczną pieniężną stratę.

Tak doszli do wzgórza, pod którym szła droga prowadząca z Kungsborga do Akersnäs. Helfryda siadła na trawie, Herman zdjawszy letni kapelusz, zajął miejsce przy jej nogach; wietrzyk wieczorny poruszał jego jasne włosy. Helfryda położyła rękę na jego czole i rzekła pieszczotliwie:

— Hermanie, powiedz mi otwarcie wszystkie swoje troski, bo rozum mi mówi, że masz wielkie, a to samo czytam na twojem zachmurzonym czole.

— Masz słuszość Helfrydo, mam troski gorzkie, a nawet upokarzające. Ach! gdybyś wiedziała, jak jest boleśnie być męczyczną i w najpiękniejszych latach wieść

życie nędzne i beczynne! Ja, ostatni potomek Romarhiertów, żyję jak pasożytna roślina z kapitału, który ledwie wystarcza na potrzeby mamy i twoje, a pomimo to nic, nic zgola nie czynię dla zapewnienia swojej przyszłości.—Ależ ty, hrabia Romarhierta, czy masz pracować na kawalek chleba? Ubogiemu szlachcicowi przystoi tylko służba rządowa; jeśli jej przyjąć nie może, musi żyć z tego, co posiada. — Żeby służyć rządowi, trzeba mieć naukę, a co umie były oficer gwardji? Nie. Opłakany jest los podupadłej szlachty, bo nie wie, jak się uratować od zupełnej nędzy. Powiadasz że muszę żyć, jak żyję. Dziecko, w tym roku wydaliśmy dwa razy więcej nad nasz roczny dochód. Do czego to nas doprowadzi? Do naruszenia kapitału, a gdy ten przeżyjemy w krótkim czasie, pozostaniemy bez grosza. Hrabia umilkł. Helfryda położyła głowę na ramieniu brata i dwie łzy spłonęły po jej policzkach. Gorzka to była chwila dla obojga dumnych hrabiów. Nakoniec Helfryda podniosła głowę i rzekła stanowczo:—Musimy się ograniczyć.—Ale wczem? Czy mama może obyć się bez powozu i koni? Czy możesz nie mieć pokojówki? Czyż możemy odprawić kucharzy lub też Fryderyka, który lat trzydzieści służył u mojego ojca?—Niezawodnie nie wyrzadzimy tej krzywdy staremu słudze, nie możemy tak niegodnie z nim postąpić. Mama także musi mieć swoje wygody. Ale ja nie potrzebuję pokojówki, możemy także obyć się bez trzech służących w kuchni, gdyż...

Helfryda zacerwiniła się i mówiła dalej zakłopotana: Gdyż ja mogę sama zajmować się gospodarstwem.

Zdawało się że powiedziała coś strasznie ponizające-

go.—Ty! zawołał Herman i spojrzał na siostrę z wyrzutem.—A tak. Na jesień odprawimy gospodynię i oprócz pokojówki mamy zatrzymamy tylko jedną służącą. W czasie lata poduczę się tego, czego mi jeszcze brakuje, i tym sposobem zaprowadzimy znaczną oszczędność.—I doprawdy myślisz, że będę z założonemi rękami siedział i patrzył na twoje poświęcenie lub marnował czas na polowaniach? Nie, Helfrydo, tak źle nie będzie. Muszę znaleźć dla siebie stosowne miejsce: znam gospodarstwo wiejskie i własną pracą zapewnię lepszą przyszłość dla wszystkich.—Ty, Herman Romarhierta, przyjmiesz służbę gdziekolwiek i będziesz miał przełożonych? Ach bracie, byłoby to wielkie upokorzenie dla naszej matki!

Helfryda powstała. Tejże chwili rozległ się tentent kopyt końskich na drodze w lesie i jakiś jeździec przemknął się na pysznym rumaku. Młodzieniec, który tak przesunął się tuż obok Helfrydy i Hermana, musiał być bardzo pogrążony w myślach, gdyż ich wcale nie spostrzegł, chociaż obojga uderzyła niepospolita piękna jego powierzchowność.—Kto to taki? zapytała Helfryda.—Nie wiem, zapewne krewny pani Stephensen, o którym mówił Eklund.—Tak, więc ma krewnego?—Prawdopodobnie siostrzeńca lub synowca, gdyż wygląda młodo, a ona podobno już jest w latach.

— Stara wdowa, nieprawdaż?

— Tak mówią.

ROZDZIAŁ XV.

Następnego dnia po południu hrabia Herman wsiadł na koń udając się do Kungsborga dla załatwienia sprawy obrazów. Smutny i łagodny wyraz jego twarzy, gdy rozmawiał z siostrą, teraz znikł, a piękne jego rysy cechowała nieugięta duma. Widać było z jego postawy i fizjonomji, że jasnie wielmożny hrabia jedzie do zubożonej mieszcanki.

W drodze myślał Herman: Możeż być co nieprzyjemniejszego jak mieć do czynienia z kobietami? Gdyby to był mężczyzna, nie ośmieliłby się tak dziwacznie i szorstko odsyłać mi obrazów, a gdyby się tego zuchwalstwa dopuścił, zmyłbym mu głowę jak należy. Ale podobno się starej kobiecie upokorzyć mię, i muszę w bardzo grzeczny sposób naprawić jej głupstwo, chociaż prawdopodobnie jestto stara mulatka, która przeniosła się tu z Ameryki, żeby zapomnieć, że jej rodzice byli niewolnikami. Śliczna doprawdy wizyta, której celem nauczyć rozumu starą babę dumną ze swych bogactw.

Hrabia Herman wyobrażał sobie Stefanią ze spleśzczonym nosem, grubemi ustami, ciemną pomarszczoną skórą, kiedzierzawemi włosami i ustami bez zębów. Odwiedzać taką kobietę wydało mu się nieznośną katuszą, zwłaszcza że po raz pierwszy jechał jako prosty gość do

rodzinnego majątku swych przodków. Ostatnie uczucie wzięło przewagę; Herman powściągnął konia i jechał wolnym kłusem. Potrzeba mu było czasu do oswojenia się z bolesnem wrażeniem, jakie miał w nim obudzić widok Kungsborga. Gdy tak Herman niemiłemi zajęty myślami zbliża się do zamku swych przodków, my go tam uprzedzimy i zobaczymy jak Stefaniya przygotowała się do przyjęcia hrabiego.

W sali na dole Stefaniya siedziała na sofce przy otwartych szklanych drzwiach prowadzących do ogrodu. Po prawej stronie był mały stolik, na którym leżała robota, a po drugiej stało kilka krzeseł. Stefaniya siedziała plecami obrócona do drzwi, które miał wejść Herman, tak jednakże iż mogła go widzieć w zwierciadle wiszącym między oknami. Młoda wdowa miała na sobie czarną morową suknię, u szyi i ramion obszytą koronką tegoż koloru, od której przedziwnie odbijała śnieżna białłość jej ciała. Gęste ciemne kasztanowate włosy ułożone z wielkim smakiem były jedyną ozdobą jej głowy. Wielkie, cudnie piękne oczy miały spojrzenia nieco zamglone, jakby po łzach wylanych, a lica jej były bledsze niż zazwyczaj. Pomimo to siedząc tak z odrzuconą w tył głową i spojrzeniem utkwionem w zwierciadło, była rzeczywiście piękną. Coś czarownego i przyciągającego rozlane było w całej postaci młodej kobiety i wzrok mimowolnie spoczywał z podziwieniem na tem tajemniczo pięknem obliczu i pesagowych kształtach jej ciała.

I ciebie Stefanijo, strworzoną do zachwycenia oczów i czarowania wyobraźni, Herman nazwał starą babą mulatką! Niezawodnie bogini piękności ukarze zuchwalca.

Na ganku przed pałacem siedziała Jane Smith, teraz klucznica w Kungsborgu i rozmawiała z szafarką o różnych sprawach domowych. Jane była to kobieta czterdziestopięcioletnia, niskiego wzrostu, osadzista, ciemnej cery, zdradzającej krew mięszaną, chociaż miała rysy europejskie i przyjemny wyraz twarzy. Przytem fizjonomia jej była nadzwyczajnie pospolita, prozaiczna bez żadnej dystynkcji. Miała na sobie suknię szeroką, bufastą, pstrokatej barwy, z mnóstwem białych koronek okół szyi i ramion, tak iż wyglądała równie szeroką jak długą. Na głowie miała czepek przystrojony zielonemi, czerwonemi i żółtymi wstążkami, które razem z suknią tworzyły komplet kolorów tęczowych. Jane niezmiernie lubiła się stroić różnobarwnie. Byłaby najniezwyklejszą, gdyby musiała poprzestać na jedno lub dwukolorowym ubraniu, a przywiodłaby ją do rozpaczki konieczność włożenia na siebie sukni czarnej, popielatej lub białej. Właśnie wykladała szafarce złą szwedczyznę, jak trzeba dobrze ryż przyprawiać, gdy otworzyła się żelazna brama i hrabia Herman wjechał na dziedziniec. — Ach, patrzcie, jaśnie pan hrabia! zawołała szafarka, która od lat kilku służyła w Kungsborgu, gdy jeszcze był własnością Hermana. Ujrawszy swego dawnego pana zerwała się z krzesła. — Doprawdy? to ten pan był tu dawniej właścicielem? zapytała Jane. Wcale nieźle wygląda. Ale siadajże panna, jeszcze mamy dość do mówienia z sobą. — Zapewne hrabia chce się widzieć z panią, wyjąkała szafarka. — Więc tembardziej panna możesz siedzieć spokojnie.

Tymczasem sługa wziął od hrabiego konia, a stary

Eklund stał na najniższym stopniu ganku i głębokim ukłonem witał swego ukochanego pana. Herman ujrawszy Jane siedzącą na ganku był pewnym, że ona jest ową starą mulatką i skinieniem powitawszy Eklunda, wszedł na schody i stanął przed Jane, która po przyjacielsku kiwnęła głową na dumny ukłon hrabiego.

— Pani Stephensen jest tam, rzekła nie wstając i wskazała na drzwi.

Eklund idąc za hrabią, zaczerwienił się z oburzenia i rzuciwszy wściekle spojrzenie na Jane, rzekł pospieszenie: Zaanonsuję jaśnie pana hrabiego. — Nie potrzeba, odparła Jane. Pani jest w salonie i mówiła, że ten pan może wejść zaraz.

Tego już było zanadto dla biednego Eklunda. Wyprostował się jak mógł i nie zwracając uwagi na miss Jane, poszedł ku drzwiom pierwszy i kłaniając się otworzył je hrabiemu.

— Dziękuję ci kochany Eklund, teraz już znajduję panią, rzekł z uśmiechem Herman i siedł ku drzwiom drugie sali.

Ale Eklund uprzedził hrabiego, otworzył drzwi na rozcież i zawołał głośno: Pan Hrabia Romarhierta!

Herman wszedł i obejrzał się po obszernej sali szukając osoby, którą przyjechał odwiedzić. Nakoniec spojrzenia jego padły na wysmukłą postać, która wstała z sofy przy drzwiach szklanych. Hrabia zatrzymał się na środku sali, zdumiony niespodzianem zjawiskiem. Widok był prawdziwie piękny.

— Zapewne ta czarowna istota jest córką mulatki, pomyślał hrabia, z uszanowaniem kłaniając się młodej kobiecie.

Stefanija postąpiła parę kroków naprzeciw hrabiemu i na jego ukłon odpowiedziała grzeczne pełne godności powitaniem. — Cieszę się, że mogę tu powitać pana hrabiego gościem, rzekła Stefanija dźwięcznym głosem, ale z widocznym brakiem wprawy w języku szwedzkim. — Mam więc zaszczyt rozmawiać z właścicielką Kungsborga? zapytał hrabia. — Tak jest, odpowiedziała Stefanija i siadając na sofie wskazała Hermanowi krzesło przy stoliku.

W twarzy hrabiego można było wyczytać pewne załopotanie. Przyjechał do Kungsborga w przekonaniu, że spotka starą, brzydką, napuszoną swemi bogactwy wdowę, a teraz miał przed sobą piękną, powabną i młodą kobietę, która mu imponowała prostotą i godnością. Uczuł biedny, że musi odegrać inną rolę, łatwo bowiem byłoby powiedzieć starej kobiecie kilka słów cierpkich i dumnych, ale trudniejsza była sprawa z istotą, która miała dar olśniewania i czarowania. Chociażby jednak była jeszcze piękniejszą, hrabia Romarhierta nie przyjąłby od niej żadnego podarunku. Stefanija dopomogła Hermanowi, wprost przystępując do powodu jego odwiedzin: Poznałam z pańskiego listu panie hrabio, iż nie powiodło mi się przekonać go, że obrazy i herby pozostały w zamku zapewne w skutku zapomnienia, co mnie skłoniło odesłać je panu. — Pozwolisz szanowna pani, że ją wyprowadzę z błędu. Obrazy wraz z innemi przedmiotami objęte są inwentarzem kontraktu kupna. A prze-

to wówczas mogą do mnie znowu należyć, gdy je odkupię — Ależ nie miałam nigdy zamiaru ich kupować, a prawdę mówiąc, nie mają dla mnie żadnej wartości. Czegom pod żadnym warunkiem nie chciała posiadać, tego też sobie nie mogę przywłaszczyć. Przecież panie hrabio, nie zmusisz mnie do zatrzymywania rzeczy, które zostały objęte kupnem jedynie przez nieroztropność mojego pełnomocnika.

Mówiąc to Stefaniya uśmiechnęła się czarownie.

— Daleką odemnie jest myśl zmuszać panią do cze-
gokolwiek, odpowiedział hrabia, zwłaszcza że pani oka-
zuje tak stanowczy wstręt do przedmiotów, z którymi
rozstałem się z największą przykrością. Przeciwnie, je-
stem wielce obowiązany pani za to, że mi pozwalasz od-
kupić te drogie dla mnie pamiątki. — Odkupić? powtó-
rzyła Stefaniya i z dumnym poruszeniem odrzuciwszy
w tył głowę mówiła dalej: Panie hrabio, namyśl się, co
mi pan proponujesz! Czyż mogę sprzedać to, czego nigdy
nie chciałam kupić i czego nigdy nie uważałam za swoją
własność? — I ja również nie mogę brać napowrót tego,
com raz sprzedał, odparł Herman, tym razem z hrabiow-
ską dumą w głosie i spojrzeniu. — Jakże więc załatwimy
tę sprawę? zapytała Stefaniya. — Jeśli pani nie pozwo-
lisz na kupienie obrazów, to je odeślę, odpowiedział Her-
man. — Zbyt jesteś pan skory panie hrabio. Najprzód
Kungsborg z ruchomościami i innemi dobrodziejstwami in-
wentarza, w przekonaniu mojem, jest najzupełniej wart
summy, jaką za niego zapłaciłam; powtóre, nigdy nie
upoważniałam mojego pełnomocnika, aby obejmował
kupnem pamiątki rodzinne; potrzebie, przedmioty takie

nie mogą być ani sprzedane ani kupione i poczytam sobie
za rzeczewistą obrazę, jeśli pan hrabia mi je odeślesz lub
zechcesz kupować to, co nie jest wcale moją własnością. —
Ależ szanowna pani, nalegał hrabia, dumnie patrząc na
Stefaniya. — Za pozwoleniem, przerwała piękna właścici-
cielka Kungsborga; spróbuję objaśnić tę rzecz na przy-
kładzie. Gdybyś pan zostawił tu swój kapelusz, a jam
go panu odesłała, czybyś pan uważał za właściwe płacić
mi za to, że kapelusz został w moim pokoju? Zresztą, pa-
nie hrabio, dodała Stefaniya patrząc na niego wzrokiem
pałającym, sądziłam, że pański charakter rycerski nie
pozwoli mu obrazić kobiety, choćby ta kobieta była mie-
szczanką. Chciej pan zważyć, że nie ofiaruję mu żadne-
go podarunku, samo uczucie delikatności wzbroniloby mi
czynić coś podobnego, że po prostu chcę naprawić popeł-
nioną omyłkę, co przecież nie może pana obrazić.

Stefaniya mówiła z prostotą i godnością, a cała jej po-
stać budziła mimowolny szacunek.

— Łaskawa pani nie dajesz mi innego wyboru, jak
pozostać jej dłużnikiem. — Bynajmniej. Pan nic mi nie
jesteś winien, owszem zobowiążesz mnie wielce, gdy raz
już zechcesz uważać tę sprawę jako stanowczo załatwio-
ną. — Zwycięzony musi się stosować do woli zwycięzcy.

Widać było z czoła Hermana, jak była ciężka dla
jego dumy ta uległość, ale Stefaniya nie dała mu innego
wyboru.

— Dziwi mię, odezwała się Stefaniya, nie wracając
już do pierwszego przedmiotu, dlaczego dawniejsi posia-
dacz Kungsborga, mając tak blisko kopalnię żelaza, nie
założyli jakiej fabryki lub rękodzielni, zwłaszcza, że

przewóz wyrobów morzem znacznie byłby ułatwiony? — Ze nie założono nic podobnego, odparł hrabia, przyczyna jest ta, iż Szwecja nie jest właściwie przemysłowym krajem, a szczególniejszej szlachta może się zupełnie obyć bez przemysłu. — To wielki błąd ziomków pańskich i bardzo dla kraju szkodliwy. My w Ameryce nabywszy kawałek gruntu, myślimy zaraz jakby z niego ciągnąć największe korzyści. Bierzemy pod rozwagę położenie, łatwość komunikacyi i inne względy, rachujemy jaka gałęź przemysłu lub jakie przedsięwzięcie może się najlepiej udać: tym sposobem powstaje ogólne bogactwo. — Ale też to ciągle rachowanie korzyści pieniężnych rozwija w Amerykanach niezmiernie samolubstwo, rzekł hrabia Romarhierta. U nich interes materialny jest wszystkim, a moralny niczem. Zarabiać pieniądze, oto jedyny cel ich życia. — Bogu wiadomo, odpowiedziała Stefania, czy sprawiedliwie oceniasz hrabio Amerykę i jej mieszkańców. Ja nie sądzę. Wprawdzie Amerykanie są zmuszeni zwracać największą uwagę na dążności materialne, ale chciej się pan bliżej przypatrzeć ich młodemu państwu, a przyznasz że zwracają uwagę i na wyższe, wznioślejsze przedmioty. Zważ pan, że Ameryka ma się do Europy jak niemowlę do dojrzałego męża. Z czasem bogate i młode jej serce przyswoi sobie wszelkie światło i tam kiedyś będzie siedlisko wszelkiej cywilizacyi.

Herman uśmiechnął się i odpowiedział: Wątpię, czy lud złożony ze steku awanturników, może usprawiedliwić podobne nadzieje. — A, panie hrabio, wybacz gdy powiem, że wyrokujesz ze wszelkimi przesądami arystokraty. Zaraz można poznać, żeś pan tej ludności zbliża

nie poznał, inaczej bowiem musiałbyś wyznać, że żaden lud w świecie nie ma tak głębokiego poczucia obowiązków obywatelskich jak Amerykanie. — Może pani masz słuszość, odpowiedział Herman, co do mnie, wątpię o tem. — W Ameryce każdy obywatel doskonale pojmuje ogólne dobro społeczeństwa i wie, jak jest rzeczą zabiwną ulegać prawom. Pan nie wierzysz w długotrwałość Stanów Zjednoczonych? Ach, widać żeś pan nie mieszkał w Ameryce!

Stefania mówiła z wielkiem przejęciem i rumieńce wystąpiły na jej blade zwykle policzki. Wejście Jakóba przerwało rozmowę. Młodzieniec swobodnie zbliżył się do Stefani, podał jej rękę, a potem z prostotą i uprzejmością powitał hrabiego.

Stefania przedstawiła: Hrabia Romarhierta — pan Lange.

Jakób usiadł na sofie przy Stefanji, i młoda kobieta odezwała się do niego z nieopisanie łagodnym i przyjacielskim uśmiechem: Właśnie stoczyłam bitwę z panem hrabią. Jam walczyła jak dobra amerykanka, a hrabia jak nieustraszony arystokrata. — A przy kim zwycięstwo? zapytał Jakób i spojrzał z uśmiechem na Stefanję. — To jeszcze nie rozstrzygnięte, odpowiedziała Stefania. — Zdaje mi się, że podobne walki zawsze są bez rezultatu, wtrącił hrabia tonem arystokratycznym, gdyż przekonania w jakich człowiek wyrósł, zwykle pozostają zakorzenione w sercu. Hrabia powstał i wziął za kapelusz, jakby mu sprawiał nieprzyjemność widok pięknego młodego mężczyzny siedzącego obok Stefanji. Stefania zapytała żartobliwie, czy jej republikański sposób myślenia od-

straszył hrabiego, że tak prędko chce opuścić Kungsborg. W całej postaci młodej kobiety było coś czarującego, co mimowolnie przyciągało Hermana. Prócz tego w ciągu rozmowy Stefania dowiodła, że jest nie tylko ukształconą ale i rozumną kobietą; wszystko to razem sprawiło, że hrabia położył kapelusz i pozostał do późnego wieczora. Rozmowa stała się ogólna, chociaż zupełnie zaniedbano kwestyi politycznych. Teraz Jakób głównie utrzymywał wątek rozmowy i Herman słuchając młodego republikanina, jak go w duchu nazywał, rad nie rad podziwiał jego rozległą naukę i jasny, a spokojny pogląd na rzeczy. Mimowolnie uznał przewagę Jakóba i ogromny przedział, jaki istniał w dziedzinie umiejętności między tym człowiekiem zdobytej i sobą — człowiekiem odziedziczonej zasługi. Z wielką przykrością wyznał w duchu, że on, Herman Romarhierta, wyglądał przy Jakóbie, jak żak przy nauczycielu.

Po raz pierwszy może w życiu Herman się przekonał, że coś innego jeszcze zasługuje na szacunek, niż same tylko herby i długi szereg zbutwiałych przodków. W miarę atoli jak uznawał przewagę Jakóba, dumne jego serce uczuwało gorzką ku niemu niechęć. Ludzie dumni nigdy nie pojednają się z tymi, których wyższość nad sobą muszą uznać. Gdyby przynajmniej sposób obejścia się i osoba Jakóba mogły nasunąć jaki zarzut mniej więcej uzasadniony, Herman mniejby czuł ku niemu odrazy; ale przy bogatych i niepospolitych darach umysłu, Jakób miał tak ujmującą i uprzejmą powierzchowność, że i pod tym względem hrabia nie mógł z nim wytrzymać porównania. Gdy wieczorem Herman po-

wracał z Kungsborga, myśli jego krążyły wyłącznie około jednej wątpliwej kwestyi, a mianowicie, jakie właściwie zajmował Jakób stanowisko przy młodej wdowie? Sama powiedziała, że są tylko dalecy krewni, a jednak Herman dostrzegł między nimi poufałość, której nie mógł pogodzić ze swojemi wyobrażeniami.

Skutkiem tych długich rozmyślań to było, że poczuł straszny gniew ku Stefanji i Jakóbowi.

ROZDZIAŁ XVI.

Stefania pozostawszy sama z Jakóbem podeszła ku niemu i rzekła: No, jakże ci się wydał hrabia?

Stefania była śmiertelnie blada, a każdy jej rys twarzy wyrażał bolesne wyteżenie duszy.

— Dość podobnym do innych arystokratów, zdaje mi się jednak, że w gruncie jest dobry i szlachetny, chociaż niekiedy pycha stłumia te uczucia. — Czy widząc go nie przyszła ci na myśl Elina? zapytała Stefania.

Jakób uśmiechnął się dziwnie i odpowiedział: Wyznając, że niebardzo. Elina nie należy do osób, które we mnie budzą wielkie zajęcie. Ubolewam nad jej losem, ale z drugiej strony zdaje mi się, że go dość łatwo znosi,

i biorąc rzeczy gruntownie, hrabia wydaje mi się od niej nieszczęśliwszym. — Jakóbie, czy i teraz jesteś sprawiedliwy? — Tak, jak mi Bóg miły, odparł Jakób i bystro spojrzął w oczy Stefanji. — Więc nie sądzisz, że hrabia głęboko i nieprzejednanie zranił i obraził Elinę? pytała Stefanija.

Jakób znowu dziwnie się uśmiechnął. — Zdaniem mojem, odparł, hrabia żeniąc się zadość uczynił zewnętrznym wymaganiom tego, co mu jego honor nakazywał, ale później zdeptał honor i sumienie; gdy bowiem dla usunięcia zgorszenia przyjmował ofiarę, sumienie nakazywało mu zaraz okazać młodej kobiecie, która się dla niego poświęciła, jak najwięcej przyjaźni i poważania, aby ile możności osłodzić jej życie i poniesioną ofiarę. Tymczasem postąpił sobie z przerażającym samolubstwem. — A jednak żałujesz go bardziej niż Elinę? pytała znowu młoda kobieta. — Z dwóch powodów Stefanijo, odrzekł Jakób biorąc jej obie ręce i mówiąc z przyciskiem: Kto musi się rumienić za swoje postęпки i traci szacunek dla samego siebie, ten w mojem przekonaniu jest wielce liłości godzien. Największe to bowiem nieszczęście, jakie może spotkać człowieka, i dla tego ubolewam nad hrabią. Przeciwnie, Elina może zawsze powiedzieć: Zrobiłam wielką, szlachetną ofiarę i za to doznałam tylko obelgi i niewdzięczności, ale mam przekonanie wewnętrzne, że spełniła czyn szlachetny. — Ależ, odparła Stefanija, i Elina ma serce, Jakóbie, a to serce potępiło dumnego człowieka w chwili, gdy ją po ślubie odepchnął na wieczny smutek i śmierć. On sam ją oddalił od siebie na zawsze, a współcześnie skępował jej los węzłami, które jej

nie pozwalały szukać szczęścia w innych związkach. O! gdy wspomnę na postępek tego człowieka, serce moje czuje niepohamowaną żądzę zemsty. — Ty Stefanijo pożadasz zemsty?

W głosie Jakóba było coś niezwykłego, gdy wymawiał te wyrazy. Twarz Stefanji także się zmieniła, kiedy odpowiedziała: Tak jest, pożądam zemsty! Alboż sądzisz że nie mam dość mocy duszy po temu? — Do zemsty nie potrzeba wielkiej mocy duszy; przeciwnie, tylko dla dusz słabych zemsta jest jedynym zadowoleniem za wycierpianą krzywdę. — Jakóbie, czyż to mało znasz Stefanję, abyś mógł przypuszczać, że jest zdolną do zemsty nieszlachetnej? — Zdaniem mojem, nie powinnaś mścić się ani szlachetnie ani nieszlachetnie. — Stefanija pomści Elinę zmuszając hrabiego Romanhierta wyznać, że honor odziedziczony nie jest jeszcze honorem. Nauczę go, że tylko za moralne dobro i wzniosłą sprawę godzi się poświęcać życie. Nie jest człowiekiem honorowym, kto współcześnie nie jest człowiekiem sumiennym i szlachetnym. — Dokonać tego dzieła jesteś niewątpliwie zdolną, ale to nie jest zemsta. — A jednak — jestto zemsta godna Eliny. — A później? Co sądzisz, później nastąpi?

Jakób zatopił głębokie spojrzenie w oczy Stefanji. Mocny rumieniec oblał jego czoło i dodał: Czy chcesz później pogodzić Elinę z Hermanem?

Stefanija wyrwała ręce z jego uścisku, przyłożyła je do piersi jakby tłumiąc gwałtowne bicie serca, i powiedziała zwolna: Co raz zostało rozłączone, tego znowu nie złączysz. Dobranoc Jakóbie.

To powiedziawszy opuściła pokój. Wszedłszy do sypialni padła na krzesło i złamana boleścią zakryła twarz rękami. Długo tak siedziała bezwładna, a gdy się podniosła, twarz jej była spokojną i wyrażała tylko łagodną rezygnację.

Potem usiadłszy przy biurku dokończyła rozpoczęty list do Eliny.

„ . . . Tym sposobem, jak widzisz z poprzednich wyrazów, spotkałam się na koniec z tym dumnym i nieugiętym człowiekiem. Niepowodzenia i pieniężne kłopoty nie były w stanie złamać jego pychy ani zmienić charakteru. Jak stara szlachta trwa uparcie w swoich arystokratycznych wyobrażeniach. O, nie zdziwiłabym się wcale, gdyby umarł z głodu przy swoich herbach, zamiast uczynić cośkolwiek dla zapewnienia swego bytu.

Bądź co bądź odniosłam dziś nad nim zwycięstwo, które dużo musiało kosztować jego dumę i pewnie mi go długo nie przebaczy. Tego jednak chcę, by dopiąć celu do którego dążę. Trzeba zacząć od walki.“

ROZDZIAŁ XVII.

Gdy wieczorem Herman powrócił do domu, zastał już w bibliotece czekającą Helfrydę.

— Bardzo długo bawiłeś! powitała siostra swego brata. — W istocie długo, zimno odpowiedział Herman. Przykrość mu sprawiła ta obecność siostry i myśł, że musi jej zdać sprawę ze swej wizyty w Kungsborgu.

Helfryda odezwała się znowu: Chodź kochany Hermanie, siadaj przy mnie i opowiedz o swych odwiedzinach. Czas wydawał mi się nieznośnie długi, gdy ciebie tu nie było. Opowiedz mi co o zewnętrznym świecie, od którego zupełnie jestem oddzieloną, to mię nieco orzeźwi. — Biedne dziecko, w istocie żyjesz jak pustelnica, od roku nie miałaś żadnej styczności ze światem. — Nic to nie znaczy. Wiesz przecie, że jestem szczęśliwą przy tobie i mamie, ale byłoby mi przyjemnie usłyszeć coś o naszym ulubionym Kungsborgu i jego terazniejszej właścicielce. Co to za stworzenie? Kreolka czy mulatka?

Herman mimowolnie się uśmiechnął, choć wcale nie był w usposobieniu wesołym.

— Ani jedna ani druga; jak się zdaje pochodzi z czystej krwi anglo-saksońskiej. — Więc to stara jejmość przyjemnej powierzchowności? No, opowiedz mi szcze-

gółowo swoje odwiedziny; ciekawam, jakżeś załatwił sprawę obrazów. Kochana Helfrydo, tu nie ma co długo opowiadać. Najprzód, pani Stephensen jest młoda, powtóre nie przyznaje mi prawa do płacenia za obrazy, twierdząc, że nigdy nie były lub nie powinny być objęte kupnem, że więc tę sprawę uważa za rozstrzygniętą.

Hrabia mówił z widoczną niecierpliwością, która nie uszła uwagi Helfrydy, gdy młoda dziewczę wstała i rzekła: Jesteś znudzony Hermanie, źle robię zatrzymując cię dłużej. Dobranoc, mój bracie. — Przebaczyć Helfrydo, odpowiedział Herman, jestem dziś w wieczór w złym humorze. Czuję upokorzenie na myśl, że muszę być obowiązany obcej osobie. Herman padł na krzesło i mówił dalej: A jednak nie dała mi innego wyboru. Musiałem poddać się jej woli. — Dlaczego? — Bo stanowczo i wyraźnie oświadczyła, że obrazy do niej nie należą, że nigdy nie życzyła sobie ich posiadać i że uważać będzie za ciężką obrazę, jeśli w takich okolicznościach zechce płacić za to, co jest moją własnością. — W takim razie nie ma żadnego upokorzenia, Hermanie, rzekła Helfryda podając mu rękę. Hrabia milcząc ją uściśnął.

W kilka dni potem Herman dość wcześnie zrana wyszedł na przechadzkę po drodze wiodącej do Akersnäs. Żyjąc zupełnie oddzielony od reszty świata, postawiwszy między sobą i służbą taką przegrodę, że nie ośmieliła się powiedzieć mu cokolwiek, o co wyraźnie nie zapytał, sam też nie rozpytujać nigdy, młody hrabia wcale nie wiedział, że w Akersnäs zakładają fabrykę. Herman postanowił wydzierżawić Akersnäs od właścicielki Kungsborga; dowiedział się bowiem z jej rozmowy, że nie jest

zadowoloną ze swojego inspektora i że czuje ciężar posiadania tak rozległego majątku. Właśnie był tą myślą zajęty, gdy nagle usłyszał za sobą tentent kopyt końskich, obrócił się i ujrzał jadącą kobietę. Amazonka zbliżając się powściągnęła konia i hrabia poznał Stefanią jadącą bez sługi. Hrabia zdjął kapelusz, młoda kobieta odpowiedziała uprzejmym uśmiechem i szybko puściła się dalej. Hrabia zrazu chciał iść do Akersnäs, ale gdy zobaczył jadącą tam Stefanię, zmienił zamiar i zawrócił w bok do lasu. Błądząc tak bez celu z godzinę, powrócił do Furuhof i spotkał na drodze starego Eklunda, który przyjechał w jednokonnej kolasce. Starzec wysiadł coby prędzej i z odkrytą głową zbliżył się do hrabiego.

— Gdzie to jedziesz, kochany Eklund? — zapytał hrabia, witając skinieniem głowy starego sługę. — Moja pani przysyła mnie dowiedzieć się od pana hrabiego, czy zdrowie pani hrabiny pozwoli jej przyjąć wizytę, którą pani Stephensen będzie miała zaszczyt złożyć jej dziś wieczór.

Czoło Hermana się zachmurzyło. W pierwszej chwili miał ochotę powiedzieć, że matka jest jeszcze zbyt słabą, ale powstrzymał go świeży obraz pięknej Stefani na koniu. Nie chciał powiedzieć ani tak, ani nie, dopóki nie rozmówi się z matką. Eklund stał z kapeluszem w ręku i czekał na odpowiedź hrabiego.

— Jedź do Furuhof i tam na mnie zaczekaj. Wkrótce nadejdę i dowiem się o zdrowiu matki.

Eklund spełniał otrzymany rozkaz, a hrabia wolnym krokiem wracał do domu. Herman znał wstręt matki do wszelkich nowych znajomości, zwłaszcza z mieszczan-

nami. Wiedział, że pragnie żyć zupełnie odłączoną od reszty świata, a otóż zjawia się obca osoba, która chce się wcisnąć do jej towarzystwa, jak niezawodnie pomyśli sobie matka. Dla samego Hermana była upakarzającą myśl, że dzisiejszą właścicielkę swego rodzinnego zamku Kungsborg, ma przyjmować w niepozornym dworcu Furuhof. W duszy jego staczały walkę duma z jakimś niewyraźnym pragnieniem zbliżenia się do Stefani. W końcu duma odniosła zwycięstwo, i właśnie gdy przechodził łączkę prowadzącą z lasu do jego mieszkania, postanowił powiedzieć Eklundowi, że jego matka za słabą jest do przyjęcia wizyty. Przed domem jednak zastał na dziedzińcu Helfrydę, która podeszła ku niemu z uśmiechem i rzekła: Mama była dziś na przechadzce, a teraz jest w biblijotece, gdzie Eklund zdaje sprawę z polecenia, jakie mu dała pani Stephensen. — Jakże mama przyjęła propozycję? — Tego nie wiem, gdyż jakeśmy wracali z przechadzki, mama zobaczyła starego marszałka dworu, kazała Fryderykowi wprowadzić go do biblijoteki i sama tam poszła, a ja czekałam tu na ciebie. — Więc nie wiesz, z jaką propozycją przyjechał Eklund? — Nie, i nic mię to nie obchodzi. Czuję nawet, nie wiem z jakiego powodu, jakąś antypatję do tej Amerykanki. Ale, nie powiedziałeś mi jeszcze jak wygląda. — Przypomnisz mi to innym razem, teraz chciałbym wiedzieć, jaką mama dała odpowiedź marszałkowi dworu. — O cóż więc chodzi? — O wizytę, którą pani Stephensen chce tu dziś złożyć.

Helfryda milczała. Właśnie wchodzili do biblijoteki, gdy Eklund zabierał się do wyjścia i skłoniwszy się głę-

boko przed hrabią i jego siostrą opuścił salę. Hrabina siedziała na sofce i z uśmiechem podała rękę synowi, mówiąc: Dziś po południu mamy wizytę. — Więc mama przyjmuje panią Stephensen? Tak mój synu, grzeczność nie pozwala mi odmówić, tembardziej, że jak się dowiedziałam od proboszcza, ta pani pochodzi z dawnej francuzkiej rodziny szlacheckiej, która emigrowała podczas pierwszej rewolucji i osiadłszy w Ameryce przybrała mieszczańskie nazwisko. Gdyby zajmowała swoje właściwe stanowisko w społeczeństwie jako osoba nam równa, mogłabym bez niegrzeczności zamknąć drzwi przed nią, — ale w obecnym razie nie przyjąć jej, byłoby niegościnnością, tembardziej, że jest cudzoziemką. Prócz tego, po sprawie z obrazami wypada jej okazać, iż przyznajemy jej prawo do żądania od nas pewnej względności. Hrabina mówiła to głosem łagodnym, z uśmiechem na ustach, ale jej cała fizjonomia wyrażała coś tak łaskawie pańskiego, jakby czyniła Stefani największy zaszczyt i dobrodziejstwo. Herman powiedział słów kilka, chwalać postanowienie matki, ale słuchając jej myślał, że Stefanija ze swojemi wyobrażeniami nie przypuści ani na chwilę, żeby hrabina przyjmując ją, świadczyła jej jakąś łaskę. Helfryda milczała niezadowolona.

— Pewnie przyjedzie w pysznej karocy, żeby mieć przyjemność upokorzyć nas swoim bogactwem, — myślała młoda arystokratka siedząc po południu w salonie i obracając się za każdym poświstem wiatru w lesie, który jej się zdawał turkotem powozu. — Przy swojej dumie pieniężnej, pewnie nie odmówi sobie przyjemności wystą-

pić tu z największym przepychem, — myślał Herman, a jego czoło było blade, zimne i dumne. — Ta historia z obrazami była poprostu środkiem utorowania sobie drogi do nas. A zresztą przed kimby się popisywała ze swoim zbytkiem i bogactwem?

Gdy tak brabia prawił w duchu ten budujący monolog, nagle rozległ się turkot powozu. Herman wyrzwał przez drzwi szklane i zobaczył prosty kocyk, z woźnicą bez liberyi. Fryderyk dopomógł pani wysiąść. Po chwili otwarły się drzwi salonu, Fryderyk zaanonsował: pani Stephensen, — i Stefania weszła sama, w prostej, czarnej sukni atlasowej bez żadnych ozdób. Hrabina podniosła się i postąpiła kilka kroków na przeciw przybyłej. Powitanie Stefanii było tak bez pretensyi a jednak pełne godności, że nie dostrzegłeś w niem ani cienia pychy lub uniżoności. Młoda kobieta mimowolnie imponowała. Nawet hrabina straciła nieco ze swej łaskawej pańskości, a twarz Helfrydy rozjaśniła się, gdy pomyślała: — Jakaż jest piękna i czarująca!

Stefania prowadziła rozmowę z zupełną swobodą, lekkością i wdziękiem, i zaraz w początkach rozbroidła hrabinę; stara dama nie śmiała pańskimi tonami dać uczuć Stefanii jej niskie pochodzenie. Rozmawiano o zwyczajach i obyczajach innych krajów. Stefania podróżowała po Anglii, Francyi, Niemczech i Hiszpanii, miała więc wielostronne światowe ukształcenie. Współcześnie umiała przedstawić w sposób zajmujący właściwości każdego kraju i ludu, i swoim opisom nadawać barwę i życie. Z prawdziwym taktem, który Herman w milczeniu podziwiał, Stefania uniknęła rozmowy o Ameryce, a zaga-

dniona przez hrabinę, w jakim kraju się urodziła, odpowiedziała tylko: — Ameryka jest moją ojczyzną.

I zaraz przeszła do innych przedmiotów, które mogły zająć hrabinę. Jakoż zajęła ją tak dalece, że gdy powstała, by ją pożegnać, hrabina zawołała: Ach, szanowna pani, już nas pozbawiasz swego miłego towarzysztwa?

Stefanija uśmiechnęła się uprzejmie, ale pożegnała hrabinę zostawiwszy po sobie najprzyjemniejsze wspomnienie. Ależ to niezmiernie miła kobieta, rzekła hrabina do dzieci po odjeździe Stefanii. — A przytem ma obejście salonowe, jakie się nabywa w towarzystwach osób wielkiego świata. — Co mi się szczególniej w niej podobało, odezwała się Helfryda, to jej wytworne ukształcenie i wyborna głowa. O wszystkich przedmiotach mówi z równą łatwością. Herman nic nie odpowiedział, ale pomyślał: To jakaś niebezpieczna kobieta! Głos wewnętrzny mi szepcze, że powinienem jej unikać. Niezawodnie pod tą piękną maską kryje się jakieś zimne wyrachowanie i samolubstwo.

Tak myślał, a współcześnie ukazał się jego wyobraźni obraz prostego a niewymuszonego obejścia Stefanii, które wskazywało, że ma wiele serca i naturalności.

Gdy hrabina odeszła do swojego pokoju, a brat i siostra pozostali sami, odezwała się Helfryda: Niewymownie jest piękną, a tyś mi o tem nic nie mówił! — Najlepszy to dowód, że o tem wcale nie myślał, odparł Herman. — Czy wiesz Hermanie, że czasami jakiś gorzki uśmiech błąkał się na jej ustach, a wtedy jej oczy pały ponurym ogniem, jakby odbijając czarne myśli. Innym znowu ra-

zem było coś niebiańsko-dobrego w jej uśmiechu. Zdało mi się, że ma dwie dusze w jednym ciele. — To wina twojej wyobraźni, że z pięknej wdowy tworzy sobie jakąś postać niezwykłą, eteryczną. Ale dajmy temu pokój, a mówmy o pilniejszych rzeczach. Mam zamiar jutro ją odwiedzić. — Już jutro? zagadnęła Helfryda z melancholicznym uśmiechem. — Mylisz się, sądząc, że mnie tam prowadzi osobisty ku niej pociąg. Nie, chcę wydzierżawić Akersnäs. — Ach, Hermanie, znowu powracasz do tych myśli, zawołała rumieniąc się Helfryda. Ostatni Romarhierta nie może być dzierżawcą! — Lepiej to, niż żeby był oszukańcem, niż żeby straciwszy resztę majątku, narobił długów i uciekł! Obrachowałem, cośmy w tym roku wydali: jeśli zapłacę wszystkie wydatki, które przewyższyły przychód, to będę zmuszony zmniejszyć kapitał o dwa tysiące talarów. Dla tego nie mów już o tem ani słowa Helfrydo. Wydzierżawię Akersnäs, będę wiodł życie czynne i zarazem korzystniejsze pod względem pieniężnym. Nic to moich przodków nie poniży. Pomyśl, że ostatni król francuzki, Orleański książę, był w ubóstwie nauczycielem, a jednak został królem. A na przykład hrabia G. jest także dzierżawcą, a jednak jest poważany. — Z tą wszakże różnicą, że hrabia G. jest dzierżawcą dóbr swego stryja, a ty chcesz być dzierżawcą majątku pani Stephensen. — Ależ Helfrydo, cóż mam począć? Mamże dalej marnować młode lata i bezczynnie resztki naszego majątku? — Nie, Hermanie, masz zupełną słuszość, to ja jestem niesprawiedliwa; nie łatwo jednak oswoić się z tą myślą, że musisz pracować na kawałek chleba. Ach, nie do pracy jesteśmy wychowani,

więc też myśl o niej jest gorzka i upokarzająca. — O! strasznie gorzka, mieć świetne nazwisko i brukać je w znoju pracy; ale stokroć bardziej gorzko, być zmuszonym zależeć od drugich!

ROZDZIAŁ XVIII.

Nazajutrz po południu Stefanija siedziała w altanie przeglądając rachunki, które jej przedstawiał rządca, gdyż miał zamiar złożyć urząd i gospodarować na własnym majątku, który niedawno odziedziczył. Cekał tylko w Kungsborgu na przyjazd nowej właścicielki. — Pan Aker był człowiek ukształcony, prosty, bez pretensyi, prawego charakteru, i Stefanija podczas krótkiego swego pobytu w Kungsborgu, powzięła już do niego wielkie zaufanie.

Kiedy Aker odłożył jedną księgę i rozkładał drugą, odezwała się Stefanija:

— Niepowetowana to dla mnie strata, że pan odjeżdżasz, panie Aker, bo nie mam innego rządcy, a pewnie nie łatwo znajde takiego, któryby pana zastąpił. — Strata nie jest tak wielka, z uśmiechem odpowiedział Aker, bo dziś nie zbywa na zdolnych agronomach. Dopóki jednak nie przyjdzie następcą, obiecuję pozostać, a jeśli pani po-

zwoli, to napiszę do kilku kolegów, za których prawosć i zdolność zaręczam; spodziewam się też, że do jesieni, w której muszę opuścić to miejsce, już pani będzie miała dobrego rządcę. — Ależ pan robi ofiarę, zostając tu do jesieni, gdy tymczasem pański majątek będzie bez nadzoru.

— Rzeczy tak urządzone, że czasami będę tam dojeżdżał. Zresztą tę nieznaczną ofiarę chętnie uczynię, by się przysłużyć szanownej pani. — Dziękuję panu, odpowiedziała Stefanija, podając mu rękę.

Zimne, pełne godności i nakazujące zwykle obejście Stefanii naraz znikło i młoda kobieta była prostą i przyjacielską. Patrząc na nich, nie powiedziałabyś, że to bogata właścicielka rozmawia ze swoim rządcą, tak zupełną była równość w ich obejściu. On był mężczyzna prawy i ukształcony, ona kobieta światła, — a z resztą żadnej różnicy. — Sądziłem, odezwał się Aker, że pan Lange przyjmie urząd rządcy. — Nie. Wiadomo panu, że Jakób wydzierżawił odemnie Akersnäs, gdzie zakłada warsztaty mechaniczne, bardzo stosowne z powodu bliskości miasta i hut, zwłaszcza, że podobnych fabryk niema ani w tej, ani w sąsiedniej prowincyi. Zresztą, w żadnym razie nie chciałbym go krępować takim urzędem, bo nie miałbym czasu zajmować się swojemi ulubionemi studjami. — To prawda. Rządca pani musi być jak ja, człowiekiem grubej prozy. — Niekoniecznie; najlepszy dowód, że sam pan jesteś człowiekiem wysoko ukształconym. Ale mając na głowie zarząd cudzego majątku, nigdy się nie jest panem swojego czasu. Miałam tego przykład na panu i innych ludziach sumiennych.

Tu rozmowę przerwało wejście hrabiego Hermana, którego nie spostrzegła Stefanija ani Aker.

— Przychodzę nie w porę — rzekł hrabia witając. — Pani jesteś zajęta? — To nic nie znaczy, odpowiedziała Stefanija. Możemy odłożyć robotę do jutra, zwłaszcza, że pan Aker był łaskaw mi obiecać, że nie odjedzie z Kungsborgu przed jesienią.

To mówiąc, spojrzała z uprzejmym uśmiechem na Akera, który zabierał książki.

Herman pomyślał w duchu: — Obchodzi się z tym nędznym rządcą tak grzecznie i uprzejmie, jakby z dobrze urodzonym człowiekiem.

Stefanija, zapytawszy o zdrowie matki i siostry hrabiego, zaczęła mówić o rzeczach obojętnych. W całym jej postępowaniu względem hrabiego i jego rodziny nie było tego serdecznego zaufania, z jakim obchodziła się z otaczającemi ją osobami, ale coś pełnego godności, świadczącego, że ich wcale nie uważa za wyższych od siebie. Gdy odszedł Aker, odezwał się hrabia: — Przychodzę dziś do pani z propozycją w swoim własnym interesie. — Będzie mi bardzo przyjemnie służyć panu hrabiemu, jeśli to jest w mojej mocy. — A, szanowna pani, i tak już zobowiązałaś mię tyle, że... — Że pan nie chcesz przyjmować nowych zobowiązań? Ale się pan myli najzupełniej, bo niczem pana nie zobowiązałam; owszem, jeśli już mamy o tem mówić, to ja raczej jestem obowiązana. — Rozumiem, co pani chcesz powiedzieć, ale jeśli ja przyjmuję dar, którego nie mogę odrzucić bez obrażenia pani, to przecież jej tem nie zobowiązuję. — Panie hrabio, całe życie będziemy się spierać o te obrazy, a nie zdołam pana

przekonać, że się mylisz. Boję się, żebyśmy z tego powodu nie zostali śmiertelnymi nieprzyjaciołmi.

Stefanija spojrzała na hrabiego, uśmiechając się poważnie.

— Niepodobna, abys pani miała taką obawę, zauważył Herman.—Czemużby nie? odparła Stefanija i dumnie odrzuciwszy w tył głowę, patrzyła w oczy hrabiemu, który zupełnie stracił ochotę powiedzieć to, co myślał, mianowicie: Pani, tak piękna!

Zamiast tego odpowiedział: — Dama nie może przypuszczać, by mężczyzna ukształcony mógł być jej nieprzyjacielem za to, że mówi prawdę.—Właśnie tę prawdę najmniej lubimy—odparła Stefanija. Pomimo to, spróbuję powiedzieć ją panu bez ogródki, i zobaczę, jak mu się spodoba. W ogóle należę do ludzi nie lubiących pochlebstw i grzeczności. Jest to wada, którą przyniosłam z ojczyzny. — Dobrze, daj mi pani dowód swej amerykańskiej otwartości, prosił hrabia, patrząc z podziwieniem na młodą kobietę. — I owszem. Więc panu powiem otwarcie, że ci jest obowiązana za to, żeś odbierając swoje portrety rodzinne i herby, uwolnił mnie od nieznośnego widoku buty i pychy szlacheckiej; — albowiem wiedz pan o tem, że od pierwszej młodości czuję niezmierny wstręt do naszej arystokracji, jako samolubnej, bez serca, zaślepionej swem urodzeniem i majątkiem, gardzącej innemi stanami, chociaż te może mają więcej ukształcenia i rzeczywistej zasługi!

Stefanija wymawiała te słowa blada, drżąca, widocznie wylewając je z głębi duszy. Po chwili jednak twarz jej się ożywiła, i rzekła z czarownym uśmiechem.

— Ale dajmy pokój tym wyobrażeniom, które mogą pana obrazić. Zresztą myśl tę wypowiedziałam panu po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni, i w moim domu już nie usłyszysz podobnej mowy. Przystąpmy więc do propozycji, którą mi pan miałeś uczynić. — Co pani powiedziałaś o biednej szlachcie, odrzekł Herman, odjęło mi prawie ochotę występować z propozycją moją, gdyż przy pani sposobie myślenia musi być rzecz niezmiernie przykra dla pani wchodzić w stosunki z osobami mojego stanu.—O! bynajmniej, to dla mnie obojętne, odpowiedziała amerykanka. Jeśli los zetknie mię z arystokratą, sądzę o nim jak o innych ludziach, według osobistej wartości, o nic więcej nie pytając. Nie jestem zago-rzałą republikanką, odmawiającą arystokracji zasługi, która się mu należy jako człowiekowi. Chciej mię pan dobrze zrozumieć; ja czuję wstręt tylko do przesądów i buty pańskiej, ale rzeczywistą zasługę w każdym cenię. Pan na przykład jesteś zwyczajnym jak każdy inny człowiek obywatelem, ale szanuję pana jako zacnego człowieka i dobrego sąsiada.

Każde słowo Stefanii srodze raniło dumę Hermana. Biedny hrabia miał wielką ochotę upokorzyć ją z kolei, ale gdy spojrzał w łagodne i pełne współczucia i przedziwnie piękne oczy młodej kobiety, dumne wyrazy zamierały na jego ustach. Czuł, że mu rumieniec wystąpił na twarz, gdy Stefanija powiedziała, że jest dla niej pospółlitym człowiekiem i sąsiadem, a jednak bał się narazić na śmieszność, okazując obrazę. Wypadało przecież podtrzymać rozmowę i staczając walkę ze swoją dumą, powiedzieć, z jaką propozycją przyjechał.

— Przynajmniej słyszę z przyjemnością, że uprzedzenie pani przeciw arystokracji, nie rozciąga się do osób, bo inaczej nie miałbym szczęścia zabrać znajomości z panią. Stefanijsa doskonale zrozumiała ironię widoczną zarówno w słowach jak w tonie, ale spokojnie patrzyła na hrabiego, który mówił dalej:—Miałem zamiar zapytać się szanownej pani, czy nie zechciałaby wypuścić w dzierżawę Akersnäs. W takim razie pragnąłbym zostać jej dzierżawcą.

Niepodobna opisać wyrazu twarzy i tonu, z jakim Herman wymówił ten wyraz *dzierżawca*. Była w tem duma i niezmierna gorycz. Stefanijsa odpowiedziała, mimowolnie się uśmiechając:

— Byłoby mi nadwyzczajnie przyjemnie spełniać życzenia pana hrabiego, ale na nieszczęście jużem wydzierżawiła Akersnäs panu Lange, który tam ma założyć warsztaty mechaniczne.—Więc przychodzę za późno?—Tak jest, i mocno tego żałuję, gdyż doskonale pojmuję, panie hrabio, iż w Furuhof nie masz dostatecznego zajęcia, a dla człowieka młodego, pełnego energii, musi być rzeczą bardzo przykrą nie mieć stosownego pola do działania, zwłaszcza dla pana, który, jak słyszałam, jesteś doskonałym agronomem, czego ja o sobie żadną miarą powiedzieć nie mogę.—Bo też taki zawód niebardzo się zgadza z celem życia kobiety.—Masz pan zupełną słuszość, ale kto jak ja musi być u siebie panem, powinienby też znać się cokolwiek na gospodarstwie. Teraz muszę wszystko powierzać obcym rękóm, nie wiedząc czy dobrze swoje czynności spełniają. Dla tego nieraz już o tem myślałam, jakby komuś powierzyć ogólny nadzór i nad ekonomem i nad rządcą.

Stefanijsa powiedziała to bardzo obojętnie, ale z oczywistą utkwioną w hrabiego.

— Alboż pan Lange nie może przyjąć takiego urzędu?—zapytał Herman.—Niepodobna, odpowiedziała Stefanijsa. Jakób nie zna się na gospodarstwie wiejskiem, ani na hutnictwie, a przytem czas by mu nie pozwolił na przyjęcie takiej posady, gdy głównie zajmuje się warsztatami. Resztę czasu poświęca naukom; umarłby, gdyby nie mógł zadowolnić swej żądzy wiedzy i rozszerzyć światła we wszystkim co prowadzi do postępu ludzkości.

To powiedziawszy, Stefanijsa zwróciła rozmowę na inny przedmiot. Gdy hrabia wracał do domu, uczucia jego wrzały z oburzenia. Obrażona duma wylała się w gorzkich skargach na tę młodą kobietę i jej wyobrażenia o godności człowieka, a jednak nie mógł się oprzeć urokowi, jaki na nim sprawiły jej czarowne lica i ta powaga i imponujący jej rozum; duma jego musiała umilknąć, a tymczasem pozostało przykre uczucie, iż spełzła na niczem nadzieja zdobycia niepodległości pieniężnej.

ROZDZIAŁ XIX.

W kilka tygodni później, hrabina czując się znacznie zdrowszą, zaproponowała Helfrydzie oddać wizytę pani

Stephensen, chociaż od roku nie odwiedziła żadnego z sąsiadów. Herman nie dowierzał własnym uszom, słysząc propozycję matki, a zdumienie jego tak wyraźnie malowało się na twarzy, że hrabina rzekła:—Dziwi cię, że teraz myślę o wchodzeniu w stosunki z obcą osobą; ale Hermanie, mam powody?— Czyż można wiedzieć jakie? — Alboż sam nie zgadujesz? — Nie, droga mamo.— Wprawdzie nie zgadza się to z moimi wyobrażeniami, mówiła uśmiechając się hrabina, chociaż, jak ci wiadomo, zawsze starałam się w was wpajać to przekonanie, że my należący do wyższej szlachty i urodzeniem stojący wyżej nad wszystkimi klasami społeczeństwa, możemy nie dbać o osoby nam równe, ale nie powinniśmy zaniedbywać niższych; przy każdej bowiem sposobności powinniśmy okazywać się względem nich grzeczni. Właśnie dla tego, że nie możemy wchodzić w żadne bliższe i poufalsze stosunki z mieszczaństwem, obowiązkiem jest naszym okazywać zewnętrznie, że niem nie gardzimy, chociaż szacunek dla nas samych zabrania nam świadczyć im coś więcej nad prostą grzeczność. Zresztą nie powinienes zapominać, że pani Stephensen pochodzi ze szlacheckiej rodziny francuskiej, która z różnych powodów była zmuszona zmienić swoje nazwisko na mieszczańskie, wskutku czego córka wyszła za Stephensena.

Gdy tak mówiła matka, Herman mimowolnie sobie przypomniał słowa Stefani:—W moich oczach jesteś po prostu uczciwym człowiekiem i dobrym sąsiadem, niczem więcej.

Westchnął boleśnie i krew mu zawrzała na myśl o zniewadze, jaką Stefanija wyrządziła jego stanowi.—

I tej kobiecie, tak dumniej ze swej osbistej zasługi, a tak lekceważącej zalety urodzenia, matka chce złożyć łaskawie pańską wizytę! Tylko gorzka ironija losu mogła zetknąć z sobą dwie kobiety podobne. Herman dałby nie wiedzieć co, żeby mógł odwieść matkę od odwiedzin właścicielki Kungsborga, jak mniemał, pysznej ze swoich bogactw. Sam sobie uczynił gorzkie wyrzuty, że on, Herman Romarhierta, pozwolił jakiejś mieszczańce, cudzoziemce, nieznanego charakteru i przeszłości, prawić sobie takie bezwstydne rzeczy o szlachie. Obowiązkiem jego jako szlacheica, było opuścić ją natychmiast i nie pozwolić mówić w swojej obecności rzeczy, do których nie był przyzwyczajony. Probuąc zachwiać postanowienie matki, powiedział: — Czy mama zastanowiła się, jaką jej przykrość sprawi widok Kungsborga, który przeszedł w obce ręce! Z jakim uczuciem przestąpi mama progi, które dawniej do nas należały, a teraz są własnością obcej osoby?—Tak mój synu, wszystko dobrze rozważyłam, i może to właśnie jest powodem, dla którego przyspieszam wizytę. Prócz tego pani Stephensen mogłaby sądzić, że bieda zmusiła nas do sprzedaży Kungsborga, i że przykro mi patrzeć na tego świadka potęgi i bogactwa naszych prodków.

Hrabina westchnęła i mówiła dalej:—Chociaż to prawda, nie chcę, żeby się domyśliła. Przeciwnie, swoją wizytą i podczas rozmowy dam jej poznać, że sprzedaż Kungsborga nie jest ani ofiarą, ani upokorzeniem dla nas. Helfryda melancholicznie spojrzała na Hermana, ale oboje milczeli. Brat i siostra nie mieli serca wyprowadzić matki ze złudzenia, iż potrafi utrzymać w błędzie

Stefaniję co do ich rzeczywistego stanu majątkowego. Po południu zajechał powóz hrabiowski. Patrząc na piękne, okazałe konie, elegancką uprzęż, modny powóz z hrabiowskimi herbami, i na świetną liberję woźnicy, mógłbyś przypuszczać, że pańska rodzina żyje w najlepszych czasach swojej pomyślności. Gdy Hrabina, Helfrida i Herman usiedli w powozie, Fryderyk zajął miejsce na koźle przy woźnicy, żeby nawet lokaja nie brakowało.

Stefanija i Jakób, nie przeczuwając zaszczytu, jaki miał ich spotkać, zaraz po południu pojechali konno do Akersnäs i zaledwie wrócili, Eklund oznajmił przyjazd hrabiny i hrabiego Romarhierta. Stefanija ledwie zdążyła się przebrać, gdy zaanonsowano dostojnych gości. Nie bez zdziwienia usłyszała nazwisko hrabiny, i oczy jej zapalały, gdy spojrzała w zwierciadło, by się upewnić że jej twarz nie zdradza wewnętrznych uczuć.

— Ha, dumna niewiasto, coś przekleństwem groziła synowi, jeśli poważy się przyznać Elinie prawa małżonki, teraz jesteś moim gościem!

Stefanija przycisnęła rękę do serca i dodała w duchu z dziecinnie pobożnym wyrazem spojrzenia:—Boże, Ojczy niebieski! strzeż mię przeciw mnie samej i przeciw uczuciom nieprzyjaźni, które tak często nademną panują! Chcę pomścić Elinę po chrześcijańsku, zapominając

o wszystkim co by mogło mię czynić srogą i nieprzejednaną.

Tak myśląc, weszła do salonu i powitała hrabinę z prostą i niewyszukaną grzecznością, jak kobieta wykształcona w wyższym świecie i zarazem czująca osobistą godność. Jej ukłon pełen uszanowania stosował się nie do hrabiny ale do sędziwej matrony. Herman stojąc za matką i siostrą, powtarzał sobie w duchu: „W moich oczach jesteś pan po prostu uczciwym człowiekiem, niczem więcej.“ Jakób i Jane byli także w salonie i Stefanija przedstawiła ich mówiąc: — Pan Lange, mój krewny, panna Smith moja przyjaciółka.

Hrabinie bardzo się podobała powierzchowność Jakóba, pomyślała jednak, że ci trzej ludzie z nowego świata za wiele mają prostoty. Widocznie grzeczność ich była tylko dowodem obycia się w świecie, nie zaś uszanowania dla osób. Tak na przykład Jakób podał po prostu rękę hrabiemu bez tych unижonych ukłonów, jakimi Szwedzi tak szafują dla osób noszących tytuł Hrabiego lub Barona. Hrabina spostrzegła także, iż uklonił się jej i Helfrydzie nie inaczej, jak każdej innej ukształconej kobiecie. Bądź co bądź, hrabina była dość zadowolona ze swoich odwiedzin. Stefanija słuchała z pozornem zajęciem dziwnych objaśnień hrabiny o powodach sprzedaży Kungsborga: że nigdy nie czuła się tu zdrową, że się jej ten zamek ponury nie podobał, że od dawna pragnęła, by mąż sprzedał tę starą posiadłość, a nabył drugą w innej okolicy Szwecyi i t. p. Gdy tak mówiła matka, Herman utkwiał oczy w Stefanię, śledząc wrażenia jakie na niej sprawiały te słowa, którym tródn było uwierzyć. Twarz

Stefanii pozostała niezmieniona i żadne poruszenie jej mięśni, nie dawało poznać, co myśli rzeczywiście. Tylko gdy hrabina powiedziała, że syn ulegając jej prośbom, sprzedał Kungsborg, aby kupić majątek według jej upodobania, Herman spostrzegł, że Stefanija lekko brwi zmarszczyła i współcześnie na niego spojrzała. W spojrzeniu Stefanii była wyraźna nagana, ale nie wyrzekła słowa, i gdy hrabina umilkła, zwróciła zaraz rozmowę na inny przedmiot i wciągnęła do niej Jakóba, ku wielkiemu niezadowoleniu hrabiego, gdyż jak Jakób przemówił, musiano go słuchać mimowolnie. Już sam jego głos dzwiczny i melodyjny przyciągał pieczęć uszy; a jego nauczająca rozmowa, wyrazy proste a ciepłe, nadawały mu siłę niezwykłą, zwracając uwagę towarzyszt wyłącznie na jego osobę. Nawet hrabina słuchała go z zajęciem, wciągnięta w magnetyczny krąg jego umysłowej powagi. Ani się spostrzeżono, jak Jakób zawładnął całą rozmową i każdy mimowolnie podziwiał potęgę jego ducha. Rozmowa toczyła się o magnetyzm; Jakób opowiadał swoje wizyty u Deputé i Lafontaine'a w Paryżu i u magnetyzerów amerykańskich. Nadzwyczajnie bezstronny, jasno, zrozumiale i przystępnie wykladał pojęcia uczonych o tej niezbadanej dotychczas sile przyrody, starannie unikając wypowiedzenia swojego własnego zdania, jakby było zbyt nieznaczące, żeby zabierało miejsce w rozmowie. Słuchano go z najwyższą przyjemnością właśnie dla tego, że był najzupełniej bezstronny, wolny od wszelkiej egzaltacji i rozmarzenia. Czuć było, że nim wydał sąd o rzeczy, wprzód ją spokojnie, głęboko i dojrzałe rozważył, więc też każdy przedmiot przedstawiał

we właściwym świetle, nie uwodząc się zbyt uczuciami ani wyobraźnią. Gdy rodzina Romarhierta wracała do domu, wszyscy troje siedzieli zamyśleni w powozie. Hrabina może jedna była zadowolona z odwiedzin, ale i ona czuła pewną przykrość, z której sobie nie umiała zdać sprawy. Przypatrując się zblizka obojgiu Stefanii, musiała je nazwać uprzejmem i pełnem uszanowania, ale z drugiej strony nie dostrzegła niczego coby wskazywało, że młodej kobiecie pochlebiał zaszczyt, jaki jej swoją wizytą uczynił. Helfryda była jakby odurzona, tak płały jej się uczucia i myśli. Dumna dziewczyna, czuła upokorzenie na myśl, że jej matka starała się ukryć, a przynajmniej upozorować rzeczywiste ich kłopoty pieniężne. Rozmowa o przedmiotach, z którymi Stefanija wydała się tak obznajmioną, wszystko to było dla niej nowe, obce, i wszystko zdawało się wołać: „Przy całym swoim wysokim urodzeniu, stoisz niżej od tych ludzi, nad których tak długo się wynosiła.“ Czysty i szczerzy charakter Helfrydy uczuł tę przewagę bez gorczy, ale nie bez boleści. Gdy pomyślała o umysłowej piękności i promieniacem obliczu Jakóba, zrozumiała zaraz doskonale, że rzeczywistą piękność męczyzny nie stanowią rysy regularne odziedziczone po przodkach, ale dusza, która z nich prześwieca. Bolesnem jej było, że z wysokim urodzeniem nie łączyła korzyści wszechstronnego ukształcenia, gdy dotychczas była przekonana, że jej stan posiada wszelką wiedzę i błyszczy nią zarówno, jak urodzeniem. Dusza Hermana była prawdziwie jak na mękach; wszystkie uczucia pochłaniało jedno — dumy zranionej i upokorzonej.

Czuł, że słowa matki powiększą wzgardę Stefanii dla jego stanu i rumienił się w duchu na myśl, że tem nie-
zgrabnem osłanianiem ubóstwa ośmieszy się nazwisko
Romarhierta. W rozdrażnionej wyobraźni przedstawiał
już sobie, jak Stefanija i Jakób po odjeździe gości, ser-
decznie się śmieli z hrabiny. Na tę myśl dumna krew
jak ogień zawrzała mu w żyłach, a jednak miłość jego
dla matki była tak wielką, że z obawy, aby zbyt boleśnie
nie uczuła upokorzenia ubóstwa, jeśliby go jako-tako
nie osłoniono, nie śmiał ani jednym słowem powstrzymać
jej śmiesznej gadaniny. Z tem wszystkiem łączyło się
przeświadczenie, że w wielu względach stał niżej od Ja-
kóba. Wiedział, że nad plebejuszem amerykańskim
miał tylko jedną przewagę swych przodków, z której
Stefanija niemiłosiernie szydziła; Herman poczuł pra-
wie nienawiść ku tym ludziom, co go upokorzyli zaraz
w pierwszym z nim zetknięciu. Rzekłbyś, pycha i duma
zamieniły jego duszę w jedną niezmierną ranę, której
każde urażenie pomnażało boleść. Biedny Hermanie!
Stoisz dopiero na pierwszym szczeblu drabiny, z której
masz spaść bardzo nisko w swoim wyobrażeniu o zacno-
ści urodzenia.

ROZDZIAŁ XX.

Upłynęło parę tygodni, u mieszkańców Kungsborga
na pracy i pożytecznem rozmyślaniu, a w Furuhof w po-

nurej ciszy i boleści. Hrabina bolała w milczeniu nad
niepozornem stanowiskiem, jakie zająć musiała w skutku
niepowodzeń; bolała nad zgasłym blaskiem rodziny Ro-
marhierta i gryzła się za dzieci i siebie, ale ani jedno
słowo skargi z jej ust nie wyszło. Helfryda przeczuwa-
ła cierpienia matki, czytała je na jej twarzy i ciężkie
brzemie przyniotło serce młodej dziewczycy. Przytem
Herman zmienił się nie do poznania. Milczący, ponury
i w sobie zamknięty unikał wszelkiej poufnej rozmowy
z siostrą i coraz głębiej zapadał w posępną zadumę. Hel-
fryda widziała to wszystko, a nie umiejąc zaradzić cier-
pieniom dwóch istot, które były całym jej światem, sama
także cierpiała w milczeniu. Jednego dnia, w trzecim
tygodniu po odwiedzinach w Kungsborgu, Herman otrzy-
mał list następujący:

„Panie hrabio! Jeśli panu nie wyda się daleką prze-
jażdżką do Kungsborga, to racz pan zaszczycić mię dziś
po południu swoją obecnością. Pragnę pomówić z hra-
bią w pewnym interesie.

Z poważaniem
Stefanija Stephensen.“

Herman odrzucił z gniewem list i mruknął:—Ona i ja
nie mamy z sobą żadnych interesów.

I porwawszy arkusz listowego papieru, umaczał pió-
ro chcąc odpisać,—za pierwszym jednak wyrazem rzucił
pióro, i obróciwszy się do Fryderyka, który czekał na
odповідź, rzekł:—Powiedz, że będę.

Fryderyk wyszedł, a Herman widocznie wzburzony,

niezadowolony i niespokojny przechadzał się po bibliotece, mrużąc:—Jakie nowe upokorzenie gotuje mi ta nie-nawistna kobieta? Żłem zrobił, nie usłuchawszy pierwszego uczucia wstrętu. Powinienem był odpisać, że nie będę miał honoru jej odwiedzić. Czemu się jej poddaje, gdy budzi we mnie wstręt najwyższy? — Zobaczymy, czy i teraz jak zawsze, nie pożałuję swych odwiedzin. Jakiś los zawistny nasłał na mnie tę kobietę, by mi uczynić nieznośnem dzisiejsze położenie.

Stefanija przyjęła hrabiego w altanie. Powitawszy go serdecznie, z tak czarownym, przyjacielskim gestem podała mu rękę, że niechęć Hermana prawie znikła w jednej chwili. Nigdy jeszcze nie wydała mu się tak piękną i powabną, nigdy tak miłą i serdecznie ujmującą. Znikły ślady dumnej godności, która zwykle przeświecała z twarzy i obejścia Stefanii, i gdy się bliżej w nią wpatrzył, zdawało się, że dostrzega ślady łez na jej pięknych licach.

— Prosiłam pana na rozmowę ze mną, rzekła,—ale panie hrabio, jestem w wielkim kłopotcie, jak mam opowiedzieć interes. Gdy posłaniec wrócił z odpowiedzią, że pan spełni moje życzenie, żałowałam prawie, że pana prosiła.—Dla czego to?—zapytał Herman. Jeśli mogę czem pani służyć, bądź przekonana, że wszystko z przyjemnością uczynię. — O, panie hrabio, mam zamiar po-

prosić pana o bardzo wielką usługę, i doprawdy wołałabym udać się do kogo innego niż do pana. — Więc pani masz tak niepoehlebne wyobrażenie o moim rycerskim charakterze?—Bynajmniej, ale się lękam pańskich przesądów.—Muszę ich mieć bardzo wiele, nieprawdaż?—Tak, bardzo wiele, odpowiedziała Stefanija i na chwilę umilkła.

Hrabia patrzył na nią i pomyślał:—Jakżem niedorzeczny, tylko w mojej zarozumiałej głowie mogła powstać myśl podobna... Nim przystąpię do tego, o co pana prosić zamierzam, pozwolisz panie hrabio, że ci uczynię jedną propozycję,—rzekła nagle Stefanija. — Jaką? — Że w czasie rozmowy zupełnie zapomnę, iż pan jesteś hrabią.

Twarz Hermana wyrażała zdumienie i niechęć. Stefanija podała mu rękę, patrząc w oczy tak łagodnie i serdecznie, iż uczuł się wzruszonym i znikło wszelkie wrażenie niezadowolenia, obrażonej dumy i niechęci. Ujął podaną sobie rękę i odpowiedział:—Dla ciebie, szanowna pani, jestem, jak sama powiadasz, prostym, uczciwym człowiekiem i niczem więcej. — Dziękuję, szepnęła Stefanija. I przyrzekasz mi pan, że o tem, co powiem, nie będziesz sądził jak hrabia, ale tylko ze stanowiska rozumu?—Przyrzekam, odpowiedział Herman.—Więc teraz mogę spokojnie mówić i nie lękam się obrazić przesądów, których nigdy pojąć nie mogłam.

Stefanija umilkła i po chwili odezwała się znowu:—Przed paru tygodniami mówiłeś mi pan, że chcesz wydzierżawić Akersnäs. Byłoż to na seryjo?—Najzupełniej serjo.—Dla czego pan chciałeś wydzierżawić? zapytała Stefanija i dodała z uśmiechem patrząc na zmarszczone czoło Hermana: Zdaje mi się, że odprawiony hrabia zno-

wu ukazuje się podczas haszej rozmowy. Przecież umówiliśmy się, że o nim zupełnie zapomnimy. — Ale, szanowna pani, uczyniłaś pytanie, które... Nie bardzo jest delikatne? Może tu w Szwecyi tak się zapatrują na rzeczy, bo w Ameryce każdy uczciwy człowiek odpowie bez najmniejszego przymusu na to zapytanie, i nie dostrzeże w nim ani cienia obrazy. Mówmy przez godzinkę jako dzieci Stanów Zjednoczonych.

Znowu uśmiechnęła się tak mile i serdecznie, że rozbroiła jego dumę. Herman odpowiedział z półuśmiechem: — Niech i tak będzie, pani. Chciałem wydzierżawić Akersnäs, by sobie byt zapewnić i w życiu czynnem sprobować, czy nie zdołam poprawić stanu majątkowego, który grozi mojej rodzinie zupełnym upadkiem. Herman powiedział to z najzupełniejszym spokojem. Ale na jego bładem czole mogłeś wyczytać, jak ciężkie być musiało dla niego to wyznanie. Oczy Stefanii zajaśniały zadowoleniem.

— Dzięki hrabio Romarhierta, za tę otwartość, rzekła. Budzisz pan we mnie uczucie prawdziwego poważania. — Chociaż jestem hrabia? — Na teraz pan nie jesteś, przecieżeśmy wygnali hrabiego, odpowiedziała żartując Stefania; ale — dodała poważnie — w każdym razie masz pan zapewniony mój szacunek. A żeś mi pan teraz powiedział, com zresztą już dawniej wiedziała, więc zrobię panu jedną propozycję. Pragnęłabym mianowicie mieć do tak ogromnego majątku, jak Kungsborg, gospodarza, to jest człowieka, któryby sumiennie i starannie spełniał wszystkie czynności gospodarza i pana, i za to dzielił ze mną dochody. Otóż, czy pan byłbyś gotów należeć do takiej wspólki ze mną?

Stefania utkwiała oczy w Hermana: mimo wszelkiej mocy nad sobą, młody hrabia nie mógł powstrzymać wybuchu gniewu; w oczach jego migały straszliwe błyskawice, i dumnie odwrócił głowę. To co mu przedstawiła — ostatniemu z Romarhiertów — nic innego nie znaczyło, tylko żeby został pierwszym sługą swojego ojca. Krew wrzała w jego żyłach, gniew go dusił, nie mógł słowa przemówić. Zresztą Stefania nie dała mu czasu do odpowiedzi, przewidując, że w pierwszym napadzie obrażonej dumy odepchnie pomoc, jaką mu ofiarowała.

— Chciej pan zważyć, że proponuję mu rzeczywistą spółkę rolniczą, w której każde z nas zachowuje zupełną swoją niezależność. Jako kobieta nie znam się na rolnictwie i hutnictwie i nie umiem ocenić czy rządca, ekonom i ich podwładni należycie wypełniają swoje obowiązki. Pan przeciwnie potrzebujesz rozległej sfery działania, w której mógłbyś zachować swoją niezależność, a jednak mieć pieniężne korzyści; z tego powodu proponuję panu przyjąć zupełny zarząd nad wszystkimi moimi sprawami. Nie potrzebujesz pan zaraz powziąć postanowienia, możesz dojrzałe rozważyć moją propozycję, ale proszę pana, chciej się namyślić. Teraz czujesz pan wstręt, ale może po spokojniejszym i bliższym rozpatrzeniu się w rzeczy, inaczej na nią będziesz patrzył. Proszę tylko, abys pan jednej rzeczy wierzył: że z taką propozycją mogłam wystąpić tylko do rzeczywistego uczciwego człowieka, w którego honorze pokładam zupełne zaufanie i któremu bez obawy powierzę cały swój majątek. Nieprawdaż hrabio, że zastanowisz się nad moim projektem?

Znowu podała mu rękę z tak przyjacielskim wyrazem spojrzenia i głosu, że w istocie trudno się było mu oprzeć.

— Za dni kilka dam pani odpowiedź—rzekł Herman przyciskając do ust podaną sobie rękę. Chciej pani wierzyć, że doskonale poznaję całą szlachetność pańskiej propozycji. Pani chcesz w sposób delikatny zrobić przysługę biednemu szlachcicowi. — Toby znaczyło, że mam ku panu osobistą sympatję, a... — A tak nie jest?—Owszem, mam jak dla każdego ukształconego człowieka, którego na drodze mego życia spotykam. Propozycja moja nie ma nic szlachetnego, przeciwnie podstawą jej jest czyste samolubstwo. Potrzebuję dziś pomocy, a powiadają mi, że hrabia Romarhierta jest człowiek honorowy, surowej uczciwości, że przytem jest ukształcony i doświadczony gospodarz, doskonale obeznany ze wszystkimi sprawami będącymi w związku z zarządkiem majątku. Cóż nad to naturalniejszego, że jako szczerą Amerykanką, przywykłą rachować korzyści i straty, proponuję hrabiemu Romarhierta zawiązać ze mną wspólną przemyślową?—Do tego jednak potrzeba, żebym włożeniem pewnej summy powiększył kapitał obrotowy.—Jak mogę ja, nie mający ani grosza, należeć do takiej wspólki?—Ach, panie hrabio, widzę, że się mniej odemnie znasz na interesach. Przecież pan masz kapitał światła, nauki i doświadczenia i z niego powinienes ciągnąć procenta! Bez włożenia tego kapitału pańskiego, otrzymywać będę tak mały dochód z moich pieniędzy, że pan śmiało możesz utrzymywać, iż wkładasz znaczną sumę do wspólnego interesu. Zresztą na teraz nie mówmy o tem więcej. Chciej

pan jednak nad tem tylko się zastanowić, że my Amerykanie wcale nie jesteśmy pochopni do ofiar i że zawsze kierownikiem naszym jest własny interes. Jesteśmy samoluby. Nie podobna oddać tonu, z jakim wymówiła ten wyraz „samoluby.“ Było coś nadzwyczajnie pieszczotliwego i pochlebnego w tem wyrażeniu. Nim Herman zdobył się na powiedzenie coś więcej w tym przedmiocie, Stefanija pokazała mu wiszący na ścianie obraz, który przedstawiał młodą wieśniaczkę włoską z ciężkim koszykiem z owocami na głowie, a na lewem ręku ze śpiącym dzieciąciem. Widać było, że to podwójne brzemie było ciężkie i że wyczerpało siły wieśniaczki, a jednak jej spojrzenie, utkwione w śpiące dziecko, wyrażało cały świat miłości, który jej kazał zapomnieć o znużeniu....

— Jak się panu podoba ten obraz? zapytała Stefanija.

Herman wstał i poszedł się bliżej przypatrzeć.—Bardzo piękny, odpowiedział. Taki wyraz prawdy, może mieć tylko twarz matki...—Lub kobiety, która kocha, szepnęła Stefanija.

Serce Hermana zabiło gwałtownie na ten dźwięk pieszczotliwy, i nagle się obrócił. Ale Stefanija także wstała i zwróciła oczy na obraz. Napoły otwarte jej usta widocznie drżały, a w oczach malował się cały świat uczuć. — Więc pani sądzisz, że jest miłość równie silna i potężna jak miłość macierzyńska?

— Tak jest, miłość kobiety, która kocha po raz pierwszy. Dziecię może zapomnieć o matce, matka zapomni o dziecku, ale nigdy nie zapomni kobieta mężczyzny,

któremu pierwszą swą miłość oddała, powiada sławna autorka, i ma zupełną słuszość.

Gorący rumieniec wystąpił na blade zwykle lica Stefanii. Herman patrzył na nią w milczeniu i słuchał bicia własnego serca. Nastąpiła chwila milczenia, gdy nagle Stefanija zagadnęła Hermana:

— Czy pan wie, kto malował ten obraz?—Nie wiem. — To Jakób Lange. — A! — Ależ pan Jakób Lange jest przecie mechanikiem?—Z powołania, to prawda, ale ma usposobienia poetyczne, i oto pan widzisz ich owoc. W Ameryce nie poniża artystę, gdy jest współcześnie użytecznym, człowiekiem praktycznym. Owszem, im wielostronniej jest ukształcony, tem większe zjednywa sobie poważanie.

W pół godziny później hrabia odjechał do domu.

Wieczorem powrócił Jakób, i szukając Stefanii, wszedł do altany.—No, jakże hrabia przyjął propozycję? zapytał.—Doprawdy, sama nie wiem, odpowiedziała Stefanija smutnie się uśmiechając. Naturalnie, perwsem wrażeniem była obrażona duma, drugim uczucie—Bóg wie czego.—Może wdzięczności, zagadnął Jakób ze śmiechem i patrzył na Stefaniję, bawiąc się koronką jej rękawa.—O nie, było to, jakby uznanie, że nie wyrządza mu zniewagi. Pomimo to obawiam się, czy cały projekt nie

rozbije się o jego dumę. — Wszak Elina miała do niego pisać z propozycją, aby objął administrację jej majątku służącą mu z prawa, rzekł Jakób.—To prawda, i jak mi się zdaje, powinien dziś w wieczór list od niej otrzymać. Dlatego dziś także uczyniłam mu moją propozycję. Wiem, że jego interesa majątkowe są w najgorszym stanie, i dla ich polepszenia ma przed sobą dwie drogi. Od wyboru, jak uczyni, zależy mój szacunek dla niego. Jeżeli po latach dziesięciu przyjmie ofiarę od odepchniętej i wzgardzonej żony byle ciągnąć pieniężne korzyści, uważać go będę za człowieka bez czci i godności i wtedy zerwę z nim wszelkie stosunki. Niech sobie Elina radzi z nim w przyszłości, jak może. Jeśli przeciwnie da pierwszeństwo mojej propozycji, będzie to dowód, że woli z honorem pracować na swoje utrzymanie, niż zawdzięczać je kobiecie, która w jego oczach nie jest godną być jego małżonką. Tak postępując, może naprawić wiele złego.—A jeśli obiedwie propozycję odrzuci?—Ha, w takim razie, pozostanie wierny swemu nieugiętemu charakterowi i przynajmniej nie poniży go poziomą interesownością, odpowiedziała Stefanija z wyrazem znużenia opierając głowę o poręcz krzesła i smutnie patrząc przed siebie. — Czy wiesz, Stefanijo, zagadnął Jakób, że kiedyś przyznałaś mi rzadką zdolność czytania w twoich myślach i odgadywania uczuć?—O, zawsze ci przyznaje, ale—dodała zarumieniona—przecież nie myślisz teraz czytać w mej duszy i tłómaczyć, co się w niej dzieje?—Byłaby to praca zbyt ciężka, rzekł Jakób. Chcę tylko powiedzieć ci jedną przestrożę: Miej się na baczności, ostrożnie z ogniem! bo się poparzysz.

Stefanija zimno spojrzała na Jakóba.

— Ach, ach, Stefanijo, po co pod tem zimnem spojrzeniem ukrywać istotną prawdę? Czy sądzisz, że mnie zdołasz w błąd wprowadzić?—Jakóbie, nierozumiem cię, mów jasniej. — Dobrze, więc powiem, że ty, coś mówiła przed kilku laty: „Miłość jest dla mnie uczuciem obcym, i zawsze takiem pozostanie“ teraz narażasz się na niebezpieczeństwo.—Zabrać z nią znajomość? dokończyła Stefanija, kładąc rękę na ramieniu Jakóba.—I Herman Romarhierta ma we mnie obudzić to uczucie? Nie Jakóbie, nie, na Boga! Między nim i mną jest cała przepaść cierpień. Hańbą byłoby kochać tego człowieka!

Jakób milcząc, patrzył na nią smutnie. Po chwili odezwał się znowu:—Wszak Elina ma zamiar przyjechać do Szwecyi?—Tak, na przyszłe lato. Powiedz, Jakóbie, co ty cierpisz do biednej Eliny? — Nie lubię jej za to, że jest mało prawdziwą, że wszystko w niej jest udane. Uważam ją za doskonałą aktorkę, którą bym podziwiał na deskach teatralnych, ale w życiu rzeczywistym nie lubię. Kocham prawdę, a co nie jest prawdziwe, budzi wstręt we mnie. Nie cierpię żadnej, nawet najniewinniejszej obłudy, a Elina ze zdumiewającą łatwością odgrywa przeróżne role.

Stefanija zwiesiła głowę zamyślona.

— Do pewnego stopnia masz słuszność, rzekła po chwili milczenia. W istocie, Elina zdolna jest odegrać każdą, jaką chcesz rolę: zważ jednak, że okoliczności utworzyły ją taką, jaką jest dzisiaj. Znam od lat wielu Elinę i wiem, że ma serce najlepsze, ale doznana wzgarda i cierpienia, wyrobiły w niej charakter wzgardliwy

i fantastyczny. Igraszka pychy ludzkiej teraz mści się po swojemu, żartując z ludzi. — Może sądzę o niej zbyt surowo, może jest lepszą, niż mniemam, dodał Jakób.

ROZDZIAŁ XXI.

Upłynął cały tydzień, a Stefanija nic nie słyszała o hrabi Hermanie. Już była pewną, że przyjął propozycję Eliny i zgodził się objąć zarząd jej majątku. W domysle tym utwierdziła ją wiadomość, że Herman wyjechał w daleką drogę. Jednego wieczoru w sobotę, w ośm dni od ostatniej bytności hrabiego w Kungsborgu, Stefanija poszła na pierwsze piętro swojego zamku. Jakób pojechał do stolicy za interesami, a Jane w każdą sobotę zajęta była rozdawaniem odzienia, chleba, mąki i t. p. rzeczy między ubogich. Głęboko zamyślona Stefanija przeszła obszerne sale, których staroświeckie sprzęty pozostały nietknięte. Wracając zatrzymywała się w galerii obrazów, którą teraz zapełniały piękne i szacowne dzieła sztuki. Czy Stefani nie spoczęły na żadnym obrazie, lecz niespokojnie szukały jedyne, jaki pozostał, portretu przedstawiającego hrabinę Romarhierta, córkę bretońskiego rybaka. Założywszy ręce na pierśsiach Stefanija wpatrywała się w obraz tej pięknej i pra-

wdopodobnie nieszczęśliwej kobiety, którą odepchnęła dumna rodzina. Długo tak stała pogrążona w jakichś gorzkich myślach, zapomniawszy o reszcie świata.

— Przebacz pani, że ją aż tu nachodzę, odezwał się nagle za Stefanią głos dobrze znany.

Młoda kobieta obróciła się przestraszona. Obok niej stał hrabia Herman; w chwili jednak gdy obróciła twarz ku niemu, ze zdumieniem ujrzał, że to zwykle spokojne, surowe oblicze, teraz było zalane łzami; widok ten mimowolnie zwrócił oczy Hermana na obraz i z wielkiem zadziwieniem poznał portret Gunili. Gdy zdumiony patrzył na ten portret, Stefania zupełnie oprzytomniała i prędko otarłszy łzy z policzków, rzekła: — Witam pana hrabiego! Jużem przypuszczała, że pan nigdy nie zajrzy do Kungsborga. — A, pani, byłaby to niedarowana niegrzeczność, odpowiedział Herman i znowu spojrzął na portret hrabiny Gunili, na przeciw którego stali. — Co pani widzisz ciekawego w tym obrazie, i dla czegoś go pragnęła zatrzymać? zapytał. — Bo ta kobieta była wzgardzona i odepchnięta, odpowiedziała Stefania poważnie i smutnie. — Zna pani jej historję? — Nie. — A jednak widok tego obrazu wyciska łzy z pani oczów? — Głos wewnętrzny mi mówi, że była nieszczęśliwą. Patrząc na nią, przeżyłam w duszy męczarnie upokorzenia, niewzajemnej miłości, zaniedbania i niezasłużonej wzgardy, które były udziałem tej biednej kobiety. Panie hrabio, niewątpliwie musiała wiele cierpieć; jakąż to niesprawiedliwość, w niedorzecznej pysze skazywać na tyle cierpień słabą istotę dla tego tylko, że nie była szlacheckiego rodu! Biedna kobieta, samotna i opuszczona! — wyszeptała boleśnie Stefania.

Herman milczał. Przykre wspomnienie oskarżało go, że i on postąpił sobie równie nieszlachetnie jak jego przodek w którym duma zabiła miłość.

— Rzecz dziwna, mówiła dalej Stefania, że patrząc na obraz, przenikamy się życiem i cierpieniami osoby wyobrażonej, i serce nasze zakrwawia ta sama boleść, jaka niegdyś napełniała serce osoby, której obraz widzimy. — Zapewne, odparł Herman, ale rzadko się zdarza, abyśmy tak przejmowali się cierpieniami drugih osób, chyba że sami doznajemy podobnych. Jak naprzykład pani możesz rozumieć cierpienia, które prawdopodobnie pustoszyły to serce? — O, bardzo łatwo, — wzgardzony najlepiej pojmuje wzgardzonych.

Stefania wymówiła te słowa tonem tak przejmującym, że Herman mimowolnie zadrżał. Nastąpiła chwila milczenia, potem Stefania dodała z obojętnym uśmiechem: — Jeśli pozwolisz panie hrabio, to zejdziemy do salonu. Domyślam się, że mi pan przynosisz odmowną odpowiedź. — Z czego pani wnosisz? — zapytał hrabia. — Tak mi się zdawało, gdy...

Stefania umilkła i wyszli z galeryi. — Gdy co? — Gdy patrzyłam na obraz wzgardzonej hrabiny Gunili. Przypomniało mi to wszystko, co mówiono o waszej dumie familijnej, i doprawdy żałowałam, że uczyniła panu propozycję, którą pewnie uważasz jako upokorzenie. A jednak...

Stefania utkwiała w Hermanie wzrok spokojny i poważny. — Racz pani mówić dalej, prosił hrabia. — A jednak mogę pana święcie zapewnić, że raczej sama poddałabym się wszelkiemu upokorzeniu, niżbym powzięła

myśl obrażenia kogokolwiek memi słowy lub postępkami.—O tem jestem najmocniej przekonany, odpowiedział Herman. Pani nie jesteś zdolną źle czynić.

Gdy weszli do salonu, Herman rzekł głosem stanowczym:—Przyszedłem dać odpowiedź na propozycję pani. Przyjmuję ją.

Stefanija spojrzała na młodego człowieka, i twarz jej zajaśniała radosnem zdziwieniem.—Dziękuję, hrabio Romarhierta, odpowiedziała podając mu rękę, którą Herman chwilę trzymał w swoich, a potem nagle do ust przycisnął.

Nastało znowu milczenie. Stefanija przerwała je mówiąc o interesach. Hrabia miał przyjechać nazajutrz dla ułożenia i podpisania kontraktu. Hrabia pozostał do wieczora. Mówiono o pokojach, które zajmie i o mnóstwie innych rzeczy obojętnych. A jednak Herman nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwym w towarzystwie Stefanii.

Przy rozstaniu zagadnęła Stefanija:—Czy zawiadomił pan rodzinę o swoim postanowieniu? — Nie jeszcze. Chciałem naprzód dać słowo, że przyjmuję urząd, jaki mi powierzasz.—Urząd?—Tak, szanowna pani. Chociaż podobало ci się dać mu inną nazwę, zawsze jest to urząd, albo raczej służba u pani, którą podejmuję się pełnić jak... prawdziwy szlachcic, chciałem powiedzieć, ale takiego zapewnienia pani byś nie przyjęła, — dla tego powiem: jak uczciwy człowiek. — Z tych słów pańskich jestem najzupełniej zadowolona. Stefanija podała mu rękę na pożegnanie, i po chwili rączy koń uniósł cwałem młodego hrabiego.

Nazajutrz rano Helfryda i Herman siedzieli pod drzewami w wielkim lesie sosnowym. Młody hrabia właśnie skończył opowiadanie, które oblokło chmurą piękne rysy Helfrydy. Gdy umilkł Herman, siostra zapytała:—Więc odrzuciłeś propozycję?—Naturalnie, odpisałem, że nigdy nie byliśmy małżonkami i nigdy nie będziemy, gdyż tylko ma odemnie prawo noszenia mojego nazwiska; z tego powodu nie mogę korzystać z jej majątku.—Nigdy nie chwaliłam twojego postąpienia z Eliną i nigdy nie pochwałę, odpowiedziała Helfryda; ale w zupełności pochwalam, że nie przyjmujesz majątku, kiedyś jej nie dał praw żony. Inaczej, byłaby to prawdziwa kradzież. Równie drażliwą propozycję pani Stephensen zapewne także odrzuciłeś? — Owszem, przyjąłem, rzekł hrabia stanowczo.

Helfryda drgnęła.

Hermanie! chyba żartujesz? zawołała.—Dziecko, czy mi ochota do żartów!—Ty hrabia, zostaniesz pierwszym sługą jakiejs pani Stephensen!—Tak jest. I zostając nie będę się czuł upokorzonym. Uczyniła mi propozycję w sposób tak delikatny i szlachetny, że mi pochlebiało zaufanie, jakie pokłada w moim honorze. Helfryda patrzyła błędni oczyma na brata, jakby nie rozumiejąc dobrze, co mówił.—Helfrydo, mówił dalej Herman—jednej tylko rzeczy nie mógłbym przenieść, to jest, żebyśmy prędzej lub później zjedli nasz kapitał i byli zmuszeni odstąpić wierzycielom ostatni kawałek ziemi, jaki przy nas pozostał. Chodź, pójdziemy do mamy, muszę ją zawiadomić o powziętem postanowieniu i zaraz jechać do Kungsborga.

Helfryda wdychając wsparła się na ramieniu brata i w milczeniu wrócili do domu. Nie powtórzymy tu rozmowy hrabiego z matką. Była to ciężka walka, którą musiał stoczyć z kobietą dumną i upartą, nie chcącą pojąć, że smutny stan majątku wymagał takiej ofiary. Herman czule kochał matkę i pragnąłby oszczędzić jej boleści jaką musiało jej sprawić jego postanowienie, ale z drugiej strony wiedział, że postępuje rozstropnie. Ach! tyle już przeżył wypadków, w których duma matki stłumiła w nim uczucie słuszności: teraz nadszedł czas by z kolei duma matki umilkła. Około południa Herman pojechał do Kungsborga, gdzie już zastał sędziego okręgowego i dwóch notaryuszów. Spisano zaraz formalny kontrakt, na mocy którego cały zarząd Kungsborga z nieograniczonem pełnomocnictwem właściciela złożony został w ręce hrabiego Romarhierta. W zamian zapewnił hrabiemu w kontrakcie stosowny procent od dochodów majątku. Po podpisaniu kontraktu i sutym obiedzie, prawnicy odjechali. Hrabia jeszcze pozostał. Gdy sami zostali ze Stefanią, wziął do rąk kontrakt i rzekł: — Ułożony przez panią kontrakt, był trochę jednostronny, dla tego prosiłem sędziego, by dołączył te wyrazy: „z prawami właściciela we wszystkim, co nie będzie przeciwnie mojej woli i moim życzeniom.“ Bez dodania tych wyrazów, kontrakt nadawałby mi władzę opiekuna, na co w żaden sposób zgodzićbym się nie mógł. — Ufałam znanej prawości pańskiej i surowemu pojęciu o honorze, odparła Stefania, i dla tego nie obawiałam się nadużycia władzy, którąś pan zgodnie z moją wolą otrzymał. W kilka dni później Jakób wrócił z podróży.

— Hrabia przyjął moją propozycję i w przyszłym tygodniu zajmie mieszkanie w Kungsborgu, rzekła Stefania witając go. — Dumny hrabia przyjął u ciebie służbę? — Tak. — Oto masz jego odpowiedź na list Eliny. Stosownie do twojego polecenia wziętem ją w wiadomem miejscu.

Stefania rozpieczętowała list mówiąc: — Jeśli odmo-
wa jest zbyt dumną, oszczędzimy Elinie upokorzenia, zamiast tego listu posyłając od siebie kilka wyrazów. Młoda kobieta zabierała się do czytania listu, gdy Jakób schwycił jej rękę i rzekł: — Alboż to Elinie nie będzie lżej niż tobie znieść upokorzenie od jego słów dumnych?

Stefania spojrzała na niego, oczy ich się spotkały. — Jakóbie! szepnęła młoda kobieta zmieszana wyrazem jego spojrzenia. — Nie czytaj listu, błagał zcicha młodzieniec, oszczędź sobie tej boleści.

Stefania wahała się przez chwilę, potem podniosła głowę i rzekła stanowczo: — Nie, muszę przeczytać. Muszę wiedzieć, jak po latach dziesięciu przemawia do biednej Eliny.

I czytała:

„Szanowna pani!

Jakkolwiek szlachetną jest ofiara pani, muszę ją stanowczo odrzucić. Powiadasz pani, że mąż jest naturalnym administratorem majątku swojej żony. Masz pani zupełną słuszność, ale zapominasz, że nie jesteśmy małżonkami, że ja nie jestem pani mężem. Zbliżenie w stosunkach finansowych byłoby także zbliżeniem między nami samymi, a ja nie mogę i nie chcę na nie zezwolić. Nic od pani nie przyjmę, i prędzej czym bądź będę

dłużnikiem, byle nie pani. Raz w życiu stałem się pani dłużnikiem i zapłaciłem mój dług ofiarą swobody i nałożeniem na siebie więzów na zawsze. Więc między nami kwita. Honor nie pozwala mi być powtórnie pani dłużnikiem, bo nie mógłby nic dać pani wzajem — ani przywiązania ani współczucia. Pozwolisz przeto pani, że odtąd jak i dotychczas będziemy unikali wszelkich z sobą stosunków, gdyż między Eliną Martenson i Hermanem Romarhierta, nie może być zbliżenia. Prędzej połączą się dwa przeciwne bieguny ziemskie, niż ja z panią.

Herman Romarhierta.“

— Czytaj! zawołała Stefanijsa, podając list Jakóbowi i padła na poręcz krzesła. Twarz jej była blada zimna jak marmur. — Więc brzydzi się wzgardzoną, zawiązawszy jej los bez miłosierdzia, wybuchnął Jakób. — Tak. — A jednak masz nadzieję! — Nadzieję! powtórzyła Stefanijsa z takim uczuciem braku wszelkiej nadziei, że dreszcz przeniknął Jakóba. — Przecież spodziewasz się połączyć Elinę z Hermanem? Nie Jakóbie, tego się nie spodziewam. Ach, zbyt dobrze czuję jego wstręt ku niej. — Więc cóż zamierzasz począć? — Dać mu poznać na czem zależy prawdziwa godność człowieka, dać mu poznać że nie postępuje zgodnie z prawdziwym honorem, choć mu się zdaje, że słuchał głosu honoru. — Ale cóż potem? — Potem — potem wyniosły szlachcic zostanie — człowiekiem. — I myślisz, że wtedy sam zapragnie zbliżyć się do Eliny? — Nie, ale ją błagać będzie przebaczenia za wyrządzoną jej niesprawiedliwość. — A czy nie pomyślałaś o tem, że zobaczywszy ją teraz, kobietę, niezaprzeczenie piękną i powabną, możeby ją pokochał? zapytał Jakób bystro patrząc w oczy Stefanijsi.

Młoda kobieta odpowiedziała blednąc i rumieniąc się z kolei.

— Choćby i tak było, czy myślisz, że Elina zapomni jego postępkę, który był przyczyną, że ojciec rodzony ją odepchnął? Czy myślisz, że zapomniała, iż hrabia Herman ani razu nie chciał się wstawić do ojca o przebaczenie mniemanej winy? Że zimno odepchnął jej prośby i odesłał listy nierozpieczętowane? Nie między nim i Eliną jest przepaść niesprawiedliwości i obelg, których nigdy nie zapomni. Ona go nigdy nie będzie kochała. — Czy mocno jesteś o tem przekonana? — Jestem najmocniej przekonana, że Elina nigdy nie będzie kochała tego człowieka. — A ty Stefanijsa? — Jakóbie, znowu wracasz do tej myśli? Czyś zapomniiał, że on jest żonaty i że wiem o wszystkich krzywdach, jakie wyrządził Elinie? — Nie, nie zapomniiałem niczego, ale zastanawiam się nad przeszłością i porównując ją z teraźniejszością, lękam się o przyszłość. — O przyszłość przedemną? — Nie, Jakóbie, mogłam ją mieć dawniej, mogłam kochać i być szczęśliwą, ale to minęło na zawsze. Teraz miałabym być igraszką ślepej miłości? Niepodobna! Stefanijsa przestała żyć dla siebie, teraz żyje tylko dla drugih. Dobra noc, Jakóbie.

ROZDZIAŁ XXII.

W kilka dni później Stefanijsa zaprosiła do siebie wszystkich sąsiadów. Było to z jej strony pierwsze za-

proszenie. Rozumie się, hrabia Romarhierta należał także do gości. Hrabina wymówiła się słabością, ale Helfryda dała się namówić bratu i pojechała. Inni sąsiedzi nie omieszkali przyjechać, bo każdy ciekawy był poznać bogatą Amerykankę. Wszyscy przy tej sposobności wysilili się na największy przepych w strojach. Towarzystwo było bardzo świetne, zwłaszcza, że większa część gości należała do arystokracji. Strój Stefanii był bardzo prosty, chociaż przy bliższem rozpatrzeniu się, ta prostota była kosztowniejszą, niż świetne materyje i błyskotki innych kobiet. Jak zwykle, ubrana była zupełnie czarno. Jedyną ozdobą skromnej sukni była spinka z czarnych dyamentów rzadkiej piękności i wysokiej ceny, oraz bransoletka z takich samych kamieni. Powierzchność jej była tak powabna i ujmująca, że wprawiała w zdumienie gości, a gdy ujrzano obok niej stojącego Jakóba, każdy miał ochotę zawołać:

— Jaka piękna para!

Wszyscy się już zebrali, gdy Eklund głośno i dobitnie anonsował hrabiego Romarhierta i jego siostrę. Jakób zajęty żywą rozmową z baronem H. obrócił się ku wchodzącym, i jego bystre, promieniejące oczy z wyrazem zadowolenia spoczęły na Helfrydzie. Widocznie postać jej sprawiła mu rokosz. Bo też Helfryda była w istocie piękną tą majestatyczną, królewską pięknością, którą celują szwedzkie arystokratki.

— Byłaby prawdziwie piękną, gdyby miała mniej powagi, pomyślał Jakób witając ją.

Późno wieczorem kilka osób, między innemi Helfryda, zebrały się około Jakóba. Mówiono o Anglii i o ży-

ciu w Ameryce.—Dziwny to kraj—zauważyła młoda baronowa F.—Niema tam ani arystokracji ani szlachty nawet.—A jednak, odparł z uśmiechem Jakób, czyni olbrzymie postępy pod względem umysłowym i moralnym.—Brzmi to w pańskich ustach, jakby arystokracja niebardzo przyczyniła się do podobnego rozwoju, zarzuciła baronowa, śmiejąc się i zalotnie spojrzawszy na młodzieńca. Przyznasz pan, że to niebardzo grzecznie z jego strony.—My Amerykanie w ogóle nie jesteśmy grzeczni, odpowiedział Jakób, i dla tego raczy pani przebaczyć mi tę wadę narodową.—Pod jednym warunkiem, rzekła baronowa, że pan wytlómaczysz się z tak niepochlebnego zdania o arystokracji.

Baronowa była wcale powabna wdowa, a gdy chciała być zalotną, umiała być niewymownie ujmującą.—Pozwoli pani, że w tym razie nie spełnię jej życzenia, odrzekł Jakób. Musiałbym powiedzieć rzeczy, któreby mogły obrazić towarzystwo, złożone przeważnie z arystokracji.—Więc przyznaj przynajmniej, nalegała baronowa, że życie towarzyskie w Ameryce jest niezmiernie proste, bo nie ma tam wyższego towarzystwa, przedstawiającego klasę ukształconą.—Temu przeczę, odparł Jakób. Nie masz może nigdzie tak przyjemnego towarzyskiego życia jak w Nowej Anglii, właśnie dla tego, że tam wcale nie znają tak zwanego wyższego towarzystwa. Bawią się często i ochoczo, ale z zaufanymi przyjaciółmi i rozmowy wówczas toczą się o prawdziwie nauczających przedmiotach. W Ameryce przeważa duch ogólnego ukształcenia, którego nie napotka się w reszcie świata. Słusznie też powiedział Tocqueville: Ogólne ukształcenie

w Ameryce jest dla każdego dostępne: ale wytwornisiów naukowych tam nie znają.

W tym duchu toczyła się dalej rozmowa, gdy muzyka wezwała do tańca.—Czy pan tańczy? zapytała baronowa młodego Amerykanina, podając rękę baronowi H.—Nie, nigdy, odpowiedział Jakób.—Pewnie pan kwakier? rzekła baronowa i odeszła ze swoim tancerzem.

Helfryda i Jakób zostali sami.

— A, pani także nie tańczy? zapytał Jakób obracając się do młodej dziewczyny. Owszem, ale nie dzisiejszego wieczora, odpowiedziała Helfryda. Do tańca jak do muzyki potrzebne jest usposobienie. — Ma pani zupełną słuszość. Taniec jest wyrażeniem radości, a kto jej nie czuje, zadaje sobie gwałt tańcząc.—A jednak, czy pan sądzisz że wielu z tych, co dziś wieczór tańczą, są rzeczywiście w usposobieniu wesołym i znajdują przyjemność w tańcu?—Prawdopodobnie nie wielu. — A przecież tańczą. — Bo jesteśmy nie naturalni i nie szczerzy, pani. Niewolnicy przesądów, któremi rozum gardzi, poddajemy karki pod jarzmo zwyczajów, nie mając odwagi go zrzuścić. Co do mnie, doprawdy lituję się nad Europejczykami.—Z drugiej jednak strony możnaby twierdzić, że młode osoby jeśli są na balu, powinny tańcować; inaczej lepiej niech siedzą w domu. — A to dla czego? Alboż nie mogę mieć przyjemności patrząc, jak drudzy tańczą, lub rozmawiając z osobami, z którymi sympatyzują? — Dla czego jednak pan nie tańczy? czy z jakich religijnych pobudek?—Bynajmniej. Jestem uniwersalistą, a jak pani wiadomo, dla należącego do tej sekty chrześcijańskiej wola własna jest jedynem prawem dla jego przyjemności.

Religija wcale się tu nie miesza. Nie czuję żadnej przyjemności w tej dziecinnej zabawie i patrząc na tańczących, zda mi się, że widzę gromadę trefnisiów. — Jeśli mam prawdę wyznać, dodała Helfryda i ja nie znajduję wielkiego powabu w tańcu.

W tej chwili jakaś brunetka walcując, przesunęła się około drzwi otwartych.—Kto jest ta pani? zapytał Jakób. — Pułkownikowa D. odpowiedziała Helfryda. — A, słyszałem o niej. Mówiono mi, że wiele wycierpiała w młodości.—A tak, trochę, gdyż weszła do rodziny która... Sądziła, że jest zbyt niskiego urodzenia, nie prawni? —W istocie, i miała zupełną słuszość, gdyż ta kobieta jest po prostu córką zakrystyjana.

Trudno opisać wyrazu dumy, z jakim Helfryda wymówiła te wyrazy.

Jakób spojrział na nią zdziwiony.

— Możesz że pani chwalić, że dumna rodzina lekceważyła ją z powodu jej niskiego pochodzenia? zapytał.—Ganię to, że pułkownik D. ożenił się z tak pospolitą dziewczyną.—Prawdopodobnie ją kochał.—To nieusprawiedliwia. Miłość jest poniżeniem, jeśli nas prowadzi do zapomnienia obowiązków względem nas samych i względem naszego stanowiska w społeczeństwie.—O, przesady! kiedyż przestaniecie być kajdanami rozumu! zawołał Jakób z melancholicznym uśmiechem. — Nazywasz pan przesądem szacunek należny dla naszej godności człowieka? pytała Helfryda. — Łaskawa pani, chłodno odparł Jakób, jest tylko jedna godność człowieka, przed którą z uszanowaniem winniśmy chylić głowę, a tą godnością, jest przewaga moralna. Taką zaś przewagę moralną czę-

ściej znajdujemy u pracowitego rzemieślnika, niż u delikatnego arystokraty. Ale daruj pani, obrażam cię swojemi nieprzesądnymi wyobrażeniami.—Więc pan sądzisz, że ja mam wiele przesądów? zapytała śmiejąc się Helfryda.—Bardzo wiele pani.

Słowa Jakóba nie obrażały młodej arystokratki, owszem budziły w niej jakieś dziwne, nieokreślone zającie...

We dwa tygodnie później Herman zajął mieszkanie w Kungsborgu. Stefanija kazała uporządkować lewe skrzydło i oddać je do rozporządzenia hrabiego. W dniu w którym Herman przyjeżdżał do Kungsborga dla zajęcia stałego mieszkania, Stefanija w towarzystwie Jane wyjechała z wizytą w sąsiedztwo. Czuła, iż dla Hermana musiała być przykrą chwilą powrotu do zamku przodków jako osoby zależnej. Późno wieczorem wróciła z odwiedzin, a noc sierpniowa już zarzuciła ciemny swój płaszcz na ziemię, gdy powóz zatrzymał się przed gankiem. Służący opuścił stopnie, a Stefanija ujrzała mężką postać przy drzwiczkach powozu i wyciągniętą rękę, by jej pomódz wysiąść. Stefanija była pewną, że to Jakób, i rzekła chwytając podaną sobie rękę: — Co, jużes powrócił Jakobie? Myślałam...

Stefanija umilkła nagle, gdyż to nie był Jakób. Blask

lampy padł na twarz osoby, która stała przy powozie, i młoda kobieta zawołała zdziwiona:—A, to pan hrabia! —Niestety, nie pan Lange, odrzekł Herman z ironiją. Nie mogłem jednak oprzeć się pragnieniu, jeszcze dziś w wieczór usłyszeć z ust pani powitanie.

Te ostatnie wyrazy wymówił z niezwykłą serdecznością. Hrabia wziął Stefaniję pod rękę i wprowadził ją po schodach do salonu. Hermanowi się zdawało, że ręka jej zadrażała i że mocne rumieńce wystąpiły na jej jagody, gdy światło lampy padło na jej rysy. Bądź jak bądź, gdy weszli do sali, Stefanija rzekła tonem spokojnym podając rękę Hermanowi.

— Serdecznie witam pana w Kungsborgu, i bogdaj pan zapomniał nieprzyjemności, jakie to miejsce może w panu budzić.—Dziękuję pani, odpowiedział. Czułem rzeczywiście potrzebę przyjacielskiego z jej strony powitania, a byłbym je stracił, nie czekając na jej powrót. Pani umyślnie chciałaś mię pozbawić tej przyjemności. —Gdybym wiedziała, że pan przywiązujesz do tego jaką wagę, pierwsza powitałabym tu pana, ale... — Chciałaś pani oszczędzić mi boleści być witanym jako osoba podrzędna w domu swoich przodków. Nie prawdaż?—Pragnęłam uwolnić pana od widoku terazniejszej właścicielki tego domu, i oszczędzić przykrego wspomnienia, że ten zamek dziś do kogo innego należy.—Widok pani godzi mię ze wszystkim, odparł porywczo Herman, jakby te wyrazy mimowolnie wybiegły z ust jego.

Stefanija zdawała się tego nie słyszeć, gdyż zwróciła zaraz rozmowę na inne przedmioty, rozpytując o matkę i siostrę. Po kilku słowach obojętnych, hrabia poże-

gnał młodą kobietę i odszedł. Stefanija stała przez chwilę nieruchoma, potem wyszeptwała. — O pycho arystokratów! Jeśli stajesz się mścicielką Eliny, moje współdziałanie jest zbyteczne.

ROZDZIAŁ XXIII.

Upłynęło lato i część zimy; nowy rok z jasnym niebem nastał po świętach Bożego Narodzenia. W Kungsborgu rzeczy szły zwykłym trybem. Stefanija z pracowitą gorliwością zajmowała się wszystkim, co się tyczyło dobroczynności i moralnego polepszenia bytu podwładnych; ale nigdy nie przekroczyła obrebu działalności czysto niewieściej. Umiała także używać życia, zadawałając popęd do wytworności i uciech towarzyskich, tak iż Kungsborg miał współcześnie najdobroczynniejszą i zarazem najgorliwiej dbałą o los ubogich właścicielkę, i zarazem był wzorem gościnności i dobrego tonu. Przy tem wszystkim Stefanija była pełna prostoty i naturalności, wolna od wszelkich rażących pretensyi. Jakób zagospodarował się na piękne w Akersnäs, gdzie jego warsztaty były w ciągłym ruchu. Wieczorem przyjeżdżał do Kungsborga wypocząć godzin kilka, bo jeszcze ciągle tu mieszkał, chociaż urządził sobie kilka pokoi

w Akersnäs. Hrabia Herman, jako głowa majątku, zarządzał bardzo starannie i sumiennie. Przyjął zdolnego rządcę i doświadczonego ekonoma, sam przytem osobiście wszystkiego doglądał z większem zajęciem i gorliwością niż własnego majątku. Rolnicze interesa i ważne ulepszenia gospodarskie, jakie zamierzał wprowadzić, wymagały częstych, dłuższych lub krótszych podróży, tak iż w pierwszych miesiącach hrabia rzadko cały tydzień przepędził w Kungsborgu, a i wtedy mało miał czasu dla towarzystwa Stefanii, gdyż wieczorem chętnie jeździł do Furuhof. Z tych i innych powodów obejście jego ze Stefaniją nie mogło stać się poufalszem; zdawało się, że młoda kobieta postępowaniem pełnem godności stawiała mur graniczny między nim i sobą, trudny do przebycia; chociaż z drugiej strony obejście jej nie miało ani cienia wyniosłości, którą panie rade okazują względem podwładnych. Zawsze postępowała jak w początkach znajomości, widząc w nim tylko hrabiego Romarhierta. Za to częściej odwiedzała Furuhof i swoim zajmującym towarzystwem, skróciła nie jedną nudną godzinę chorej hrabinie, która podczas jesieni i zimy mocno cierpiała na piersi. Jakób także stał się pożądanym i miłym gościem w Furuhof; hrabina raczyła bardzo łaskawie i z wielką godnością przyjmować go i Stefaniję. Na święta Bożego Narodzenia wyjechała Stefanija do stolicy i przepędziła tam cały miesiąc. Właśnie powróciła przed kilku dniami do Kungsborga, a że w zimie zatrudnienia gospodarskie są mniejsze a interesa rzadsze, i hrabia miał więcej swobodnego czasu, zdawało się więc, że między nim i Stefaniją, koniecznie nastąpi większe zbli-

zenie. Po południu jednego z pogodnych dni Lutego, Stefania pojechała do Furuhof. Jakób miał tam przyjechać z Akersnäs; jakoż zaledwie Stefania wysiadła z sanek, gdy wjechał na dziedziniec. Hrabina przyjęła ich ze zwykłą pańską grzecznością, a Helfryda szczerze i serdecznie. Jakób przywiózł z sobą kilka książek angielskich i rozpowiadał ich treść Helfrydzie, a tymczasem hrabina mówiła Stefani o swoim synu i z zadowoleniem dumnej matki wychwalała rzadkie przymioty młodego człowieka, utrzymując, że zrobiłby najświetniejszą karierę, gdyby nieszczęśliwe okoliczności nie stanęły na przeszkodzie.

— Nie pojmuję, rzekła Stefania spuszczać oczy, dla czego hrabia dotychczas się nie ożenił. Myślę, że mając tak świetne przymioty, mógłby zrobić wyborną partyję.

Mówiąc to, młoda kobieta spojrzała na hrabinę i na siedzącą obok Helfrydę. Matka i córka drgnęły, jakby kto je uraził w niezabliźnioną ranę.

— Herman mógł wprawdzie zrobić świetną partyję, ale teraz już nie może, odpowiedziała głucho hrabina. — Czemużby nie? nalegała Stefania. Pan hrabia posiada wszystko, co może podobać się młodej kobiecie. — A jednak nigy nie robi stosownej partyi.

Hrabina wymówiła te wyrazy stanowczo i wyniosłe, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie, by dłużej rozmawiano o tym przedmiocie. Tejże chwili wszedł hrabia Herman witając matkę z uszanowaniem, siostrę serdecznie, Stefanię grzecznie a Jakóba zimno. Rozmowa toczyła się o pogodzie, potem o podróżach, gdy nagle

wtrąciła Stefania: — Podczas mojej bytności w Paryżu zabrałam znajomość z hrabiną Romarhiertą; czy to jaka krewna państwa? — Zapytanie to zwróciła do Hermana, który siedział przy niej; młody człowiek zbłądł, hrabina przyłożyła do nosa fłaszczkę z solami, a Helfryda nagle podniosła głowę.

— Jest z nami spokrewnioną przez związki małżeńskie, odpowiedziała z wysileniem hrabina. — Bardzo mi przyjemnie to słyszeć, odparła Stefania, gdyż w istocie nadzwyczajnie to miła osoba. Ma zamiar przyjechać do Szwecyi na lato, i obiecała odwiedzić mię w nowym mieszkaniu. Będzie więc mogła odświeżyć znajomość ze swojemi krewkami.

Ciemna chmura okryła twarz Hermana i milcząc oparł się o krzesło z dummem poruszeniem, które rysom jego twarzy nadawało pewną srogość. Hrabina spojrzawszy badawczo na Stefanię, odpowiedziała: — Nie znamy tej hrabiny, więc nie możemy odświeżać z nią znajomości, zwłaszcza żeśmy nigdy nie uznali, iż jest naszą krewną. — Nie uznali! Zdawało mi się, żeś pani hrabina mówiła... — Że mąż jej należy do naszej rodziny? — Tak jest, to powiedziałam, ale jeśli kto z naszej rodziny popełnia niedarowany błąd zaślubiając osobę niższego stanu, nie czujemy obowiązku uważać ją jako naszą krewną.

Herman utkwiał oczy w Stefanię, jakby z jej twarzy chciał wyczytać, czy wie jakie stosunki łączą go ze wspomnianą osobą. Na ostatnie słowa hrabiny, młoda kobieta podniosła głowę i spojrzała na arystokratkę z tak nakazującym wyrazem dumy, że zmieszała starą hrabinę. Po chwili odezwała się Stefania tonem ironicznym: —

A, pani hrabino, proszę mi wybaczyć, jeśli dotknęła nieprzyjemnego przedmiotu. Wychowana w kraju, gdzie niema arystokracji, nie umiem zrozumieć wyobrażeń pani o różnicy stanów. Wiem tylko, że mi się rzadko zdarzyło spotkać osobę tak miłą i powabną jak hrabina Elina Romarhierta. Jej dowcip, piękność, ukształcenie i życie wystawne, zjednało jej w Paryżu wielu hołdowników i wielbicieli. Uchodzi tam za bardzo bogatą, i zawdzięcza ambasadorowi szwedzkiemu, że mię do niej wprowadził. Po tych słowach Stefani nastąpiło ogólne milczenie. Nakoniec przerwał je Jakób wzięwszy do rąk jedną z przywiezionych książek i rzekł wskazując na portret:—Nieprawdaż, że Waszyngton ma bardzo rozumną fizjonomię?

Helfryda, do której stosowało się zapytanie, pochyliła głowę nad książką.

— Widziałam nieraz jego portret, tu wydaje się zbyt młody, rzekła.—A czy widziałas pani portret jego matki? —Nie, nigdy. —Oto on. Wpatrz się pani dobrze w te rysy, a wyznasz, że ta kobieta tak umiała wychować syna, iż musiał być tem czem został.—W istocie, wtrąciła Stefania, godnem jest uwagi, że matki wszystkich wielkich mężów były kobiety niepospolitego serca i charakteru, co zdaje się być dowodem, że matka wywiera wpływ największy na charakter dziecka. —I to jest rzeczą niewątpliwą, dodał Jakób, gdyż matka budzi w duszy dziecięcia pierwsze wrażenia dobrego i złego, rozwijając bardziej jedne niż drugie skłonności, co później odzywa się w całym jego życiu. —Dla tego ważną jest rzeczą, aby matka wiedziała, jakie usposobienia należy

przedewszystkiem rozwijać, wtrąciła hrabina. —To prawda, rzekła Stefania, ale wprzód sama powinna wiedzieć, co jest dobre a co nie dobre. Nie wiele jednak kobiet mają jasne o tem pojęcie, to też najczęściej matki rozwijają w dzieciach wady zamiast przymiotów. Tak na przykład bardzo łatwo obudzić nieużyta, srogą pychę, zamiast dumy szlacheckiej, prawdziwe uczucie honoru zamienić w płytką zarozumiałość i żądzę błyszczenia. To jest powodem, że pewni ludzie sądzą, iż postępują honorowo, a w rzeczy samej depczą honor i swoją dobrą sławę.

Służący wniósł herbatę i rozmowę zwrócono do innych przedmiotów. Wkrótce potem Stefania, Jakób i Herman pożegnali hrabinę i jej córkę.—Już odjeżdżasz? szepnęła Helfryda bratu do ucha. —Już, odpowiedział krótko.

Gdy Stefania okrywała się salopą futrzaną, odezwał się Herman: —Pozwoli mi pani powozić? —Bardzo chętnie, ale mam dziś sanki na jedną osobę i biedny Aherlund musiałby biedz pieszo. —Niech wraca do domu na moich saniach, rzekł hrabia. Czy i pan jedzie do Kungsborga, panie Lange? dodał obracając się do Jakóba. —Nie, jadę do Akersnäs i tam nocuję.

W kilka chwil później sanie ze Stefanią i Hermanem przesuwwały się po trzeszczącym śniegu przy blasku księżyca. Z początku oboje milczeli, nakoniec odezwał się Herman: —Racz mi pani odpowiedzieć na jedno zapytanie.—Jeśli mogę.—Czy pani zna bliżej hrabinę Elinę Romarhierta? —Znam. —A czy wie pani o jej dawniejszem życiu? Czy jest w niem co osobliwego? —Nie bardzo.

Ale niechże ja z kolei zadam panu pytanie. Co cierpi matka pana do młodej hrabiny?—Że jest niskiego pochodzenia.—A, prawda—w pańskiej rodzinie uważają to za występki. Co za śmieszność, że nie powiem—okrucieństwo!

Hrabia zaciął konia i sanieki sunęły z podwójną szybkością. Gdy milcząc przejeżdżali równinę, zerwał się ostry wiatr północny, i Stefaniya otuliła się w salope.—Pani marźnie, rzekł Herman, pochylając się i osłaniając ją niedźwiedziami. — Nie jestem przyzwyczajoną do zimna, odpowiedziała Stefaniya, a zima w tym kraju jest bardzo surowa.—Tak surowa jak moje przesady?—Alboż nie mam słuszości, tak utrzymując? — Może pani i ma słuszość; czasami zaczynam temu wierzyć, zapewne jednak dla tego, że takie zdania słyszę od pani. Od kogo innego pewniebym ich nie przyjął.—Prawda zawsze jest prawdą, ktokolwiek ją powie.—Nie koniecznie. Zanadto zależy od wrażeń, jakie sprawia na nas osoba mówiąca prawdę. — Więc nie powodujemy się rozumem, lecz jesteśmy niewolnikami uczuć? A jednak rozum tylko powinien o tem sądzić, co jest prawdą a co fałszem. — Powinien? zapewne, ale to nigdy się nie zdarza. Pokaż mi pani choć jeden przykład, żeśmy słuchali czegoś innego nie własnych uczuć.—Ale pani rzeczywiście marźnie; pozwoli pani, że ją okryję mojem futrem.—A sam?—Przyzwyczajony jestem do zimna, odparł Herman zdejmując z siebie futro.—Nie hrabio, nie pozwolę na to, żebyś dla mnie narażał swoje zdrowie. Nie zdejmiesz pan futra!—Nie zdejmę? a któż mi zabroni? zawołał śmiejąc się Herman i wyskoczył z sanek.—Ja, bo nie przyjmę pańskiej usłu-

gi.—O! pani, w tym razie nie masz żadnej woli,—i mimo protestacyi, owinał ją swojem futrem. — Jestem doprawdy zagniewaną; tak pan lekko ubrany.—Wcale nie lekko; mam palto, a zresztą jedziemy prędko.

Herman zaciął konia i znowu jechali milcząc. Stefaniya opuściła głowę osłaniając twarz od ostrego wiatru.

— Nie powinnaś pani jeździć wieczorem w odkrytych saniach, rzekł Herman.—Powiem jak przed chwilą: a kto mi zabroni? — Ja, odparł stanowczo hrabia; proszę nie zapominać, że jestem panem w domu.

Znowu nastało milczenie, którego nie przerwali, aż sianie stanęły przed gankiem. Herman pomógł Stefanii wysiąść, wprowadził ją do pokoju i zdjął z niej futro.—Pewnie pan na wskroś przemarzł, pytała Stefaniya.—Nie, nawet nie czułem zimna.

Stefaniya i hrabia przeszli do sali jadalnej, gdzie już czekała Jane. Wniesiono gorącą wieczerzę — i w kilka minut później każdy poszedł do swego pokoju.

ROZDZIAŁ XXIV.

Następnego dnia Stefaniya poleciła Eklundowi dowiedzieć się o zdrowiu hrabiny i otrzymała odpowiedź, że ma się lepiej.

Jakób, jak zwykle, przyjechał na obiad do Kungsborga. Po obiedzie zapytała go Stefania: — Zostaniesz tu dzisiaj? — Nie; obiecałem panie Helfrydzie i hrabinie, że im co przeczytam dziś w wieczór. — I zostawisz mnie samą? zapytała z uśmiechem Stefania. Wiesz przecie, że mi czegoś braknie, kiedy cię nie widzę. — Cóż zrobić? Obietnicy trzeba dotrzymać, odparł Jakób. — Więc idziesz tam dla tego tylko, żeś obiecał? — Wcale nie. Nie obiecywałem, gdybym tam nie znajdował przyjemności. — Ha, więc muszę poddać się losowi i zostać zapomnianą. Wiesz Stefanyjo, że o tobie nie można zapomnieć, i że w ogóle bardzo mi trudno zapomnieć cośkolwiek. Odwiedziny w Furuhof mogą się do tego przyczynić. — Nie, wspomnienie jest jak widmo. Wraca nieustannie choćby po to tylko, żeby nas dręczyć. Takimi są i moje wspomnienia: prawdopodobnie prześladować mnie będą całe życie. — Dzieciństwa, Jakóbie! Ty, człowiek młody, z tak świetnymi darami, masz być pastwą widma przeszłości — gdy dość ci wyciągnąć rękę po szczęście, by je posiadać niezmiennie! — Jakie szczęście, powiedz jeśli łaska? Dwa razy wyciągałem po nie rękę, dwa razy uciekło; i zapewne uczyniłoby to po raz trzeci, jeśli by w sercu mojem mogły zrodzić się nowe uczucia i nowe nadzieje. — Sądziś więc, że w dwudziestym dziewiątym roku życia pogrzebałeś już na zawsze uczucia i nadzieje? — Tak, o ile dotyczą miłości. — Jakóbie, serce ludzkie jak wszystko w przyrodzie, podlega zmianom. Umrze jedno uczucie, rodzi się drugie i nikt na świecie nie może powiedzieć: „Nie mogę już kochać, nie mogę już mieć nadziei“ bo nawet tak wierząc, mamy na dnie serca i mi-

łość i nadzieję. — Nie przeczę, ale... — Ale twój charakter jest inny, chcesz powiedzieć. — Właśnie. — Otóż, mając umysł tak głęboki, tak bogate serce, nie powinienes najlepszych sił swoich i życia marnować we wspomnieniach, które nie są ciębie godne. Odepchnij mąry pustoszące duszę i używaj szlachetnych uciech życia, które się do ciebie uśmiechają. — Masz słuszność, Stefanyjo: robię też co mogę. Może później wyzdrowieję zupełnie, gdyż czas, praca i czynne życie, leczą wszelkie rany. Stefania podała mu rękę mówiąc: — Szukaj godnego przedmiotu dla swojej miłości, gdyż w twoim wieku trzeba kochać, jeśli życie ma mieć wartość. — Sprobowalbym, gdyby była druga Stefania, odpowiedział Jakób całując podaną sobie rękę. Ale bym się przekonał jedynie — że... — Że jest wiele szlachetniejszych i lepszych od Stefanii. — Nie w moich oczach.

Wszedł hrabia Herman, Jakób opuścił rękę Stefanii.

— Może przeszkadzam, zimno rzekł hrabia, spojrzawszy dumnie na Jakóba. — Bynajmniej, zapewniała Stefania; owszem, jesteś pan pożądany, gdyż właśnie Jakób mi oznajmił, że zamierza mnie skazać dziś wieczór na nudy i samotność, więc się spodziewam panie hrabio, że przynajmniej z grzeczności nie pójdziesz za jego przykładem. — Towarzystwo moje nie wynagrodzi straty, jaką poniesie pani przez nieobecność pana Lange, rzekł zimno hrabia. — Widzę, że i pan chcesz mnie zostawić samą z Janą. Przyznaj pan, że prawdziwy rycerz chętnieby pomógł damie przepędzić długie godziny zimowego wieczoru. — Ja też zawsze gotów jestem służyć pani. Lękałem się tylko, czy zdołam wynagrodzić stratę, jaką pani

poniesie w osobie pana Lange. — Dajmy pokój porównaniom, rzekła śmiejąc się Stefanija, i skinieniem ręki prosiła hrabiego, by usiadł.

W tej chwili weszła Jane przystrojona we wszystkie kolory tęczy.

— Jedziesz gdzie? zapytała Stefanija. — Jadę z Jakóbem. Obiecał mię odwiedzić na plebaniję, i wstąpić po mnie, gdy będzie wracał z Furuhof. Żona proboszcza przysłała prosząc, żebym ją dziś odwiedziła. — Więc opuszczacie mię oboje? — Tylko na kilka godzin, odpowiedziała Jane, i po chwili Herman i Stefanija, zostali sami. — Oczy bołą patrząc na miss Jane, rzekł Herman, tak ubiera się jaskrawo. — Gust ten odziedziczyła po swoich przodkach; jej prababka była murzynką, a wiadomo panu, że murzyni lubią jak najróżnobarwniej się stroić. — W tem jak i pod wielu innemi względami, zupełnie się różni od pani. — Jam nigdy nie lubiła barw jaskrawych. — Ale dla czego chodzisz pani zawsze czarno ubrana? — Bo... noszę żałobę... przecież jestem wdową.

Było coś przejmującego w głosie Stefanii.

Miss Jane mówiła, że już od lat kilku mąż pani nie żyje. — że po nikim nie nosisz żałoby i że od czasu jak panią poznała, nigdy inaczej nie ubrałaś się, jak tylko czarno. — To prawda, ale jest żałoba, którą się całe życie nosi; bywają smutki, których czas nie złagodzi, i zbolełemu sercu przykry jest widok barw wesołych niezgodnych z naszym stanem duszy. — I pani masz taki smutek? — zapytał hrabia patrząc ze współczuciem na młodą kobietę. — Tak. — I nigdy go nie przezwyciężysz? — Można zwyciężyć troskę, która się zakradła i wpiła w duszę?

Pogodzisz się ze stratą ukochanej osoby i z czasem serce znowu otworzy się dla radości; ale troska, która je pustoszy towarzysząc mu całe życie, nie da się zwyciężyć, nie da się złagodzić. Najwięcej jeśli możemy wtedy dźwigać z poddaniem naszą dolę, i znośniejszą ją uczynić pracując dla dobra drugich. — Ale pani, która posiadasz wszystko, co może uszczęśliwić człowieka, młodość, piękność, rozum, dobroć serca i bogactwo jak możesz całe życie być pastwą cichego smutku? — Bo mam wszystko prócz tego, co mię może uszczęśliwić, rzekła Stefanija z melancholiczną powagą. — Patrząc na panią, odparł Herman, niktby nie przypuścił, że przy takiej energii i dzielności charakteru, masz pani w swej duszy miejsce dla głębokiego smutku. — Przyczyna jest ta, że chociaż ciągle towarzyszy memu życiu, nigdy jednak nademną nie zapanuje. Czując wolę Boga, z pokorą noszę krzyż, jaki na mnie włożył. Tylko tracąc zaufanie w Bogu, upadamy pod ciężarem prób, które na nas zsyła. Ale porzućmy ten przedmiot, nie warto o nim mówić. — Pozwoli mi pani zrobić tylko jedną uwagę. Czy pani, będąc tak młodą, wierzysz, iż twój smutek przetrwa całe życie? — Wierzę, bo zrósł się ze mną i stał się nieodłącznym towarzyszem: Ale po co o tem mówić? Nie wiem doprawdy, panie hrabio, dla czego na chwilę otworzyłam ci moją duszę, gdyż przed każdym najstaranniej ukrywam, co się w niej dzieje. — Pani tego żałuje? — O, nie, rzadko żałuję mimowolnych poruszeń. Powiedziałam bez żadnego zamiaru, i spodziewam się, że pan to zachowa przy sobie. — Nie potrzebuję nawet zapewniać panią. Jeśli jednak nie chcesz pani, by świat się domyślał twoje-

go smutku, po co dajesz mu go poznać swoim ubiorem? — Wierz mi pan nieraz próbowałam ubierać się jasno i stroić, ale taki to we mnie wstręt budziło, że jak najprędzej zrzucałam z siebie stroje, które są szyderstwem z moich cierpień, gdy przeciwnie kolor czarny pochlebiał mej duszy zranionej. Zresztą ślubowałam sobie, że będę chodziła czarno aż do dnia, w którym znowu spojrzę w życie z radością i nadzieją. Dzień ten nigdy nie przyjdzie i dla tego jestem i pozostanę oblubienicą smutku.

Stefanija wzięła na stole leżące nowe nuty do śpiewu i rzekła: — Czy hrabia słyszał śpiew Jakóba? — Nie; nawet nie wiedziałem że śpiewa. Pani bardzo jest przywiązana do pana Lange? — O, niezmiernie, i każdy będzie, kto go tak dobrze jak ja pozna.

Stefanija wymówiła te wyrazy z taką prostotą i naturalnością, że Herman nie mógł jej mieć za złe tego przywiązania. Wszystko w niej zachwycało go, właśnie dla tego że było tak naturalne, nawet pochwały, których nie szczędziła dla Jakóba, nie sprawiały na nim przykrego wrażenia.

— Ale, winna mi pani jeszcze dać przykład, że nie zawsze uczucie kieruje naszymi postępkami. Czy pani mi ten dług wypłaci? pytał Herman. — Najchętniej, zwłaszcza że pan mi ów przykład dostarczy. — Ja! wątpię, byś pani tak dobrze mię znała, żebyś mogła sądzić o pobudkach moich postępków. — W ogóle też nie twierdzę, że bym pana doskonale znała, ale w jednej sposobności, wcale niedawnej, rozum pański zupełnie zapanował nad uczuciami. — Czy czasem pani się nie myli? kiedyż to było? — Wówczas gdyś pan postanowił przyjąć moją propozycję, i objąć główny zarząd nad moim majątkiem.

Hrabia oparł się na poręczu kanapy, na której siedziała Stefanija i rzekł zwolna, patrząc jej w oczy: — Więc pani sądzisz, że wówczas usłuchał głosu rozumu? — Naturalnie, gdyż pańskie uczucia, duma i przesady oburzały się na moją propozycję. Czytałam tę walkę w pańskiej duszy i głęboko żałowałam, że nasze wyobrażenia są tak niezgodne, że pana mogło razić to, co w Ameryce możnaby bez wahania zaproponować każdemu uczciwemu człowiekowi. A jednak pomimo oburzenia serca, rozum zwyciężył, skoroś pan powziął postanowienie. — Ach pani, sam rozum nie byłby w stanie odnieść zwycięstwa w walce stoczonej z moją dumą. Pomyśl pani, ile jest gorczy w tej myśli, że ja, arystokrata należący do jednej z pierwszych rodzin w Szwecyi, teraz jestem pierwszym sługą w majątku swojego ojca! Czy pani sądzisz, że jest rozum w świecie, któryby usprawiedliwił i zwyciężył podobne upokorzenie? — Dla czegoż? Niepojmuję bowiem czemu by przesady tak dalece brały nade mną górę, żeby mój rozum nie miał odnieść zwycięstwa nad upokorzeniem z tego powodu, że przekładam pracę i pieniądze niezależność nad życie bezczynne i marnowanie reszty swojego majątku! W Ameryce przywykliśmy cenić pracę a gardzić próżnowaniem. Tam każdy sobie toruje drogę do pomyślności, i własnym trudem zawdzięcza to czem jest. — Hrabia Romarhierta mógłby gdzieindziej zdobyć sobie niezależność, niekoniecznie w domu, który niegdyś do niego należał. — To prawda, ale rozum panu powiedział: Nietylko otwieram przed sobą pole działania, ale nadto mogę być użyteczny tej kobiecie, samotnej i cudzoziemce, której cała przyszłość zale-

ży od honoru i rzetelności osób, którym powierzy swoje interesa pieniężne.—Gdybym tak myślał, miałabyś pani zupełną słuszość, twierdząc, że usłuchałem głosu rozumu, ale tak nie jest. Przyjmując propozycję pani nie myślałem ani o własnym ani o jej pożytku, lecz byłem posłuszny uczuciu, które zapanowało nad wszystkimi innemi wrażeniami. — A jakież to uczucie? — Doprawdy nie wiem jak go nazwać, odpowiedział Herman przesuwając rękę po czole. To jedno wiem, że pani dziwny wpływ na mnie wywierasz. Przyjąłem bez szemrania od pani upokorzenia, którychbym nikomu nie przebaczył. Pani zdeptałaś wszystko com cenił najwięcej, i w sercu swoim przyznałem ci słuszość. Wyśmiałaś moje przekonania, wyszydziłaś przesady, a jednak w tej chwili jestem pani pierwszym sługą.

W głosie Hermana przebiegała powaga i gorycz.

— Chcesz pan, żebym mu wytłumaczyła, dla czegoś cierpliwie znosił moje słowa a współcześnie był niemi boleśnie dotknięty? — Owszem, proszę, chociaż wątpię, czy pani znajdziesz prawdziwe rozwiązanie tej zagadki.

Gdyby w tej chwili Stefania spojrzała na Hermana, możeby odeszła ją ochota mówić dalej. Miała jednak oczy spuszczone i rzekła najspokojniej: — Wzrosłeś pan na łonie starej arystokratycznej rodziny, która z powodu swych przodków i bogactw była przedmiotem czci ogólnej. Wyssałeś pan z mlekiem wiarę w swoją wrodzoną wyższość i dumę, wyniośle patrzyłeś z góry na wszystkich co nie należeli do pańskiego stanu, nie przyznając im tych samych uczuć i tej samej godności ludzkiej. Dodaj pan do tego właściwy Szwedom a śmieszny nałóg

bicia czołem przed arystokracją, — a nikogo nie zdziwi, że cię to wbijało w pychę. Nie mogło panu przyjść do głowy, że ktoś ośmieli się uważać cię jak każdego innego zwyczajnego człowieka. To przekonanie zakorzeniło się w pańskim umyśle, bo wówczas nawet, gdyś przestał być bogatym, każdy z otwartemi rękami przyjmował hrabiego Romarhierta, dla samego jego nazwiska. Przyzwyczaiłeś się pan, by ludzie średniej klasy otaczali cię czcią i uszanowaniem jakiego wcale nie okazują młodzieńcowi równego sobie stanu. Przywykłeś do tego, że kobiety drobnej szlachty i mieszczaństwa poczytują sobie za największy zaszczyt mieć pana w swoim towarzystwie i że nie jedna, co znakomitego profesora D..... ledwie skinieniem głowy powita, nie ma dość słodkiego uśmiechu dla przyjęcia hrabiego i wysila się jak może, by go zabawić, gdy sławny mąż uczony nudzi się zostawiony samemu sobie. Pan wiesz, że nazwisko Romarhierta ma moc otwierania panu wszystkich drzwi i jednania szacunku, który głupia gawiedz niby daninę płaci hrabiowskiemu tytułowi.

Stefania podniosła głowę, i z głęboką powagą utkwivszy oczy w hrabi, mówiła dalej: — Ja byłam pierwsza, com widziała w panu tylko zwyczajnego człowieka. Mój sposób myślenia nie widział w panu nic więcej, nad to, co się dostrzega w każdym innym szlachcicu, mieszczaninie czy chłopie. Myliłeś się pan jednak, sądząc, że chcę cię upokorzyć. Postępowałam i mówiłam, jak powinna postępować i mówić osoba, która nie pojmuje, żeby człowiek miał prawo do większego szacunku dla tego, że się tytułuje hrabią lub baronem. Jak sam pan po-

wiadasz, zniszczyłam urok niezasłużonej przewagi, jaką przypisywałeś swojemu stanowi i dałam poznać, jak próżną i czczą jest wielkość, która nie wspiera się na rzeczywistej zasłudze, ale ją sławnym przodkom wykradła.

Stefanija zamilkła na chwilę.

— Nie doszła pani do wniosku, zauważył Herman. — Wniosek jest taki, że moje wyrazy obudziły w panu myśli, które musiałeś rozważyć zimnym rozumem i... — Racz pani mówić dalej, bardzo proszę. — I nie mogłeś pan zaprzeczyć prawdzie tego com panu powiedziała w światłym duchu czasu. Pańska pycha — proszę mi wybaczyć zbyt ostre wyrażenie — walczyła z nim niewątpliwie; ale w końcu rozum zmusił ją do milczenia. Skoro raz damy światłu prawdy przystęp do swojej duszy, ciemności muszą się rozproszyć. Jeśli tak często fałsz nami kieruje, jedyna przyczyna jest ta, że zamykamy uszy na słowa prawdy. — Ale dla czego właśnie pani posiadasz moc zmuszania mię, bym zastanawiał się nad jej słowami i ulegał ich wpływowi, gdy rodzony ojciec nie był zdolny zachwiać moją nieugiętą dumę? — Dlatego, że przemawiałam do pana wówczas, gdy okoliczności przeciwnie zmusiły pana zastanowić się nad tem, iż dla utrzymania się, człowiek potrzebuje czegoś więcej niż świetnego nazwiska. Położenie majątkowe zmusiło pana zstąpić nieco z dawnej wysokości, a myśl o przyszłości kazała słuchać głosu zdrowego rozsądku.

Herman siedział chwil kilka pogrążony w myślach, i odczuwał się nareszcie: — Może pani masz słuszość, zdaje mi się atoli, że gdybyś do mnie mówiła w dniach największej pomyślności mojej, słowa pani sprawiłyby na

mnie toż samo wrażenie. — Nie, hrabio Hermanie, rzekła z przyciskiem Stefanija, wówczas obudziłyby w panu nieprzejeanną ku mnie nienawiść. — Ja miałbym panią nienawidzieć? odparł Herman i uśmiechnął się smutnie. Czasami możebym i pragnął tego, ale dziś wątpię czy byłabyś pani w stanie obudzić we mnie choćby prostą niechęć. — Kto wie, może nadejdzie dzień, gdy pan...

Stefanija wstała i zbliżyła się do fortepianu. Herman poszedł za nią. — Gdy ja? powtórzył pytając. — Gdy pan będziesz żałował, żeś mię spotkał na swej drodze. — To bardzo być może, odparł z wolna Herman; jeśli jednak taki dzień nadejdzie, tylko własny mój los nieszczęśliwy wywoła żal podobny. Zawsze poczytywać sobie będę za szczęście, że pania poznał, boś mię nauczyła cenić to, co jest prawdziwie szlachetne i wzniosłe. — Dziękuję za te wyrazy, odpowiedziała Stefanija podając mu rękę. — Ja ze swej strony, pragnęłam tylko pozyskać pański szacunek.

Herman poniósł w milczeniu jej rękę do ust swoich. — Śpiewasz pan? zapytała Stefanija. — Nie dziś wieczór. Ale pani podobno śpiewa? — I ja powiem jak pan — nie dziś wieczór.

Stefanija siadła do fortepianu i zagrała kilka wybornych sztuk Szopena. Gdy skończyła, podano wieczerzę, podczas której przyjechali Jakób i Jane.

ROZDZIAŁ XXV.

W parę dni później—było to jakoś pod wieczór—Stefanija stała w oknie salonu i patrzyła na błękity nieba zasiane gwiazdami. Jakób grał na fortepianie fantastyczne melodje, Jane siedziała pochylona w kącie kanapy. Nie wniesiono jeszcze światła.

Nagle obróciła się Stefanija wołając: — Jakóbie, chodźno, proszę cię!

Młody człowiek pobiegł do okna.

— Czy widzisz tę lunę? — to chyba pożar! wołała Stefanija.—Dalibóg, prawda; zdaje się, że pali się Furuhof.

Jakób już był przy drzwiach.

— Każ zaprządz — pojedę tam, rzekła Stefanija.—Przyśle ci sanki, a sam lecę konno i zabieram z sobą ludzi.

To mówiąc wybiegł.

— Jane, czy hrabia przyjechał? pytała Stefanija gotując się do wyjazdu.—Nie, ma być dopiero jutro,—jest w miasteczku X.

Jane poszła ze Stefaniją, mówiąc:—Pojedę z tobą.

W kilka minut później, pędziły sanie drogą ku Furuhof wyprzedzając ludzi, których zawołał Jakób. Im bardziej się zbliżali, tem większa luna biła z za lasu, za którym leżał Furuhof. Stefanija nie wyrzekła słowa przez całą drogę, poganiając tylko konie, któremi sama kiero-

wała: szkapy pędziły cwałem a jej się zdawało, że się wloką jak żółwie. Nakoniec zawrócono do lasu na szeroką drogę, wiodącą do Furuhof. Na widok, jaki się ukazał, Stefanija gwałtownie szarpnęła wodze i konie wystraszone pożarem i tem nagłym poruszeniem, stanęły dębem i rzuciły się w bok lasu. — Odepnij fartuch i wyskocz, rzekła Stefanija do Jane.

Zaledwie ta jednak odpięła fartuch, gdy sanie się wyróciły a Jane wyleciała na ziemię, ale Stefaniję zaplątaną w futrzannym fartuchu uniosły konie, wlokąc po śniegu. Młoda kobieta nakoniec wydobyła się z sanek, ale szamocąc się, tak silnie, uderzyła się w głowę, że ciepła krew spłynęła jej na szyję.

Pomimo odurzenia, Stefanija się podniosła usiłując utrzymać na nogach.

— Co ci się stało! zawołała Jane, przybiegając.—Ściśnij mi trochę czoło i podaj rękę. Muszę tam być choćbym miała się doczołgać, dodała gorączkowo Stefanija.

I wydarłszy chustkę z rąk Jane, obwiązała sobie zranione czoło. Potem wsparłszy się na rękę Jane i nie odpowiadając na zapytania przestraszonej towarzyszki, szła dalej do Furuhof, gdzie morze płomieni ogarnęło dom cały, a lud stał gapiąc się jak pożar niszczył resztki głównego budynku, gdy już wszystkie poboczne spłonęły.

— Gdzie hrabina? pytała Stefanija drżąc całą.—Zaniesiono ją tam het, rzekł wieśniak wskazując na w głąb lasu.

Tejże chwili rozległ się donośny głos Jakóba, który wydawał rozkazy by sikawkami oblewano drzewa, i zapobiegając większemu nieszczęściu, nie dopuszczono

ognia do lasu. Stefanija zawróciła ku miejscu w którem miała być hrabina. Starą damę złożono na kupie drzewa, a zapłakana Helfryda wilżyła śniegiem jej skronie, żeby ją przywrócić do przytomności. Stefanija kazała natychmiast sprowadzić sanie, i chociaż samej kręciło się w oczach i szumiało w uszach, zdobyła się na całą moc woli, by pohamować cierpienie, dopóki hrabina, Helfryda i Jane nie będą odwiezione do Kungsborga. Sama zamierzała wsiąść do małych koszykowych sanek, które jej ofiarował jeden włościanin. Czując, że ją siły odstępują, nie chciała jechać wraz z hrabiną, nie pewna, czy zdoła zapanować nad swoim cierpieniem. Zaledwie oddaliły się sanie z pogorzalcami, młoda kobieta dostała takiego zawrotu, iż nie mogąc się utrzymać na nogach, wyciągnęła rękę ku stojącym najbliżej, by nie upaść. Ale już było za późno, i martwa padła na ziemię. W godzinę później sunęły od dymiących się zgłiszczy sanie, w których siedział mężczyzna wspierając rękoma bladą kobietę. Woźnica zaciął konie pędzące cwałem do Kungsborga.

— Jakże się czujesz, Stefanijo?—zapytał mężczyzna pochylając się ku niej. — Sama nie wiem Jakóbie, zdaje mi się jednak, że jakiś niepojęty zawrót płące moje myśli. Czuję, że straciła wszelką władzę nad niemi. Jakóbie niechaj nikt przy mnie nie czuwa ani mi nie służy—mogłabym... mogłabym... powiedzieć wiele, czego... czego... Stefanija przyłożyła rękę do rozpalonego czoła. — Czego nikt nie powinien słyszeć, doszeptał Jakób. — Ale Stefanija już była bezprzytomną, i zawołała majacząc w gorączce: O pycho arystokratów, tyś wszystko pomściła!

Jane przygotowała zaraz w Kungsborgu dwa pokoje dla hrabiny i jej córki. Posłano po doktora, hrabina odzyskała przytomność, ale była tak osłabiona, że musiano ją zaraz położyć do łóżka. Ocknąwszy się z długiego omdlenia, zaczęła krwią płuć obficie. Jane urządziła wszystko jak mogła najlepiej. Gdy opuściła pogorzalców opatrzwszy ich potrzeby, i schodziła na dół, zajechały przed ganek sanie które posłano po Stefaniję.

— Chwałaż Bogu, powraca! pomyślała wybiegając do przedpokoju. To biedne dziecko strasznie mię niepokoi.

Też w chwili otwarły się drzwi od sieni i wszedł Jakób niosąc Stefaniję, a stary Eklund postępował za nimi zakłopotany. Jakób zarzucił szal na głowę Stefanii tak iż nikt nie mógł słyszeć słów bez związku, które bredziła w malignie.

— Przywołać doktora, rzekł Jakób wchodząc do sieni. — Boże, Ojczy niebieski! wołała Jane załamując ręce; pewnie jej gorzej?

— Cicho, cicho! przygotuj pokój Stefanii i każ zawołać lekarza.

Mówiąc to Jakób, złożył Stefaniję na kanapie i wybiegł głośno płacząc. Wkrótce potem powrócił z lekarzem.

— Panie konsyljarzu, rzekł Jakób, pani Stephensen jest ciężko zraniona w głowę i majaczy.

Gdy lekarz wziął ją za rękę, badając puls, zawołała gwałtownie:—Pojechał! pojechał! — Racz panie konsyljarzu co przepisać, żeby jak najprędzej ustała ta maligna, a nadewszystko zapomnieć o tem, co chora powie w tym

stanie, rzekł Jakób, który bladł i rumienił się podczas bredzenia Stefanii.

Doktor odpowiedział po prostu:—My lekarze pamiętamy jedynie o tem, co dotyczy naszego zawodu, zresztą jesteśmy ślepi i głusi na to co widzimy i słyszymy.

Następnie przepisał uśmierzające nopoje, okładanie głowy lodem i t. p., skutkiem czego wkrótce Stefania znacznie się uspokoiła. Jakób dotrzymał słowa, i nikt go nie wpuszczał do pokoju, oprócz Jane, a i tę tylko na chwilę. Nad ranem Stefania usnęła i doktor oświadczył, że Jakób może powierzyć ją staraniom kogokolwiek, gdyż po śnie ustanie wszelkie majaczenie. — Ta maligna, rzekł lekarz, nie pochodzi z samego tylko rozbicia głowy; widać współcześnie został gwałtownie wstrząśniony umysł. Gdy dusza się uspokoi, ustanie zarazem zamęt w myślach.

Nakoniec nastał dzień po wieczorze i nocy, które były tak nieszczęsne dla hrabiów Romarhierta. Jak trup blada, z dummem w obec śmierci samej wyrazem oblicza, gdy każdy rys nosił znamię wielkich cierpień duszy i ciała, hrabina leżała teraz jako gość w swoim dawnym zamku, w tym samym pokoju, który niegdyś był jej sypialnią. W pokoju tym nic prawie nie zostało zmienione, i omdlałe oczy hrabiny patrzyły na każdy przedmiot z dziwnie bolesnym i gorzkim wyrazem. Oddech miała ciężki, widać było że cierpi, ale żadna skarga nie wyszła z ust mo-

cno zwartych. Helfryda siedziała na krześle przy łóżu matki, a na jej pięknych licach pozostały też ślady.

— Wiesz Helfrydo, szepnęła słabym głosem matka, leż mi już nie stało, wyszło ich źródło, inaczej zapłakałabym krwawo na myśl, że bez przytułku i obca spoczywam pod dachem naszych przodków. — Kochana mamo, łkając rzekła Helfryda, porzuć te smutne myśli jesteś tak słabą!

I ująwszy wychudłą rękę matki przycisnęła ją do ust, płacząc.

— Życie twoje dodała, jest najdroższym skarbem dla twojej biednej córki.—Helfrydo, matka twoja się przeżyła, nie pragnij, by ostatki dni swoich wlekła patrząc na fatalną ruinę swojego domu. Proś raczej Boga, by mi umrzeć pozwolił i oszczędził dalszych upokorzeń.

Nastała chwila milczenia. Nagle odezwała się hrabina:—Herman nie wie jeszcze o niczem?—Nie wie, pojechał do X.—Gorzki kielich spełni do dna, rzekła wdychając matka, a Helfryda przycisnęła ręce do niespokojnie wznoszących się piersi.

Tak upłynął dzień cały bez zmiany na lepsze ani na gorsze w stanie zdrowia hrabiny. Przeciwnie zdrowie Stefanii znacznie się polepszyło; pod wieczór kazała się ubrać i siadła na kanapie w swoim buduarze.

— Cóż, hrabia przyjechał? zapytała wchodzącego Jakóba.—Nie, wróci dopiero jutro, tak przynajmniej zapowiedział rządcy.—Jakże się miewasz?

Jakób usiadł przy Stefanii i ujął jej rękę.

— Wcale nieźle, tylko jeszcze czuję mocny ból głowy i ogólne osłabienie. — Wczoraj wieczór miałas napad

gwałtownej gorączki. Ale to krótko trwało. — I wtedy mówiłam o...—O wszystkim.—Ha!

Stefanija przyłożyła rękę do czoła.

— Ale podobnie jak w Barthen, prócz mnie, nikt nie słyszał. — Czy obłąkanie było równie silne? — Tak, z tą jednak różnicą, że ostatni atak był kilkogodzinny, gdy w Barthen trwał przeszło tydzień. — Czym wymieniła jakie nazwisko? — Tak. — Więc znasz całe moje życie? — Raczej je odgaduję, gdyż w wyrazach twoich nie było żadnego związku. — Wiesz jakie stosunki łączą mię z Eliną? — Domyślam się.

Stefanija zamyślona patrzyła przed siebie.

— Czy cię to smuci Stefanijo, że znam twoją przeszłość? — Bynajmniej Jakóbie, pragnęłabym żeby życie moje było dla ciebie, jak otwarta księga, i kiedyś, kiedyś gdy sama nie będę w stanie jasno w niej przejrzeć, ty będziesz mojem sumieniem. Niegdyś sama sobie ślubowałam — było to na grobie — że przeszłość moja musi umrzeć, i gdyby losy nie rzuciły Eliny na moją drogę, i ona zagrzebaną by była wraz ze wspomnieniem tych, co spoczywają w grobie, — ale mi powierzono przyszłość Eliny, jako dziedzictwo, i przyjąłam ten spadek. — Elina, i zawsze Elina, rzekł z uśmiechem Jakób. Czyż ona rzeczywiście jest warta tych wszystkich ofiar jakie dla niej czynisz? — Warta.

— W początku czerwca przyjedzie tu, odezwała się Stefanija. — Nie pojmuję jaki masz cel, sprowadzając ją tutaj. — Dziś tego nie pojmujesz, ale zrozumiesz gdy swego dzieła dokonam.

Stefanija zaczęła mówić o hrabinie Romarhierta,

o pannie Helfrydzie i o ich przykrem teraźniejszym położeniu. Gdy Jakób wstał chcąc odejść, rzekła do niego Stefanija.

— Bądź łaskaw powiedz czeladzi, aby nikt nie wspominał hrabiemu o tym nieszczęśliwym wypadku, dopóki się ze mną nie rozmówi. Sama opowiem mu smutną przygodę i postaram się uczynić mu ją jak najmniej gorzką. — Jeśli kto, to ty umiesz łagodzić nieszczęście, rzekł Jakób. Może jednak w drodze się o niem dowie. — Nie sądzę, odpowiedziała Stefanija, wraca w przeciwnym kierunku.

ROZDZIAŁ XXVI.

Następnego poranku, gdy lekarz opatrzywszy głowę Stefanię zalecił jej zachować się ile możności najspokojniej, kazała się mimo to natychmiast ubrać i poszła odwiedzić hrabinę. Cała fizyonomija Stefani, wyrażała cierpienie i znać było, że przebyła ciężkie wewnętrzne i zewnętrzne boleści. Kładąc rękę na klamce drzwi prowadzących do pokoju hrabiny, zatrzymała się na chwilę. Błede jej jak śnieg policzki nagle zapłonęły rumieńcem a w oczach mignęły groźby błyskawice.

— O Boże, szepnęła, niepojęte są twoje drogi: oto ja, właśnie w tym pokoju ofiaruję gościnność tej pysznej i wyniosłej kobiecie, pod swoim dachem, w domu, który

niegdyś do niej należał i z którego wypędziła bez miłosierdzia Elinę! O! dobry Ojciec w Niebiesiech, ustrzeż mię od wszelkiego uczucia zemsty i dodaj mocy, abym była prawdziwą chrześcijanką! Niech pomnę jedynie na słowa które wyrzekł Zbawiciel o swoich katach: „Ojciec, przebac im, bo nie wiedzą co czynią!”

I znikł ponury a groźny wyraz spojrzenia i gdy Stefania weszła do przedpokoju hrabiny, tak nie wysłowiona słodycz była rozlana na całym jej obliczu, iż zdawała się być aniołem miłosierdzia co zlatuje ku ziemi, by z cierpiącymi płakać i zasmuconych pocieszać. Helfryda pobiegła na spotkanie Stefanii, nim jednak młoda dziewczica zdołała wyrzec słówko wdzięczności za jej dobroć i współczucie, Stefania zawołała chwytając jej obydwie ręce:

— Ani słowa, panno Helfrydo. Gdyby Kungsborg się spalił, pani pierwsza ofiarowałabyś mi gościnność w Furuhof. Więc już o tem nie mówmy. Jak zdrowie hrabiny? — Noc była spokojniejszą, niż się spodziewaliśmy, odpowiedziała Helfryda, ze wzruszeniem wdzięczności ściskając ręce Stefanii. — Czy mogę wejść? zapytała Stefania. — Zaraz zobaczę.

To powiedziawszy, Helfryda znikła za kotarą drzwi i powróciła niebawem, prosząc Stefanię by weszła. Stefania zbliżyła się do chorej z tak czarującym wyrazem słodyczy i łagodności, że cała jej istota promieniała jakimś nieziemskim ubłogostawieniem. Całe niebo dobroci spoczywało w spojrzeniu, które zwróciła na hrabinę, i zdawało się, że prosiła dumną kobietę o przebaczenie, iż jej wyświadczyła usługę. Zimna dla wszystkich

którzy nie należeli do jej rodziny, hrabina nie mogła przecież bez wzruszenia patrzeć na Stefanię. Osłabiona wyciągnęła ku niej z wysileniem rękę i wyrzekła z dumną goryczą:

— Szanowna pani, będę ci winna dozgonną wdzięczność, za współczucie jakie mi okazujesz, i za gościnność jakiej teraz doznaję w swoim dawnym domu.

Stefania ujęła podaną sobie rękę, i słuchając wewnętrzznego głosu swego czystego i szlachetnego serca, przycisnęła ją do ust, mówiąc głosem wzruszonym: — Pani hrabina nie jesteś mi nic dłużna, gdyż co ja teraz jestem w stanie dla niej uczynić, toż samo byś pani uczyniła dla mnie, gdyby mnie spotkało nieszczęście. O jedną rzecz panią proszę, abyś zapomniała, że ten dom nie jest twoim. Ach! pani hrabino, serce moje jest dumne i szczęśliwe na myśl, że mogę być pani w czemkolwiek użyteczną. W teraźniejszym obejściu Stefanii była niezmierna różnica od jej dotychczasowego postępowania z hrabiną. Szlachetna, pełna uczucia swej godności i przewagi umysłowej, kobieta światowa znikła teraz, ustępując miejsca pokornemu dziecięciu, które błagało ze łzami w oczach, ze czcią uchylając dumne czoło. Dawniej śmiały, muzykalny i pewny siebie głos, teraz osłabł, stał się żalonym i melancholijnym, i zdawał się budzić osobiwszą boleść w duszy hrabiny. Chora zamknęła oczy słuchając tych pieśniami dźwięków, potem westchnęła i wymówiła kilka uprzejmych choć nieco zimnych wyrazów. Dumna pani, była zbyt wielką egoistką, aby ją do tego stopnia mogła wzruszyć dobroć drugich, iżby zapomniała, że za tę dobroć, nie ma czem

zapłacić, że przeto musiałyby na zawsze pozostać dłużnicą osoby, która jej dobrodziejstwo świadczy. Przeciwnie, obejście Stefanii tak głęboko wzruszyło Helfrydę, że łzy błyszczały w jej oczach, i wyszeptala rozczulona żegnając ją:—Jesteś aniołem, droga przyjaciółko!

Dwie młode kobiety były w przedpokoju, gdy to powiedziała Helfryda. Stefania obróciła się na te wyrazy, i rzec można, każdy rys jej twarzy wyrażał wdzięczność.

— Ach panno Helfrydo, ta chwila i te słowa od ciebie, hrabianki Romarhierta, są dla mnie nagrodą za całe życie cierpień!

To powiedziawszy uściśnęła rękę Helfrydy i znikła.

Stefania przebiegła około starego Eklunda, który stał w przedpokoju hrabiny i wskoczyła na wschody prowadzące do galeryi obrazów, gdzie przycisnąwszy obydwie ręce do serca, stanęła przed portretem hrabiny Gunnilli: Jak długo tak stała, sama nie umiałaby powiedzieć; nagle jednak rozbudził ją z głębokiego zamyślenia głos dźwięczny, który odezwał się po angielsku:—Byłaś u hrabiny?—Tak Jakóbie, odpowiedziała Stefania obracając się ku niemu. — Spojrz na mnie i powiedz, czegoś doświadczała stojąc przy łożu tej ciężko doświadczonej nieszczęściem kobiety?

W tonie Jakóba była taka stanowcza powaga, jakby przemawiał do dziecka, które ma zdawać sprawę ze swoich czynności. Stefania położyła rękę na jego ramieniu, spojrzała mu prosto w oczy i odpowiedziała: — Czułam się pogodzoną z całym swoim życiem przeszłym, i byłam upokorzona w głębi serca. Tak Jakóbie, zdaje mi się, żeś mię uczynił prawdziwą chrześcijanką, i za żadne

skarby świata, nie zamieniłabym tej chwili przebaczącego wszystko uczucia, które mną owładnęło, gdy stanęła przed nią. Czułam, że byłabym w stanie poświęcić się dla jej szczęścia. Ach! Jakóbie, Jakóbie, nie wiesz jeszcze wszystkiego, ale ja wiem, że bez ciebie Stefania nie byłaby dziś wyższą nad wszelki osobisty interes cierpienia.—Niech ci Bóg to wynagrodzi! — Dziękuję, rzekł Jakób, i jego usta dotknęły czoła Stefanii.

Eklund otworzył drzwi i rzekł głosem wzruszonym:—Hrabia przyjechał.—A czy wie co zaszło? zapytała porywczo Stefania. — Nie, bo Persson, który powoził, nie wiedział o niczem. — A pan mu nie powiedziałeś? — Przecie szanowna pani kazała milczeć? — Dziękuję panu. Proszę powiedzieć hrabiemu, że pragnę z nim mówić.—Tu?—Nie na dole w zielonym gabinecie.

Stefania uściśnęła rękę Jakóba i wyszła z pośpiechem. W kilka minut później, hrabia Herman wszedł do gabinetu, w którym już czekała Stefania. Z pierwszego zaraz wejrzenia poznał, że musiała być chorą i że teraz jeszcze cierpi. Stefania wyszła naprzeciw niemu, podała mu obydwie ręce i rzekła tonem serdecznym:—Witam z powrotem! Wybacz mi pan, że do siebie prosiła, ale mam go zawiadomić o smutnem zdarzeniu, a pragnęłabym, żeby nikt inny pana tem nie zasmucił. Pochlebiam sobie, że jako przyjaciółka, mam pierwszeństwo w osłodzeniu panu ile możności goryczy. Mówiąc to Stefania spojrzała na niego z tym nieopisanym wyrazem dobroci serca, którym chciała pogodzić hrabinę z jej upokarzającym losem. Herman długo patrzył na nią z podziwieniem, i zdawało się, że zapomniał, iż go przy-

gotowuje do usłyszenia nieprzyjemnej wiadomości.—Cokolwiek mi pani powiesz, już sama pewnoś, że się uważasz za moją przyjaciółkę, odejmie wiele goryczy temu, o czym chcesz mi pani zawiadomić. Przyjaźń pani, pogodzi mnie z każdym nieszczęściem. — Daj Boże, żeby to być mogło. Bądź pan pewny, że jako prawdziwa i serdeczna przyjaciółka, pragnę oszczędzić panu wszystkiego, co by go mogło zasmucić. Bogu dzięki, to o czym mam panu powiedzieć, jest prostym choć nieszczęśliwym przypadkiem, który jak się spodziewam, nie złamie pańskiej duszy.

Herman trzymał jeszcze jej ręce i byłby zawołał jak Helfryda, tak dziecięco anielska dobroć jaśniała na twarzy Stefanii.

— Do wszelkich niepowodzeń nawykłem, i zniosę je bez szemrania, gdy mi nastęrczają chwilę prawdziwego współczucia pani. Więc powiedz pani, o co chodzi.—Furuhof stał się pastwą płomieni, ale pańska matka i siostra ocalały i są tutaj.

Stefania wypowiedziała to jak najprędzej, jakby lekając się przedłużać boleść. Herman mocno ścisnął jej ręce, zamknął nagle oczy i zagryzł wybladłe wargi. Po chwili jednak piękna jego twarz znowu była spokojna, chociaż czoło okropnie pobladło.

— Czy w tym nieszczęśliwym przypadku nie utracił kto życia? zapytał Herman. Jak ten nowy cios matka zniosła? — Nikt nie utracił życia, a pańska matka znosi swój los jak przystoi na Romarhiertę.—O, pani! byłaś jej aniołem, rzekł Herman całując ręce Stefanii.—Taką rolę

chętnie przyjmuję, wyszeptwała Stefania i lzy zabłyśły w jej dużych ciemnych oczach.

Herman przesunął rękę po czole, odetchnął ciężko i rzekł: — Straszny cios nas spotkał, ale będę dozgonnie wdzięczny pani, żeś mi oszczędziła boleści usłyszenia z innych ust tej wiadomości.—A teraz hrabio, gdyś zniósł ten cios jak na mężczyznę przystoi, pozwolisz mi jako przyjaciółce pomówić o tem jakby należało ułożyć rzeczy, aby matka pańska ile możności najmniej czuła następstwa nieszczęścia, które was spotkało. Przrzecz mi pan, że będziesz mię uważał jako swoją siostrę i że rozmówisz się ze mną otwarcie, bez żadnej dumy. Potrzeba wytłomaczyć jakoś matce, iż może bez upokorzenia mieszkać pod tym dachem.

Stefania prosiła hrabiego, aby dał do zrozumienia matce, iż mając pewną część dochodów z Kungsborga, może w zupełności opłacić kosztą jej mieszkania.

— Ale, dodała Stefania, jeśli pan sądzisz, że...—Dokończ pani, proszę. — Jeśli pan sądzisz, że obrazi pańską matkę, iż... — Będzie się utrzymywała z zasług swojego syna? dokończył hrabia.—Ach, panie hrabio, zawsze jesteś po dawnemu względem mnie dumny! zawołała Stefania a było coś bolesnego w jej głosie. — O nie. Względem pani nie czuję żadnej dumy, ale moja matka... —O matka pańska ją czuje; jeśli przeto nie chce żyć z dochodów, do których pan masz prawo, to pan powiedz, że z procentów od kapitału, który pozostał z waszego familijnego majątku, płacisz mi pan za jej utrzymanie. Słowem, rób pan jak chcesz, byle hrabina sądziła, że w niczem nie jest mi obowiązana. Dom mój i wszystko co posiadam jest na jej usługi, ale przedewszystkiem pragnę,

aby jak najmniej czuła straty doznane. — Pani okazujesz nam tyle delikatności i dobroci, a jak się za to odwdzięczę? — Ceniąc dobroć i szlachetność w każdym, czy on jest prostym żeglarzem, czy arystokratą o świetnym poczeczcie antenatów.

Stosownie do propozycji uczynionej przez Hermana swojej matce, hrabina Romarhierta i jej córka miały pozostać w Kungsborgu aż do wiosny, i płacić Stefanii za mieszkanie i życie. Z nadejściem pięknej pory roku hrabina miała wyjechać do wód w cieplejsze okolice. Tym sposobem powiodło się Hermanowi pogodzić matkę z przykrą koniecznością zostawiania w domu osoby, o której nie wiedziała z pewnością, do jakiej klasy społeczeństwa właściwie należy. Może Herman nie zdołałby jej do tego namówić, gdyby nie zmusiła konieczność, gdyż słabe jej piersi tak ucierpiały od przestachu podczas pożaru, i długiego zostawiania na mrozie, że było prawdziwe niebezpieczeństwo narażać się zaraz na zmianę mieszkania. Stefania starała się skrócić długie godziny chorej swem obejściem miłym, powabnym i pełnym delikatności; współcześnie oddała do rozporządzenia hrabiny i jej córki wszystkie pokoje po prawej stronie na dole, aby miały wszelkie wygody do jakich przywykły.

R O Z D Z I A Ł XXVII.

Upłynął luty i część marca. Hrabina spoczywała na kanapie a chociaż słaba i wycieńczona, znajdowała przyjemność gdy wieczorem wszyscy zebrali się w jej salonie.

Wówczas wyobrażała sobie, że jeszcze jest panią na Kungsborgu, i często zapominała zupełnie, o upokarzającej rzeczywistości, łudząc się, że położenie jej wcale się nie zmieniło. Stefania poznawszy zaraz jaką przyjemność sprawiało hrabinie, gdy wszyscy zbierali się u niej, zaprowadziła zwyczaj, że każdego wieczora bawiono się u hrabiny, jeśli wyraźnie nie odmówiła. Jakób i Helfryda widywali się tym sposobem codziennie, i wkrótce pełen ukształcenia i rozumu młody człowiek, stał się ulubieńcem córki i matki, która z prawdziwym zajęciem słuchała jego dowcipnej i nauczającej rozmowy. Często po jego odejściu, hrabina mówiła wzdychając:— Jaka szkoda, że nie jest szlachcicem! Musimy ciągle być z nim zdaleka, by nie powziął o sobie zbyt wysokiego wyobrażenia, i nie dopuścił do głowy myśli, że go uważamy za równego sobie.

Helfryda nic nie mówiła, ale także myślała: — Jaka szkoda, że nie jest szlachcicem!

Przeciwnie Jakób, który wcale nie myślał o zajęciu, jakie budził w arystokratach, ani o smutku jaki im sprawiało jego mieszczańskie nazwisko, obchodził się z hrabiną i Helfrydą jak z każdą inną osobą ukształconego to-

warzystwa. Łatwo było poznać, że Helfryda go zajmowała, ale był to zupełnie umysłowy interes, w którym nic nie zapowiadało uczuć cieplejszych i żywszych. Obchodził się z nią równie serdecznie i poprostu jak ze Stefanią, ale nie tak poufale. Helfryda jednak, której życie płynęło cicho, a żaden cień namiętności nie przemknął się jeszcze do jej duszy spokojnej—zdawała się w towarzystwie Jakóba i w rozmowie z nim nabierać więcej życia i ciepła, w swych myślach i uczuciach. Widocznem było, że niepospolicie dobre i szlachetne żywioły duszy młodej dziewczyny, rozbudziły się nagle i że sama doszła do świadomości, iż i ona musi szukać dla siebie odpowiedniej sfery działania wewnątrz i na zewnątrz. Z codziennego przestawiania ze Stefanią i Jakóbem poznała, iż daleko niżej stoi od nich pod względem ukształcenia duszy i umysłu, i często gdy dwoje tych obcych z innego świata wymieniali z sobą myśli, Helfryda siedziała milcząca, jakby olśniona nowemi ideami i ich bogactwem. Jednego wieczora zebrali się wszyscy jak zwykle w salonie hrabiny. Siedząc na taborecie przy kanapie Jane, opowiadała hrabinie ustępy z życia niewolników, urodziła się bowiem i wychowała w Stanach południowych i mogła była na własne oczy widzieć to co opowiadała. W małym oddaleniu od kanapy siedzieli przy stoliku: Stefania, Herman, Jakób i Helfryda.

— Kto malował ten obraz? zapytała Helfryda wskazując na malowidło wiszące nad kanapą, i przedstawiające młodą dziewczynę, która klęczy przed obrazem świętej. W złożonych rękach, w serdecznym spójrzeniu i całej postawie, czytałaś gorącą z duszy płynącą modlitwę. — To Jakób malował odpowiedziała Stefania.

Herman podniósł oczy od gazety i spojrzał na obraz.

— Pan Lange jest także artystą? zapytała Helfryda. — Jak pani widzi, gryzmołę obrazy rodzajowe, odpowiedział ze spokojnym uśmiechem Jakób. — Rzadki to dar umieć zajmować się z pożytkiem przeróżnemi rzeczami, odezwiała się znowu Helfryda. Sądziłabym że czas na to nie wystarcza. — Zawsze jest dość czasu, gdy go się umie używać odparł Jakób. Szkoda, że tak często marnujemy ten złoty dar niebios. Kto chce nauczyć się cenić go jak należy, niech jedzie do Ameryki. Tam umięją czas w zło to przemieniać. Czy wie pani, co mię tu w Szwecyi najbardziej zdumiewa? To właśnie, że Szwed trwoni życie na fraszki i nie umie zużytkować darów otrzymanych od przyrody. — Może pan ma słuszość, ale z drugiej strony Szwed jest daleko mniej materialny niż Amerykanin, który żyje tylko dla zadowolenia swych potrzeb materialnych. — Ale to usiłowanie kształci siły duszy, budzi potrzeby umysłowe i umysłowy rozwój. Porównaj tylko pani Szwedkę z Amerykanką, a zdziwisz się, jak druga jest wyższą od pierwszej pod względem umysłowym. — Nie bardzoś pan grzeczny dla nas Szwedek, rzekła śmiejąc się Helfryda. — Nigdy nie prawie grzeczności kosztem prawdy. — Więc pan sądzisz, że pod względem rozumu jesteśmy istoty dość ograniczone. — Tego bynajmniej nie twierdzę, ale całe wychowanie pań obrachowane jest na to tylko, abyście wyszły za mąż, a potem wegetowały jak rośliny, na kanapie lub przy krosienkach. Amerykanka przeciwnie od dzieciństwa wychowuje się na istotę samo-

dzielną, nie potrzebującą pomocy mężczyzny i torującą sobie drogę własną pracą. — U nas jest to samo, ale tylko w klasach robotniczych. Wyższe i zamożniejsze nie mają przecież potrzeby pracować. — Prawda, nie potrzebuję pracować na utrzymanie życia, ale też nic innego nie robią, a tego właśnie Amerykanka sobie nie pozwoli. Czuje ona, że ma duszę potrzebującą uszlachetnienia, i jeśli jest rzeczywiście bogata, używa czasu na pomnożenie swych wiadomości, i na niesienie pomocy umysłowej i materyalnej uboższym i mniej ukształconym, przez co nabiera większej wartości w oczach mężczyzny, niż ją ma tutaj.

— Jesteś pan stronny. — Proszę mi dowieść, rzekł Jakób, i spojrzał na Helfrydę pełnemi światła oczyma. — Byłoby to przytrudno. Zamiast tego, chciej mi pan powiedzieć, w czym ja swój czas marnuję. — To kwestya sumienia, i nie śmiem odpowiedzieć dokładnie. — Doprawdy? A czemu?

Helfryda oparła się łokciem na stole a twarzą na dłoni. Jej czyste, piękne lica okrył żywy rumieniec, a ciemno niebieskie oczy badawczo spoczęły na Jakóbie.

— Gdyż popełnię niegrzeczność, której mi może nie przebaczysz pani. — Przecież sama wyzwałam pana, byś odpowiedział otwarcie, więc obrażać się nie mogę. Słucham pana. — Dobrze, skoro pani chcesz tego, odparł z uśmiechem Jakób. Pytasz pani w czym czas swój marnujesz? — Właśnie, radabym wiedzieć. — Zgoda pani: marnujesz go we wszystkim, i twierdzę, że dwóch godzin dziennie nie używasz na istotny pożytek. — Sądziś pan trochę za surowo, odparła Helfryda rumieniąc się mi-

nowolnie. Nie dość twierdzić trzeba dowieść. — Bardzo chętnie, odpowiedział młodzieniec pochylając się ku Helfrydzie i zniżając głos. Rzecz to jednak zbyteczna. Sama pani się o tem przekonasz, jeśli każdego wieczora przed pójściem na spoczynek, zadasz sobie pytania: Com dziś dobrego uczyniła? Czym w tym dniu swego życia była komu lub sobie użyteczną? Czym użyła czasu na kształcenie i uszlachetnienie własne, na ukształcenie i uszlachetnienie ciemnych i prostaczków? Jeśli sumienie pani powie: Dzień ten był bez celu i pożytku — wówczas pani zmarnowałaś swój czas.

Helfryda spuściła głowę i milczała.

— A co, panno Helfrydo, moje słowa rozniewały panią, rzekł Jakób, popatrzwszy na nią długo w milczeniu — Bynajmniej, aleś mi pan sprawił boleść, bo masz słuszość. — Jeśli tak pani, to jestem najmocniej przekonany że ten dzień będzie ostatnim pani dniem zmarnowanym. — Niestety! lękam się czy całe moje życie nie będzie ciągłem marnowaniem czasu. — Dla czego? — A cóż mam czynić, pytam pana? — Pracować.

Helfryda spojrzała nań z dziwnym wyrazem dumy.

Młody człowiek uśmiechnął się poważnie na to spojrzenie i rzekł: — Praca uszlachetnia, próżnowanie poniża, chciej pani to dobrze zważyć. Kto nie potrzebuje pracować na własne utrzymanie, niech pracuje na utrzymanie uboższych, niech pracuje nad swoim ukształceniem, niech pomnaża zapasy swych wiadomości, niech się obznajmia z prawami przyrody i społeczeństwa, aby lepiej czuł własną godność i

i szanował ją w drugich. Niech uszlachetnia swą duszę, biorąc dla niej na towarzyszki nieodłączną dobroczynność, gorącą miłość ubogich, i skrzętną a owocną pracowitość. Widzisz pani, za tem polu pracować może z pożytkiem każda kobieta, choćby była królowną. Jakób wstał i zbliżył się do innych osób, które podczas jego rozmowy z Helfrydą przysiadły się do hrabiny, — i po chwili mówił z największem zajęciem o kwestyi niewolnictwa. Helfryda pozostała na swoim miejscu, milcząca pochyłona nad robotą. Z rysów jej twarzy, można było wyczytać, że słowa Jakóba głęboko przeniknęły do jej duszy.

Pewnego wieczora hrabina kazała się zaprowadzić do wielkiego salonu. Rozmowa wszechła się o świeżo wyszłym romansie Currel Bella, którego bohaterka *Jane Eyre* pierwsza wyznaje swoje uczucia kochankowi.

— Przyznam się, że ten charakter wydaje mi się mało kobiecym, rzekł Herman. — Czemuż to? — zapytał Jakób. — Gdyż oświadczenie się z miłością, przekracza granice niewieściego wstydu. — Istny przesąd. Dla mnie przeciwnie jest rzeczą niewyjaśnioną, dla czego samym mężczyznom służy prawo oświadczenia kobiecie swej miłości, gdy w niej naganiamy wyrażenie swych uczuć. — Ależ panie Lange, przecież nie będziesz twierdził, że my kobiety winnyśmy wam oświadczać swoje uczucia wprzód nim poznamy wasze, wtrąciła śmiejąc się Helfryda. — A czemu nie? — Gdyż w takim razie możemy doznać upo-

korzenia i być wyszydzone. — Ależ na Boga, nie narażacie się panie bardziej niż my; dla czegożby upokorzenie miało być większe dla was niż dla nas? To także przesąd. — Czyżby się panu na prawdę podobało, gdyby kobieta kochana wyznała mu swoją miłość wprzód nim byś jej powiedział o własnych uczuciach? zapytał hrabia. — Tak jest, jak mi honor miły, albowiem wówczas dowiedziałaby, że ma serce.

Było coś przejmującego w tonie, jakim Jakób wymówił te wyrazy. — Jabym sądził, że to byłby wybuch złe strzeżonego uczucia. — Dla czego złe strzeżonego uczucia, nie swobodnego wyrażenia istotnego przywiązania? Ja ze swej strony nie pojmuję jaką może sprawiać przyjemność, zebranie u kobiety wyznania miłości. Skutek tego jest jedynie taki, że kobiety znajdują przyjemność w tem, iż są ubóstwiane i że mają niewolników, których mogą jednym spojrzeniem uszczęśliwić lub zgubić. Odgrywają więc przeróżne role, a tłumią w sercu rzeczywiste uczucie i stają się zwykle igraszką własnych fantazyi. Jakób oparł się o poręcz krzesła. Twarz jego pobladła. Oczy Helfrydy mimowolnie zwróciły się ku niemu, i jego roztargnienie sprawiło na niej niemiłe wrażenie.

— Co do mnie, uważam za niezbędny warunek, żeby kobieta zadawała gwałt swemu uczuciu; inaczej bowiem straci wszystko co dotychczas cenimy w niej jako dziewczę, czyste i niewinne jak w dziecięciu. Inaczej stanie się lwicą wedle kaprysu szafującą swoim sercem. Wierzę mi pan, piękność moralna kobiety zniknie, i będzie jak my niewolnicą wielu nieszlachetnych namiętności.

— Zwłaszcza jeśli rzeczy tak pojmujesz, hrabio. W moim przekonaniu kobieta stoi tak wysoko, że z przyrody przewyższa nas stanowiskiem moralnem i nie jest zdolna być niewolnicą uczuć poziomych, dopóki nie kłamie swemu sercu. — My mężczyźni lubimy w ogóle widzieć w kobiecie niewolnicę i jest coś ze wschodnich obyczajów w tej przyjętej u nas przewadze mężczyzny. Ale też otrzymujem zasłużoną karę za to ciemieństwo moralne, gdyż pospolicie kobieta dla której szafujem swe najszlachetniejsze uczucia, szydzi z nas jawnie lub w duchu, albo nas zwodzi i zdradza.

Jakób spojrział przed siebie zamyślony i smutny.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Jakóbie, zaśpiewaj nam cokolwiek, rzekła Stefania, która tego wieczora była niezwykajnie milcząca. — A tak, panie Lange, racz nam co zaśpiewać, prosiła hrabina, która rzadko brała udział w rozmowie, zwykle ją nużące. Pani Stephensen często mówiła o pańskim pięknym głosie, a dotychczas nie mieliśmy przyjemności go słyszeć. — Bardzo chętnie, odpowiedział Jakób i poszedł do fortepianu.

Stefania siadła tuż przy nim, Helfryda pozostała na kanapie, a hrabia stał oparty o kominek. Przez chwilę Jakób przebiegał palcami po klawiszach, potem odwrócił głowę i zapytał Stefanię: — A co mam śpiewać? — Co chcesz, pragnę tylko usłyszeć twój głos cudowny, odpowiedziała Stefania z cicha, dość jednak głośno, by usłyszał hrabia.

Herman zmarszczył brwi i spojrział ponuro na Stefanię, na którą padło światło pająka; nie spostrzegła je-

dnak tego złowrogiego wejrzenia, gdyż jej oczy z dziwnie melancholicznym wyrazem spoczywały na twarzy Jakóba. Po chwili rozległ się w pokoju głos w istocie cudownie piękny. Jakób śpiewał góralską piosenkę szkocką. Oparłszy głowę na rękę i wstrzymując odddech, słuchała Helfryda. Zdawało jej się, że młody człowiek swym śpiewem ciągnie jej duszę ku sobie, i czuła drganie każdego nerwu i szybsze a gorętsze bicie serca. W międzym tym a dźwięcznym głosie tyle było życia, tyle ognia, a jednak tyle miękkiego uczucia, że Helfryda nigdy jeszcze nie doznała tak potężnego wrażenia śpiewu. Jakób prześpiewawszy kilka zwrotek obrócił głowę ku Stefani, i Helfryda, siedząc za nim, domyślała się, że patrzy na młodą kobietę, co w przykry sposób zniszczyło wrażenie śpiewu.

— Kocha ją, pomyślała Helfryda, i na płacz jej się zbierało. — Kocha go, pomyślał Herman, i zacisnął wargi.

Jakób śpiewał jeszcze pieśni bengalskie a w końcu hiszpańską kanzonę. W melodii hiszpańskiej, było tyle ognia i muzyki, że Helfryda nie wiedząc co czyni, porwana wpływem śpiewu, wstała i zbliżyła się do krzesła śpiewaka. Błada, rozmarzona, wodziła błędnie wielkimi oczyma; czuć było, że każdy ton przenikał do głębi jej serca. Jakób skończywszy pieśń hiszpańską, wstał i rzekł, do Helfrydy: — Ustępuję pani miejsca. — O, nie, panie Lange. Ktoby ośmielił się śpiewać po panu? To byłoby zuchwalstwem!

Helfryda podała Jakóbowi rękę dodając: — Dziękuję panu. Stefania siedziała nieruchoma, nic nie mówiąc,

a Jakób zbliżył się do hrabiny, która mu z pańska grzecznie podziękowała za przyjemność, jaką jej sprawił.

— Pan Lange ma rzeczywiście głos cudowny, rzekł Herman do Stefanii, która oprzytomniała na jego słowa. Cudowne też sprawia wrażenie. — W istocie, odpowiedziała Stefania powstając. Pragnęłabym ten głos słyszeć w ostatniej chwili życia i przy dźwięku tych czystych tonów oddać ostatnie tchnienie. — Szczęśliwy, kto taki dar posiada, że może uprzyjemnić nawet konanie! zauważył ironicznie hrabia. — Słyszałam głosy piękniejsze, silniejsze i pełniejsze, — mówiła dalej Stefania nie zwracając uwagi na słowa hrabiego, — ale nigdy jeszcze nie słyszałam tak sympatycznego głosu. Jest on i potężny i miękki, a jednak tak pełen niewysłowionego uczucia, iż mi się zdaje, że widzę obraz duszy Jakóba i dla tego taki na mnie wpływ wywiera.

Helfryda słuchała Stefanii w milczeniu. Bogu tylko wiadomo, co się działo w jej duszy, ale podczas reszty wieczora była nieprzytomna i rozmarzona.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Do osób często odwiedzających Kungsborg należeli baron Skjöld, jego matka i siostra. Mieszkali w najbliższem sąsiedztwie i brat z siostrą wychowali się pra-

wie razem z Hermanem i Helfrydą. Panna Aurora Skjöld była przyjaciółką Helfrydy, a baron uchodził zawsze za wielkiego wielbiciela wdzięków siostry Hermana. W czasie gdy hrabia Romarhierta mieszkał w Furuhof, baron i jego siostra, bawili za granicą i dopiero około świąt Bożego Narodzenia wrócili do Aengsvik, majątku barona. Rozumie się, że ci sądziedzi często widywali się z mieszkańcami Kungsborga, z powodu starej znajomości z rodziną hrabiowską i wilkiej rozkoszy, jaką doznawał każdy, kto bywał w domu Stefanii. Bogata, piękna, rozumna i gościnna, umiała zatoczyć dokoła siebie krąg czaro-dziejski, w którym każdy czuł się szczęśliwym. To też baron najmnij raz w tydzień odwiedzał Kungsborg i często jego mieszkańców zapraszał do Aengsvik. W kilka dni po wieczorze wyżej opisanym, wybierano się do barona, tylko Jane pozostała w domu przy hrabinie. Gdy zajęły sianie, hrabia rzekł do Stefanii: — Pozwoliłem sobie narzucić się pani na woźnicę: pan Lange pojedzie z moją siostrą. Spodziewam się, że pani nie odmówisz mi tej przyjemności. — Z pewnością nie odmówię, rzekła Stefania wsiadając do sanek hrabiego.

Zabręczały wesoło dzwonki i sianie sunęły się szybko wśród błoni śniegiem pokrytych. Było to w pogodne, jasne popołudnie ostatnich dni marca; szronem okryte drzewa błyszcząły jak w djamentowych koronach przy świetle zachodzącego słońca.

— Przyznaj pani, że pogodny dzień zimowy u nas na północy, jest bardzo piękny. Oddycham zdrowiem i mocą, rzekł hrabia. — O! niewysłowienie ożywia duszę, i gdy jak my teraz, przejeżdżasz góry i obszerne lasy z wynio-

słemi drzewy, czujesz, że wszędzie na świecie jest pięknie, ale najlepiej w kraju rodzinnym, na Północy. — W kraju rodzinnym? powtórzył hrabia i spojrzał na Stefanię. Przecież Północ nie jest ojczyzną pani. — Alboż kraj rodzinny, to nie ojczyzna? zapytała Stefanija. — Ale Szwecyja nie jest pani rodzinnym krajem; pani urodziła się w Ameryce. — Kto to powiedział? — Pani sama, gdy raz moja matka pytała. — Jam powiedziała, że Ameryka jest moją ojczyzną, lecz nie jest moim rodzinnym krajem. W Ameryce się wychowałam, ale moja kolebka panie hrabio, stała niegdyś w Szwecyi. Jestem dzieckiem głębokiej Północy. — Chyba niepodobna! Cała powierzchność pani, zdradza mieszkankę okolic południowych. — Być może, ale ja jestem Szwedką duszą i sercem, myślą i uczuciem; alboż pan sądzisz, żem po to przyjechała z jednej części świata do drugiej, żeby umrzeć na obcej ziemi? Nie, ciągnęła mię tu tęsknota do rodzinnego kraju. Pragnęłam umrzeć, gdzie po raz pierwszy ujrzałam światło dzienne. — Musiałaś pani bardzo młodo opuścić Szwecyję, kiedyś zapomniała mówić ojczystym językiem, gdyż pani z pewną trudnością wyrażasz się po szwedzku. — Dzieckiem opuściłam Szwecyję, odpowiedziała Stefanija uśmiechając się smutnie.

Hrabia miał ochotę więcej się rozpytywać, ale nie śmiał być natrętym, a że Stefanija zwróciła zaraz rozmowę na inny przedmiot, poznał, iż i sama nie życzy sobie poruszać dawnych wspomnień. Siedział więc roztargniony i milczał. Nagle, przerywając jakieś opowiadanie Stefanii, odezwał się Herman: — Pragnąłbym zadać pani jedno pytanie, ale boję się być natrętym. — O, tu w cza-

sie jazdy pod pięknem, otwartem niebem, pozwałam panu pytać, o co tylko zechcesz, zastrzegając sobie prawo nie dania odpowiedzi, jeśli mi się tak podoba. — I przyrzekasz pani, że nie będziesz się gniewać? — Przyrzekam. — Więc powiedz pani otwarcie: Jakie węzły łączą cię z panem Lange?

Niebieskie oczy Hermana zanurzyły się głęboko w twarzy Stefanii. Z każdego jej poruszenia chciał wyczytać wrażenie, jakie wywołało to pytanie. Ale Stefanija pozostała zupełnie spokojna i bez najmniejszego zmieszania odpowiedziała: — Najmocniejsze i najtrwalsze węzły przyjaźni. Przez długie lata był on dla mnie więcej, niż bratem, ojcem i matką, gdyż on rozbudził we mnie wszystko, co jest dobre, i jeśli jestem kobietą szlachetną, to jemu zawdzięczam. On mi dał wartość moralną. — Nie jest to jednak odpowiedź dokładna na moje pytanie. Czy łączą was węzły pokrewieństwa, czy tylko skłonności? Dla czego, zawdzięczając mu tyle, nie złączyłaś z nim pani swych losów na zawsze? — Bo moje losy są na zawsze związane ze smutkiem. W tym jednak przedmiocie nie dam panu objaśnień. Pytasz, czy jesteśmy krewni? Tak jest, gdyż mój stryj, był mężem jego ciotki. Te węzły pokrewieństwa nas zbliżyły, a kto raz dostanie się pod wpływ niepospolitego i prawego charakteru Jakóba, ten musi całe życie być do niego przywiązany, szczególnie jeśli jak ja, przestawałam z nim codziennie przez lat wiele. — Takie codzienne zetknięcie dwojga młodych ludzi bywa niebezpieczne, zwłaszcza, gdy jak oboje państwo, są piękni i zgodnie myślą i czują. Czyś pani nigdy nie znała tego niebezpieczeństwa?

I znowu hrabia badawczo spojrział na swoją towarzyszkę.

— Owszem, odpowiedziała z prostotą. Był czas, gdy sobie wyobrażała, że tylko z nim mogłabym być szczęśliwą. Ale między nim i mną stały okoliczności, które nie pozwoliły memu sercu mieć dla niego rzeczywistego uczucia miłości, i byliśmy jak do śmierci będziemy, dwojgiem wiernych przyjaciół.

— I nigdy nie będziesz pani dla niego czemś innym jak przyjaciółką? — Nie, nigdy, odpowiedziała Stefanija tak stanowczo i z taką powagą, iż trudno było nie uznać, że mówi zupełną prawdę. — Dzięki Stefanijo, szepnął hrabia i zaciął konie.

Oboje milczeli chwil kilka. — Czemu pan nie ożeniłeś się dotychczas? zapytała zniecierpliwiona Stefanija.

Herman drgnął, pociągnął gwałtownie wodze i odpowiedział: — Opowiem to pani kiedyś, ale nie teraz.

Przez resztę drogi nie wyrzekli ani słowa. Wieczorem, gdy wracali do domu, hrabia był nadzwyczajnie mało mówny, nie trudno było poznać, że jego myśli nie musiały być przyjemne. Chmury przeciągały po jego bladem czole, które przy blasku księżyca wydawało się jeszcze bledsze.

— Jakoż hrabia dziś w wieczór nie w humorze? pytała Stefanija. — Ach pani, skierowałaś moje myśli na przedmiot, którego cienia pragnąłbym uniknąć. I teraz porównywan, czem mogło być, a czem jest moje życie. — Zwykle sami sobie los gotujemy, a jeśli cierpimy, najczęściej jest to następstwem naszych własnych błędów. — Niestety! ma pani słuszność, przyznaj jednak, że jest coś

rospacznie gorzkiego w myśli, że nigdy nie osiągniemy szczęścia, o jakim marzymy, że jakiś los złowrogi na wieki nas z nim rozłączy. Ach! pani, bierze mnie ochota w łeb sobie strzelić, gdy pomyślę, że los szydęczy ukazuje mi raj, do którego nigdy nie wejde. — Czemu nie? — I o to pytasz pani? Są chwile, w których żałuję, że cię poznałem, gdyż z pani przyczyny daleko ciężiej mi teraz dźwigać dołę, którą sobie zgotowałem. — Od tego pan mężczyzna, żebyś ją mężnie znosił.

R O Z D Z I A Ł XXIX.

Od tego wieczoru, znowu nastąpiła pewna oziębłość w stosunkach między Hermanem i Stefaniją. Młody człowiek okazywał dla niej jeszcze większe niż dawniej uszanowanie, ona zaś podwoiła uprzejmość i delikatność w obęjsiu z hrabiną, ale zarówno Stefanija, jak hrabia starannie unikali wszelkiej poufnej rozmowy i widzenia sam na sam. Jeśli przemówili do siebie, to w salonie u hrabiny, gdy rozmowa była ogólną. Przeciwnie Stefanija starała się bardziej zbliżyć do Helfrydy, a chociaż w początkach młoda dziewica była zamknięta w sobie i zimna, w końcu jednak szczerze i serdecznie przywiązała się do Stefani, której musiała podziwiać niewysłowioną dobroć i delikatność. Ze swej strony Stefanija

podziwiała nieograniczoną miłość Helfrydy dla matki i brata. Nie było ofiary, poświęcenia się i zaparcia, do którego by dla nich nie była gotową. Nie łatwo poznałeś te uczucia z powierzchowności, tak całe obejście Helfrydy było spokojne i wolne od wszelkich pozorów przesady; ale kto jak Stefania śledził wszystkie jej czynności, ten musiał uwielbiać to serce ciche, a tak miłością bogate. I Jakób z coraz większym zajęciem śledził najdrobniejsze postęпки Helfrydy, i on ją cenił wysoko, współcześnie wywierając na nią wpływ potężny. Jego rozum bogaty i silny budził w niej życie umysłowe i świadomość wyższych obowiązków. Helfryda zaczęła czuć próżnię i powierzchowność dotychczasowego swego ukształcenia i zapragnęła rzeczywistszej i wszechstronniejszej oświaty. Z uczuciem tem łączyła się potrzeba ogólniejszego moralnego uszlachetnienia. Rozmowy z Jakóbem o charakterze ludzkim, o źródłach naszych wad i błędów, o szkodliwych skutkach nieznamośności tych źródeł, o błogim wpływie znajomości siebie na uszlachetnienie i podniesienie naszej godności moralnej — wszystko to otworzyło nowy świat dla dziewczycy, którą przyroda obdarzyła najbogatszymi skarbami dobroci serca i duszą dążącą ku wszystkiemu, co jest szlachetne. Pewnego poranku — było to w jasny dzień kwietniowy — gdy Stefania weszła na pierwsze piętro obejrzeć pokój sypialny hrabiny Gunilli, który dla niej uporządkowano wraz z gabinetem zwierciadlanym i salonikiem — ujrzała we wspólniejszej teraz galerii obrazów, Helfrydę stojącą przed portretem hrabiny Gunilli, który wyrestaurowany i oprawiony w bogate ramy wyglądał zupełnie jak nowy.

— Znasz pani ten portret? — zapytała Stefania. — Znam ale nie pojmuję jak... — Jak się tu znalazł, gdy inne odesłano do Furuhof, gdzie stały się pastwą płomieni? Czy to chcesz pani powiedzieć? przerwała Stefania. — Właśnie. — Nic nad to prostszego. Odsyłając wszystkie obrazy będące dumą waszej rodziny, zatrzymałam dla siebie ten jeden, który dla was jest upokorzeniem, a przeciwnie dla mnie ma rzeczywistą wartość. — Jaką może mieć wartość dla pani? Alboż znasz historię hrabiny Gunilli Romarhierta? — Nie, ale wiem, że była dziecięciem ludu, że za to musiała wiele cierpieć od pychy waszej rodziny, dla tego mię zajmuje ten obraz. — Pychy? powtórzyła Helfryda i utkwiała wielkie ciemno błękitne oczy w Stefanię z wyrazem niezadowolenia i wyrzutu. — Tak jest, panno Helfrydo, wyraz może surowy ale stosowny; bo jakżeż inaczej nazwiesz pani ten przesąd swojej rodziny, który sprawił, że wzgardziła i odepchnęła biedną kobietę? — Z kąd pani wie, że Gunilla była wzgardzona i odepchnięta? — Wiem, żeście osądzili, iż jej obraz nie godzien był zajmować miejsca między portretami waszych przodków, a to było następstwem pychy, że nie powiem zułchwalsztwa.

Helfryda pobladła. Stefania dotknęła teraz najdroższej strony serca młodej dziewczycy.

— Dla czego jedno z najszlachetniejszych uczuć nazywasz pani pychą? — Jedno z najszlachetniejszych uczuć? Ach, panno Helfrydo, doprawdy nie pojmuję, jak możesz coś podobnego nazywać szlachetnem? rzekła szyderczo Stefania. — Alboż nie jest szlachetną cześć dla wielkich i świetnych przymiotów naszych przodków? alboż nie jest

szlachetne uszanowanie dla nazwiska, które nosiły tak znakomite osoby? Alboż nie jest szlachetnem, że nie chcemy, aby to nazwisko nosiły osoby, które nie pochodzą z równie znakomitej i szanownej rodziny? A wreszcie, nie zaprzeczysz pani, że arystokracja wyszła niegdyś z ludzi najszlachetniejszych w narodzie i właśnie dla tego ze swemi wysokimi przymiotami wzniosła się nad tłumy poziome; obowiązkiem jej jest nie poniżać swego pochodzenia od najszlachetniejszych mężów w narodzie, łączeniem się z ludźmi, którzy takich przodków nie mają; inaczej hańbią nazwisko, które winno świętem pozostać.

Gdy tak mówiła Helfryda, w całej postaci było coś nakazującego i królewskiego; dumnie podniesiona jej głowa, zdawała się być stworzoną do korony.

Stefanija patrzyła z uśmiechem litości raczej niż pogardy na ten piękny typ młodej arystokratki.

— Duma z powodu świetnego nazwiska, jest równie prawie rozumną jak duma z zewnętrznej piękności. Jest śmieszną, jeśli nie łączy się ze szlachetnem dążeniem ku moralnemu ukształceniu,—jest samolubną, jeśli jak w tym razie, zaślepia nas nad rzeczywistością zasługę — każąc ubóstwiać odziedziczoną po przodkach. Powiadasz pani, że nie godzi się poniżać szlachetnego nazwiska, wchodząc w związki z osobami, które takiego nie mają. Nazwisko panno Helfrydo, wówczas się tylko poniża i brudzi, gdy je dajemy osobom, których charakter i postępowanie są poziome i niegodne człowieka, choćby nawet same nosiły najświetniejsze nazwiska; ale nie poniża się bynajmniej, gdy je ofiarujemy ludziom zacnym i prawym choćby niskiego rodu. Chciej mi odpowiedzieć, panno Helfrydo,

ty co znasz historję Gunilli Romarhierta: byłaż to godna szacunku czy wzdardy kobieta?

— Co do charakteru swego, była pod każdym względem szacunku godna, i niktby go jej nie odmówił, jeśliby nie poważyła się uważać za godną noszenia nazwiska Romarhierta.—A dla czegoż nie była godną tego nazwiska? — Szanowna pani, to była prosta córka rybaka.—Panna Helfryda nazywa to dumą szlachetną, a ja nazywam pychą bez serca i szlachetności!

Zdawało się, że Stefanija urosła, mówiąc te wyrazy, tak jej postać była wyniosła i pełna nakazującej powagi.

— Gdyby Bóg dopuścił, żebym urodziła się z krwi arystokratycznej — mówiła dalej młoda kobieta—tobym się rumieniła przed sobą i Bogiem, jeślibym tak dalece poniżyła w sobie godność ludzką i charakter chrześcijański, żebym nie ceniła nad wszystko cnoty i prawdziwej zasługi, choćbym ją znalazła pod podartą opończą wyrobnika. Czułabym się dumną i zaszczyconą związkami z ludźmi szlachetnymi i zacnymi choćby najniższego stanu, mocno przekonana, że takie związki podniosłyby mnie w oczach Boga, zamiast poniżyć, jak się pani zdaje. Spójrzysz pani, dodała Stefanija z powagą—czy widzisz tam przy drzwiach portret Katarzyny Medicis?—otóż ci sami członkowie twojej rodziny, którzy odepchnęli cnotliwą córkę rybaka — chełpiliby się dumnie, gdyby byli spokrewnieni z tym potworem świetnego rodu. Jeśli takie zapatrywanie się na godność ludzką i zasługi jest prawdziwe i szlachetne, w takim razie, panno Helfrydo,

— Chrystjanizm jest fałszem, a kłamstwem wszystko piękne i zacne, czego nas uczy.

Helfryda stała jak ogłuszona temi słowy, może także ich prawda ją oślepiała. Pewnem jest tylko, że wszelkie uczucie dumy w niej umilkło. Nastało długie milczenie, które nakoniec przerwała Stefania mówiąc: — Dziwne to zrządzenie losu, że wszystkie portrety przodków pani zniknęły, gdy jedyny portret, któryście odrzucili jako niegodny należeć do ich towarzystwa, pozostał, by potomkom rodziny Romarhierta nieustannie wyrzucał doznana niesprawiedliwość. Jest jakaś pomsta w tej fantazyi przypadku. Portrety sławnych wodzów rozleciały się w proch, który wiatr rozwiewa, ale obraz cierpiącej w ciichości i upokorzonej cnoty, panuje jeszcze w tym samotnym zamku, jak w sercu ciche zgryzoty sumienia. Stefania odeszła od portretu Gunilli i zwracając mowę na inny przedmiot, rzekła:

— Co pani sądzisz o tym obrazie? Korsarz stojący przy trumnie swej narzeczonej. — Bardzo piękny. — Nieprawdaz? Przypatrz się jego twarzy. Postać jego, jest uosobioną siłą, dziką żądzą i zwycięstwem. Ale w rysach jego i postawie czytasz, że ta moc jest złamana. Co ją złamało? Strata opiekuńczego anioła. — Prawda, czem jest wszelka nasza moc i potęga, jeśli nas dobroć opuści! rzekła Helfryda. — I masz pani słuszość; żadna potęga nie jest tak wielką jak moc dobroci, i nigdy człowiek nie jest tak silny, jak gdy chce zwyciężyć dobrocią.

W kilka chwil później Helfryda i Stefania zeszły na dół na przechadzkę. Przy parku spotkały Jakóba.

— Co? Tu znowu? zapytała Stefania, widziałam

jak raniutko jechałeś do Akersnäs. — Jestem wszędzie i nigdzie, śmiejąc się odpowiedział Jakób; zresztą za wiele myślałem o tem, co nie należy do dzisiejszej roboty, a o niej za mało. I otóż zapomniałem rysunków nowego wodociągu, który dziś zakładam, i musiałem się wracać po nie.

To powiedziawszy, pożegnał panie i pospieszył do mieszkania.

— Co sądzisz o Jakóbie, panno Helfrydo? zapytała Stefania. — Myślę, że to młody człowiek rzadkich i nadzwyczajnych przymiotów. Jego rozległy umysł olśniewa, a dar jasnego pojmowania budzi zdumienie. — A cóż, czy potrzebuje być arystokratą, żebyś miała dla niego szacunek? — Nie, zarówno jak pani nie potrzebujesz być arystokratką, byś we mnie budziła podziwienie. — A jednak zbladłabyś pani z przestachu, gdyby twój brat zaślubił mieszczańkę, choć równie podziwienia godną.

Stefania wymówiła te wyrazy z niezwykle gorczyzą.

— Nie, alebym żałowała, że przy innych świętych przymiotach nie ma stosownego nazwiska. Z resztą właściwie mówiąc, na mnie osobiście nie uczyniłoby to wrażenia, ale by mnie niepokoiła boleść, jakaby to matce sprawiło. Zbyt jest starą, by mogła zmienić wyobrażenia o tem, co jest sprawiedliwe lub niesprawiedliwe. — Tak pani sądzisz? A ja mam zamiar zmienić jej arystokratyczne pojęcia.

To mówiąc Stefania uśmiechnęła się z tak czarowną słodyczą i niewysłowioną dobrocią, że Helfryda uwierzyła iż oprzeć się jej nie można.

— O, w istocie, pani wywierasz dziwny wpływ na

serca ludzkie, ale...—Ale tym razem wątpisz o nim, nieprawdaz? Kto wie! Zwyciężam, gdy zechcę. Ale dajmy temu pokój. Pomówimy więcej, gdy się o zwycięztwie upewnię.—Zawsze mię to dziwiło—odezwała się Helfryda po chwili milczenia, że dwoje ludzi tak do siebie podobnych ukształceniem i wyobrażeniami, jak pani i pan Lange, nie złączyli swych losów.

Stefanija spostrzegła, że Helfryda zarumieniła się, a głos jej stracił zwyczajną spokojność; ale nie zwracając na to uwagi, odpowiedziała:—W istocie był czas gdy nam się obojgu zdawało, że jesteśmy dla siebie stworzeni, ale ja byłam już zamężną, a Jakób z młodzieńczym zapalem zwrócił swe serce ku innej.—A! więc jest zaręczony!—Był. Dziś stosunki są zerwane, i tylko gorzkie wspomnienia po nich pozostały. — Któż zerwał on czy ona? — Ona nie dotrzymała słowa, on zerwał stosunki, ale dotychczas nie zdołał wydrzeć z wiernego serca wspomnień niebezpiecznych.—Więc ją kocha jeszcze?—Nie ją, ale przeszłość. Wyobrażnia jego czepia się wspomnień o niej, jaką była wprzód nim sobie uczyniła zabawkę z jego miłości.

Helfryda szła milcząca i zamyślona obok Stefanii, nie mogąc sobie wytłómaczyć, dla czego jej wyrazy budziły w niej tak gorzkie uczucia. Zdawało jej się, że jak ostry miecz, mają moc przeszywać i krwawić jej duszę.

Nakoniec odezwała się znowu: — Taka miłość oparta na wspomnieniach, będzie mu pewnie całe życie towarzyszyć. — Nie sądzę, w każdym razie długich lat potrzeba, nim ją wydrze ze swego serca. Czas uleczył ranę, jaką zadało wiarołomstwo, ale wspomnienie pierwszych dni

miłości ma czarodziejską siłę i gorzki powab, którym oprzeć się trudno.—Ale czy podobna być mu niewiernym? zapytała Helfryda nie spostrzegając, że jej głos miał prawie namiętny wyraz, gdy zadała to pytanie.

Zdziwiona Stefanija badawczo spojrzała na młodą dziewczę, która zamyślona patrzyła przed siebie.

— Trzeba było ją znać. To istota bez serca, odpowiedziała Stefanija.—Imógł ją kochać?—Była powabnym dzieckiem, gdy się do niej przywiązał, pewny, że istota tak miłej powierzchowności, musi być aniołem. I zawiódł się: ten mniemany anioł był stworzeniem wcale prozaicznym, szukającym bogatego męża i znaczenia w świecie.

W tem rozległ się tentent kopyt końskich. To Jakób pędził cwałem do Akersnäs. Mijając, zdjął czapkę i rzekł ze świeżym serdecznym uśmiechem:—Piękne pannie wybaczą, że tak prędko około nich przejeżdżam, ale mię czekają w mojem królestwie w warsztatach.

I zniknął im z oczów. Helfryda długo za nim patrzyła, a jej piękne lica powlokła chmura smutku. I to widziała Stefanija i pomyślała z westchnieniem:

— Biedne dziecię, czyż i ty niewzajemną miłością ku nierównemu sobie urodzeniem masz odpokutować złe jakie wyrządziła pycha twej rodziny!

R O Z D Z I A Ł X X X .

Zabawiwszy wieczorem kilka godzin w pokoju u hrabiny, gdy wszyscy się rozeszli, Stefaniya i Jakób zatrzymali się w małym gabinecie między wielką salą i przedpokojem.

— Powiedz mi Jakóbie, co sądzisz o Helfrydzie, rzekła Stefaniya kładąc rękę na jego ramieniu. — Podobną jest do kryształu: jak on jest czysta i bez skazy jej dusza. Podobną jest do djamentu, który niezręczne szlifowanie uczyniło nieforemnym, ale gdy dobrze go osadzisz, będzie miał nieocenioną wartość. — Co rozumiesz przez tę osadę? — Rozumiem wartość, jaką daje ukształcenie i istotna przewaga moralna! Nadano Helfrydzie fałszywy kierunek i błędny pogląd na świat. — To prawda, ale jest coś niewysłowienie przyciągającego w jej przywiązaniu do matki i brata, w jej miłości do wszystkiego, co piękne i szlachetne, w jej prostej, nieskalanej dobroci serca, która przez wszystko prześwieca. — Tak, i jest prawdziwa przyjemność w rozmowie budzić bogate skarby w niej drżące i dobywać z jej duszy pokłady szczerego złota. Od wielu lat nie zajmowała mnie żadna obca kobieta tyle co ona. Prawdziwa rokosz patrzeć w jej pogodne ciemno-błękitne oczy i czytać w nich piękną duszę. — Czy nigdy nie pomyślałeś o pokochaniu jej? — Nie, pragnąłbym być jej przyjacielem, i ile możności kierować ku prawdzie jej rozum zdrowy z natury. — Ależ ta

piękna i szlachetna dziewczyna nie byłaby w stanie zatrzeć w tobie wspomnienia pierwszej miłości? — Zdaje się, że nie. — Czemu? — Bo kocham wspomnienia. Zresztą nie mam wielkiej ochoty wystawiać na nową próbę swojej spokojności. Przyszłość dochowa mi wierności i ja chcę być jej wiernym. — A jednak chętnie szukasz towarzystwa Helfrydy. — W istocie rad do niej się zbliżam i z rokoszą oddycham świeżem i czystem powietrzem, które jej niezeepsuty charakter otacza. Zresztą Stefaniyo, myślę, że mogę na nią wywierać wpływ dobry, jak wywierałem na ciebie. — Strzeż się Jakóbie! Pomyśl, żeś o mało sam nie padł ofiarą wpływu, który z razu czyniłeś na mej zbłąkanej duszy. — Wówczas miałam dwadzieścia jeden lat, a w tym wieku trudno być filozofem. — Obawiam się, że i przy swoich dwudziestu dziewięciu latach nim nie będziesz. — Jeszcze by też! Ja com stracił najpiękniejsze nadzieje i przeżył tyle gorzkich doświadczeń? — A gdyby Helfryda cię kochała? — Alboż to być może? Przecież nie dałem jej żadnego powodu do przypuszczania, że czuję dla niej coś więcej nad przyjaźń. — Wyznajesz jednak, że pewien wpływ na nią wywierasz? — Z pewnością, ale taki wpływ wywieram i na ciebie. Zresztą jestem mieszczaninem, a ona zagorzałą arystokratką. Jej duma rodowa jest pewną tarczą przeciw miłości ku mnie, choćbym nawet był tak niebezpiecznym człowiekiem, jak tobie się zdaje — rzekł śmiejąc się Jakób.

Stefaniya zaczęła mówić o czem innem, i wkrótce potem Jakób zapalwszy cygaro, zszedł na dół do oficyny, gdzie miał swój pokój. Po odejściu Jakóba, Stefaniya poszła na pierwsze piętro do galeryi obrazów.

Ledwie otworzyła drzwi, gdy zatrzymała się przerażona. Przed portretem Gunilli stała postać w bieli. Na ten widok dreszcz przeniknął Stefaniję, gdyż przypomniała sobie, co mówił Eklund, że biedna Gunilla często powraca z tamtego świata. Po chwili przezwyciężywszy strach, Stefanija śmiało postąpiła ku postaci, która obróciła się na szelest kroków.

— Panna Helfryda! zawołała Stefanija, gdy światło księżyca padło na bladą, zroszoną łzami twarz młodej dziewczyny.

Helfryda uśmiechnęła się melancholicznie, podała rękę Stefanii i nie tłumacząc powodu swej tu bytności w tak późnej godzinie, rzekła:—Dobranoc.

I szybko wyszła z galeryi.

— Gunilla i Elina! szepnęła Stefanija. Lękam się, czy los nie podjął się być waszym nieubłaganym mścicielem.

W kilka dni później o wieczornej godzinie, gdy wszyscy zwykle zbierali się u hrabiny lub u Stefanii, matka Hermana siedziała w swoim pokoju, zawiadomiwszy, że później przejdzie do sali, gdyż po ciężkim napadzie kaszlu pragnie nieco odpocząć. Helfryda pozostała przy matce, bo rzadko kiedy ją opuszczała. Jakób nie powrócił jeszcze z Akersnäs, a Jane była z wizytą na plebanii. Stefanija sama siedząc w salonie słyszała jak Herman wszedł do jadalnego pokoju i zapytał Eklunda: Czy panie są

dziś w wieczór u hrabiny, czy u pani Stephensen? — Są w wielkim salonie, odpowiedział Eklund, który niechętnie wymawiał nazwisko Stephensen.

Po chwili wszedł Herman, ale zastawszy samą Stefaniję zatrzymał się i rzekł: — Przepraszam panią, sądziłem...—Że zastaniesz tu pan matkę i siostrę, nie prawdaż hrabio?—I nie wszedłbym, gdybym wiedział, że pani jesteś samą.—Dla czego nie?—Z obawy bym nie przeszkadzał.—Pan mi wcale nie przeszkadzasz; owszem, czekam na pana.

I skinieniem ręki Stefanija prosiła Hermana siedzieć, dodając: — Hrabina jeszcze godzinę spocznie, i przyjdzie trochę później:—Pani sama jedna,—a gdzież pan Lange? —Zapewne w Akersnäs.

Stefanija spojrzała na hrabiego, którego cała postać wyrażała jakiś przymus. Milcząc, przerzuciła kilka kart albumu z rycinami, i odezwała się nagle: od pewnego czasu jesteś pan ze mnie niezadowolony. W czym pana obraziłam?

— Niezadowolony z pani! zawołał Herman podnosząc oczy. Czyż to być może?—Że może, pan dowiodłeś, i przykro mi, iż tak jest w istocie. Tymczasem proszę wierzyć, że przynajmniej nigdy nie miałam zamiaru dać panu do tego powodu, i spodziewam się po pańskiej przyjaźni, że mi otwarcie powiesz, co sprawiło zmianę pańskiego humoru, inaczej uwierzę, że mi myliła myśląc, iż masz pan do mnie trochę przywiązania.

Twarz Stefanii wyrażała słodycz i czarowną dzieciinną prostotę. Z pełnem wdzięku poruszeniem podała mu rękę posągowych kształtów. Herman uchwycił ją z na-

miętym zapalem, uściśnął w swoich rękach i rzekł wzruszony:—Nie omyliłaś się pani wierząc w moje przywiązanie.—A więc powiedz mi pan otwarcie, czem pana obraziłam? Może względem matki lub siostry pańskiej postępuję nie tak, jakbyś pan sobie życzył. — O! jak możesz pani przypuszczać coś podobnego! Owszem, z dniem każdym jestem większym dłużnikiem pani za delikatność, z jaką godzisz biedną umierającą z jej losem, i starasz się dać jej mniej uczuć, iż jest gościem w twoim domu. Nigdy nie mogę bez podziwienia patrzeć na panią, gdy jesteś u niej.

Hrabia przycisnął rękę Stefanii do ust swoich. Młoda kobieta usunęła ją lekko i rzekła z mniejszą niż zwykle pewnością w głosie. — Więc jakaż inna jest moja wina?—Pani—żadna. Ach, nigdy nie dasz mi tej pociechy, abym mógł uzalić się na ciebie! — A dla czego mnie pan unikasz?

Na czoło Hermana wystąpiła ciemno-czerwona plama, oczy jego pały, ale spotkawszy spokojne, pogodne i poważne spojrzenie Stefanii, przeciągnął rękę po czole i rzekł z wolna: — Dla tego, że duszę moją przepełniają gorzkie wspomnienia, które pani wywołałaś w czasie naszych ostatnich odwiedzin u barona Skjöld. Wspomnienia te ścigają mnie nieustannie. Pragnąłem otwarcie rozmówić się z panią, a jednak czułem, że to byćnie może. —Więc pan nie masz żadnego zaufania do mnie? — Pragnąłbym pani nie ufać.—Posłuchaj panie hrabio. Stosunki nasze są tego rodzaju, że powinniśmy sobie ufać wzajemnie. Zapomnijmy więc oboje, że należymy do różnych klas społeczeństwa, i bądźmy nie tylko członkami

współki przemysłowej, ale i przyjaciółmi. Ja zapewniam, że mam rzeczywistą przyjaźń dla pana i jego rodziny i pochlebiam sobie, że i pan jesteś nie tylko sumiennym rządcą mojego majątku, ale i przyjacielem. — Przyjacielem? powtórzył Herman. — Czy żądam za wiele?—Nie, na Boga! I spodziewałem się, że pani nie będziesz potrzebowała się o tem upewniać; spodziewałem się, że pani czujesz i widzisz, iż jestem twoim przyjacielem.—Dziękuję! Więc teraz zupełna zgoda między nami, zawołała Stefania.

Po chwili milczenia odezwał się hrabia.—Pytałaś mnie pani niedawno, dla czego się nie ożeniłem dotychczas.—Tak; a pan odpowiedziałeś, że później o tem pomówisz.—Przyczyna jest ta, że już jestem żonaty!

Herman wymówił te wyrazy poważnie i spojrzał badawczo na Stefanię, jakby chciał wyczytać w jej duszy jakie na niej sprawia wrażenie. Twarz młodej kobiety pozostała chłodna i niewzruszona. Podniosłszy oczy na hrabiego, Stefania rzekła najspokojniej: — Żonaty! — A gdzie jest pańska żona? — To może być dla pani obojętne. Nigdyśmy z sobą nie żyli. Zaślubiłem ją wprawdzie, aleśmy się rozstali od ołtarza.

Stefania oparła głowę na rękę i rzekła z wolna:—Czyją żoną jest Elina Romarhierta?

Przy tem zapytaniu znikła słodycz i łagodność spojrzenia Stefanii: dziwnie wielkie jej oczy patrzyły surowo, a usta drgały. Herman zbladł, ostygł i obudziła się w nim wrodzona duma, gdy odrzekł:—Hrabina Elina Romarhierta, była mi zaślubioną przed jedenastu laty.—Zaślubioną i odepchniętą! dodała głucho Stefania.—

Więc pani znasz losy Eliny?—Wiem, że mąż nią wzgardził i odepchnął od siebie.—Wzgardził i odepchnął? Zarzut niesłuszny, gdyż nigdy nie byliśmy z sobą połączeni. — O tem nie wiem — nie jestem biegłą w loice. Ale niech mi pan powie, co złego zrobiła Elina, że stała się niegodną być pańską małżonką?—Nic, odpowiedział Herman. — A jednak musi być obcą na obcej ziemi, nie mając prawa do pańskiej opieki. — Szanowna pani nie wie, w jakich okolicznościach została moją żoną. — Przypominam sobie, coś mi pan mówił, że urodzenie Eliny było przyczyną, iż matka pańska nie chciała jej uznać za swoją córkę. Hrabia Herman prawdopodobnie podziela sposób myślenia matki. — Podzielałem, odpowiedział słabym głosem Herman, i byłem szczęśliwy, dopókim miał takie wyobrażenia. Teraz...

Było coś boleśnie melancholicznego w twarzy Hermana.

— Żałujesz pan za swoje okrucieństwo i chcesz je naprawić.—Chętniebym żałował, gdybym mógł naprawić; ale między mną i Eliną leżą gorzkie wspomnienia, i są chwile, gdy czuję ku niej nienawiść.—Zaslepionej dumy? —Dumy! Dałby Bóg, abym mógł czuć jeszcze tę dumną wzgardę dla związków z mieszczaństwem! Niestety, pani spłoszyłaś całe to lśniące złudzenie! Dziś oddałbym połowę życia za to, żebym mógł uwolnić się od krępujących mię więzów, i złożyć moje serce u stóp kobiety, którą ubóstwiam.—Tak, chcesz być pan wolnym, żebyś mógł wybrać sobie żonę w swojej kaście.—Stefanijo! zawołał hrabia namiętnie. I ty pani mówisz, że jeszcze uginam kolano przed wysokiem urodzeniem? Ty pani, coś wszystkie moje pojęcia zburzyła, coś wydarła z mego serca

wszelkie przywiązanie do wyobrażeń arystokratycznych, coś mię tak upokorzyła w duchu, że z dumą nazywam się twoim sługą.

I ujął rękę Stefanii i dodał stłumionym głosem:— Alboż nie widziałaś pani, jaką masz moc nademną? Aboż nie uczułaś, jaki wpływ na moje serce wywierasz? Czyż wistocie jeszcze sądzisz, że jestem niewolnikiem swej dumy? O Stefanijo! tyś pomściła Elinę!

Hrabia umilkł. Stefania nie uwalniając swych rąk, siedziała nieruchoma, podobna do posagu. Nakoniec podniosła głowę i rzekła z łagodną powagą:—Hrabio Hermanie, coś mi pan teraz powiedział, uważam za wybuch uczuć, których moc sam pan przeceniasz. I oswabdzając swoje rękę dodała: — Jesteś pan mężczyzną, człowiekiem honorowym, i dla tego to powinienes być panem swych wrażeń. Pozwól mi pan wierzyć, że choć arystokrata, masz silną wolę i poczucie obowiązku i nie jesteś, jak wielu z twej kasty, zniewieściałym niewolnikiem wrażeń chwilowych. Nie odbieraj mi szacunku, jaki mam dziś dla pana, pozwól mi widzieć w nim przyjaciela, któremu bez nieufności ślepo mogę powierzyć swój honor.

Tyle było prostoty, godności i niewieściego zaufania w wzwrocie, jaki nadała Stefania wybuchowi uczuć Hermana, że musiało to powstrzymać wszelkie dalsze oświadczenia. Herman głęboko uczuł, że go zawstydziła, gdy choć był tak blizkim zapomnienia się i wyrażenia uczuć, które jako żonaty nie miał prawa jej oświadczyć, wezwała go przecież, aby nadal pozostał jej przyjacielem. Postępek Stefanii nie był też bez wpływu na rycerski w gruncie charakter Hermana. Ujawszy znowu rękę,

którą przed chwilą usunęła, pocałował ją z czcią głęboką i rzekł poważnie:

— Nigdy, szanowna pani, nie będziesz miała powodu żałować wspaniałomyślności, którą mi teraz okazujesz. Pozostanę wiernym przyjacielem twoim, dopóki mię potrzebować będziesz, i dołożę starań, bym jak człowiek honorowy zasłużył na twój szacunek. — Dziękuję hrabio Hermanie, a teraz zakończmy i zapomnijmy tę rozmowę, dodała Stefanija uśmiechając się przyjaźnie. Czuje, że odtąd z rzeczywistym zaufaniem i prawdziwą przyjaźnią będziemy się spotykać.

Tejże chwili wszedł Jakób, a hrabia powtórzył w duchu: — Z większem zaufaniem i przyjaźnią! Tak, moje siły znowu będą wystawione na niezdolną próbę. Ale muszę jej dowieść, że w mej piersi bije serce, które słucha tylko natchnień najszlachetniejszych.

W krótkce weszła do salonu hrabina i uśmiechnęła się łagodnie do młodej i powabnej Stefanii, która zawsze była tak uważająca i delikatna, i przy każdej sposobności zaszcierała kwiatami cierniową drogę, po której dumna arystokratka zstępowała do grobu.

— Szanowna pani, jesteś dla mnie tak uważająca i tyle czynisz dla uprzyjemnienia mi życia, że nie mogłabyś więcej zrobić będąc moją córką, rzekła hrabina, gdy Stefanija podawała jej poduszki i stołeczek pod nogi.

Schyłona w tej chwili Stefanija była prawie w klęscej postawie; usłyszawszy słowa hrabiny podniosła ku niej oczy i można było widzieć drgające jej usta, gdy rzekła: — Gdybym w istocie mogła uprzyjemnić jedną chwilę pani życia, pragnęłabym za całą nagrodę, abys mię raz

nazwała córką. Hrabina uśmiechnęła się do pięknej twarzy, której największym wdziękiem była przeświecająca z niej dusza, pochyliła się i złożyła pocałunek na czole Stefanii mówiąc: — Dzięki, moja córko!

Stefanija podniosła się żywo i oczy jej dziwnie błyszczały, gdy spojrzała na Hermana. Odetchnawszy głęboko młoda kobieta, rzekła znacząco: — Pani hrabino, nazwałaś mię raz swoją córką, a ja będę nią zawsze w przyszłości.

Potem usiadła spokojnie z robotą przy hrabinie i zaczęła mówić o rzeczach obojętnych. Rozmowa toczyła się o pierwszej rewolucji francuzkiej i o arystokracji, która wówczas emigrowała.

— Zawszem myślała, rzekła hrabina, że pani jesteś córką francuzkiego wychodźcy i że pochodzisz ze szlacheckiej rodziny. Czy miałam słuszność?

Herman, który czytał gazety, spojrzał na Stefanię; twarz jej znowa wyrażała tę szlachetną godność i niedostępną dumę, jaką nieraz w niej zauważył. Młoda kobieta odpowiedziała z uśmiechem: — Nie hrabino, nie mam w swoich żyłach ani kropli krwi arystokratycznej. Ojciec mój był w młodości prostym żeglarzem, a matka ubogą córką marynarza.

Stara hrabina zmarszczyła brwi i zimna duma osiadła na jej twarzy przed chwilą przyjaźnie uśmiechniętej. I odsunęła głowę na poduszkę, jakby chciała ile możności oddalić się od Stefanii. Herman spostrzegł to poruszenie i rumieniec wstydu, prawie gniewu na matkę, na jego twarz wystąpił. Czytałś z niej niespokojną obawę, czy Stefanija się nie obraziła, ale młoda kobieta zdawała się nie zwracać na to uwagi, chociaż nie uszły jej spoj-

rzeń grymasy hrabiny. Herman dostrzegł tylko na jej ustach uśmiech litości i nieopisany wyraz, z jakim spojrzała na Jakóba, który bacznie przysłuchiwał się rozmowie. Stefania rzekła spokojnie:—My amerykańanie mamy tylko jedną arystokrację, tę mianowicie, jaką tworzy prawość charakteru, pracowitość, wysokie ukształcenie i wszelkie przymioty uszlachetniające duszę. I jam się starała usilną pracą i kształceniem swego umysłu i serca nabyć cnoty zdobiące człowieka i zosłużyć na nazwę chrześcijanki w najpiękniejszym znaczeniu.—Usiłowania takie są bardzo piękne a nawet konieczne dla osoby, która chce się wzniesić nad swoje niskie pochodzenie. Takie starania zasługują na pochwałę i szacunek. Człowiek zyskuje przez to wartość do pewnego stopnia wynagradzającą brak szlachetnego urodzenia, — odpowiedziała hrabina tonem tak wyniośle pańskim, że Helfryda z przestachem spojrzała na Stefanię, a Herman zagryzł usta, aby powstrzymać wyrazy, które mu się gwałtem wyrwały.

Niedelikatne słowa hrabiny niesprawiły jednak żadnego wrażenia na Stefanii, która odpowiedziała z uśmiechem:—Przyznam się, że nigdy nie czułam potrzeby godzić się ze swoim urodzeniem; owszem poczytywałam sobie za szczęście, iż mój ojciec był w początkach nieznanym żeglarzem, który uczciwą, sumienną i gorliwą pracą dorobił się milionów. Jest jakaś niewysłowiona duma w przeświadczeniu, że się jest dzieckiem człowieka, który zdobył sobie niezależność i szacunek u ludzi.

Hrabina pobladła. Czy Jakóba mówiły Stefanii, że pochwała jej słowa.

— O, zapewne, rzekła hrabina z nienaśladowaną obojętnością,—rzecz bardzo naturalna, że pani jesteś zadowolona tem, co masz, a lekceważysz to, czegoś nigdy nie miała. Mając parę rąk zdrowych można dorobić się majątku, ale żeby należyć do arystokracji, na to czegoś więcej potrzeba.

Albo mniej, odpowiedziała z uśmiechem Stefania. Może pani hrabina życzy sobie, byśmy zagrali na fortepianie dla jej rozrywki? dodała młoda kobieta tonem zwykłej uprzejmości.—Nie, dziękuję pani. Dziś w wieczór czuję się słabszą i myślę już wrócić do swego pokoju.

Hrabina podniosła się, Helfryda pospieszyła jej do pomocy. Stefania chciała ją odprowadzić, ale hrabina wsparła się na ramieniu Helfrydy, skinęła na Hermana i łaskawym giestem dała poznać Stefanii, że nie potrzebnie się trudzi. Tym razem Stefania zbłądła i z pewną wyniosłością pożegnała hrabinę. Gdy rodzina hrabiowska wyszła z pokoju, Jakób i Stefania patrzyli na siebie w milczeniu. Nakowiec odezwał się Jakób:

— Jaki brak delikatności w tych arystokratach! Jakie obmierzłe zuchwalstwo! — Jak możesz żądać delikatności od takich ludzi? Ach Jakóbie, nie wiesz, jak dalece posunęła swe okrucieństwo ta kobieta, i to jedynie z pychy! Ale ja zastosuję do niej słowa Pisma Świętego, które wyrzekł Zbawiciel o nieprzyjaciolach: „Czyńcie dobrze tym, którzy was prześladują.“ — I masz zupełną słuszość, Stefanijo. Jest pewne dumne zadowolenie w myśli, że się nigdy o tem nie zapomina, iż się jest chrześcijaninem. — Myślałam w istocie, że będzie czuć jaką taką wdzięczność za moje względem niej postępo-

wanie, zapomniałam jednak, że pycha zagłusza wszelkie inne uczucia i serce w martwy kamień przemienia. Ha, dowiodę jej, że moja szlachetność dorównywa jej pysze. Zobaczymy, kto na tem zyska. Czy jesteś zadowolony ze mnie, Jakóbie? dodała patrząc na niego z pokorą.— Zadowolony? nie, dumny jestem z ciebie! zawołał młody człowiek ściskając jej rękę.

— Więc wiem, że dobrze czynię.

Stefanija usiadła do roboty. Jakób podniósł mały pugilares, który leżał na podłodze. Oprawny był w czerwony safian ze złotemi arabeskami. Na okładce stały litery *H. R.* z hrabiowską u wierzchu koroną.

Jakób pokazał Stefanii pugilares mówiąc: — Nawet na takiej drobnostce błyszczy pycha hrabiowska w kształcie korony! Stefanijo, zdaje mi się, że zawsze pozostanę cudzoziemcem w naszej ziemi rodzinnej, nigdy bowiem nie będę mógł pogodzić się z jej głupstwami i przesadami.

Jakób otworzył pugilares i bez myśli przewracał kartki, gdy Stefanija w ostrych zarysach kreśliła wady i przymioty swych ziomków. Nagle oczy jego zatrzymały się na zapisanej kartce. I przeczytał, następujące wyrazy napisane pod zeschniętym pierwiosnkim: „Drogi kwiatku! Wyrosłeś wśród śniegów na początku wiosny, jak moja miłość wśród przesądów. Obydwoje jesteście jego darem. On mnie nauczył kochać, chociaż się tego nie domyśla; on was dał na powitanie wiosenne, i obydwójecie zwiednąć i umrzeć. Wiosna mojej radości była równie krótka jak twoje życie, drobnny kwiatku!“

Jakób z wolna zamknął pugilares i włożył do kiesze-

ni. Milczący i zadumany, długo patrzył przed siebie, nakoniec odezwał się do Stefanii: — Czy prawda, że baron Skjöld stara się o Helfrydę?—Tak mówią, i w istocie jest zachwycony w jej towarzystwie. Musiałeś sam to zauważyć?—Nie, doprawdy. Takie rzeczy mało mnie obchodzą i nigdy na nie nie zwracam uwagi. Czy sądzisz, że Helfryda odda mu swoją rękę?—Naturalnie. — Z wzajemności?—Bynajmniej. Helfryda wcale w nim nie gustuje, ale jest bogaty i ma piękne nazwisko, a tego właśnie potrzeba dumnej matce. Wszystko to wywiera wpływ na Helfrydę tak dalece, że z miłości ku matce i dla jej uszczęśliwienia gotowa zostać na całe życie nieszczęśliwą.—Zdaje się jednak, że Helfryda nie byłaby zdolną do takiej ofiary, gdyby kochała innego.—Owszem, poświęciłaby i miłość. Zważ tylko, że dla matki i brata wszystko zrobić gotowa. Własne szczęście jest niczem w jej oczach, gdy chodzi o soby, które kocha,—taką jest Helfryda. Jej poświęcenie dla nich dochodzi do ostatnich granic zaparcia siebie. — W istocie, wspaniałomyślne dziecko, rzekł Jakób wpadając w zadumę.

ROZDZIAŁ XXXI.

Następnego poranku, gdy jeszcze spała matka, Helfryda wyszedłszy do chorych we wsi, których wzięła pod swoją opiekę, spotkała Jakóba.

— Nie mieliśmy wczoraj przyjemności oglądania już pani, rzekł młody człowiek. — Nie mogłam opuścić mamy, odpowiedziała Helfryda zarumieniona na widok Jakóba. — Mam zgubę pani, którą chciałem jeszcze wczoraj w wieczór oddać. — A, mój pugilares! posyłałam wczoraj do sali, ale go już nie znaleziono. — Bom ja go zabrał, rzekł Jakób podając książeczkę Helfrydzie. Milcząc szli obok siebie; nagle Helfryda obróciła się ku Jakóbowi pytając: — Czyś pan zaglądał do pugilaresu? — Tak pani, ciekawość mię zdjęła przeczytać pani notatki. Widzę, że się to pani nie podoba, i masz słuszość; przyznaję sam, że byłem niedelikatny, ale postąpiłem tak umyślnie. — Dla czego? — Gdyż to był pugilares *pani*, a sądziłem, że mam pewne prawo do niej. — Do mnie? powtórzyła Helfryda, spuszcżając wielkie ciemno-błękitne oczy. — Tak, wiedziałem, że nie jestem obojętny dla pani i z treści pugilaresu poznałem, że mi się nie mylił.

Helfryda milczała: w jej oczach zabłyśły łzy obrazonej dumy.

— Panno Helfrydo, — odezwał się znowu Jakób drżącym głosem, — panią to boli i rani, że poznałem jej tajemnicę. Sądzisz, że źle postąpiłem, nie udając, że nic nie wiem. Nie mogę jednak kłamać i nie wierzę, by kłamstwo mogło do czego dobrego doprowadzić, gdy przeciwnie prawda zawsze do niego prowadzi. — Jeśli mówię: „Wiem, że pani mię kochasz“ nie myślę szukać tryumfu, któryby z oczów pani wycisnął łzy upokorzenia, ale owszem, jestem wzruszony i wdzięczny, bo pragnę, by to uczucie pani wpłynąć mogło na wykorzenienie z jej duszy szlachetnej wszystkich tych przesądów, które ją zaćmiewają.

Wiem pani, że miłość posiada moc uszlachetnienia, zwłaszcza takiego jak pani serca, które bije do tego jedynie, co jest piękne i dobre. Co mówię teraz, sprawia pani boleść. Doznajesz uczucia wstydu, że nie tylko wiem, ale i mówię o twojej miłości; ale to jest fałszywa duma, bo żadne uczucie czyste i wzniosłe nie może poniżyć. Źle pojmujemy naszą godność ludzką, wstydząc się swych uczuć szlachetnych. Bądź pani przekonana, że mój szacunek dla niej wcale się nie zmienił. Źle mówię, stał się nierównie większym.

— Słabość w nikim nie budzi szacunku, szepnęła Helfryda. — Pani nazywa słabością miłość? — Tak jest, odpowiedziała Helfryda z mocą, podnosząc głowę. Jest słabością, jeśli powstaje, gdy nie jesteśmy pewni, wzajemności. Jest słabością, jeśli bez oporu poddajemy się wrażeniom doznany, jeśli serce daje się im powodować bez walki, choć wie, że obowiązek i sumienie każą mu milczeć. Nie uczucie ku panu mię upokarza, ale przekonanie o swojej słabości, bom mu się poddała, choć pan nie dałeś do tego żadnego powodu. — Żadnego? — Alboż nie prawda? Alboż słowa i postępowanie pana mogły obudzić co innego nad przyjaźń i szacunek? i to jest właśnie słabość niedarowana, że się stała niewolnicą wrażeń, którem sama w sobie wywołała, gdy pan nie ośmielił się je niczem. Ach, nigdy mię pan nie przekonasz, że nie jestem biednym słabym dzieckiem, i to właśnie mię upokarza, że i pan musisz tak o mnie sądzić.

— Rozważmy spokojnie zapatrywanie się pani na swoje uczucia — odpowiedział Jakób, — a może sama wyznasz, żeś je zbyt surowo oceniła. — Na czem polega

każda prawdziwa miłość? Na szacunku i przypuszczeniu wzniosłych przymiotów w osobie, która nas zajęła, bez względu czy budzimy w niej toż samo zajęcie i czy dzieli te same złudzenia. — Miłość, uczucie serca najczystsze i najpiękniejsze, jest utworem naszych idealnych zdolności, które z pomocą wyobraźni łączą w osobie kochanej wszystko piękne, szlachetne i idealne, do jakiego sami jesteśmy zdolni. W słowach i postępkach tej osoby zawsze widzimy to co sami podziwiamy, i zawsze przypisujemy im pobudki, które w wyobraźni własnej mamy za najwznioślejsze. To też kochamy nie osobę tę lub ową, ale mieszkający w nas samych ideał, który w nią wcielamy najczęściej dla tego tylko, że jej powierzchowność ma pewne podobieństwo z utworem naszej wyobraźni. Otóż, chciej pani osądzić, czy jest w tem tworzeniu naszej duszy coś zasługującego na nazwę słabości, lub czego mielibyśmy się wstydzić przed sobą i drugimi? Niema.—Godni tylko jesteśmy politowania, jeśli osoba którą zdobimy najpiękniejszymi snami wyobraźni, wcale lub mało im odpowiada, lub przy bliższem poznaniu jest niegodną być ich przedmiotem. Wówczas dopiero mamy słuszny powód oskarżać się o słabość, gdyż wyobraźnia nas tak dalece w błąd wprowadziła, że rozum odnawia wartości osobie, którą obdarzyliśmy wszystkimi skarbami swej duszy. Często przypłacamy ten błąd stratą spokojności na całe życie, często na zawsze tracimy wiarę i nadzieję, i nie widzimy ani celu w życiu, ani szczęścia w przyszłości.

Jakób wymówił te wyrazy z głęboką, przejmującą powagą. Helfryda odezwała się wzruszona:

— I pan przypłaciłeś drogo taki sen i nie widzisz dziś ani celu w życiu ani szczęścia w przyszłości?

— Byłbym niezawodnie tak przypłacił, odpowiedział Jakób, gdyby moja dusza nie miała dość mocy do szukania w pożytecznej pracy choć słabego powetowania szczęścia jakiego nie mogłem znaleźć w przedmiocie, który nie odpowiedział moim najpiękniejszym marzeniom.

Nastąpiła chwila milczenia.

Młody człowiek i dziewczyna szli obok siebie zamyśleni.

Nakoniec odezwał się Jakób zwyczajnym tonem:

— Nie prawdaż panno Helfrydo, że jak teraz tak i nadal pozwolisz mi być powiernikiem twoich uczuć?—Panie Lange, rzekła Helfryda głosem niepewnym, chciej zapomnieć o odkryciu, jakieś uczynił. — Zapomnę, jeśli pani tego żądasz, ale zważ pani, że wiem o niem, chociaż nigdy z niego nie zrobię użytku.—Dziękuję, rzekła Helfryda podając mu rękę.—Ja raczej powinienem pani podziękować za czystą roskosz, jakiej w tej rozmowie doznałem, odpowiedział Jakób. Wiem, iż może nigdy nie spotkamy się tak, jak się w tej chwili rozstajemy; pani zapewne stawisz między sobą i mną lodową górę dumy, aby zatrzeć ostatni ślad wspomnienia tej rozmowy. Pomimo to, zawsze będę wiedział, że człowiek, którego raz pokochała Helfryda, będzie na zawsze posiadał jej miłość, chociażbyś nieprzeniknioną zasłoną okryła swoje uczucia.—Nazywał się to zapomnieć?—Dla pani zapominam,—dla siebie wiem, odparł Jakób i ścisnąwszy rękę Helfrydy odszedł.

Upłynął czas pewien, hrabina wymawiająca się chorobą, nie przyjmowała ani Stefanii ani Jakóba, ani też sama wychodziła do wielkiego salonu.

Stefanija doskonale rozumiała to postępowanie dumnej damy. Dostrzegła w niem niewątpliwą wskazówkę, że skończyło się wszelkie poufalsze obęjście z nieznaczącą córką marynarza. Nie podobna było przypuszczać, żeby hrabina Romarhierta poniżyła się, aż do traktowania na równi z sobą kobiety z gminu. Na nic się nie zdało ukształcenie, szlachetny i wzniosły charakter, na nic się nie zdało bogactwo nawet, przy nizkiem urodzeniu! Stefanija była i pozostała plebejuszka, niegodną przyjaźni tak dostojnej osoby.

Jakób pojechał na czas pewien do stolicy i właśnie oczekiwano jego powrotu.

Od wieczora, w którym była mowa o pochodzeniu Stefanii, hrabia odbywał nieustannie wycieczki w okolice i Stefanija poznała, że i on unikał spotkania. — Byłóż to następstwem pychy czy wstydu za postępowanie matki? Takie pytanie zadawała sobie Stefanija. Jedna tylko osoba się nie zmieniła, była to Helfryda, która jak tylko mogła oderwać się od matki, przybiegała do Stefanii. Widać było z obęjścia młodej dziewczyny, że serce ciągnęło ją do Stefanii i że była szczęśliwą w towarzystwie tej młodej, miłej i niezwykłej kobiety. Pierwszego maja z rana, gdy Stefanija wychodziła ze swego sypialnego pokoju, przybiega do niej Jane mówiąc: — Jakób właśnie powrócił ze Sztokholmu i chce widzieć się z tobą. Połecił mi zapytać cię, kiedy możesz go przyjąć?

— Natychmiast, chciej go tylko zawiadomić, droga Jane, odpowiedziała Stefanija.

W kilka chwil później wszedł Jakób. — Co się stało? Wyglądasz jakoś zakłopotany, zapytała Stefanija, podając rękę młodemu człowiekowi. — Wypadek wcale nieprzyjemny. Bankier H. zastrzelił się, splacając w ten sposób wszystkich tych, którzy u niego złożyli pieniądze. I ty straciłaś.

— O, to rzecz najmniejsza, ale...

Stefanija spojrzała na Jakóba. — Masz na myśli Romarhiertów? — Tak. — Ci stracili wszystko i dzisiejsza poczta zawiadomi o tem hrabiego. Ciężki to cios dla nich. Okropny cios dla syna, który tym kapitalikiem chciał zapewnić przyszłość matki i siostry i dla tego wcale go nie ruszał, rzekła Stefanija i przyciskając rękę do serca dodała: Kiedy przychodzi poczta? — Za godzinę, dla tego chciałem z tobą pomówić wprzód, nim wiadomość o smutnym wypadku spadnie jak piorun na biedną rodzinę. — Dzięki, dzięki Jakóbie! zawołała Stefanija i zarzucawszy na siebie szal, wyszła z pokoju. — Co myśli zrobić? mruknął Jakób podchodząc do okna. I widział, jak Stefanija w towarzystwie starego Eklunda szła do mieszkania hrabiego, dokąd i my za nią pójdziemy. Hrabia stał przy oknie w małym gabinecie, który był jego pracownią i zamyślony patrzył w przestrzeń, którą zamykało niezmierzone morze.

— Pani Stephensen pragnie pomówić z jaśnie panem, rzekł Eklund drzwi otworzywszy,

Herman szybko się obrócił i ujrzał przed sobą Stefanię. W białem odzieniu porannem, okryta czarnym

szalem wydawała się nadziemskim zjawiskiem, tak była blada i przedziwnie piękna. — Pani tutaj! co się stało? zawołał hrabia biegnąc na jej spotkanie. Stefania ujęła jego ręce, mówiąc: — Hrabio Hermanie, powiedz mi teraz, czy moje przywiązanie do pana ma rzeczywistą dla niego wartość. — Potrzebaż tego? odparł hrabia. Nie, z pewnością nie, gdyż pani wie, że to przywiązanie ma dla mnie większą wartość, niż wszystkie skarby świata. Nie masz ofiary, jakąbym go nie okupił. — Więc mogłoby być dla pana pociechą w nieszczęściu? — Alboż może być jakie nieszczęście, jeśli posiadam przywiązanie pani? — Dałby Bóg, żeby go nie było, rzekła Stefania patrząc z wyrazem współczucia na Hermana, ale i dziś przychodzę, jako zwiastunka nieszczęścia. — Czy matka moja?... wyjąkał Herman. — Nie, matka ma się lepiej; ale bankier H. zbankrutował i zastrzelił się. — A, rozumiem, i myśmy także wszystko stracili.

Głos Hermana był najzupełniej spokojny. Stefania patrzyła niespokojnie na twarz jego, a nie spostrzegłszy żadnej zmiany, westchnęła głęboko i rzekła: — Bogu dzięki, znosisz pan ten cios jak mężczyzna.

Kilka grubych łez spłynęło po licach Stefanii i dodała z czarowną słodyczą: — Dopóki Stefania i Kungsborg istnieją, Herman Romarhierta nie wszystko jeszcze stracił.

Herman przycisnął jej obiedwie ręce do ust i wyszeptał: — Tyle dobroci dla syna kobiety, która przed kilku dniami obraziła panią wyniosłymi słowy! Biedna! srode jest ukaraną, gdyż teraz wpada w zupełną nędzę. — Alboż może być w nędzy mój wspólnik przemysłowy?

Niepodobna hrabio, — pan umiejący z takim pożytkiem zarządzać cudzym majątkiem, powinien także umieć zużytkować część, jaka na pana przypada z dochodów Kungsborga. — Jak zawsze tak i teraz odejmujesz pani gorycz przykrej wiadomości. Dobroć twoja wszystko osłodzi, cokolwiek mi powiesz. — A teraz hrabio, nie trzeba niepokoić hrabiny wiadomością o stracie, jaką poniosłeś. — Trudno będzie to przemilczeć. W dziennikach przeczyta o śmierci bankiera H., i zaraz odgadnie, że wszystko stracone.

Herman mówił to tak spokojnie i chłodno, jakby chodziło o rzecz najobojętniejszą w świecie. — Wszak pan mogłeś gdzieindziej ulokować pieniądze — na przykład na Kungsborgu?

Herman uśmiechnął się smutnie i potrząsł głową, a Stefania mówiła dalej tonem prośby: — Nie zniesie upokorzenia na myśl, że straciła ostatnie mienie, — zważ to pan dobrze. — Stanie się wola pani, rzekł Herman. — Dziękuję, odpowiedziała Stefania, ścisnąwszy jego rękę i po chwili Herman sam pozostał.

Młody człowiek westchnął głęboko, jakby ciężkie brzemie spadło z jego serca.

W godzinę później siedł z podniesioną głową przez dziedziniec do hrabiny. Czoło jego było spokojne jak zwykle i niktby nie wyczytał z tej twarzy, że teraz posiadał to tylko, co zarabiał u kobiety z gminu — on — arystokrata. — Teraz mi się podoba, pomyślała Stefania; posiada moc duszy, i duma jego niknie w miarę ciężaru doświadczeń. Zniósł nieszczęście, jak przystoi na mężczyźnie. Czy szczęście zarówno zniesie? zapytała w duchu

Stefanija. — Zobaczymy to wkrótce, dodała, szukając oczyma Jakóba, z którym miała pojechać do Akersnäs, gdzie zamierzali wystawić dom dla robotników.

Tymczasem rzućmy spojrzenie do pokoju hrabiny. Gdy Herman wszedł do matki, zastał ją zajętą wytykaniem igłą na mapie drogi, którą miała udać się do Włoch. Uśmiechnęła się do syna i rzekła podając mu rękę wychudłą: — Byłeś u mnie tak rzadko w ostatnich czasach, że doprawdy rzecz niezwykła ujrzeć cię o tej porze. — Miałem dużo zajęcia — odpowiedział Herman całując podaną rękę. Jako zarządca spraw cudzych, muszę zajmować się niemi z większą sumiennością niż własnemi. — Kochany Hermanie, nie przypominaj mi, że ty hrabia Romarhierta, tak dalece się poniżyłeś, iż jesteś intendentem u córki prostego żeglarsza. Mówiąc to hrabina, odłożyła igłę i surowo spojrzawszy na syna, dodała: — Nie przypominaj, żeś mię namówił, abym pozostała pod jej dachem i obchodziła się z nią jak z równą sobie. — Mamo, odezwał się Herman porywczo — alboż nie widzisz, jak nad wszelki wyraz jest dobrą, delikatną i uważającą dla nas od czasu pożaru! — Posłuchaj, Hermanie, czy rzeczywiście jesteś tak krótko-widzący, że nie pojmujesz, iż tacy dorobkowiec starają się przysłużyć osobom naszego rodu, aby nadać sobie znaczenie i powagę przez stosunki z nimi? Co do mnie, nie widzę potrzeby nieustannie zaszczycać swoim towarzystwem podobną kobietę. — Czy to być może, aby moja szlachetna matka była zdolną do takiej pychy! odparł Herman. Pomyśl, jak wielki dług wdzięczności mainy dla tej kobiety: — Wdzięczności, powiadasz? Zdaje mi się, że la-

skawością swoją dostatecznie ją za wszystko wynagrodziłam. Zdaje mi się, że taki motłoch powinien być wdzięczny ludziom naszego stanu za to, że raczą z nim przestawać. — Pani Stephensen nie może nam być obowiązana za to, że otworzyła swój dom i hojnie, a z najwytworniejszą delikatnością starała się o zapewnienie tobie i Helfrydzie wszelkich wygod. — Bez tych wszelkich usług mogłabym się obejść, i gdybym wiedziała dawniej, że jest tak niskiego pochodzenia, raczej przyjąłabym gościnność u prostego chłopca, niż u niej; chłop bowiem nie uzuchwaliłby się do poufania ze mną jak ona. Ale mój synu, dajmy pokój tej rozmowie. Znasz mój sposób myślenia i boli mię tylko, że tak mało masz dla niego sympatyj. — Jeszcze słówko mamo, odpowiedział Herman. Czy trwasz w zamiarze unikania wszelkich stosunków z osobą, w której domu znalazłaś przytułek? — Tak jest, i muszę raz położyć kres wszelkiej niewłaściwej poufałości. — Ależ to jest... — Czemu nie kończysz? — Chciałem powiedzieć, że to jest niegrzecznie, niedelikatnie, niestosownie ze strony hrabiny Romarhier-ta odpowiadać obrazą za okazaną sobie życzliwość. — Czy mój syn myśli mi dawać nauki? — Bynajmniej, ale nie mogę pochwalać postępowania, które mię rani i upokarza, gdyż muszę przed tą złą i szlachetną kobietą rumienić się za niewdzięczność swojej matki. — Zapominasz się Hermanie! rzekła, blednąc hrabina. — I to nie. Pragnąłbym mieć dawniej dość samoistnego pojęcia o tem, co jest słuszne, aby nie być narzędziem ślepych przesądów urodzenia. Jeśli moja matka rzeczywiście kocha swego syna, to nie zechce, by się wstydził za niewłaściwe postępowanie swojej rodziny, ale z należyтым taktem i zdrowym rozsądkiem postara się znowu zawią-

zać towarzyskie stosunki. Mamże odejść niewysłuchany, matko? — Pomyślę nad tem, odpowiedziała hrabina, która była słabą matką, chociaż w innych rzeczach nie-użyta. Teraz nie mów mi o tem więcej, dodała tonem stanowczym.

Wieczorem kazała zapytać Stefanię, czy nie zechce u niej przepędzić wieczoru. Stefania przyjęła zaproszenie. Ostatnie promienie słońca padały do salonu, w którym siedziała hrabina na sofie, gdy weszła Stefania z dwoma gustownie ułożonemi bukietami świeżych kwiatów. Piękniejszy ofiarowała hrabinie jako powitanie zbliżającego się lata, drugi dała Helfrydzie. Hrabina podziękowała z miną dumną i łaskawie pańską. Zresztą przez cały wieczór traktowała Stefanię z tak lodowatą wyniosłością, że biedny Herman był jak na mekach. Parę razy chmura przesunęła się po twarzy Stefanii, i zapalały jej oczy, gdy hrabina bawiła się ze swoim pieskiem długo nie odpowiadając na to, co jej mówiła Stefania. Nakoniec zdobyła się na kilka wyrazów, ale tak wyniosłe obrażających, że rozgniewałyby anioła. Stefania pozostała jednaką, i tylko podwoiła uprzejmość w obejściu, tą prostotą i godnością dając poznać hrabinie różnicę, jaka zachodzi między osobą rzeczywiście a powierzchownie ukształconą. Dzięki wytwornemu tak-towi i niewzruszonej spokojności Stefanii, wieczór upłynął bez żadnego przykrego zajścia, chociaż hrabina robiła co mogła, aby upokorzyć bogatą mieszcankę.

Wróciwszy do swojego pokoju, Stefania zasiadła pisać dalej rozpoczęty list do Eliny. List ten brzmiał jak następuje:

„Dziś przeżyłam wszystko, co kiedykolwiek ucierpiałam od pychy arystokratów, i były chwile, gdy odżyły we mnie dawne gorzkie uczucia; ale teraz nie mogą już zapanować nademną. Trzyma je na wodzy gorąca, serdeczna chęć zostania prawdziwą chrześcijanką i za każdym upokorzeniem powtarzam w sercu słowa naszego Mistrza i Pana: „Czyńcie dobrze tym, którzy was prześladowają!“ Więc chcę i będę czynić dobrze tej kobiecie, która w zaślepieniu pychy sądzi, że ma prawo deptać nogami wszystkich, którzy nie noszą świetnego nazwiska.

Sama pytałam się dziś w wieczór, jak może pycha tak zupełnie zabić głos serca. Pomyślałam, że odepchnęła rodziną córkę dla tego, iż oddała swą rękę mieszcza-ninowi. I odepchnęła ją tak zupełnie, że nie wspomina jej nazwiska, i gdy raz pytałam, ile ma dzieci, odpowiedziała: „Te dwoje, które tu pani widzisz.“

Powiesz może na jej obronę, że przestała kochać córkę, którą dzieckiem od niej odłączono? Ale nie, gdyby nawet pozostała przy jej boku, nie inaczejby się z nią obchodziła. Odepchnęłaby i Helfrydę, gdyby i ona oddała swę rękę człowiekowi niskiego urodzenia. Odepchnęłaby i syna, gdyby z taką samą pychą nie wzgardził żoną, którą ojciec kazał w imię honoru zaślubić. Był czas, gdym sądziła, że znalazłam drogę do jej serca i że delikatnością i staraniem pozyskałam je sobie. Było to jednego wieczora, gdy zdawała się być wzruszoną mojemi drobnymi usługami, i wtedy, wtedy Elino, nazwała mnie swoją córką! Chwila była cudowna dla mnie, serce mi biło gwałtownie, gdy jej usta dotknęły mojego

czoła. Zdawało mi się, że zwyciężyła, serce moje wezbrało z tryumfu, uczułam dumne zadowolenie, i niestety, miałam być za to ukarana. Nie było to jednak uczucie tryumfu, ale łagodniejsze, słodsze i lepsze, igdy po chwili zwrócono mowę na moje pochodzenie, które z powodu dziecinnego szczebiotania mojej Jane ogólnie uważano jako arystokratyczno-francuzkie, powiedziałam jej umyślnie, że jestem dziećciem ludu.

Wówczas Elino, wszystko na raz się skończyło. Zapomniała o moich staraniach, by jej znośnem uczynić nieszczeście, i upadłam tak nisko w jej oczach, że przez całe dwa tygodnie nie raczyła mię do siebie poprosić. A jak sądzisz, spotkała mię znowu? Dumnie, odpowiesz. O! to byłoby jeszcze do przebaczenia; ale ona obeszła się ze mną prawie z pogardą. Dokładała wszelkich starań, żeby mię zranić i obrazić, i czułam, że czasami krew jak ogień wrzała w moich żyłach. Wspomniałam na przeszłość, i w głębi serca błagałam Boga o siłę do zwalczania uczucia nienawiści, które niegdyś mieszkowało w mej piersi. Dziś czuję, że jestem znużona, znużona walką, i uczucie zniechęcenia owładnęło moje serce. I sama przyznaję: Tej pychy nie zwyciężysz. Pytasz o Hermana? Teraz nic o nim nie powiem. Ma serce, serce bogate w uczucia szlachetne, ma moc duszy, godną mężczyzny w najpiękniejszym znaczeniu tego wyrazu. Duma jego ugięła się, ale nie złamała, ugięła się pod innem, wszechpotężnem uczuciem. Ale nie mówmy teraz o nim, muszę wprzód jasno widzieć, czego możemy się po nim spodziewać na przyszłość. Helfryda! Elino, to gwiazda, której jasny blask godzi ze wszystkim

nim, jakie wywołuje złowroga pycha matki. Boże, miej ją w swojej opiece!“

ROZDZIAŁ XXXIII.

Następnego poranku mastalarz stał przed gankiem, trzymając wierzchowca za uzdeczkę. — Czy pani wyjeżdża? zapytał przechodzący hrabia. — Tak jest, odpowiedział chłopak. — Sama? — Sama, panie hrabio.

Hrabia zawrócił do stajni, a po chwili wyszła Stefania. Ubrana w czarną amazonkę, miała na ciemnych włosach kapelusik męzki. — No stary mój rycerzu, rzekła uśmiechając się do Eklunda, który stał przy schodach, bądź łaskaw pomóż mi wsiąść na siodło.

Stary sługa skłonił się z uśmiechem i pospieszył jej dopomódz. Stefania podziękowała mu skinieniem głowy i odjeżdżając rzekła: — Nie zapomnij pan wywieźć się, czego sobie życzy na dziś hrabina i zawiadomić ją, że baron Skjöldsmysli dziś przyjechać tu po południu. — Nie zapomnę, pani, odpowiedział Eklund, odprowadzając oczyma piękną amazonkę. — Jaka piękna i dobra, westchnął stary, szkoda, że nie jest wysokiego rodu. — Dlaczego szkoda? wtrąciła zstępując ze schodów Jane, która miała największą przyjemność w spieraniu się ze starym marszałkiem dworu. — Stefania jest tak bogata,

że może sobie drwić z całej arystokracji. Czy dla tego szkoda, że nie obchodzi się tak ordynarnie jak wczoraj w wieczór hrabina? Doprawdy, litość i wstręt bierze patrzeć na zaślepienie ludzi. Hrabina uboga jak mysz kościelna, puszy się jakby miała miliony i z czego? ze starego nazwiska, które nie uchroni od głodnej śmierci. — Co panna wygaduje! zawołał stary zaczerwieniony po białka. — Kochany panie Eklund, może ci się zdaje, że hrabina postępowała wczoraj, jak przystoi na dobre wychowaną i ukształconą kobietę? Zdaje mi się, że sam się za nią wstydziłeś. Ale niewarto z panem gadać rozsądnie.

To mówiąc Jane odeszła, a gdy Eklund obrócił się chcąc wejść na schody, ujrzał stojącą naprzeciw pannę Helfrydę. Widocznem było, że słyszała słowa Jane, gdyż na pięknych jej rysach spoczywał jeszcze wyraz niezadowolenia. — Ta panna Smith, jest okropnie bezwstydną, niech jaśnie panienska nie zważa na to, co ona mówi, wyjąkał Eklund nisko się kłaniając. — W tem co powiedziała, nie było nic bezwstydnego, ale zupełna prawda, kochany Eklundzie, odpowiedziała Helfryda, smutnie uśmiechając się do starego sługi, który spojrzał na nią spokojnie i odprowadził wzrokiem do parku.

Tymczasem Stefania dobrym klusem zdążyła do Akersnäs. Nie była jeszcze na pół drogi, gdy w tyle za nią rozległ się szybki tentent kopyt końskich. Stefania obejrzała się i poznawszy hrabiego, powstrzymała konia: po chwili Herman jechał obok. — Czy mnie pan chciałeś, doścignąć? zapytała Stefania po przywitaniach. — Tak, pani; dowiedziawszy się, że chcesz wyjechać, ośmieliłem

się bez pozwolenia być jej towarzyszem. — Nie potrzebujesz pan wcale mego pozwolenia, bo towarzystwo pana zawsze mi jest przyjemne. Pamiętaj hrabio, że moi przyjaciele nigdy mi nie są ciężarem. — Czy wiesz pani, że twoja dobroć niekiedy mię nęka i gnębi, nigdy w życiu nie widziałam podobnej. Teraz na przykład, gdy masz tyle powodów do niezadowolenia, że nie powiem do gniewu, na twoich ustach są tylko wyrazy przyjaźni. — Niezadowolenia z pana? A to z jakiego powodu? Przeciwnie, hrabio, od wczorajszego poranku mam dla pana wyższy szacunek niż dawniej. — Od wczorajszego poranku! powtórzył hrabia. Ach, pani! gdybym miał jeszcze dwadzieścia tysięcy talarów do stracenia, chętniebym niemi okupił jedną taką chwilę. Widać, los pozazdrościł mi tej wielkiej pociechy, bo zaraz w wieczór odpokutowałem ją katuszą.

Herman umilkł i patrzył na Stefanię, która słuchała go, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Szanowna pani, odezwał się znowu Herman, czy możesz przebaczyć mojej matce? — Przebaczyć? co przebaczyć? zapytała Stefania spoglądając mu w oczy. — Mamże koniecznie wypowiedzieć? — Oczywiście. — Przebaczyć jej niedorzecznie wyniosłe postępowanie wczorajszego wieczora. Czytałem w rysach pani, żeś była obrażona, chociaż z dobroci serca udawałaś obojętność. — Nie hrabio, mylisz się, sądząc, że pańska matka mię obraziła. Jeśliby to mogła uczynić, możebym miała co do przebaczenia, ale ja wcale nie zważam na słowa i postępowanie hrabiny, które w mojem przekonaniu są naturalnem następstwem jej wychowania.

Stefanija, nie spostrzegając się może, wymówiła te wyrazy tonem chłodnym i dumnym. — I teraz nawet wspomnienie postępków mej matki budzi w pani przykre uczucia, rzekł Herman; tego pani nie zaprzeczy. — Masz pan słusność; wspomnienie to jest dla mnie przykre, ale nie dowodzi, by się powiodły usiłowania hrabiny. — Choćbyś pani nie była obrażoną, to przecież musi ci być niemiłym, że są ludzie, którzy zupełnie zapominają, iż masz prawo do ich wdzięczności. Ach! droga pani, nigdy nie myślałem, że moja matka zmusi mnie postępowaniem swoim do... — Potępienia jej pychy, wtrąciła Stefanija. — Wyrażenie surowe; ale niestety, trafne. — Wiesz pan, dla czego słowa i postęпки hrabiny sprawiały nieprzyjemne wrażenie? — Dla braku delikatności i szacunku? — O bynajmniej, tych przymiotów niema arystokracja względem niższych od siebie, zresztą zapewniam pana, że wyskoków hrabiny wcale nie stosowała do siebie, gdyż miała na myśli osoby niskiego pochodzenia, które chcą się wcisnąć do arystokracji, a tej słabości niemożna mi przecie zarzucić; ale jej postępowanie obudziło we mnie gorzkie i smutne uwagi, o niegodnym nadużywaniu swej przewagi względem słabszych, i mimo wolnie pomyślałam o...

Stefanija umilkła. Blade jej lica pokryły rumieńce. — O czym czy o kim? zapytał hrabia. — O panu, odpowiedziała Stefanija.

Oczy ich się spotkały. Po chwili milczenia odezwała się znowu: — Pomyślałam, ile to łez wycisnęła, ile niemych, niewysłownych cierpień pycha pana zadała sercu, które w ciągłych walkach z nieczarniami, jakies mu

zgotował, trawiło najpiękniejsze lata swego życia w samotności, w trosce i rozpacz, bez lepszej nadziei na przyszłość. Wówczas zmierzwszy przepaść, jaką otworzyły pycha i samolubstwo, bolesny był dla mnie widok matki, która w sercu pana wyhodowała ów kąkol, co zakorzeniony szeroko, zagłuszył ziarna wszystkich uczuć szlachetnych, jakie Bóg złożył w sercu każdego człowieka. Gdybyś pan pochodził z gminu, gdybyś był zmuszony uszlachetniać swoją duszę, rozszerzać wiadomości i szukać stanowiska w świecie, gdyby przesady nie popychały na manowce twojego serca i sposobu myślenia, o jak pięknem byłoby twe życie! Jak rozległa i świetna otworzyłaby się przed panem droga, jak uszlachetniłyby się wszystkie przymioty! Wówczas zająłbyś wysokie stanowisko w świecie duchowym, i dusza pana nie uginałaby się pod ciężarem wspomnień o niesprawiedliwym i niesumiennym postępowaniu. Samoistność jest celem naszego życia — powiedział nasz wielki poeta, i miał słusność, bo tylko człowiek ukształcony i wolny od przesądów jest samoistny, a nie żaden taki arystokrata, co pogrążony w kałuży przesądów jest ich niewolnikiem i nie może kroczyć jasną drogą oświaty i ukształcenia.

Gdy tak mówiła Stefanija, zachmurzyło się czoło Hermana. Młody człowiek milczał.

— Wczorajszy postępek matki sprawił panu przykrość, mówiła dalej Stefanija; potępiłeś jej pychę, ale miły Boże! czem jest sprawiona przez nią przykrość w porównaniu z niewysławioną boleścią, na jaką pycha pana skazała biedną Elinę? Matka wydała się panu niedelikatną i bez serca. Hrabio Hermanie, czem jest

to wszystko w porównaniu z okrucieństwem pana, któryś odepchnął młodą niewinną małżonkę bez innego powodu, prócz właśnie tego, że była niskiego pochodzenia. — Postępek matki trudno wytłómaczyć, postępkowi pana niepodobna przebaczyć. — A jednak, odparł z goryczą hrabia, patrząc na Stefaniję, wczoraj jeszcze zapewniłaś mnie pani o swojej przyjaźni. — I dziś mogę o niej pana zapewnić, odpowiedziała Stefanija z takim wyrazem dobroci i słodczy w spojrzeniu i głosie, że znowu znikły chmury z czoła Hermana. Właśnie dla tego, że czuję ku panu najszczerzą przyjaźń, mówię prawdę, nic nie obwijając w bawełnę. Obowiązkiem jest przyjaciół otwarcie wytykać nam błędy, i byłabym dumną i pogodzoną z życiem, gdybym mogła z prawego i zanego charakteru pana zerzeć ciemne plamy, jakimi go skaziły przesady i wzgarda dla rzeczywistej zasługi. Wierz mi pan raz na zawsze, że mówiąc to, mam gorące życzenie, aby potomek znakomitego rodu zasługiwał na nazwę prawdziwie honorowego człowieka. Może się panu wydaje zuchwalstwem, że ja, kobieta, wytykam błędy mężczyźnie, ale chciej zważać, że jak mężczyzna może potężnie wpływać na charakter kobiety, podobnie kobieta, jeśli zdoła pojąć szacunek mężczyzny, może wywierać potężny wpływ na jego sposób myślenia i kierunek charakteru. Jako prawdziwa przyjaciółka pochlebiam też sobie, że mogę choć trochę wpływać na pana. — Choć trochę! Ach pani! wiesz aż nadto dobrze, jak wielka, prawie nieograniczona jest twoja moc nademną, bo nie tylko władasz przewagą rozumu, ale nadto zmuszasz, bym na kolanach wielbił w tobie cnoty, które podziwiamy i czcimy w kobiecie.

Możnaby jeszcze obronić się wpływowi twego rozumu i piękności, ale potęga twej dobroci serca i miłości dla wszystkiego, co znaczne i prawdziwe, jest tak wielką, iż z wdzięcznością prawie przyjmuję naganę od pani, czując, że masz zupełną słuszość. Gdyby wszystkie kobiety były do pani podobne, wówczas i mężczyźni byłiby lepsi niż są dzisiaj, wiem bowiem aż nadto dobrze, jak dalece kobieta wywiera wpływ na nasze życie duchowe, którem, mówiąc prawdę, ona głównie kieruje. Mów mi więc pani otwarcie prawdę, a zawsze będę jej chętnie słuchał, byłem wiedział, że jesteś ku mnie szczerze przychylną. Pani wiesz bardzo dobrze, że jej słowa czynią na mojej duszy niezatarte wrażenie, sprawiając zupełny przewrót w moich wyobrażeniach i sposobie myślenia. — To dopiero przyszłość pokaże. — Przyszłość, powiadasz pani? Alboż jest przedemną jaka przyszłość? — Hrabio Hermanie, jesteś mężczyzną i nie powinienes zadawać takiego pytania.

Wracając z Akersnäs młodzi ludzie rozmawiali o objętnych przedmiotach. — Dla czego pan Lange nie był wczoraj w Kungsborgu? zapytał Herman. — Pracował cały wieczór ze swoim rysownikiem, odpowiedziała Stefanija. — A dziś w wieczór przyjedzie? — Prosiłam, żeby przyjechał dopomódz nam do zabawienia barona i małej baronowej, którzy nas dziś odwiedzają. Zapewne pan namówi matkę, aby raczyła zaszczyścić swoją obecnością mój salon. — Chcesz pani tego? — Niewątpliwie. — A jeśli się powtórzy wczorajsza scena? Przy obcych będzie to dla mnie niezmiernie upokarzające. — Pomyśl hrabio, że tego nie stosuję do siebie, a byłabym obrażoną, jeśliby

teraz, gdy każdemu wiadomo, że śmierć bankiera H. miała nieprzyjemne dla was następstwa, sądzono, że jestem mniej uważającą dla hrabiny. — Będę pani posłuszny — matka moja przyjdzie. — Dziękuję panu. — Czy będzie więcej gości?

— Kapitan okrętu Holms i pastor. Wiesz pan, że mam słabość do młodego kapitana i jego matki, dodała z uśmiechem Stefania. Chętnie widuję tego dzielnego młodzieńca, który własną pracą został z biednego ucznia okrętowego kapitanem, a zdobywszy sobie niezależność kupił mająteczek, i może teraz zimę przepędzać w swoim domu przy matce i siostrze. Mając własną zagrodę, zaczął myśleć o ukształceniu swojego umysłu. Taki człowiek jest zupełnie w moim guście, i pragnęłabym, żeby wszyscy mężczyźni byli do niego podobni. Obcowanie z moim kochanym Jakóbem wpłynie na ukształcenie kapitana Rudolfa, gdyż Jakób posiada rzadki dar udzielania drugim swoich wiadomości.

Nie wielką przyjemność sprawiło hrabiemu słuchanie pochwał, których Stefania nie szczędziła dwom młodzieńcom. Milczał też i był roztargniony.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Goście jeszcze się nie zjechali, gdy Helfryda weszła do wielkiego salonu. Był pusty. Młoda dziewczyna sia-

dła przy oknie; jej pobladłe lica i wzrok niespokojny zdradzały jakąś obawę i troskę; rzekłbyś straszyla ją i razem ciągnęła myśl spotkania się z Jakóbem po ostatniej rozmowie. Od czasu jak wrócił ze stolicy, jeszcze go nie widziała. Czyniąc zadość życzeniu matki, a może i głosowi serca posłuszna, wyprzedziła hrabinę, która zamierzała dopiero pod wieczór zaszczyścić towarzystwo swoje obecnością. Głowę wsparłszy na rękę, Helfryda patrzyła na ogród, i z mocno bijącym sercem wysłuchiwała stapań w sąsiednich pokojach.

Nagle drgnęła.

To były jego kroki.

Po chwili usłyszała jak wszedł, ale nie miała siły się obejrzeć i spotkać te jasne, łagodne, a przenikliwe oczy, od czasu jak poznał tajemnicę jej serca. Siedziała nieruchoma, aż zbliżył się ku niej i rzekł podając rękę: — Dzień dobry.

Helfryda musiała teraz obrócić się i dotknąć swemi palcami dłoni młodzieńca. Jakób ujął jej miękką, drobną rączkę i nie wypuszczając ze swoich rąk mówił: — Panno Helfrydo, wczoraj umyślnie dla pani nie byłem w Kungsborgu, chociaż z rana wróciłem z podróży, lękałem się bowiem, by moja obecność nie sprawiła ci przykrości. Powiedz pani otwarcie, czy mój widok zawsze budzi to zakłopotanie, jakie teraz spostrzegam w twoich rysach? Jeśli tak, przyjeżdżać będę do Kungsborga w godzinach, w których pani nie spotkam. Wierz mi, nie masz ofiary, którejbym nie uczynił, żeby ci oszczędzić męczarni.

Helfryda nieśmiało podniosła ku niemu oczy. Żywe

rumieńce, które wystąpiły na jej licę, gdy zbliżył się Jakób, teraz znikły i odpowiedziała niepewnym ale spokojnym głosem. — Tego zakłopotania, jak pan powiadasz, spodziewam się, że już nie będzie. Zresztą wiesz pan bardzo dobrze, że jego widok wcale nie jest męczarnią dla mnie. — Jakież mają być nasze stosunki? Rozkazuj mi proszę cię pani. Czy chcesz, bym postępował z tobą nie tak poufale jak dawniej? — Panie Lange, nie możemy być dla siebie obcy, wróciła z żywością Helfryda. — Dziękuję, rzekł Jakób, i na jego twarzy rozlało się zadowolenie. Ta odpowiedź mię uszczęśliwia, bo spełnia moje najdroższe nadzieje dowodząc, że pani masz do mnie zaufanie. Przez chwilę milczeli.

Jakób usiadł na krześle naprzeciw Helfrydy. — Jak pani przepędziłaś wczorajszy wieczór? Wiedziałem, że będziecie razem, odezwał się młody człowiek chcąc obojętną rozmową uwolnić Helfrydę od wszelkiego przymusu. — Tak, byliśmy razem, ale zabawa nie była osobliwa, odpowiedziała Helfryda, z przykrem uczuciem przypominawszy sobie postępowanie matki. — I ja także nie szczególnie się bawiłem, gdyż po tak długim rozłączeniu z przyjaciółmi, przykro mi było nie znajdować się w ich towarzystwie. — Masz pan tyle sposobów przepędzenia czasu, że pewnie nie łatwo się nudzisz. — Niewątpliwie, pani. I nie znam wcale, co to są nudy; ale dzień wczorajszy był wyjątkiem. — Dla czego? — Bo myślałem o pani i chciałem cię zobaczyć, a jednak przymusiłem się zostać w Akersnäs. Skutkiem tej walki między mojem życzeniem i postanowieniem było to, że czemkolwiek się zająłem, wszystko wydało mi się nieznośne. — Zdarzało

się tak dawniej, żeś pan długo niebył w Kungsborgu, a jednak nie tęskniłeś po nim tak bardzo. To mi daje powód do obawy czy czasem...

Helfryda umilkła. Oczy jej spotkały znaczne spojrzenie Jakóba i natychmiast poznała, że oskarżenie, którego domówić nie śmiała, było niesprawiedliwe. — Dlaczego pani nie kończysz? zapytał z uśmiechem Jakób. Jestem prawie pewny, żeś chciała wyrazić myśl o niesłuszności, której przekonałaś się zaraz. — Przyznaję. — Myśl ta nie dowodzi wielkiego ku mnie zaufania. — Ale też i nieufności nie dowodzi. — Owszem; chciałaś pani powiedzieć: obawiam się czy nie mówisz tak przez prostą grzeczność. Jakób uśmiechnął się dobrodusznie do młodej arystokratki i dodał: — Niezapominaj, panno Helfrydo, że cokolwiek mówię, zawsze mam na myśli prawdę. Może być, że nie wszystko powiem, co myślę, ale nigdy się nie zdarzy, abym powiedział co innego, niż myślę, lub żebym udawał uczucia, których nie mam. Możesz pani w zupełności ufać moim słowom, choćby nie miały innej zasługi nad tę, że są niekłamane. — W to wierzę najmocniej, i com myślała powiedzieć, bynajmniej nie płynęło z obawy że pan...

Helfryda znowu umilkła i spojrzała na Jakóba. — Racz pani dokończyć. — Że pan przez wzgląd na moją słabość zechcesz dać poznać, iż mam pewną wartość w jego oczach. — A ja myślałem, żeś pani oddawna się przekonała, iż masz w istocie wielką wartość w moich oczach i, że pragnąłbym z duszy, abyś mię uważała za swojego przyjaciela. Dla tego tak pragnąłem ujrzeć panią wczoraj, że od dwóch tygodni cię nie widział,

a w części dla tego, że nasza ostatnia rozmowa prowadziła nas albo do większego zbliżenia, lub też do zupełnego prawie zerwania stosunków. Chciałem się dowiedzieć, jak pani postanowiła postępować ze mną na przyszłość. — Alboż pan mogłeś na serjo myśleć, że będę w nim widziała obcego człowieka? — Dla dumy nie ma nic niemożliwego. — Bywają uczucia, które uginają najdumniejsze serca, szepnęła Helfryda. — To Bogu wiadomo, panno Helfrydo. Czybyś naprzykład pani miała odwagę wyjść z miłości za człowieka niskiego urodzenia? — zapytał Jakób patrząc niespokojnie na Helfrydę. — Odwagę? odpowiedziała z melancholijnym uśmiechem Helfryda; na to nie potrzeba wielkiej odwagi, ale nie miałabym prawa. — Pani, minęły czasy, gdy prawa szwedzkie karały miłość między osobami szlacheckiego i plebejuszowskiego pochodzenia. — Nie mam żadnego moralnego prawa, chciałam powiedzieć, gdyż krok taki wtrąciłby matkę do grobu. Nigdyby mi tego nie przebaczyła. — I pani byś się poświęciła dla takiego przesądu matki? — Nie wiem, czy pan słusznie nazywasz to przesądem, ale jakkolwiekby, obowiązkiem jest dziecka słuchać woli rodziców i dla względów na własne szczęście nie sprawiać im boleści. Wszelkie zaparcie się i poświęcenie dziecięcia dla rodziców, nigdy nie spłaci miłości, jaką oni zleli na swoje dziecko. Co do mnie, raczej umrę, niż przestanę ze cziłą uchiłać czoła przed zasadami swojej matki. Jest ona jedyną na ziemi istotą, którą najbardziej kochałam: czyż dla późniejszej miłości miałabym tak zapomnieć o dawniejszej, abym tamtej dla tej poświęcić nie mogła! Między szczę-

ściem matki i mojem własnem nie ma dla mnie wyboru. — Stefanija słusznie mówiła, rzekł Jakób, że pani jesteś godną podziwienia córką. Chociaż zapatrywanie się pani na rzeczy, jest pod wielu względami błędne, w każdym atoli razie jest tak piękne i zaparcia się pełne, że nietylko je cenię wysoko, ale podziwiam. — A jednak mnie nie kochasz, pomyślała Helfryda; ale Jakób jakby odgadł tajemną myśl jej duszy, dodał bezzwłocznie: — Choćbym najgoręcej i najserdeczniej kochał jaką dziewczę, za żadne skarby świata nie pożądałbym jej ręki, jeśliby to stać się miało przeciw woli matki, lub jeśliby jej sprawiło choć najmniejszą przykrość. Prędejbym się zabił, niżbym taką winą obciążył swoje sumienie.

Tu przerwało rozmowę przyjście Stefanii i hrabiego. Nim upłynęła godzina, salon był pełen gości. — Baronowa T. żywa, dowcipna wdowa, zdawała się tylko mieć oczy dla Jakóba. Baron Skjöld cały był zajęty Helfrydą i nadobną gospodynią domu, która później stała się przedmiotem ogólnych hołdów, nikt bowiem w sąsiedztwie nie mógł jej dorównać pod względem bogactwa. Stefanija przeciwnie obchodziła się ze wszystkimi z godnością pełną prostoty i łatwo było poznać, że nie przywiązywała wielkiej wagi do grzeczności arystokratów. Najuprzejmiejszy uśmiech i najserdeczniejsze wyrazy miała dla rodziny kapitana okrętu, rzeczywiście godnej kochania. Składała ją matka, wdowa po kapitanie okrętu, dwie ładne młode panienki i syn kapitan mający lat dwadzieścia ośm, mężczyzna miłej powierzchowności, i pełen prostoty w obejściu. Wszyscy spostrzegli to wyróżnienie i arystokracja przypisywała je dumie z bogactwa.

Późno już w wieczór weszła hrabina, która teraz była znacznie zdrowszą. Stefaniya wyszła naprzeciw niej na środek salonu, i Herman zauważył, że wyraz jej twarzy kilkakrotnie się zmienił, gdy postąpiła tych kilka kroków. Oczy jego wpiły się w twarz Stefani, jakby chciał z niej wyczytać, w jaki sposób powita jego matkę. Stefaniya z serdeczną uprzejmością przyjęła hrabinę, która ze zwykłą wyniosłością odpowiedziała na jej powitanie. Z całej jej postawy i obejścia każdy mógł poznać, że uważała Stefanię za istotę od siebie niższą, której można okazywać jedynie zimną i łaskawą grzeczność. Stefaniya zdawała się nie zwracać uwagi na rażące obejście hrabiny, przynajmniej na jej twarzy nie wyczytałaś ani obrazy ani nawet zdziwienia. Dla hrabiny pozostała jednakową, z tą tylko różnicą, że powitawszy ją i spełniwszy obowiązek gospodyni domu, zawiązała rozmowę z innemi osobami i przestała się zajmować arystokratyczną matroną. Hrabina prowadziła dyskurs arcy pański i nudny z matką barona Skjöld, gdy nagle uwagę jej zwróciły słowa dość głośnej rozmowy między Jane i żoną proboszcza, które jako zażyłe przyjaciółki gawędziły z sobą bardzo poufale. Tak więc, mówiła żona proboszcza, będziecie mieli dużo gości w lecie, i jak utrzymujesz, kochana Jane, przed jesienią będzie w Kungsborgu wesele?—Jestem najmocniej o tem przekonana, odpowiedziała Jane, bo widzisz w Barthen lord Charter tak był zapamiętałe rozkochany w Stefani, że myślałam, iż ją gwałtem porwie. Jak się zdaje, Stefaniya dała mu wówczas stanowczą obietnicę, bo odjechał, i kiedyśmy wstąpiły do Londynu, on pierwszy wybiegł na nasze spotkanie. I nie pozwolił

nam stanąć w hotelu, ale zaprosił do swojej matki, osoby bardzo miłej i gościnnej. Jest ona z domu księżniczka H. Opuszczając Anglię ułożyliśmy się, że lord Charter przyjedzie tu w lecie wraz z Eliną Romarhierta. Z Eliną Romarhierta! Kochana Jane, co to za jedna? zapytała żona proboszcza. Zapewne to jaka krewna naszego hrabiego, gdyż ile wiem, jedna jest tylko w Szwecyi rodzina Romarhierta. Może być, ale wiem tylko że Elina i Stefaniya są bardzo dobre przyjaciółki i że prawdopodobnie hrabina przyjeżdża tu na wesele Stefanii.—Z czego jednak wnosisz, że lord żeni się z panią Stephensen?—O tem wiem z pewnością. Domyślasz się zapewne, że Stefaniya nie wszystko przedemną ukrywa, i że wiem to i owo, chociaż naturalnie nie wypada mi wszystkiego wypaplać. Zapewniam cię tylko, że w jesieni będziemy mieli wesele.—Czy słyszałaś, jakie nieszczęście spotkało bankiera H? zapytała żona proboszcza. Rządca mówił, że i pani Stephensen miała u niego pieniądze.—Zdaje się, że tak jest w samej rzeczy, ale strata pieniędzy nie wiele ją obchodzi. Cokolwiek inaczej rzecz się ma z hrabią.—Ba, on podobno wszystko, co tylko miał, stracił.—Cyt! nie mówmy już o tem, przerwała Jane spostrzegłszy, że ich słucha hrabina.

Dumna pani strasznie pobladła i głęboko zamyślona słuchała z roztargnieniem, jak baronowa Skjöld szeptała jej o tymokracyi ⁽¹⁾ Stefanii, do której należało się bardzo skwapliwie zalecać, aby utrzymać z nią sąsiedzkie

(1) *Tymokracya* (dosłownie *część władzy*) jest to taki kształt rządu, w którym tylko bogaci przypuszczeni są do godności. (P. W. t.)

stosunki. Baronowa skarżyła się, iż niepodobna żyć po-
ufale ze Stefanią, gdyż patrzy na ludzi z wysokości
swych milionów. Nakoniec zniecierpliwiona hrabina
przerwała starej baronowej: — Droga przyjaciółko, to
arystokracji jest wina, że nadskakuje bogatym dorobko-
wiczom, zamiast coby oni nas szukać powinni, ale dziś
są takie czasy, że arystokracja rodowa straciła wszelkie
poczucie swej godności. — Najdroższa hrabino, zapomi-
nasz, że i my, niestety, żyjemy w tych czasach, w których
pieniądz główną gra rolę, a najlepszy jest ten dowód, że
hrabia Romarhierta jest pierwszym rządcą u pani Step-
hensen, a ty sama jej gościem.

Baronowa z prawdziwą przyjemnością zadała ten
cios swej dumnej przyjaciółce, i odeszła od niej zadowo-
lona, że śmiertelnie raniła pychę Romarhiertów. Hra-
bina dostała mocnego napadu kaszlu, a gdy Stefania zbli-
żyła się troskliwie rozpytując o jej zdrowie, stara dama
tak jeszcze była rozłoszczona słowami baronowej, że nie
mogąc powściągnąć swego gniewu, odpowiedziała opry-
skliwie: — Bardzo panią proszę, nie troszczyć się o mnie.

I teraz rysy twarzy Stefanii wcale się nie zmieniły,
a gdy odeszła od hrabiny, oczy jej spotkały spojrzenia
Hermana, które zdawały się błagać o przebaczenie dla
matki.

Na tę niemą prośbę, młoda kobieta odpowiedziała
uśmiechem, który wyrażał: — Przecież mówiłam panu, że
nie jest w stanie mię zranić ani upokorzyć.

Szkłanka ocukrzonej wody uspokoiła kaszel hrabiny,
a gdy lekarz usiadł przy niej, i prawił o podróży do cie-
płych krajów i o jej zbawiennym wpływie na słabe piersi,

reszta towarzystwa udała się do galeryi obrazów obej-
rzeć liczne a szacowne zbiory. Gdy powrócono do salo-
nu, odezwał się baron do Hermana: — Jaka szkoda, że
wszystkie portrety rodzinne stały się pastwą płomieni! —
Strata tem boleśniesz — wtrąciła hrabina — że jej nie
może nagrodzić. — Ale jeszcze jeden portret pozostał
i widziałem go, mówił baron siadając przy hrabinie. —
O ile wiem, nie nie uratowano. — Ale pani Stephensen ma
jeszcze jeden w swojej galeryi obrazów, odezwała się ba-
ronowa. — Jakiż to jeśli wolno zapytać? rzekła hrabina
podnosząc głowę i wyzywającym wzrokiem patrząc na
Stefanię. Była pewną, że usłyszy imię Eliny. — To
portret hrabiny Gunili Romarhierta, który u mnie po-
został. Hrabia był tak grzeczny, że mi go darował,
gdyż mi się podobała piękność jej rysów. — A! odparła
hrabina, Gunillę nigdy nie uważano za należącą do ro-
dziny Romarhierta, i nigdy nie uznano jej praw do tego
zaszczytu. Znasz pani jej historję? zapytała z przeką-
sem hrabina, zwracając się wprost do Stefanii. — Nie
znam, słyszałam tylko, że była bardzo nieszczęśliwa,
co w połączeniu z jej pięknnością mocno mię zajęło. —
Dzieckiem będąc słyszałam opowiadania o sypialnym po-
koju hrabiny Gunilli, wtrąciła stara baronowa Skjöld,
ale jej historii nie mogę sobie przypomnieć. — To ja je-
stem szczęśliwszy, rzekł proboszcz, gdyż słyszałem, że
hrabina Gunilla była córką ubogiego rybaka. — Tyle i ja
słyszałam — zauważyła Stefania, ale więcej, jak się zda-
je, nikt nie wie. — Ja wiem trochę więcej, wtrąciła znowu
hrabina, i jeśli pani masz ochotę posłuchać, to ci opo-
wiem losy tej Gunilli. Będzie to nauczające dla każde-

go, któremu się zdaje, że można bezkarnie igrać z szacunkiem należnym staremu szanownemu nazwisku. Może panią zabawi ta historyja?

Hrabina utkwiała w Stefanii wielkie swe oczy z surowym i dumnym wyrazem. Młoda kobieta spokojnie przetrzymała to spojrzenie i rzekła łagodnie:—Tak, pani hrabino, w istocie mię zajmie. — Ale takie opowiadanie nie może być zajmującym dla całego towarzystwa, a pani Stephensen może je kiedyindziej usłyszeć,—wtrącił Herman.

Wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że są ciekawi tej historyi, i hrabina, chociaż z pewnem wysileniem rozpoczęła opowiadanie, które żywym rumieńcem pokryło jej wychudłe policzki. Było coś fanatycznie gorączkowego w jej spojrzeniu, gdy zabrawszy głos, mówiła jak następuje:

„W roku 1720 kanclerz państwa, Romarhierta, był głównym przedstawicielem i posiadaczem całego majątku tej szlacheckiej rodziny. Miał dwóch synów i jedną córkę. Najstarszy hrabia Karol, był charakteru nieszczerliwie fantastycznego z dzikimi, nieokiełznanymi namiętnościami. W owym roku przedsięwziął podróż na łód stały i długi czas bawił we Francyi. Nagle rozeszła się pogłoska, że Karol, syn pierworodny i przyszły naczelnik rodziny, ożenił się w Bretonii z córką ubogiego rybaka i tam wiódł życie pasterskie. Kanclerz państwa uważał tę pogłoskę za tak bajeczną, że ani na chwilę jej nie wierzył. I bardzo naturalnie, gdyż jak można przypuścić, żeby hrabia Romarhierta mógł tak poniżyć najszlachetniejsze nazwisko, które każdy z członków tej rodzi-

ny nosił z czią i sprawiedliwą dumą? Dotychczas nie było przykładu, żeby który Romarhierta pomyślał nawet o zaszczepieniu na starym pniu swego domu niegodnej latorośli.

Po pewnym czasie, gdy pogłoska wspomniona zupełnie ucichła, kanclerz państwa odbiera list z Paryża. Jeden z krewnych młodego hrabiego zawiadamia, że wistocie Karol Romarhierta tak dalece zapomniał o winnym szacunku dla siebie i swojej rodziny, że ożenił się z córką bretońskiego rybaka. Cios dla kanclerza państwa był tak niespodziany, a sromota tak wielka, że natychmiast postanowił udać się do króla z prośbą, aby zniósł majorat, gdyż zamysłał wydziedziczyć najstarszego syna. Niestety, król odmówił i nieszczęśliwy ojciec mógł tylko wymóżyć od żony i obojga dzieci przysięgę, że nigdy nie uznają żony hrabiego Karola, ani prywatnie, ani publicznie i że zawsze będą się z nią obchodzić jak z córką rybaka. Gdy tę przysięgę złożyli uroczyście, kanclerz państwa spokojny wyzionął ducha.“

Krótki napad kaszlu, z przyczyny długiego mówienia, przerwał opowiadanie hrabiny, i pewien czas musiała odpocząć. Stefanija wsparta o poręcz krzesła, siedziała naprzeciw hrabiny nieruchoma, podobna do posągu. Lekka chmura osiadła na jej bladym czole, a oczy z pewnym wyrazem zniekania spoczywały na Jakobie, który z naj-obojętniejszą w świecie miną, przeglądał ryciny albumów. Herman nie spuszczał z oka Stefanii. Na innych słuchaczach opowiadanie sprawiło rozmaite wrażenie, stosownie do ich charakteru i społecznego stanowiska. Helfryda siedziała sztywna i zima, nieco schylona nad

robotą, jakby słowa matki miały moc ją skamienić. — Godnem jest uwagi, odezwał się Jakób, swym dźwięcznym głosem, jak dalece duma wysusza serce człowieka, i czyni go okrutnym, kiedy na śmiertelnem łożu, w chwili gdy ma stanąć przed obliczem Boga, nie ma innej myśli, nad szczepienie rosterek i nienawiści w sercach osób, które zostawia na ziemi. Smutny dowód, jak w ogóle źle rozumiemy chrystjanizm. — Ależ — wtrącił baron — należy sądzić czynności ludzkie, według czasu i pojęcia, jakie wówczas miała arystokracja o zaletach swojego stanu. — Czy sądzisz panie hrabio, że pycha mniej dziś sprawia nieszczęścia? zapytał Jakób. — Niewątpliwie, gdyż z postępem cywilizacji i rozwojem ludzkości, wszystkie nasze instynkta stały się inne i lepsze. W ogóle jest to prawda, odparł Jakób, ale tam gdzie występują pojedyncze osoby, pycha pozostanie najsamolubniejszym i najokrutniejszym uczuciem. Z namiętności ludzkich wiodących nas do najokropniejszej zbrodni, niemasz równej pysze, która najgubniejszy wpływ wywiera na losy drugich. Uczucie to nie jest godne chrześcijanina. Hrabina ciężko odetchnęła, i każdy co znał szlachetną matronę, łatwo poznał, że Jakób stracił u niej wszelkie łaski. Nawyknienie spoglądania na rodzinę Romarhier-ta z pewną czcią i uległością poddańczą, było tak potężne, iż towarzystwo ogólnie sądziło, że Jakób jest niesłychanie zuchwały. — Ten tylko, kto nie rozumie, że arystokracja wyszła z wybrańców narodu, może tę dumę szlachetną poniżać nazwą pychy — rzekła z przyciskiem hrabina. Zresztą jeśli krew arystokratyczna ma zachować swoją czystość, należy unikać mieszanja jej z krwią osób nieuszlachetnionych.

Napad kaszlu znowu przerwał mowę hrabiny. — Daleką jest odemnie myśl sprzecznania się z panią hrabiną, odrzekł Jakób z poważnie łagodnym uśmiechem, mimo-wolnie imponującym. Ale niepodobna serjo twierdzić, że krew arystokracji jest czystsza od innej. Przynajmniej co do arystokracji szwedzkiej trudno uwierzyć, by pochodziła ze szlachetniejszego narodu. Nie potrzeba wielkiej erudycji historycznej, by wiedzieć, że w początkach byli to szczęśliwi a mało sumienni awanturnicy, którzy stali się panami słabszych lub trwożliwszych i kazali się uważać za coś wyższego od innych. Taki był początek arystokracji szwedzkiej — to każdemu wiadomo — bynajmniej zaś nie można go przypisać moralnej lub umysłowej wartości. Gdyby w istocie wywodziła swój początek ze świetniejszego rozwoju duchowego, w takim razie przedstawcy tego stanu odznaczałiby się nadewszystko szlachetnemi i wzniosłemi cnotami chrześcijańskimi, a tem nie może się pochwalić arystokracja szwedzka.

Nastała chwila milczenia. Hrabina znużona kaszlem i zagniewana na Jakóba, oparła ze znużeniem głowę na poręczu kanapy, nie mogąc odpowiedzieć; każdy zaś z towarzystwa niespokojnie przewidywał, że rozmowa łatwo przybrać może charakter przykrych osobistości. Rostargnienie i omdlałe spojrzenia Stefanii nabrały życia i wyrazu podczas mowy Jakóba, i zapalały ogniem, gdy ich oczy się spotkały. Herman nigdy jeszcze nie widział w nich tyle serdecznego ciepła. Krew uderzyła mu do głowy i przyszył mu na myśl najnieszlachetniejsze podejrzenia, których wspominać nie warto; rezultat ich był

taki:—Kocha go z całej duszy, chociaż przedemną się wypiera.

Po chwili hrabina ciągnęła dalej [przerwane opowiadanie, chociaż ją proszono, żeby sobie nie zadawała przymusu:

„W rok po śmierci ojca, hrabia Karol wrócił do domu z kobietą, którą podniósł do godności swojej małżonki. I przyjechał zaraz tu do Kungsborga, gdzie jego matka powitała go ostatnimi wyrazami ojca, oznajmiając, że zstąpił do grobu nie pobłogosławiwszy swemu synowi, i że cała rodzina wypowiada mu przyjaźń, jeśli się nie rozłączy ze swoją niegodną małżonką. Samo przez się rozumie się, że hrabina oznajmiła Gunilli, iż nigdy nie będzie jej uważała za swoją córkę. Gdy hrabia powiedział matce, że choćby go cały świat odepchnął, to jednak on nie opuści swojej żony, hrabina wyjechała z Kungsborga, nie chcąc mieszkać pod jednym dachem ze swoją synową. Tak upłynęło lat kilka, podczas których hrabia Karol pędził życie samotne. Jeśli namiętność na czas pewien zagłusza w nas lepsze uczucia, panowanie jej jednak nie jest długie, gdy zwłaszcza jak hrabia Karol, spotykamy się z nieustannem upokorzeniem, błąd nasz przypominającym. Wkrótce widok Gunilli sprawiał mu męczarnię, nieustannie przypominając, że swem ożenieniem stracił wszelkie nawet u dworu znaczenie. Wyjechał z Kungsborga usiłując pojednać się z matką, gdy jednak to się nie powiodło, powrócił do ojczystego zamku trawiony zgryzotami sumienia. Znowu upłynął czas pewien. Gunilla urodziła syna; dowiedziawszy się o tem matka hrabiego Karola, napisała tylko te wy-

razy: Czy syn córki rybaka ma zostać po tobie głową rodziny Romarhierta?“

Uczucie ojcowskie umilkło w sercu hrabiego Karola, czuł bowiem, że syn odziedziczy hańbę niskiego urodzenia matki. I zapadł w ponurą melancholię i starannie unikał widoku Gunnilli i jej dziecięcia. Po kilku miesiącach nagle przyjechała do Kungsborga stara hrabina. Zamiarem jej było wskazać synowi drogę, jak ma uzyskać jej przebaczenie i pogodzić się z rodziną, z arystokracją i z dworem. Hrabia Karol skwapliwie przyjął propozycję. Chodziło o rozwód. Hrabina wytłumaczyła synowi, że jeśli się rozłączy z Gunillą, dając jej dostateczną roczną pensję, lub ustępując części swojego majątku, może znowu pogodzić się ze wszystkimi. A zresztą osoby takie jak Gunilla łatwo się pocieszają zapewnioną korzyścią pieniężną. Hrabia Karol sam już często myślał o tem, jakby zerwać niestosowne związki; teraz stało na przeszkodzie dziecko, ale hrabina mu wytłumaczyła, iż byłoby okrucieństwem pozbawiać matkę dziecięcia. Niech je zabierze z sobą do Bretanii i wychowa pod obcym nazwiskiem, przyrzekając tylko, że nigdy nie będzie rościła dla swego syna pretensyi do nazwiska Romarhierta. Gdy hrabia Karol z matką ułożyli tę rzecz, jak można najrozumniej, hrabina podjęła się zawiadomić Gunillę o propozycji. Gunilla zajmowała połowę pierwszego piętra, i rzadko opuszczała swoje pokoje wiedząc, że mąż niechętnie ją widział. Co zaszło między nią i hrabiną, o tem nie wiem, ale po godzinnej rozmowie, Gunilla zeszła na dół i zapytała męża, czy rzeczywiście ma zamiar odepchnąć ją i dziecię. Chciejcie

państwo zważyć, że to była Francuzka, przytem piękna a więc w najwyższym stopniu niebezpieczna kobieta. Dość, że znowu zachwiały się wszystkie dobre postanowienia hrabiego Karola i po raz drugi wpływ tej kobiety wydarł hrabinie jej dziecko. Sprawiedliwie oburzona matka, opuściła słabego i godnego politowania syna. Ale zwycięstwo Gunilli nie wyszło jej na dobre. Nowe nieprzyjemności, jakich matka i krewni nie szczędzili hrabiemu Karolowi, upakarzając go i raniąc nieustannie, pograżyły go w ponurej hypokondryi. Pojechał do stolicy szukać rozrywki, ale tam matka, brat i siostra oddawali mu z lichwą hańbę, jaką małżeństwem swoim ściągnął na rodzinę. Wszędy spotykał samo upokorzenie: nawet rodzina królewska dała mu w rozmaity sposób do zrozumienia, że popadł w niełaskę. Powrócił do Kungsborga bardziej ponury, niż wyjechał, i w niespełna miesiąc hypokondryja jego zamieniła się w szaleństwo. Wówczas brat młodszy objął zarząd nad wszystkimi sprawami rodziny i zaproponował Gunilli, aby się rozwiodła z mężem. Ale ta nie miała ochoty zrzucać się tytułu hrabiowskiego, i uporczywie napierała się, żeby jej dozwolono pielęgnować swego męża; aż nakoniec jednej nocy, udało się zabrać go z Kungsborga i wywieźć za granicę. Wkrótce potem umarło dziecko, a matka wzięła tak do serca stratę, że zapadła w suchoty.“

— I także umarła, wtrąciła Stefania nie poruszając się z miejsca. Umarła z cierpień, jakie jej zadawali okrutnicy. Miała zaledwie dwadzieścia cztery lat, była dobra, piękna, cnotliwa, prawdziwa męczennica... — Męczennikiem, szanowna pani, zowiemy tego, który cierpi

niewinnie, przerwała hrabina; ta zaś kobieta wycierpiała zasłużoną karę za to, że zuchwale podniosła swoje myśli i życzenia aż do korony hrabiowskiej. Każde przekroczenie sfery, do której się należy, spotyka kara. W społeczeństwie dzieje się jak w naturze. Musimy uchyłać czoła przed ich prawami, i trzymać się w zakreślonych granicach, jeśli nie chcemy paść ofiarą swoich przekroczeń. Obowiązkiem jest naszym szanować to, co wyżej nas stoi i nie zniżać ku sobie. Wiem, co pani i pan Lange możecie mi powiedzieć, wiem, co dzisiaj popolicie prawią, — ale wybaczenie, gdy powiem, że takie wyobrażenia wydają mi się dzikie i spaczne. Gdyby arystokracja nie pochodziła z osób ogólnie uznanej przewagi, albo właściwiej mówiąc, gdyby nie stanowiła uszlachetnionej rasy, czyżby lud i cały naród miał dla niej cześć, jaką jej okazuje, czyżby ci wszyscy, co tak gwałtownie na nią powstają, czynili tyle zabiegów, żeby się wkręcić w stosunki z nią przyjaźni i pokrewieństwa? — Nie, wówczas zostawionoby nas w pokoju, i nie poszukiwano tak natrętnie, jak to się dziś dzieje. — Może pani hrabina ma słuszość, uśmiechając się, odpowiedziała Stefania — a choćbyś nawet jej nie miała, nie przyszłoby mi do głowy zaprzeczać pani tu w obecności tylu osób należących do arystokracji. Mogłabym bowiem obrazić wielu z naszego towarzystwa, a chociaż jestem dzieckiem ludu, mam jednak zbyt wielki szacunek dla uczuć i godności każdego, żebym publicznie, w obec tylu osób, dokuczała komukolwiek nieogłędniemi słowy.

To powiedziawszy Stefania, z właściwym sobie niewyszukanym wdziękiem w obejściu, obróciła się do ma-

łej baronowej prosząc, by co zagrała, czem przecięła wszelką dalszą dyskusję. Młoda kobieta dała ostrą nauczkę hrabinie, i każdy w duchu ganił słowa wyniosłej damy, obrażające nie tylko gospodynię domu, ale i wiele innych osób ze stanu mniejskiego. Wkrótce też hrabina wyszła z salonu, gdyż ją męczył kaszel, i gorzkie uczucie upokorzonej dumy. Helfryda odprowadziła matkę. Podczas gdy młoda baronowa śpiewała, Herman przysiadł się do Stefanii na kanapce i rzekł: — Pani, wszak sama tego chciałaś? Ach, mówiłem, że moja matka się zapomni! — Ja sądzę, panie hrabio, że nie zapomniała się ani na chwilę, owszem przeprowadziła z godną podziwiania konsekwencyją zamiar upokorzenia mię; ale obiecałam panu, że wszystko zniosę obojętnie i dotrzymałam słowa. Wierżaj mi pan, dziś w wieczór odniosłam wielki tryumf, który zawdzięczam hrabinie. — Jaki tryumf? — Że pan po raz pierwszy przyznałeś mi słusność przeciw własnej matce. To mię godzi ze wszystkiem, com od niej usłyszała. — Pani! — Przecież mówiłam kiedyś, że pragnę pozyskać pański szacunek dla swego sposobu myślenia i stanu, do którego należę. — Ten szacunek masz już pani.

Baronowa przestała śpiewać, i na jej prośby Jakób usiadł przy fortepianie. Na pierwsze dźwięki jego cudnego głosu, Stefania żywo obróciła głowę, jakby lękała się postradać jednego słówka i tonu. Herman zagryzł wargi, — widział, że cała jej dusza jest przy śpiewaku, albo raczej przy śpiewie; sam też przyznać musiał, że rzadko zdarza się słyszeć głos tak piękny i cudownie sympatyczny. W salonie nastała cisza, jakby oprócz

śpiewaka nikogo w nim nie było. Głowę wsparłszy na ręce, rozmarzonym wzrokiem patrząc na Jakóba, Stefania podobną była do posagu zachwycenia, które wywoływały jego dźwięki świeże i miękkie.

Gdy Jakób wstał od fortepianu, Stefania prosiła go, aby jeszcze zaśpiewał jaką piosenkę ludu szwedzkiego. Młody człowiek usiadł znowu i zaczął:

„*Vaker du stod i höganlofts sal.*“

Śpiewak umilkł, a Stefania siedziała jeszcze nieruchoma, jakby zapomniała o otaczającym ją świetle. — Szczęśliwy człowiek, posiada moc zawładania pani duszą! rzekł hrabia po cichu. Stefania poruszyła się jakby obudzona ze snu. — Przepraszam hrabio, nie słyszałam, coś mówił. — Gdzie była pani dusza? pytał Herman. — Przy tobie, odpowiedziała Stefania z cicha, sama nie wiedząc co mówi. — Chyba przy nim, chciałaś pani powiedzieć? odparł hrabia i pochylił się, tak, iż oczy ich się spotkały. — Nie, myślałam o panu, odpowiedziała młoda kobieta, i piękne rumieńce okryły jej lica, gdy dodała: — Pan zająłeś całą moją duszę.

Stefania wstała i odeszła od hrabi. Przechodząc około Jakóba, uścisnęła mu rękę, a hrabia usłyszał to zapytanie w języku angielskim: — Dla czego właśnie tę pieśń wybrałaś? — Boś ją nieustannie śpiewała wówczas, gdy przy tobie czuwał w Barthen. — Nie rozumiem. — Pomyśl o tej, która śpiewała niegdyś tę melodyję, i na zawsze ją utkwiała w twej pamięci, — wówczas mię zrozumiesz. — A! więc wiesz... — Że to była ona? wiem.

Po chwili wezwano z salonu doktora do hrabiny, któ-

ra zemdlą po ciężkiem krwią kasłaniu. Stefania pierwsza opuściła salę zabrawszy doktora. Po sutej wieczerzy, przy której Jane i Jakób robili honory domu, gdyż Stefania przeprosiła, że musi pozostać przy chorej,—wszyscy rozjechali się do domów.

ROZDZIAŁ XXXV.

Upływały dnie i tygodnie, a stan hrabiny się nie polepszał. Trawiła ją nieustanna gorączka, a napady kaszlu były tak silne, że niepodobna było przypuszczać, iż przeżyje tę chorobę. Stefania siedziała dniem i nocą, przy łożu chorej, kolejno zmieniając się z Helfrydą i nikomu nie pozwalając się zastąpić. Najmniejsze życzenie chorej, było natychmiast spełnione, i pielęgnowała ją z tak czułą pieczą i troskliwością, że nawet rodzona córka nie byłaby bardziej poświęconą. Trawiona boleścią, i złamana cierpieniem hrabina, przyjmowała jej starania, nie mając siły ani odwagi odmówić lub okazać wdzięczność, którą mimo swego charakteru, czuła dla tego wszystko przebacającego anioła, który czuwał u jej łoża. Nakoniec po kilku tygodniach, zmniejszyła się gorączka, długie, męczarni pełne noce, stały się spokojniejsze, niemniej jednak Stefania i Helfryda kolejno czuwały przy chorej.

Jednego wieczora — było to w ostatnich dniach maja—Herman rzekł do Stefanii: — Szanowna pani, pielęgnując moją matkę, sama tracisz zdrowie przy łożu chorej. — Cóż z tego? nie mam dla kogo oszczędzać życia, smutnie odpowiedziała Stefania. — A Jakób? zapytał hrabia patrząc na młodą kobietę. — O, Jakób jest najdroższem ze wszystkiego, co posiadam na ziemi.

Po chwili milczenia odezwał się hrabia:—Wszak pani i dzisiejszej nocy masz zamiar czuwać? — Tak, przez pierwszą połowę. — Może tymczasem przejdziemy się trochę? Jesteś pani blada i znękana, świeże powietrze bardzo się przyda.—Tak sądzisz, hrabio?

Stefania podniosła się i spojrzawszy na zegar, dodała:—Dobrze przejdziemy się po parku.

Po chwili Herman i Stefania byli na stopniach ganku. Wspaniały, ciepły wieczór wiosenny, zachwycił zmysły i duszę. Niebo było pogodne, a dokoła taka cisza, że młode listki drzew nie poruszały się wcale, tylko tu i owdzie, wśród gałęzi rozlegał się świergot ptasząt. Herman podał ramię Stefanii, i w milczeniu zeszli do parku. — Nie prawda, że cudowny wieczór? — zapytał Herman. — Piękny w istocie, a jak orzeźwiające powietrze, odpowiedziała Stefania, głęboko wciągając w siebie oddech. — Ach, pani już od dwóch tygodni nie odechnęłaś świeżem powietrzem, a to wszystko dla mojej matki. Masz pani prawdziwie anielską dobroć, gdy z taką delikatnością pielęgnujesz kobietę, która się tak źle obeszła z panią owego wieczora, gdy zachorowała. Czy można być szlachetniejszą i lepszą! — Kto panu powiedział że postępuję szlachetnie? — Wszystko mi mówi, co-

kolwiek widzę w postępowaniu pani.—Pan widzisz tylko czyny, ale nie znasz pobudek. Moje mogą być bardzo samolubne.—Jakim sposobem? — Mogę chcieć zasłużyć na szacunek hrabiny, albo zwyciężyć jej przesady, lub wreszcie postępowaniem swoim zmusić ją do oddania sprawiedliwości dobremu, gdziekolwiek się ono znajdzie.—Zapewne. Byłaby to szlachetna zemsta, ale w takim razie postępowałabyś pani z rozmysłem, a tak nie jest. Sposób obejścia pani płynie z serca, nie obrachowywasz jego wpływu ani korzyści, gdyż zawsze z równą delikatnością i czułością postępowałaś, wówczas nawet, gdy życie mojej matki na chwilę było w niebezpieczeństwie.—Może pan masz słuszość, ale czegoż to dowodzi? — Że pani jesteś aniołem dobroci.—O nie, dowodzi poprostu, że jestem chrześcijanką. Zresztą hrabio, przecież czynię to dla pańskiej matki, i wierza mi, nie wielka to zasługa czynić dobrze swemu przyjacielowi. Słodką rzecz pomyśleć, że swojemi staraniami ocala się życie osoby, której strata wycisnęłaby mu gorzkie łyzy boleści. Przecież wiesz hrabio, że jestem szczerze do pana przywiązaną.—Jakób jest najdroższem ze wszystkiego co pani posiadasz na ziemi; czemuż ja być mogę? — Tem, czym Jakób, nie, to prawda, ale czym innem.—A tak—przyjacielem. Ale Jakób czemś więcej. — I znacznie więcej, dała Stefanią.

Doszedłszy do pierwszej ławki, zatrzymała się i rzekła: — Jeśli pozwolisz hrabio, to usiądziemy tu trochę. Jestem doprawdy znużona. — Ależ zaledwie uszliśmy dziesięć kroków; przechadzka na świeżem powietrzu bardzo pani posłuży.—Wolę posiedzieć.—Ha, jeśli taka pani wola.

Herman usiadł przy Stefanii, i wsparł się łokciem o poręcz ławki.

Młoda kobieta odezwała się znowu:—Jakób jest rzeczywiście więcej niż przyjacielem dla mnie, gdyż jest twórcą lepszego we mnie człowieka. Jeśli, jak pan mówisz, jestem aniołem dobroci, to w istocie jest to jego dzieło. On to zachęcił i rozwinął we mnie dobre, stłumił złe i dla tego podziwiam go i kocham, jak dobrego opiekuńczego ducha. — Godny zazdrości człowiek, który taką moc nad panią posiada i oprócz tego cieszy się jej przywiązaniem.

Czoło Hermana zachmurzyło się, a jego spojrzenie było zimne.—Nie należę do tych co przynoszą szczęście, nikomogom też jeszcze nie uszczęśliwiła. Ale nie mówmy o tem. Jakób ma w każdym razie tak mocny charakter, że ze spokojnem czołem znosi nieszczęście i walczy przeciw niemu. Ten przymiot sprawia, że ma tak wielką nad innymi przewagę, gdyż jak prawdziwy mężczyzna panuje nad wszelkiem niepowodzeniem. Nastąpiła chwila milczenia. Stefanią przerwała je mówiąc:—Za trzy tygodnie spodziewam się tu gości zdaleka.—A!

Współcześnie Herman spojrzał na Stefanię wzrokiem, który pytał:—kogo? — Alboż zapomniałeś hrabio, kogo oczekuję? zapytała Stefanią patrząc mu w oczy.

Hrabia odpowiedział najzupełniej spokojnym głosem:—Hrabinę Elinę Romarhierta.—Właśnie.—W przyszłym tygodniu, jeśli się stan zdrowia matki nie pogorszy, wyjeżdżam za interesami do Anglii, stosownie do naszej umowy — odezwał się obojętnie hrabia. — A jak długo myślisz pan zabawić?—Najdłużej cztery tygodnie, ale do Kungsborga nie wprzód wrócę, aż pani mię wezwiesz.

Jak długo zabawi tu hrabina Elina? dodał hrabia pytając. — Zależy to od tego czy... — Od czego? — Czy pan chcesz się z nią zobaczyć? — Pyta pani serjo? — Oczywiście. Gdybym jak pan miała do odpokutowania ciężką winę, nie ociągałabym się ani chwili, owszem samabym szukała sposobności do naprawienia złego. — W jaki sposób, jeśli łaska? Czy chcesz pani, żebym teraz prawie będąc bez grosza, pojednał się z bogatą żoną, którą odepchnąłem wówczas, gdy jeszcze uchodził za majątnego? Podobnego kroku, nigdybym sobie nie darował, dziś bowiem tak dobrze, jak przed jedenastą laty, Elina jest dla mnie osobą, do której nie czuję żadnego pociągu. Choćby nawet jej urodzenie nie czyniło mi jej nieznośną, czuję ku niej wstręt z przyczyny związku, który mię pozbawia wszelkiej nadziei szczęścia w życiu.

Posłuchaj mię hrabio. Czy jesteś rzeczywiście przekonany, że pochodzenie Eliny przestało już być przyczyną, dla którejbyś ją uważał za niegodną noszenia twego nazwiska? — Co za pytanie! odparł Herman i spojrzał na młodą kobietę wzrokiem, który zdawał się mówić: — Przecież kocham ciebie, pomimo twego pochodzenia! — Chciej mię pan dobrze zrozumieć, rzekła Stefaniya odpowiadając na to spojrzenie. Mówię teraz o pochodzeniu pańskiej żony, to jest hrabiny Romarhierta. — Doskonale panią rozumiem. Sądzisz pani, że można kochać mieszczankę, ale niekoniecznie chcieć dać jej swoje nazwisko. Pani, gdyby dla mnie było podobieństwem, kochać Elinę, z radością i szczęściem przycisnąłbym ją do serca, choćby pochodziła z najniższego stanu. Tak dalece wydarłaś pani z mej duszy szacunek dla urodzenia, że

dziś mogę go czuć jedynie dla rzeczywistej zasługi. — A z kąd pan wiesz, że nie możesz kochać Eliny? Nie widziałeś jej od lat jedenastu. — I dawniej nie często. To, com w niej widział, tak mało mię przyciągało, że przypominam sobie tylko, iż była porządnie brzydka. Choćby jednak była najpiękniejszą i najlepszą, jeszcze bym nie mógł jej kochać. To niepodobieństwo! — Czemu? — I o to pytasz — pani?

Ujął jej obydwie ręce i namiętnie patrząc na nią, dodał stłumionym głosem: — Czyż Stefaniya może zadawać mi takie pytanie? — Właśnie Stefaniya, jako prawdziwa przyjaciółka pochlebiając sobie, że ma wielki wpływ na pana, spodziewa się go nawrócić na drogę obowiązku, który w tak srogi i niesprawiedliwy sposób zdeptałeś.

To mówiąc spojrzała spokojnie i poważnie w jego palające oczy. — Obowiązek! obowiązek! powtórzył Herman; więc pani chcesz mię pogodzić, i znowu połączyć z Eliną? — Tak jest, rzekła Stefaniya ciężko odetchnąwszy, jakby musiała stoczyć wielką z sobą walkę, żeby ten wyraz wymówić. Chcę, żebyś pan poznał, jak wiele przeciw niej zawiniłeś. Chcę, żebyś ją pokochał. — Nie żądam pani rzeczy niemożliwej! rzekł Herman puszcżając ręce Stefanii. I dodał spokojnie, prawie zimno:

— Jesteś pani nieodgadniona kobieta. Znasz moc, jaką posiadasz nad mojem sercem, a jednak chcesz to serce przykuć do innej. Alboż pani tak mało znasz świat aczuję, że nie wiesz, iż nie można im jak postępkom rozkazywać, by słuchały naszej woli? — Owszem hrabio Hermanie, można. Najlepszy dowód, że pan w tej chwili siłą woli stłumiłeś gwałtownie wzburzone uczucia i spo-

kojnie o nich mówisz. — Możemy stłumić wybuch uczuć, ale nie same uczucia. Nie jest w mocy człowieka zmienić ich naturę siłą swojej woli. Jeśli pani sądzisz, że mogę zmusić swoje serce do kochania Eliny, to chyba nie znasz natury ludzkiej. — Zmusić pańskie serce? powtórzyła Stefania uśmiechając się dziwnie, gdy współcześnie rumieńce oblały jej lica. Nie hrabio, taka myśl nie powstała w mojej duszy. Możemy się zmusić do spełnienia swych obowiązków, do czynienia zgodnie ze sprawiedliwością, honorem i sumieniem, ale nie możemy się zmusić do kochania. Serce nie sługa, nie zna co to pany, i oddaje się dobrowolnie temu, który je zdobyć potrafi. — O tem wiesz pani lepiej, niż ktokolwiekbyś. — Tak hrabio, wiem lepiej niż ktokolwiekbyś!

Nastało milczenie. Pierś Stefanii podnosiła się niespokojnie. Błade czoło Hermana i wzrok rozplamiony, świadczyły o burzach, jakie wstrząsały jego duszą.

Nakoniec przerwał milczenie mówiąc: — A jednak chcesz pani, bym wołą nakazał sercu kochać istotę, której nie znam. — Nie, chcę tylko skłonić pana, żebyś ją poznał i dopiero wówczas kochał. — W takim razie nie powinienem być wcale widzieć pani. Dziś na nic się nie przyda poznanie Eliny, gdyż między nią i mną — pani stoisz. — Jako spójnia, jako węzeł łączący was z sobą. Przyrzeknij mi pan, że zabierzesz znajomość ze swoją małżonką, że będziesz ją widywał codziennie, że będziesz sądził o jej postępach, badał jej charakter — słowem, że się przekonasz, czy jest godną twojej miłości i nazwiska. Stefania spojrzała błagalnym wzrokiem na Hermana. — Niepodobieństwo oprzeć się prośbie, której towarzyszy

takie spojrzenie, rzekł Herman biorąc rękę Stefanii. A jednak obiecując w tej chwili, że spełnię życzenia pani, jestem pewny że później tego pożałuję. — Hrabio, nie myślę namawiać cię do postępuku, któregośbyś kiedykolwiek żałował; pragnęłabym tylko, aby mój wpływ na pana był rzeczywiście tak wielki, iżbyś bez żalu spełniał moje życzenia. — Alboż pani wątpisz o swym wpływie? — Wątpię i mam powody. — Nie, — wszystko uczynię, prócz tego, co by mię poniżyło we własnych oczach. Żądam pani czego tylko chcesz, a bez namysłu, ślepo spełnię twe życzenia, ale nie żądam, bym pod tym samym dachem mieszkał z kobietą, przed którą musiałbym ciągle rumienić się za swoje postępowanie. Nieszczęście mieć chciało, że jej nie kocham, ale przeświadczenie, że ma prawo mną gardzić, czyni niepodobnem wszelkie z nią zbliżenie. Na jej widok, byłbym zmuszony sam sobą pogardzać. — Zmusi się pan przynajmniej do szanowania jej i dowiedzenia, że jesteś zdolny naprawić złe, które wyrządziła fałszywa duma. — Niepodobna! — ona jest moją wcieloną zgryzotą sumienia, i dla tego się nią brzydzę, choćby była najpiękniejszą, najcnotliwszą i ubóstwienia godną. — Brzydzisz się nią! — Zapewne za to, że tyle lat cierpiała? jęknęła Stefania opierając na ręku swe blade czoło. O, tego nadto!

Nastało znowu milczenie. Herman widział jak drżały powieki Stefanii, jak ukazały się jasne perły pod długimi spuszczonej rękami i zwolna spłynęły na policzki. Młody człowiek oparł się jej słowom, oparł się czarującemu wpływowi jej osoby i błagalnym spojrzeniom, ale te ciche łzy, które mimowolnie wytrysły z jej

oczu, miały moc nieprzepartą. Siły opuściły Hermana. Rozbrojony schylił się i rzekł po cichu:—Stefanijo!

Czyś zauważył, drogi czytelniku, że w dźwięku, z jakim się jeden wyraz wymawia, może spoczywać cały świat myśli i uczuć? Tak właśnie było teraz. W tym ledwie wyszeptanym wyrazie: „Stefanijo“ leżało całe wyznanie: młoda kobieta mimowolnie na niego spojrzała. Po chwili, która objęła całą wieczność, spotkały się ich spojrzenia, i Stefaniya podając mu rękę, rzekła z niewysłowienie łagodnym i melancholijnym uśmiechem:—Czym zwyciężyła?—Zwyciężyłaś jak zawsze.

I namiętnie przycisnął jej rękę do ust swoich.

Stefaniya usunęła ją z wolna. — Nie prawdaz, że pan prędko wrócisz z Anglii i przyjedziesz do Kungsborga? zapytała Stefaniya odwracając od niego oczy.—Przyjadę.—I obiecujesz, że będziesz bezstronnym sędzią Eliny i samego siebie?—Obiecuję.—I gdy osądzisz, że jest godną twego szacunku, nazwiska i miłości, wówczas...?

Stefaniya zatrzymała się czekając na odpowiedź, ale Herman milczał. Po chwili powtórzyła młoda kobieta:—Wówczas? — Wówczas przeproszę ją za złe wyrządzone i...—I co? dokończ pan.—I wrócę jej wolność.

Stefaniya drgnęła i żywo obróciwszy twarz ku Hermanowi, rzekła z wolna:—Rozwód lub wzgarda—oto wszystko, co możesz dać tej ofierze swojej niezmiernej pychy. Ach, hrabio, nie jesteś szlachcicem!

Powstała chcąc odejść. — Chwilę jeszcze, błagam cię pani! wołał Herman.

Stefaniya zatrzymała się.

— Nigdy,—mówił—nigdy nie rozwiódę się z nią, ni-

gdy nie odbiorę jej nazwiska, które ma prawo nosić i które jej raz dobrowolnie dałem. Jeśli jednak sama zapagnie odzyskać swobodę, wówczas pani, nie będę stawiał przeszkód jej szczęściu. Ona tylko będzie stanowić o dalszym swym losie, ale nigdy, żadnem słówkiem nie zdradzę, iż pragnę uwolnić się z więzów, które od lat jedenastu noszę. Więcej żądać odemnie pani nie możesz i nie zechcesz.—Nie, i jestem zupełnie zadowoloną z odniesionego teraz zwycięstwa. Przecucie mi mówi, że z czasem zwycięstwo będzie zupełne. Obiecałeś pan przekonać się na własne oczy, i być bezstronnym. Dobrze, teraz jestem pewną, że rezultat będzie godny honorowego człowieka.—Jesteś pani w istocie tego pewną? —Tak.—A jednak przed chwilą powiedziałaś, że nie jestem szlachcicem. —Przebacz pan to porywcze słowo, rzekła Stefaniya, podając mu obiedwie ręce.

Nieraz już wydała się czarującą Hermanowi, nigdy jednak tak dalece jak teraz, gdy stała przed nim z bladem, pokornie pochylonem licem i wyrazem dziecinnej słodyczy.—Ja—miałbym pani przebaczyć! Ach gdybym miał co do przebaczenia! zawołał Herman cisnąc do swej piersi jej ręce. — Kto wie, czy nie przyjdzie dzień, gdy cofniesz pan te słowa. — Nigdy! cokolwiek mi uczynisz, wszystko przebaczę.—Jestżeś pan pewny?—Najzupełniej. — Daj mi pan na to rękę. — Oto moja ręka, na dowód, że wszystko, cokolwiek pani uczynisz, nietylko przebaczę, ale nadto szczęśliwym będę, mając coś do przebaczenia osobie, której tyle winienem. Moja cześć i uwielbienie dla pani są tak wielkie, że ani czas ani okoliczności zachwiać ich nie mogą.—Dziękuję, rzekła Ste-

fania i wskazała na niebo: — Patrz pan, podczas naszej rozmowy słońce zupełnie zaszło; czas wracać. — Do łóża chorej matki mojej. — Zda mi się że jest i moja, wyszeptwała Stefania, a gorące rumieńce oblały jej policzki. Idźmy, idźmy. — Wyświadczyć mi pani jedną łaskę. — Chętnie, jeśli mogę. — Przejdźmy się nad brzegiem morza. Za pół godziny wrócimy, a wieczór jest tak piękny.

Bogu tylko wiadomo, co mówiły oczy Hermana. Stefania przetarła ręką czoło, jakby dostała zawrotu głowy, potem milcząc, postąpiła kilka kroków nie z powrotem do zamku, ale ku brzegom morza. Herman milcząc złożył jej rękę na swoim ramieniu, i przez całą drogę do morza nie rzekli ani słowa. Wspaniały obraz jaki się przed ich oczyma roztoczył, mógł napelnić serce czcią i uwielbieniem dla Stwórcy. Stefania mimowolnie zawołała: — Jak wielkim jest Bóg, a jak małym człowiek!

I wsparła głowę na ramieniu Hermana, i długo były dwa serca czystem i głębokiem uczuciem, jakiego doznaje człowiek, gdy w duchu wielbi swego Ojca i Stwórcę. Była to niema modlitwa dwojga ludzi różnych stanów, którzy zarówno czuli swą nicość w obliczu Boga. — Czyż ta chwila nie upomina, abyśmy dobrocią i szlachetnością choć trochę odwdzięczyli się za dary Opatrzności? odezwała się w końcu Stefania. — W istocie, i w takiej chwili głęboko się czuje, że przed obliczem Boga nie masz żadnego ziemskiego pierwszeństwa, odparł hrabia. — W oczach Jego jest jedno tylko szlachectwo — duszy. — Masz pani słuszość i dla tego jesteś w obliczu Jego uszlachetniona, ale nie ja. — Ach! hrabio, wszyscy jesteśmy przed Nim prochem, a cnoty które w sobie podzi-

wiamy, nie wiele nam dają w Jego oczach zasługi. Bóg patrzy w serce i wie, ile ono kryje słabości, nawet gdy się wydajemy najsilniejsi.

Milcząc, zawrócili do zamku. — Pani nie znasz żadnych słabości? odezwał się po chwili Herman. — Któż z ludzi może się pochwalić, że jest bez słabości? Ja mniej niż ktokolwiek, ale lubię widzieć moc duszy w drugich i gardzę wszelkim poddawaniem się namiętności, zwłaszcza w mężczyźnie. Mężczyzna powinien być panem siebie, panem swoich namiętności i swojego losu, w przeciwnym razie nie jest mężczyzną, i nie godzien być kochanym od szlachetnej kobiety. — Ale nie żądam pani, by był więcej, niż człowiekiem. — Owszem, żądam, żeby był czemś więcej, żądam, żeby był człowiekiem z najwyższem i najpięknijszem znaczeniem — obrazem Boga na ziemi. — Jest to ideał, którego urzeczywistnienia nie znajdziesz pani na ziemi. — Owszem znalazłam ten ideał. — A! — więc chciej go pani wymienić. — Jakób!

Krew uderzyła do głowy Hermana. Stefania uczuła, że drgnął usłyszawszy to imię. Po chwili milczenia, odezwał się hrabia: — Alboż on nigdy nie dał się powodować namiętności lub innej jakiej słabości? — Nigdy — widziałam, jak bez zmarszczenia znosił najstraszniejsze ciosy; widziałam, jak pogodnem czołem przyjmował los najnieszczęśliwszy, bezdenne źródło boleści. Widziałam, jak dla prawdy, dobra drugich i sprawiedliwości, spokojnie poświęcał najpiękniejsze sny swej młodości i najdroższe nadzieje, jak bez żadnego wahania opierał się najnatarczywszym pokusom, gdy współcześnie krwawiło się i oburzało jego serce. Ach! hrabio, w nim podziwia-

łam moc, którąbym pragnęła widzieć w każdym mężczyźnie. — Gdzie niema namiętności, tam nie ma siły i w istocie człowiek ten jest szczęśliwy, że ich nie posiada. — Owszem ma silne potężne namiętności, przy krwi na pół hiszpańskiej na pół angielskiej, ale ma przy tem serce szwedzkie, wierne, ciepłe i uczciwe. — A cóż taką moc daje jego duszy? — Jest chrześcijaninem!

W tonie z jakim wymówiła te słowa Stefanijsa, było tyle przejmującej powagi, że zdawało się, iż wywołały sympatyczny odgłos w sercu Hermana. Resztę drogi przeszli milcząc.

— Dobra noc, rzekła Stefanijsa idąc do pokoiów hrabiny.

Herman zdjął kapelusz i nie rzekłszy słowa poszedł do swojego gabinetu.

R O Z D Z I A Ł XXXVI.

Hrabina spała, gdy Stefanijsa weszła do pokoju. Głowę wsparłszy na ręce, Helfryda siedziała patrząc na leżącą przed sobą rycinę, i nie wprzód spostrzegła Stefanijsę, aż ta pochyliła się ku niej i zapytała:

— Jak się ma chora?

Helfryda spójrzała prawie przestraszona, ale spotka-

wszy łagodny i pełen słodczy wzrok Stefanijsy, odpowiedziała z uśmiechem: — Mama cały czas spała.

Spojrzenia Stefanijsy padły teraz na rycinę, która leżała przed Helfrydą. — Twarz ta jest nadzwyczajnie podobna do Jakóba, rzekła Stefanijsa. — Wszak prawda? — Długo w nią wpatrywałam się, i coraz większe znajdowałam podobieństwo.

Biedny Jakób! W ostatnich czasach bardzo się nudził, rzekła Stefanijsa, siadając na krześle. Ale pracował usilnie, starając się wynagrodzić sobie stratę miłych wieczorów, które zwykle ze mną przepędzał. Od lat czterech mieszkamy razem, nie rozłączając się tylko na czas jego krótkich podróży. — Więc wychowaliście się razem?

Nie, ja urodziłam się w Szwecyi, a on w Nowej Anglii, i gdyśmy się po raz pierwszy ujrżeli, miałam lat dziewiętnaście, a on dwadzieścia jeden. Wówczas już przeżył nie jedną ciężką boleść, nie jedną gorzką walkę sto-czył, i chociaż młodziemcem laty, mocą charakteru i rozumem był już prawdziwym mężem. Wczesna walka z troską, przeciwnościami i doznana niesprawiedliwością, gorzką była dla niego nauką i wyrobiła w nim charakter surowy i poważny. Ale widzę, że się zagadała, jak słaba matka lub siostra, które zapominają o wszystkim, byleby wysławiać zalety swego ulubieńca. Udaj się pani na spoczynek, panno Helfrydo. — Wolę tu zostać i słuchać opowiadania pani. — O kim? — O panu Lange, odpowiedziała Helfryda z półuśmiechem. Rzadko się zdarza słyszeć o młodym mężczyźnie, któryby posiadał tak niepospolite przymioty. — Nie, panno Helfrydo, teraz potrze-

bny ci jest spoczynek. Jutro będę ci opowiadała wszystko, co zechcesz.

Helfryda wstała.

— Mówiono mi dziś, że pani wychodzisz za mąż — czy prawda? zapytała Stefanija biorąc Helfrydę za rękę. — W istocie jest o tem mowa, odpowiedziała blednąc Helfryda. — I kochasz pani barona Skjöld? — Mam dla niego szacunek i życzliwość. — Dobranoc, droga przyjaciółko.

Helfryda złożyła pocałunek na czole Stefanii i wyszła z pokoju. Zostawszy sama, Stefanija wzięła arkusz listowego papieru i napisała co następuje:

„Kochana Elino!

Teraz jest czas zawiadomić go o dziedzictwie, jakie na niego spada, i przekonać się, czy znowu nie obudzi się w nim pycha, gdy się ujrzy bogatym. Ubóstwo zniósł mężnie, ale ono mniej cięży, gdyż człowieka ugina; przeciwnie, szczęście znieść trudniej i lękam się, czy nie odzwie się znowu krew Romarhiertów. Spodziewać się czegoś po matce, byłoby niedorzecznością, tak дума wysuszyła jej serce. Wszelako jeszcze nie straciłam nadziei. Choroba i cierpienia ciała uginają i miękczą duszę. Przybывaj—przybывaj, jak tylko załatwisz swoje interesa. Jesień pokaże, czy odepchnięta córka i synowa, mogą się czegoś spodziewać w przyszłości. Bądź zdrowa droga przyjaciółko!

Mam nadzieję, że lord Charter będzie ci towarzyszył.

Twoja

Stefanija Stephensen.“

Stefanija skończyła właśnie list, gdy hrabina ciężko

westchnęła i niebawem dostała mocnego napadu kaszlu. W mgnieniu oka Stefanija była przy łóżku. Pokojówka, która miała współcześnie czuwać, zasnęła na stołku tak mocno, że nawet kaszel hrabiny jej nie zbudził. Stefanija trzymała w swych objęciach chorą podczas kaszlu i ocierała pot z jej bladego czoła. Było coś rozrzucającego w tej pełnej prostoty i prawdy czułości, z jaką młoda kobieta usiłowała złagodzić cierpienia chorej. Zażywszy kilka uśmierzających kropli, hrabina przestała kasłać. Stefanija złożyła chorą na poduszkach i przez kilka minut tylko szybki, urywany oddech przerywał milczenie. Nakoniec odezwała się słabym, znękanym głosem:

— Droga pani, jesteś więcej niż dobrą, gdy z taką troskliwością pielęgnujesz obcą osobę. — Pani nie jesteś dla mnie obcą osobą—rzekła ze słodyczą Stefanija.—Ja jednak postępowałam z panią gorzej niż z osobą obcą. Obchodziłam się z panią jak z nieprzyjaciółką, mimo żeś mi dawała tyle dowodów życzliwości swojej. A jednak nie przestałaś okazywać mi współczucia, chociaż wiem, że nie masz ku mnie żadnej sympatii. Co panią skłoniło poświęcać dla mnie czas i skazywać się na niewygody i bezsenność? — Obowiązki człowieka i chrześcijanina—spokojnie odpowiedziała Stefanija. Wszędy, gdzie widzę cierpiącego i mogę mu dopomóc, powinnością jest moją to czynić.

Hrabina leżała spokojnie, ciężko oddychając.

— Może co przeczytać? zapytała Stefanija. — Nie, dziękuję.—Czy doktor mówił z moim synem?—Nie pani hrabino, mówił tylko ze mną.—I powiedział to samo co

mnie; nie prawdaż?—Tak.—Właśnie dla tego, że dał pani słowo, nie mówić nie hrabiemu i pannie Helfrydzie.—Dziwne zrzádenia losu, że umrę jeszcze w Kungsborgu! wyszeptáa hrabina.

Przez chwilę leżała cicho, potem zaczęła niespokojnie przewracać się na poduszkach, jakby myśli bolesne dręczyły jej duszę. Nagle zawołała:—Więc lekarz jest zdania, że jeszcze parę miesięcy mogę walczyć ze śmiercią?—Tak jest, ale sądzi, że pani nie masz dość sił, by przedsiębrać podróż.—Pożyję jednak tak długo, że będę jeszcze mogła wydać Helfrydę za człowieka, który jest jej go-dzien. Wówczas umrę spokojna, unosząc do grobu przekonanie, że zajęła w świecie stanowisko, jakie się jej należy. — Świetne stanowisko, któremu brakować będzie szczęścia w pożyciu! Baron wcale nie jest mężem dla panny Helfrydy. Czy pani w istocie sądzisz, że go kocha?—Kocha! powtórzyła hrabina. Nie wymawiaj pani tego wyrazu. Znaczy on tylko nieokiełznaną fantazję, która sprowadza nieszczęście i hańbę, gdy zawładnie sercem.

— Przeciwnie, miłość jest najwyszczem szczęściem na ziemi. Jak jesteś podziwienią i czci godną pani, gdy w oczach twoich maluje się miłość ku dzieciom! Wówczas trzeba mimowolnie przyznać, że to jest jedyne uczucie, które nie zadaje sobie kłamstwa. Jestto tchnienie niebios w piersi ludzkiej. Ten, co uczył pojednania i miłości, powiedział także: „Wiele przebaczy się temu, który wiele kochał!“ Dla czegoż więc mamy się wypierać miłości? Spojrz pani w oczy córce, gdy na ciebie patrzy i powiedz: jestże to uczucie, które prowa-

dzi umysł na bezdroża, lub raczej promień wyższego świata, który nam przyświeca w tem życiu?

Hrabina milczała, ale nerwowe drganie jej warg świadczyło, że nie była nieczułą na słowa Stefánii. Młoda kobieta odezwała się znowu po chwili milczenia:—Badając gruntownie ducha chrystjanizmu, musimy się dziwić, że my chrześcijanie tak mało go rozumiemy, i dajemy się powodować uczuciom, które są w rażącej sprzeczności z nauką, jaką wyznajemy. Tak na przykład chrystyanizm powiada: „W obliczu Boga wszyscy jesteśmy równi i wszyscy powinniśmy się kochać wzajemnie.“ A jednak ci, costoją wysoko w społeczeństwie, zazdroszczą stojącym wyżej, a gardzą niższymi. W taki to sposób stosujemy swój chrystyanizm w życiu społecznem i prywatnem. Wszędy wzajemna zazdrość, nienawiść lub żądza wyniesienia się nad drugich! A jednak, mając przykład Chrystusa przed oczyma, powinniśmy pomyśleć, że Jego słowa mają mieszkać w naszym sercu, i być podstawą wszystkich naszych postępów. Usta nasze wyznają Go, ale serca przeczą Jego nauce. Ach! hrabino, dodała Stefánia ujmując rękę chorej, i pani wyparłaś się nauki pojednania, chociaż w sercu twojem jest tyle dobroci. Przy schyłku życia, myślisz o tem, jakby zapewnić światowe, nie zaś rzeczywiste szczęście córki, a jednak kochasz ją tak głęboko, że w potrzebie oddałabyś dla niej życie w ofierze.

— Kochana przyjaciółko, rzekła hrabina pańskim, choć łagodnym tonem, — dotykasz teraz przedmiotu, w który obcy nie mają prawa się mieszać. — Obcy, zapewne, ale ja nie jestem obcą, odpowiedziała z uczuciem

Stefanija. Nie odwracaj się odemnie hrabino, nie sądz, że ubliżam twojej godności dla tego, że jestem dziecięciem ludu; ale pomyśl, że obiedwie jesteście chrześcijanki równe przed tronem Tego, przed którym wkrótce staniesz. Nie nazywaj mnie obcą, bo nią nie jestem. Kochałam panią wówczas nawet, gdyś mi okazywała wzgardę, i to przywiązanie sprawia, że moje serce nie jest dla ciebie obce. Nie sądz pani, że się do ciebie zbliżyłam dla tego, że jesteś hrabiną. Nie, ja równie wielkie mam uprzedzenie do arystokracji, jak ty do nas; dziecię gninu, gdybym sobie nie wzięła za wzór nauki Chrystusa, kto wie, dokądby mnie zaprowadził fanatyzm amerykański. Dziś, pani hrabino, nie uważaj mnie za obcą przy twem łożu boleści, ale chciej widzieć we mnie córkę, która cię z całej duszy kocha.

Stefanija spostrzegła, że hrabina lekko brwi zmarszczyła, więc dodała:—Nie chcesz tego? Zgoda, ja jednak nie przestanę być dla pani tem, czem byłam zawsze.

Te ostatnie słowa, miały taki wyraz dobroci i życzliwości, że sprawiły pewne wrażenie na hrabinie, która zarazem przypomniała sobie tysiące ofiar i umartwień, na jakie skazywała się Stefanija, byle jej przynieść ulgę w ciężkich boleściach. Hrabina lekko uściśnęła jej rękę i wyszeptała:—Zdobywasz pani moje serce, mimo mej woli i rozumu. Całe życie dla jednej żyłam myśli, a pani sprawiasz, że prawie staję się jej niewierną.—Dla czego niewierną? pochwyciła Stefanija całując jej wilgotną rękę.—Będę cię tak kochać, tak czule pielegnować, tak gorąco modlić się za ciebie, że w końcu dni swoich zapomnisz o tej nieszczęsnej myśli, która zatrula całe twoje

życie.—To się mylisz, moja pani, odparła hrabina. Umrę jak żyłam, jak arystokratka duszą i sercem. Nie ta myśl, dla której żyłam, była mojem nieszczęściem, ale właśnie myśli, jakim pani hołdujesz. Gdybyś wiedziała, ilem ucierpiała od mieszczaństwa, możebyś pojęła, dla czego nie przestanę się niem brzydzić.—Nie mieszczaństwo pani dokuczyło, ale pani mieszczaństwu, szepnęła Stefanija.

Hrabina dostała znowu lekkiego napadu kaszlu. Gdy minął, rzekła Stefanija:—Wybacz pani, że cię wciągam do rozmowy, gdy lekarz zabronił ci mówić. Może co przeczytam? to prędzej panią uspi. — Dobrze, przeczytaj pani coś, co by mię uspokoiło, powiedziała hrabina.

Stefanija wzięła do rąk książkę.

Głowę oparłszy na rękę, a książkę trzymając na kolanach, czytała Stefanija o duchu chrześcijańskim, który przenikać winien życie człowieka. Były to słowa tak łagodne, czarujące i pojednawcze, że zdawały się płynąć z serca anioła. Stefanija czytała blisko godzinę, ale ani razu nie przewróciła karty. Jej słowa pełne miłości i pieśczoty, przedzierały się do serca chorej i wyciskały z jej oczu ciche łzy rozczulenia. Zdawało się, że te łzy koły boleść i z gorzkimi myślami jednały; bo gdy Stefanija umilkła, hrabina leżała nieruchoma, jakby pogrążona w modlitwie. Stefanija także złożyła ręce i zatopiła się w myślach, które zdawały się zadawałać i uspokajać jej duszę.

— Kto pisał te słowa, któreś pani mi czytała? zagadnęła w końcu hrabina. — Bóg, odpowiedziała Stefanija budząc się z zamyślenia.—Bóg?—Tak jest, On mi je na-

technął. Nie czytałam ich, ale mówiłam z serca.—Dzięki, odpowiedziała chora.

Resztę godzin nocy, w których czuwała Stefania, hrabina leżała spokojnie, jakby rozmyślając o tem, co słyszała.

ROZDZIAŁ XXXVII.

— Wydaje mi się, jakbym panią całe wieki nie widział,—rzekł Jakób do Helfrydy spotkawszy ją nazajutrz w ogrodzie. Czułem w duszy próżnię, ilekroć opuszczałem Kungsborg, nie widziawszy cię pani. Dziś postanowiłem sobie nie wprzód odjechać, aż z tobą pomówię i jak widzisz, pani, postawiłem na swoim.

Serce Helfrydy biło tak szybko, że nie mogła mówić; po chwili przy wielkiem nateżeniu woli zdołała wreszcie zapanować nad gwałtownem wzruszeniem i rzekła dość spokojnie.—Tem smutniej mi czas płynął, żem tak długo pana nie widziała. — A przecież bywam codziennie w Kungsborgu? — Wiem, dla czego nie obdarzyłaś mię pani ani jedną chwilką, bym mógł cię zapewnić o swoim współczuciu i przyjaźni? — Bo prawie ciągle jestem przy łożu chorej matki. Ach! co za męczarnia każdej chwili lękać się o jej życie! Jak okropnie patrzeć na jej cierpienia, i nie widzieć żadnego sposobu ratunku! — W istocie, rzecz okropna rzekł—Jakób. Pobladała pani bardzo, panno Helfrydo,—dodał patrząc na nią ze współ-

czuciem — To nic, obym tylko miała nadzieję, że mama znowu będzie zdrową! odpowiedziała Helfryda. Niestety jednak, tak jest słaba, iż straciliśmy wiarę, by zmiana powietrza i cieplejszy klimat, mogły umocnić jej zdrowie! Myśl okropnie bolesna, że prędzej czy później musi umrzeć z tej strasznej choroby, której postępów nie powstrzymać nie zdoła.

— Ale podobno teraz znacznie lepiej hrabinie? — W istocie, dziś spróbuje leżeć na kanapie? — Wszak baron Skjöld jest dziś spodziewany. — Tak, odpowiadała zarumieniona Helfryda.

Jakób wziął jej rękę i rzekł.— I hrabina zamyśla podarować mu swoją córkę? — Myśl ta jest jednym z najserdeczniejszych jej życzeń, odparła spokojnie Helfryda. — Czy i twoich życzeń, pani? zapytał Jakób, rysując łaską figury na piasku. — Jak pan możesz mię o to pytać? rzekła Helfryda spojrzawszy mu w oczy. — Mówiono mi, że pani myślisz oddać swą rękę baronowi, a ja panno Helfrydo, nie mogę przypuszczać, żebyś zarazem nie oddała mu swojego serca, gdyż inaczej zrobiłabyś krok fałszywy. — Dla czego fałszywy? Szanuję barona, spodziewam się, że później powezmę ku niemu prawdziwe przywiązanie, a przytem wypełniam najgorętsze życzenia matki. Cóż jest złego w mojem postępowaniu? — To jest złego, że dając rękę, nie dajesz pani zarazem serca. Przyjmujesz miłość barona, a w zamian dajesz mu... — Swoje całe życie. — Z wyjątkiem miłości. — Z czasem może go będę kochała. — Zapewne, ale nim ten dzień nadejdzie, nie możesz łączyć swego losu z baronem. Ta-ki krok pani byłby...

Jakób umilkł i dodał po chwili z przyjacielskim uśmiechem: — Doprawdy, nie mam żadnego prawa mówić w taki sposób do pani. Możesz słusznie uważać za niewłaściwe, mieszanie się moje do waszych spraw rodzinnych. A jednak... — Mów pan, proszę. — A jednak pragnąłbym mieć prawo do wypowiedzenia tego co myślę. — To prawo pan masz, bardziej niż ktokolwiek. — Dobrze. I nie obrazisz się pani tem, co ci powiem? — Nie, gdyż wiem, że każde słowo pana płynie ze szczerego współczucia. — I przywiązania. — Dla czego pan powiedziałeś: a jednak? — Chciałem powiedzieć, że taki postępek pani dałby mi wcale inne wyobrażenie o jej charakterze. — Jakto? — Wyrobiłem sobie o pani pojęcie, że jesteś niezdolną do jakiegobądź fałszu lub nieprawdy. Nawet ta дума, którą ganiłem w pani, powinna być, zdaniem mojem, ustrzedz cię od wszelkiego poziomego czynu. Z prawdziwą rokoszą i pewną dumą wyobrażałem sobie, że pani we wszystkich swoich myślach, uczuciach i postępkach jesteś najszlachetniejszą.

Jakób zamilkł.

— Dla czego pan nie mówi dalej? — Potrzebuję objaśnić? Alboż pani postąpisz zgodnie z tak szlachetnym charakterem, gdy dla światowych względów oddasz swą rękę człowiekowi, którego nie kochasz, gdy tymczasem... — Moje serce do innego należy? dokończyła Helfryda, mocno się rumieniając. — Właśnie. Z dwóch rzeczy jedna. Albo miłość pani dla drugiego była chwilową fantazją, którą teraz przeniosłaś na barona, lub też postępujesz względem niego zwodniczo i wiarołomnie, bez miłości zostając jego żoną. Na takim gruncie nie buduje

się szczęścia. W obydwóch razach burzysz pani pojęcie jakie o tobie miałem. — Jesteś pan surowy, ale pańu do wiodę, że nie myliłeś się wierząc, iż nie jestem zdolną do poziomego czynu i, że mój charakter jest szczerzy i prawdziwy. Serce moje będzie do śmierci kochać mężczyznę, do którego raz się przywiązało. Mam z natury charakter zbyt spokojny, abym kiedykolwiek padła ofiarą fantazyi, lub kaprysu; uczucia moje są na to za głębokie, i zbyt jednostronne, jeśli pan wolisz. Nigdy nie wybucham płomieniem, ale ogień, który tli się cicho i niepostrzeżenie w mem sercu, zgaśnie chyba z mojem życiem.

— Dzięki, Helfrydo. Teraz jesteś taką jak cię widzieć pragnę.

— Teraz, gdy zamierzam spełnić życzenie matki, i oddać swą rękę baronowi Skjöld — mówiła dalej Helfryda, czyniąc to dla tego, że pragnę jej sprawić największą radość, i osłodzić jej ostatnie chwile. Nie myślę kłamać w obliczu Boga, i jeśli przyrzeknę wierność, to z mocnem postanowieniem dotrzymania obietnicy. Nie myślę udawać miłości, ale będę się starała spełniać najsumienniejsze swoje obowiązki żony. Pewność, że tym związkiem złagodziła cierpienia matki, doda mi mocy do postępowania, jak przystoi na dobrą i wierną małżonkę.

W czasie tej rozmowy Helfryda i Jakób usiedli na ławce.

— Wszystko, coś mi dotychczas powiedziała, panno Helfrydo, są to sofizmata przystrojone w piękne słówka. Niestety! zbyt często podobnie złudnemi pozorami bałamucą nam rozum i uczucia. — Tegoby należało dowieść. — Najchętniej. Wprzód jednak chciej pani otwarcie od-

powiedzieć na jedno pytanie: Czy sądzisz, że będziesz szczęśliwa z baronem? — Och! któż w tem życiu może rościć prawo do szczęścia! Spodziewam się jednak, że nieszczęśliwą nie będę, a to jest wszystko, czego mogę żądać.

Jakób spojrział na nią z wyrazem politowania i rzekł: — Masz pani bardzo smutne, że nie powiem, zupełnie fałszywe wyobrażenie o życiu. Tymczasem odpowiedź pani dowodzi, że nie spodziewasz się szczęścia, chociaż zamykasz oczy na nieszczęście, któremu dobrowolnie rzucasz się na pastwę. Przecież w sercu młodej dziewczyny musi być przecucie, że małżeństwo bez miłości jest czemś więcej niż nieszczęściem: że jest wstrętnym i nienaturalnym przymusem dla niewieściego uczucia delikatności i wstydu. Przyzwyczajenie uważania małżeństwa, jako sprawy materyalnej, jako interesu towarzyskiego lub pieniężnego, nie zaś jako moralnego związku dwóch dusz, sprawia, że kobiety zapominają o tem wrodzonym uczuciu delikatności i wstydu. Czyś pani wniknęła w cel i przeznaczenie małżeństwa? Czyś kiedy pomyślała, jakie w ustanowieniu go były zamiary Boże? Nie, jak każda młoda dziewczyna, słyszałaś pani od lat dziecinnych, że kiedyś masz wyjść za mąż, i że będziesz miała męża, którego bogactwo i stanowisko społeczne pochlebi próżności rodziców i krewnych. Taki związek ma się opierać na wzajemnym szacunku — o tem pani prawiono, ale nie wspomniano słówka o miłości z obawy, aby ci nie zawróciły głowy romansowe wyobrażenia. Podobnież nie objaśniono pani, na czem właściwie polega ten szacunek dla przysięgłego męża. Rzadko miewają co innego na względzie,

niż jego majątek i znaczenie w świecie. Nie troszcząc się o jego charakter moralny i obywatelskie cnoty, byle miał pieniądze i świetne stanowisko w społeczeństwie — doskonali na męża: tak to dziś kojarzą się małżeństwa. I jak tu żądać, aby oparty na poziomym interesie związek mógł stać się serdecznym i świętym węzłem, z którego wykwiła szczęście, pokój i uszlachetnienie moralne? — Nie, takie stadło podobne jest do dwojga ludzi, co obojętnie dźwigają jarzmo, którego zrzucić nie mogą; takie pożycie bez miłości, wysusza wszelkie uszlachetniające uczucia, i najgorzej wpływa na wzrastające pokolenie, które wychowane w podobnej atmosferze, musi cierpieć na brak harmonijnego rozwoju uczuć wyższych i szlachetniejszych. Dlatego to w naszych czasach tak rzadko spotyka się wielkość moralna.

Jakób umikł i zamyślony patrzył przed siebie. Hel Fryda podniosła nieśmiało ku niemu oczy; w spojrzeniu jej widać było i podziwienie i uznanie, że to, co mówił, jest głęboką prawdę.

— Tak mamy sprzeczne z prawdą pojęcia — mówił dalej Jakób, — że matka, która nigdy nie powie córce, iż ma serce, co się czasem odezwie, z obawy aby nie zakłócić spokoju młodej duszy, — ta sama matka bez wahania, rzuci ją na pastwę mężowi, który jej ofiaruje złoto i wysokie stanowisko w społeczeństwie. W takiej frymarce nie zważają wcale na uczucia, i dziewczyna, która się rumieni w towarzystwie, gdy wspomną słówko miłości, ta sama dziewczyna idzie z uśmiechem na ustach i chłodem w sercu do ołtarza, aby zostać żoną zupełnie obojętnego dla niej człowieka. Wyznaj pani, że bezstronnie mówiąc, ma to

uderzające podobieństwo do wschodniego zwyczaju kupowania sobie niewolnic.

Helfryda rumieniła się i bladła. — I młoda dziewczica — dodał Jakób, — która bez miłości, z zimną krwią i wyrachowaniem zostaje żoną, wcale nie ma wyższego pojęcia o godności niewieściej od młodej Czerkieski, którą na rynku w Konstantynopolu sprzedają więcej dającemu. Trochę pan za daleko się posuwasz — wtrąciła Helfryda z zapłomienioną twarzą i palającymi oczyma. — Bynajmniej — chłodno odpowiedział Jakób. Własne pani serce przyzna mi słuszość, gdy poważnie zastanowisz się nad tą rzeczą. Nie wchodzi się w związki małżeńskie, jeśli nie łączy serc miłość święta, ciepła, czysta i głęboka, jeśli małżonkowie nie mają rękę w rękę iść w serdecznej zgodzie całe życie, dzieląc radości i smutki, doleg i niedolę. Jeśli nie ma tej cudownej harmonii w sercach, wówczas małżeństwo nie jest tem czem być powinno, i nigdy nie wyda szczęścia, i nigdy nie wpłynie na uszlachetnienie duszy moralne. Kobieta winna nie tylko wysoko cenić, ale całą potęgą swej duszy i całym ogniem serca kochać mężczyznę, któremu się na całe życie oddaje, kochać go, jakby był najlepszą częścią jej własnej istoty, jak znowu kobieta, z którą mężczyzna łączy swoje losy, powinna mu być droższą nad własne życie. Wówczas dopiero małżeństwo będzie tem, czem być powinno, świętym i nierozzerwalnym węzłem, „jednym dwóch serc uderzeniem“, wówczas dopiero wcale inny będzie rozwój moralny wzrastających pokoleń. Jest coś pospolitego, poziomego i zwierzęcego w sposobie, w jaki dziś zawierają się związki małżeńskie. Jest to poniżenie wszyst-

kich szlachetniejszych i wyższych uczuć, jakie Bóg w sercach naszych zaszczeplił — i ty, panno Helfrydo wychowana w pogardzie wszystkiego, co stoi niżej od ciebie, napojona przesądami urodzenia i przywiązująca do nich wagę dlatego, że tem urodzeniem stoisz wyżej nad grubemi instynktami motłochu, i ty pani, co jak mnie masz, odziedziczyłaś po przodkach duszę szlachetniejszą i wzniolejszą od innych, ty sama myślisz oddać się jak towar mężczyźnie, któregoś nigdy nie kochała i z którym dusza twoja nigdy się w jedną harmoniję całości nie zleje! Przyznaj pani, że mam słuszość twierdząc, iż takim postępowaniem zaparłabyś się charakteru, jaki w tobie upatrywałem.

Ciężka to była chwila dla Helfrydy. Przyznawała w duszy, że Jakób ma słuszość, była nawet zmuszoną podziwiać go w tej właśnie chwili, gdy ją upokarzał we własnych oczach, a jednak głos wewnętrzny jej mówił, że Jakób zbyt surowo osądził jej sposób postępowania. Wiedziała, że jedyną jej pobudką było serdeczne życzenie uszczęśliwienia matki, że pragnęła sprawić jej jedyną radość, jakiej mogła jeszcze doznać w tem życiu. Tak myśląc Helfryda odpowiedziała z mocą: — Masz pan zupełną słuszość we wszystkim, co mówisz, i cenię pana wysoko za te wyrazy. Wszelako bywają przypadki, gdy nie powodując się żadnem wyrachowaniem, nie sprzedając się — jak pan utrzymujesz — można wejść w związki małżeńskie, i chociaż razem z ręką nie oddajemy serca, powodujemy się jednak uczuciem czystem i bezinteresownem. Za dawnych czasów składano w ofierze bogom swoje życie, aby uchronić od nieszczęścia i zguby ojczy-

znę, rodziców lub inną drogą osobę—jeszcze dziś ze czcią i wzruszeniem czytamy o tych ofiarach. Otóż, jeżeli córka poświęca swoje szczęście dla sprawienia radości matce, nie jestże w tem uczucie czyste i święte? Przecież spłaca dług osobie, której zawdzięcza życie, i zdaje mi się, że postępek taki zasługuje jeżeli nie na szacunek, to przynajmniej na pobożanie.

— Zapewne, odparł Jakób, gdyż z takim pobożaniem patrzymy i na matkę, która w przystępie rozpaczy zabija własne dziecko, ale czyn sam jest i zawsze będzie złym. Wnioski twoje, panno Helfrydo, są fałszywe, i zaraz tego dowiodę. Mówisz pani o poświęceniach, jakie z heroizmu czyniono w dawnych czasach, i porównywasz je z tem, co sama uczynić zamyślasz. Łaskawa pani, w poświęceniach tych oddawano tylko własne życie, i chodziło jedynie o chwilę fizycznego cierpienia. Gdybyś i pani dla szczęścia matki poświęciła własne życie, podziwiałbym cię z całej duszy, i pierwszy nazwałbym wielkiem twoje zaparcie siebie. Ale w tym razie dla fantazy matki poświęcasz pani nie tylko własną przyszłość, własne szczęście i własne uszlachetnienie moralne, ale co gorsza, wyrządzasz tę samą krzywdę drugiemu człowiekowi, nie mówiąc już o jej rozszerzeniu do przyszłego pokolenia. Choćbyś najsumienniej spełniała swoje powinności małżonki, choćbyś najlepiej odegrywała rolę gospodyni domu, nigdy pani nie zdołasz ukryć braku miłości, i mąż twój wkrótce pozna, że nigdy nie posiadał i nigdy nie posiadać twego serca. Cóż więc uczyniłaś? Zawiodłaś jego uzasadnione prawa do szczęścia. Żeby matce sprawić chwilową i próżną radość, skazałaś pani tego

człowieka na dożgonne życie bez miłości przy twoim boku. Jakież będzie tego następstwo? Że przedstawicie ten pospolity a wstrętny widok małżonków, z których każde szukać będzie gdzieindziej rostargnienia i zapomnienia doznanego zawodu pod względem szczęścia w domowym pożyciu. Powiedz mi teraz pani sumiennie, czy radość, jaką sprawisz matce, rzeczywiście dorównywa nieszczęściu, jakie zwalisz na własną i męża głowę? Nazwałbym to fałszem nawet wówczas, gdybyś tym postępkiem rzeczywiście ocaliła życie matce lub odwróciła od niej inne straszniejsze nieszczęście — cóż dopiero mówić, gdy jak w tym razie, chodzi tylko o schlebnie jej słabości, o zadowolenie niedorzecznej dumy i o uspokojenie względem przyszłego materialnego bytu pani! Panno Helfrydo, prawdopodobnie znudziłem cię, a może i rozgniewałem temi uwagami, ale mówiłem szczerze, mając na myśli tylko szczęście twoje, i jak się spodziewam, przyjmiesz to jako słowa prawdy od przywiązanego przyjaciela. Wszak nie inaczej sądzisz pani o moich zamiarach?

Jakób podał rękę Helfrydzie. — Z pewnością przyjmę jak od przyjaciela, odpowiedziała Helfryda, i czuję prawdziwą dla pana wdzięczność. — I zastanowisz się nad moimi słowy, nim poweźmiesz postanowienie. — Niewątpliwie, rzekła Helfryda wstając.

Milcząc powracali oboje do domu. — Słyszałem, że dziś jest wieczór u baronowej F... Pan będzie? zapytała Helfryda. — Obiecałem, że pojadę. — Bardzo miła osoba. — W istocie, niezmiernie ujmująca. Rzadko mi się zdarzyło widzieć kobietę z takim ogniem i życiem. Zdaje

się, że przemocą ciągnie ku sobie serca. — Więc i pan uległeś jej czarującemu wpływowi? — Inaczej nie byłbym mężczyzną. Kobieta to prawdziwie niebezpieczna dla każdego, który lubi się omamić na chwilę. — A któryś śmiertelnik nie czuje do tego pociągu? Wszyscy my mniej więcej ulegamy wrażeniom chwili. — To prawda i jestem przekonany, że baronowa podbiła już mnóstwo serc i jeszcze ich wiele zdobędzie, bo każdy kto wpadnie w czarowne sieci jej powabów, łatwo może postradać spokojność na zawsze. — I pan także? — Co raz zostało stracone, tego się już nie traci. A choćby poniesiona strata dała się wynagrodzić, niepodobnaby mi było teraz się zakochać i szukać szczęścia czy niedoli w kobiecie. — Pan nie chcesz — ale czyż wola rozkazuje sercu? — Kto jak ja raz doznał zawodu w miłości, ten stracił świeżość uczucia konieczną, żeby mimowoli ulegać wrażeniom. Kto raz został rozbitkiem, ten lęka się wystawiać na nowe próby. — Więc baronowa nie może być niebezpieczną dla spokojności pana? — Tak się przynajmniej spodziewam, śmiejąc się odpowiedział Jakób. Zresztą podobna miłość byłaby prawdziwie niedorzeczna. — Dla czego? Baronowa jest wdową, zupełnie niezależną i bez żadnych przesądów urodzenia. — Choćbym nawet pozyskał jej serce, o co wcale starać się nie myślę, związek z nią uważałbym zawsze za niemożliwy. — Z jakiego powodu? — Z nader prostego, że nie chcę mieć żonę kobiety, którejby się zdawało, że się do mnie zniża. Choć sam inaczej zapatrywałem się na nasze stanowisko, już samo to, że ona mogłaby mnie uważać za niższego od siebie urodzeniem, byłoby dla mnie poniżeniem, które

czyni niepodobnym taki związek. My dzieci rzeczypolitej amerykańskiej mamy także swoją dumę, a moja, wierzą pani, jest dość potężną.

Helfryda milczała. Słowa Jakóba sprawiły jej jakąś nieopisaną gorycz i boleść.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Upłynęło dni kilka. Zdawało się, że hrabina przychodzi do zdrowia; było to owe pozorne polepszenie, które zdarza się cierpiącym na słabości piersiowe: biednej chorej i tym co ją otaczają, zdaje się wtedy, że już wszelkie złe minęło. W istocie jednak zdrowie hrabiny było już tak zniszczone, że nie mogła o własnych siłach przejść po pokoju, i musiano ją sadzać na kanapie lub w krześle, na którem przenoszono ją z jednej sali do drugiej. Pewnego wieczóra, gdy ubrana siedziała na krześle w małym salonie, Stefaniya przyszła zwolnić Helfrydę, aby młoda dziewczica mogła odetchnąć świeżem powietrzem w ogrodzie.

Pozostawszy sama z hrabiną Stefaniya rzekła: — Za dwa tygodnie spodziewam się tu przyjazdu osoby, której obecność może nie będzie dla pani przyjemną. — Goście pani, odparła hrabina, nie mogą mi przeszkadzać. Mam przecież swój pokój, z którego nie wychodzę, i prawdo-

podobnie chyba trupem mię z niego wyniosą. — Osoba jednak, o której mówię, rzekła Stefanijs, jest z panią spokrewniona, i obawiam się, czy samo jej nazwisko nie będzie dla pani nieprzyjemne. Mówię o hrabinie Elinie Romarhierta. — Mylisz się pani sądząc, że jesteśmy spokrewnione, dumnie odpowiedziała hrabina. Spodziewam się, że hrabina Elina tyle będzie miała taktu, iż nie zechce zbliżyć się do mnie w charakterze krewnej. — O tem jestem najmocniej przekonana. Hrabina Elina jest zbyt dumna, by się miała komukolwiek narzucać, odpowiedziała zarumieniona Stefanijs. — W takim razie pani możesz być zupełnie spokojna. Nie pomyślę ani na chwilę, że ta osoba i ja zostajemy pod jednym dachem. Wszak pani odstąpiłaś mi ten pokój, więc nikt obcy bez mojego pozwolenia wejść tu się nie ośmieli.

Stefanijs odwróciła twarz od hrabiny, aby nie mogła widzieć na niej wyrazu niechęci i bólesci.

— Syn mój prawdopodobnie w przyszłym tygodniu odjeżdża do Anglii, odezwiała się hrabina. — Tak jest, mówił mi o tem. — Jakkolwiek mi jest bolesno teraz się z nim rozłączać, gdy nie wiem, jak długo pożyję, cieszę się jednak, że opuszcza Kungsborg w chwili, gdy mają przyjechać goście pani. Trudniejby mu było niż mnie unikać z niemi spotkania. — Spodziewam się, że pani będzie zdrowszą, gdy hrabia powróci. Lato bardzo sprzyja cierpiącym na pani chorobę, i wierzę słowom lekarza, że przeżyjesz ciepłą porę roku, — Pragnę tego, bo mam tylko dwoje dzieci, a chciałabym widzieć choć jedno szczęśliwe, nim zstąpię do grobu. — Mówiono mi że pani miałaś starszą córkę — czy umarła?

Stefanijs spojrzała badawczym wzrokiem na hrabinę, która zadrżała na te słowa i tak zbladła, iż zdawało się, że zemgleje. Po chwili jednak wynędniała jej twarz znowu stała się zimną i odpowiedziała oschłym tonem: — Umarła. — Była starszą czy młodszą od hrabiego? — Młodszą. — Musi być bardzo bolesną myśl o takiej stracie. Zapewne umarła bardzo młodo, gdyż panna Helfryda nigdy o niej nie wspomina. — Tak jest, była bardzo młodą. Sprawisz mi pani wielką przyjemność, jeśli z łaski swojej otworzysz okno, rzekła hrabina.

Stefanijs zbladła i widać było, że z ciężkością oddycha. Milcząc, spełniła życzenie hrabiny i usiadła przy oknie. — Przed kilką laty, odezwiała się po chwili, za pierwszej mojej bytności w Paryżu, poznałam się z jednym szlachcicem szwedzkim, o którym śmiało powiedzieć można, iż był z charakteru i sposobu myślenia prawdziwym szlachcicem. Był to hrabia Karol Runa, zapewne jakiś krewny hrabiny, gdyż i pani z domu Runa. — To mój jedyny brat, odpowiedziała hrabina, i lekka chmura osiadła na jej czole. — Nigdy nie mogę wspomnieć o nim bez wzruszenia, mówiła dalej Stefanijs. Nie zdarzyło mi się w życiu spotkać człowieka, równie pięknej powierzchowności i duszy. — To prawda, że miał serce szlachetne, odpowiedziała hrabina. Szkoda tylko, że od młodości napił się francuskimi wyobrażeniami, co było powodem, że nie podobało mu się we własnym kraju, i osiadł we Francji, gdzie też i umarł. — Słyszałam, że miał żonę Francuskę? — Tak, księżnę X....

Hrabina wymówiła z nieposlednią dumą nazwisko księżny. — Przypominam sobie, że hrabia miał córkę,

rzekła Stefania, bystro patrząc w oczy hrabinie. — Córka umarła w kilka tygodni po zgonie matki, zimno odpowiedziała hrabina. — Gdyś była zaproszoną do hrabiego Runa, przedstawiał mi pewną młodą damę jako swoją córkę. — To być może — zapewne jaka wychowanica. — Czy późniejszy los tej wychowanki nie jest znany pani hrabinie? pytała Stefania drżącym ze wzruszenia głosem.

— Nie, nic o niej nie słyszałam. — Może pani będziesz łaskawa co zaśpiewać? dodała hrabina z nadzwyczajnie słodkim uśmiechem.

Stefania siadła przy fortepianie i zaśpiewała pieśń szwedzką:

„Tam wysoko na górach, tam śpiewałam tak często.“

Zdawało się, że ta prosta piosnka miała moc obudzenia w sercu hrabiny niewysłowionej bolesti. Zaraz gdy pierwsze rozległy się dźwięki, dostała nerwowych dreszczów, i po skończonej zwrotce zapytała głucho:

— Dla czego śpiewasz pani tę piosnkę? — Przypomniałam sobie, że jednego wieczora śpiewała mi ją przybrana córka hrabiego Runa i nigdy nie zapomnę jej wzruszenia, gdy śpiewać przestała. Mówiła mi, że tę pieśń śpiewała swojej matce widząc ją poraz ostatni. Może wolisz pani, żebym co innego zaśpiewała? — O nie, — wyszeptała zcicha hrabina — dokończ pani tej pieśni.

Stefania śpiewała z takim przejęciem, że każdy ton przenikał z serca do serca i gdy skończyła, doszły do jej uszu ciche stłumione łkania hrabiny. Młoda kobieta sama była mocno wzruszona.

Po chwili wszedł hrabia i przerwał tę niemą scenę, która objęła całe życie bolesti i cierpień. Po kilku obo-

jętnych słowach, Stefania wyszła z pokoju, mówiąc do Hermana: — Wychodząc od mamy, chciej pan zawiadomić mnie i pannę Helfrydę — pójdę do niej do ogrodu.

Matka i syn pozostali sami.

— Czy wiesz, że Elina tu przyjedzie? rzekła hrabina ściskając rękę syna w swoich wychudłych dłoniach. — Wiem, mówiła mi o tem pani Stephensen. — I dla tego wyjeżdżasz do Anglii, nie prawdaż? — Nie, jadę jedynie za interesami. — Miałabyś zamiar spotkać się z tą kobietą? — W istocie mam zamiar ją zobaczyć i poznać. — Hermanie! Ona jest bogata, ty ubogi. Pomyśl co czynisz! Każde zbliżenie się będzie miało pozór... — Interesowności — chcesz powiedzieć mamo? — Tak jest, i spodziewam się, że nie poniżysz tak dalece swego nazwiska, abyś z podobnych pobudek godził się z żoną, którą w dniach pomyślności odepchnąłeś dla jej niskiego pochodzenia. — Czyż możesz to przypuszczać o swoim synu? — Nie chcę przypuszczać, ale mi powiedz, jaki masz zamiar w tem zbliżeniu? — Chcę poznać kobietę, z którą obszedłem się tak okrutnie, chcę poznać całą wielkość krzywdy, jaką jej wyrządziłem. Jeśli się przekonam, że jest szlachetną i dobrą, będę ją błagał o przebaczenie mojego barbarzyństwa. — Błagać o przebaczenie! kobietę, która ci skradła szlachetne nazwisko, która ci wydarła wolność, która... — Ocaliła mi życie i honor, z którymi niegdyś lekkomyślnie igrałem. Tak droga matko, czuję, że względem niej ciężko zawinił, i że tego długu nigdy jej nie spłacę. — Hermanie! zawołała hrabina z rozpłomienioną twarzą. — Matko, rzekł Herman poważnie, nie namawiaj syna, aby odstąpił od tego, co mu czynić naka-

zuje honor i sumienie. Wierzaj mi, my oboje, ty zarówno jak ja, winniśmy wiele krzywd wynagrodzić tej kobiecie. — Co ty mówisz — ja? — Tak kochana matko, twoja miłość ku mnie zrobiła cię względem niej nieużyłą i srogą. — Jaką byłam, taką do śmierci pozostanę, rzekła stanowczo hrabina, i jestem przekonana, że nie ja skrzywdziłam kogokolwiek ale, że mnie wyrządzono, zniewagę. Nie myśl, że kiedy zbliżę się do tego stworzenia. — Tego też od mamy nie wymagam, proszę cię tylko na klęczkach, abys nie przepisywała Helfrydzie postępowania, obrażającego szlachetną kobietę, której gościnności doznajesz; proszę cię, pozwól Helfrydzie obchodzić się z gośćmi pani Stephensen, jak ze wszystkimi innymi; niech nie unika Eliny, ani czemkolwiek da poznać, że ją lekceważymy. Upokorzyłabyś mię najokropniej, gdybym musiał wyznać przed sobą, iż moja matka obraziła panią Stephensen, która nam daje tyle niczem nie opłaconych dowodów delikatności i współczucia. Powinniśmy we wszystkim okazywać dla niej szacunek, bo każdy jej postępek świadczy, iż jest kobietą szlachetnego i wzniosłego charakteru. Przrzecz mi więc matko, że Helfryda będzie obchodziła się z Eliną, jak z baronową F. lub każdym innym gościem tego domu.

Hrabina opierała się jeszcze, ale coraz słabiej, widząc, że musi ugiąć się pod stanowczą wolą syna. Mówili jeszcze czas pewien o tym przedmiocie, potem o innych, a gdy już Herman odchodził, zapytała go hrabina.

— Czyś słyszał, że pani Stephensen wychodzi znów zamąż? — Nie, odpowiedział obracając się nagle ku matce. Za kogo? — Za niejakiego lorda Charter, który, jak

słyszać, przyjedzie tu z Eliną. — Kto o tem mówił? — Miss Smith.

Wieczorem tego samego dnia Stefanią siedziała sama w wielkim salonie, gdy wszedł Herman. Przez chwilę rozmawiano o rzeczach obojętnych, nakoniec, Herman wziął książkę, która leżała przed Stefanią i spojrzał na tytuł.

— „Wojna w Nizamie przez Józefa Mery,“ przeczytał.

— Czyś pan już czytał tę zajmującą książkę utalentowanego poety? zapytała Stefanią. — Czytałem, ale nie z większym zajęciem jak każdy inny romans. — Ja przeciwnie, czytam ją drugi raz. — Doprawdy? — Co tak panią w niej zajmuje? — Jeden charakter. — Zapewne Anglika? — Tak, sir Edwarda. — Czy dla tego, że Anglik? — Wcale nie, lecz dla tego, że charakter jest prawdziwie męzki. Ma on tak wielką moc nad sobą, że mimowolnie go podziwiam. Nigdy nie stracił panowania nad swemi namiętnościami, ani przytomności umysłu, ani tej mocy, z jaką tłumił każdy wybuch uczucia. — Pani masz upodobanie w silnych charakterach, a mniej cenisz uczucia, inaczej nie zajmowałby cię tyle sir Edward, w którym nigdy nie dostrzegłem potężnej namiętności i ciepła serca. Jest to człowiek, w którym serce bije równo i jednostajnie jak w dobrym zegarku. — Mylisz się hrabio, żywo odparła Stefanią. Pod tem panowaniem nad sobą jest serce bogate w którym wrą silne namiętności, i dla tego charakter jego jest tak idealny. Przed takim mężczyzną może kobieta zgąć kolano, gdyż jest potężniejszą od niej istotą. Gdybym spotkała doń podobnego, byłabym

szczęśliwa i dumna kochając go. Nigdy nie oddam swego serca mężczyźnie, który nie umie panować nad swojemi uczuciami i wrażeniami, gdyż słabym mężczyzną gardzę.—No, więc pani już masz gotowy drugi egzemplarz sir Edwarda w panu Lange.—A, Jakób!—Masz pan słuszność; jest wielkie podobieństwo między nim i sir Edwardem.—A jednak nie oddałaś mu pani swego serca?—Zrobiłabym to niezawodnie, gdybym nie była oblubienicą smutku, z powodu którego noszę wieczną wdowę żałobę.—I pani tak rozkazujesz uczuciom serca, że mogłaś wstrzymać się od kochania osoby, którą z całej duszy podziwiasz?—Stało się to dla tego hrabio, że mam serce zranione, odpowiedziała z wolna Stefanija. Jąbym nie kochała ale ubóstwiała Jakóba, jako najszlachetniejszą istotę, jaką poznałam w swem życiu, gdyby choć jedna struna mej duszy nie była zerwaną. Chciej pan zważyć, że żałoba, którą noszę, przedstawia mi samej moją śmierć duchową. Umarli nie mogą czuć miłości.—A jednak zamierzasz pani wyjść za mąż? rzekł hrabia patrząc na nią z pozornym spokojem.—Kto powiedział?—Słyszałem. Wszak pani oczekujesz przyjazdu człowieka, któremu chcesz powierzyć swoją przyszłość?—Mówisz pan o lordzie Charter?—Właśnie. Czy to dla wypróbowania mojej mocy duszy, żądałaś pani, abym jak najprędzej wracał do Kungsborga?—Co ma za związek małżeństwo lorda Charter, z wystawieniem na próbę pańskiej mocy duszy? zapytała Stefanija ze spokojną i nieco zimną powagą.—Bardzo wielki, gdyż jeśli lord będzie panem Kungsborga, pani nie będziesz mnie już potrzebowała, odparł hrabia także spokojnie, prawie obojętnie.—Prze-

ciwnie, wówczas będziesz pan najbardziej potrzebnym w Kungsborgu, gdyż lord zabiera swoją młodą małżonkę zaraz po weselu, i wraca do Anglii, a Kungsborg zostanie samotny.—Więc prawda, że w jesieni będzie tu wesele? zapytał hrabia i spojrzał na Stefaniję nie zmieniając wcale wyrazu twarzy.—Najzupełniejsza prawda.—A—to powinszować! rzekł z zimnym uśmiechem. Kiedy jednak pani wyjdiesz za mąż, więc i nadejdzie dzień, w którym zrzucisz wieczną żałobę?—Kiedy wyjdę za mąż? powtórzyła Stefanija uśmiechając się smutnie. O tak, od tego dnia nie będę nosiła żałoby.—Więc lord był tym szczęśliwym, który znowu dobył tony z zerwanych strun pani duszy, bo jestem pewny, że tylko miłość mogła skłonić panią do powtórnego wyjścia za mąż.—Masz słuszność hrabio, tylko miłość mogła mnie skłonić do oddania swej ręki mężczyźnie.—I bardzo go kochasz pani?—Z całej duszy, odpowiedziała Stefanija i podniósłszy głowę, uważnie spojrzała na Hermana.

Czoło jego strasznie pobladło i widać było wyraźnie, że pod pozornym spokojem kryła się stłumiona, ciężka boleść.

—Więc zapewne jest drugim sir Edwardem, rzekł.—Jeśli nie jest jeszcze, to będzie.—I opuszczasz pani Szwecję jako jego małżonka?—Kto? ja? Nie, z pewnością nie opuszczę swej drogiej ziemi rodzinnej.—Ależ pani mówiłaś...—Że lord Charter z żoną wyjadą do Anglii.—Przepraszam panią, ale się nie znam na sztuce rozwiązywania zagadek.—Sądziłeś więc pan, że to ja mam zostać lady Charter?—Nie tylko sądziłem—sama pani to powiedziałaś.—Hrabio Hermanie, masz z charakteru sir

Edwarda więcej niż przypuszczałam.—Z czego pani wnosi? — Z tego, żeś mówił z tak wielkim spokojem o małżeństwie lorda Charter, chociaż myślałeś, że Stefanija będzie jego żoną.—Alboż nie będzie?—Nie.

Blade przed chwilą czoło Hermana, pokryło się płomiennym rumieńcem, a jednak pozostał niewzruszony i spokojny. — Tak więc pani zażartowałaś? zapytał. — Wcale nie, gdyż lord w istocie się żeni, tylko nie ze mną.—Ależ pani mówiłaś, że go kochasz.—Nie jego, ale mężczyznę, któremu oddam swoją wolność. — I jest taki, dla któregoś to uczyniła? zapytał hrabia schylając się i patrząc w oczy Stefanii. — Jest, odpowiedziała bawiąc się narcyzem, a czy jej pogodnie spotkały spojrzenia Hermana.

Po chwili milczenia, Stefanija wsparła się na poręczy kanapy i nasyciała zapachem kwiatu.—Jutro odjeżdżam, odezwał się Herman, niespokojnie patrząc na młodą kobietę.—Już jutro! rzekła Stefanija i podając mu narcyz dodała:—Przyjm pan ten kwiatek i prędko powracaj.—Ach! więc pani odgadłaś, o com chciał cię prosić, rzekł Herman przyciskając kwiat do ust.—Nie odgadłam, lecz zrozumiałam życzenie pana, odpowiedziała Stefanija powstając. Hrabio, chciej mi podać rękę, pójdziemy do ogrodu.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Następnego dnia w wieczór, Herman wszedł do matki i siostry po pożegnanie, gdyż za godzinę miał wyjechać. W pokoju matki zastał także Stefaniję, która ujrawszy go, podniosła się zaraz i odchodząc podała mu rękę i rzekła:—Bywaj zdrów hrabio i wracaj nam szczęśliwie.

Hrabia, który miał zamiar osobno pożegnać się z młodą wdową, skłonił się milcząc i Stefanija wyszła. W kilka minut później, rozmawiając z matką, usłyszał odgłos kopyt końskich na dziedzińcu, i wyjrawszy przez okno zobaczył masztalera trzymającego wierzchowca Stefanii. Jakoż wkrótce była już na siodle i puściła się cwałem ku żelaznej bramie właśnie w chwili, gdy powóz podróżny hrabiego wyjeżdżał na dziedziniec. Nie przyjemnie to dotknęło Hermana i obudziło jakieś gorczy pełne uczucia na myśl, że tak obojętnie go pożegnała i odjechała umyślnie, by nie dodać przyjaznego słowa. Czy żałowała okazanej mu przyjaźni, czy tą jawną obojętnością chciała dać poznać, że nie powinien za wiele wnosić z łaski, jaką podarowanie kwiatu zdawało się wyrażać? Podczas gdy żegnał się ze swoimi, dusza Hermana wybiegła za amazonką i nie bez gorczy wsiadł do powozu, obwiniając Stefaniję, że jest zimną bez serca zalotnicą, słuchającą tylko swoich kaprysów. Roztargniony ledwie skinął głową staremu Eklundowi; woźnica trzasnął z bicia, powóz potoczył się szybko, a Herman nie

spojrzał nawet na Helfrydę, która stojąc w oknie, chciała mu przesłać ostatnie nieme pożegnanie. Zacisnąwszy się w kąt powozu, Herman nie zważał na przedmioty, około których przejeżdżał, gdy nagle rozległ się głos dobrane znany:

— Szczęśliwej podróży, hrabio!

Herman spojrział: przy brzegu drogi, na czarnym rumaku siedziała Stefania świeża, nadobna, promieniejąca wdziękiem. W mgnieniu oka Herman wyskoczył z powozu i stanął przy koniu. — Ach pani, przecież cię widzę raz jeszcze przed odjazdem! — Pragnęłam ostatnia życzyć panu szczęśliwej drogi i przypomnieć, żebyś prędko powracał, odpowiedziała Stefania uśmiechając się przyjaźnie. — A ja niebaczny, gniewałam się już w duchu na panią, żeś nie raczyła podarować ani jednej dla mnie chwili. — Hrabio, czuję wstręt do ceremonii pożegnalnych, w których się mówi za wiele lub za mało, dla tego wolałam tu w przejeździe powiedzieć panu, że liczyć będę dni, aż do twego powrotu. Żegnaj, hrabio.

Nim Herman otworzył usta lub wyciągnął rękę, by zatrzymać konia, już Stefania była daleko i znikła na zakręcie drogi. — Liczyć będę dni, aż do twego powrotu, powtórzył w duchu Herman i chciał wsiadać do powozu, gdy w tejże chwili zobaczył małą rękawiczkę leżącą na drodze. Drugą podobną widział na prawej ręce Stefanii.

Podniosłszy rękawiczkę, rzucił się do powozu i przyciskając do ust drogą zgubę, wyszeptał: — Dziwna czarodziejko, współcześnie podniecasz i tłumisz obudzone uczu-

cie! Bądź pewną, że jeśli ty liczysz dni, to ja liczyć będę godziny, dopóki cię znowu nie zobaczę.

Dokąd jechała Stefania?

Do Akersnäs.

Gdy zatrzymała konia na dziedzińcu pełnym robotników, chmura smutku osiadła na jej licach, a w ciemnych precudnych oczach pozostały też ślady. Jeden z robotników wziął od niej konia. Mieszkańcy Akersnäs przyzwyczaili się do jej codziennych odwiedzin: młoda kobieta obchodziła mieszkania robotników, patrząc, czy wszędzie jest czystość i porządek, i czy matki mają w należytej pieczy swe dzieci. Kochana od wszystkich swoich podwładnych, była przedmiotem czci i podziwienia robotników w Akersnäs. W istocie też mogła ją nazwać drugą Opatrznością: jednym słówkiem pochwały i zachęty umiała budzić w kobietach zacne i szlachetne dążenia i łagodnym swym wpływem a poważną radą, skłaniać mniej porządne gospodynie i niedbałe matki do staranności o dobro męża i dzieci.

Jeśli Jakób we właściwej sobie sferze, spokojną powagą i niewzruszoną stanowczością wpływał na mężczyzn podniecając ich gorliwość i zapalał do pracy, — to Stefania była opiekuńczym aniołem ich domowego ogniska. — Czy pan Lange w domu? zapytała Stefania barczystego kowala, który jej pomógł zsiąść z konia. — Jest w warsztacie.

Stefania uprzejmie powitała robotników i weszła do warsztatu. Jakób stał przy ławie tokarskiej i rozmawiał z czeladnikami. — Dobry wieczór, Jakóbie, rzekła Stefania, kładąc rękę na jego ramieniu. Czy masz wo-

Ine godziny reszty wieczora? — A—ty tutaj, Stefanijo! Hrabia dziś w wieczór odjeżdża, a tyś opuściła Kungsborg? — Już odjechał. — Pojedziesz ze mną do domu? — Zaraz, chciej chwilkę zaczekać. Przyjechałaś konno? — Tak. — Za pół godziny będę ci służył. — Dobrze, tymczasem odwiedzę kilka robotnic.

W pół godziny później Jakób i Stefanija jechali kłusem po drodze do Kungsborga. Z początku oboje milczeli. — Cóż Stefanijo, nagle odezwał się Jakób, bacznie na nią patrząc: widzę, że masz coś na sercu i chcesz mi powiedzieć. — To prawda, Jakóbie, lecz nie teraz; gdy wrócimy do domu, wtedy... — Wyznasz mi to, o czem już wiem. — Coś już dawno wyczytał w mej duszy. Niepojęty człowieku, zawsze przenikasz moje myśli i uczucia! rzekła Stefanija, rozmarzona patrząc przed siebie. — Nic w tem nie ma dziwnego — skoro wiesz, że czytam w twojem sercu. — Masz słuszność. Węzły nas łączące, są tego rodzaju, iż muszę dla ciebie być tem, czem jestem rzeczywiście, gdy przed resztą świata kłamię. — Kłamiesz, Stefanijo? — Alboż moje życie jest czem innem, niż kłamstwem? Ale teraz nie mówmy o mnie. — Czy widziałeś się z Helfrydą? — Przed kilku dniami, obojętnie odpowiedział Jakób. — Jakóbie, Helfryda cię kocha.

Oczy Stefanii i Jakóba się spotkały.

— Wiem o tem, odparł spokojnie. — A jednak odwiedzasz Kungsborg jak dawniej, nawet bardziej poszukujesz towarzystwa Helfrydy. — I czemuż nie? — Bo tym sposobem podsycasz obudzone w niej uczucie; chyba, że sądzisz iż kobieta, która cię bliżej pozna, nie przylgnie całem sercem do ciebie? — Właśnie tak sądzę. Przykład

mam na tobie Stefanijo. — Bardzo zły przykład, mój przyjacielu, odpowiedziała zarumieniona młoda kobieta. — Alboż choć raz w życiu odezwało się w twem sercu uczucie, które zwiemy miłością? — Prawda, że nigdy, ale dla tego, że moje uczucia dla ciebie są czemś lepszem i wznioślejszem niż miłość. Nie byłeś moim równym, którego-bym mogła kochać i do siebie przyciągnąć. Byłeś wyższym, potężnym duchem, który obudził we mnie podziwienie i wszystkie szlachetniejsze uczucia i sprawił, żem dążyła do zdobycia tej doskonałości moralnej, jaką ty posiadasz. Prócz tego, nie mów o tak złamanem sercu jak moje. Przeciwnie, Helfryda jest dusza świeża, podziwiająca i społecznie kochająca piękno, bo ma wewnętrzną nieosłabioną wiarę w cnoty swoje własne i drugich. Serce jej nie zna zawiedzionych nadziei, nie rozległ się w niem jeszcze krzyk boleści po rozwianych złudzeniach: z całą mocą i czystością uczuć kocha, co w niej budzi sympatję, a jeśli ten przedmiot w obcowaniu codziennem zmusi ją do większego dla siebie szacunku i podziwienia, wówczas tak podniecone uczucie osiedzie na wieki w jej duszy. — Wierzysz temu? — Nietylko wierzę—jestem przekonana. — Ja zaś mam wcale inne przekonanie, bo z własnego doświadczenia wiem, że wtedy tylko jesteśmy zgubieni bez ratunku, gdy oddajemy uczucie na pastwę swej wyobraźni. Niech teraz Helfryda nie widzi mię długo, a w wyobraźni jej odżyją wszystkie chwile, któreśmy razem przeżyli, i przybiorą poetyczne, idealne kształty. Przestaną być dla niej tym, kim jestem, to jest człowiekiem z wadami i słabościami, a stanę się ideałem, który sama nosi w swem sercu. Ciche

dziś i spokojne uczucie marzycielki, przemieni się w fantastyczne ubóstwienie ideału, gdy przeciwnie moja codzienna obecność, moje spokojne i przyjacielskie obejście, mój brak zupełny wszystkiego coby zdradziło, że ją kocham—wszystko to sprowadzi w niej zbawienną zmianę, i w końcu mieć będzie ku mnie ciepłe, i prawdziwe przywiązanie, serdeczną przyjaźń ale tylko przyjaźń. I stanie się to tem łatwiej, że przesady nie pozwalają jej puszcząć myśli o związku małżeńskim, między fabrykantem Lange a hrabianką Romarhierta. Jej miłość jest porannem marzeniem, które rzeczywistość i moje kwakrowskie obejście zamieniają w przyjaźń.

— A ty Jakóbie — pozostałeś dla niej obojętny? — O, nie. Gdy jej nie widzę, kogoś mi braknie. Wszystko wydaje mi się czerce i puste, jeśli jej widok nie rozraduje moich oczów, jeśli nie mogę wymienić z nią kilku myśli poważnych. Obraz Helfrydy narzuca mi się mimo mojej woli, i często myślę, gdy nagle stanie przed mą duszą: „Dziwne dziewczę, że jej obraz tak uporczywie mię ści-ga!“ Jestem uradowany i szczęśliwy pewnością, że posiadam jej szacunek i przekonaniem, że nań zasługuję.— Oho, Jakóbie, w tem wszystkim jest niebezpieczeństwo dla twojego serca, i może to ukryte niebezpieczeństwo jest przyczyną, że nie chcesz rozstać się z widokiem Helfrydy. Zdaje ci się, że przemienisz jej miłość w przyjaźń, gdy tymczasem twoja przyjaźń przeistoczy się w miłość.—Czy możesz tak myśleć o mnie, Stefanijs? zapytał Jakób, a jego pogodne, światłe oczy z wyrazem powagi spoczęły na młodej kobiecie. — Jakóbie, nic nie myślę, wyrażam tylko proste przypuszczenie, odpowiedziała Ste-

fania. Serce ludzkie tyle mieści dziwnych rzeczy, że łatwo omyli się w sądzeniu o własnych uczuciach. Helfryda jest szlachetną, niezwykłą i piękną dziewczyną w kwiecie wieku. Ty jesteś młody mężczyzna z duszą żywą i nieco marzycielską. Cóż w takim razie naturalniejszego nad to, że weźmie w swe więzy twoje serce?— Wszystko to jest prawda, ale względem mnie niezupełna, odparł Jakób. Najprzód serce moje krwawi się jeszcze od rany, jaką mu zadano, a wiesz Stefanijs, że nie zmieniam uczucia tak łatwo jak rękawiczki. Powtóre, znasz mię zbyt dobrze, abyś choć na chwilę przypuszczała, że dla osobistego interesu lub schlebienia własnym uczuciom, zdolny jestem poświęcić uczucie drugich lub spokój ich duszy zakłócić. — O tem nigdy nie pomyślałam nawet, Jakóbie. Lękałam się tylko, czy i ty się nie łudzisz, nie starając poznać istotnej natury swych uczuć.— Jeśli mam jaką zasługę, rzekł Jakób, to tę jedną, iż nigdy nie stronię od prawdy, ani unikam dokładnego zbadania swoich uczuć; dla tego Stefanijs, w moim sposobie postępowania niema ani cienia samolubstwa. Dowiedź mi, że moja obecność jest dla Helfrydy szkodliwszą, niż oddalenie, oderwę się od roboty i wszystkiego, co mię tu wiąże byle nie stać się przyczyną troski i nieszczęścia tej szlachetnej dziewczyny, której pragnąłbym być przyjacielem. — Śmieszna jestem Jakóbie, kiedy mogła choć na chwilę zaniepokoić się o to, coś ty wziął w swoje ręce. Spokojności Helfrydy i bezpieczeństwa jej duszy nie można byłoby nikomu lepiej powierzyć. Myślałam sobie, że możecie być szczęśliwą parą, że czysta jak jasny kryształ jej dusza pozwoli ci zapomnieć... — O tem, że jest

z domu hrabianką Romarhierta? — O, o tem wcale nie myślałam, ale o twojem nieurzeczywistnieniu marzeń młodości. — Kocham wspomnienia, a to jest miłość niebezpieczna. Żeby się uwolnić od tego uczucia, muszę ją raz jeszcze zobaczyć i z własnych jej ust usłyszyć potwierdzenie, iż była zwodnicą. — Więc zamierzasz... — Wyjechać w jesieni do Anglii i rozmówić się z Elżbietą. — Jakóbie! zawołała Stefanija i spojrzała na niego przestraszona.

Młodzieniec uśmiechnął się melancholijnie i rzekł:

— Mogłaś uwierzyć, że kogobądź potępię nie wysłuchawszy? — Podczas naszego pobytu w Anglii miałś jednak dostateczne dowody, że nietylko uczyniła sobie igraszkę ze swoich przysiąg, ale nadto drugiemu oddała serce. — Tak jest, na to miałem dowody, ale nie miałem potwierdzenia z jej własnych ust, bo jej nie zastałem w domu. — Ale Jakóbie, jaki jest twój zamiar? Przecież nie nie myślisz znowu zawiązywać tego, co ona zerwała? — O, nie—nigdy!—ona i ja, jesteśmy nieodwołalnie rozdzieleni. Nie należę do mężczyzn, co zebrzą łaski kobiety, lub ulegają powolnie jej kaprysom, chcę jednak widzieć, czy jest niegodną nawet wspomnienia, czy rzeczywiście tak zasługuje na wzgardę, jakby można wnosić z jej postąpienia. — Przecież postęпки człowieka bywają zwykle miarą jego charakteru. — Nie zawsze Stefanijo; albowiem na dnie zewnętrznego czynu są pobudki, a te często, skoro zostaną poznane, nadają czynom wcale odmiennie znamię. — I teraz masz słuszość zupełną, i podziwiam tylko spokój i doskonałą sprawiedliwość, kierujące twojem postępowaniem. Jesteś i będziesz moim nieporównanym Jakóbem.

Gdy przyjechawszy do Kungsborga, pomagał Stefanii zsiąść z konia, Jakób rzekł: — Widzę, że masz tylko jedną rękawiczkę. — Drugą zgubiłam w drodze, gdym żegnała hrabiego, odpowiedziała Stefanija uśmiechając się smutnie, i weszła do wielkiego salonu. — No, Stefanijo, odezwał się Jakób wszedłszy za nią i podając jej obie dwie ręce.

Stefanija złożyła w nie swoje dłonie, i powiedziała, z głęboką powagą spoglądając mu w oczy:

— Teraz poznasz dokładnie moje życie przeszłe i będziesz mógł mnie osądzić. — Tej chwili oddawna czekałem, odpowiedział Jakób; przewidywałem jednak, że to nie wprzód nastąpi, aż on wyjedzie, gdy uczujesz potrzebę jaśniejszego spojrzenia we własną duszę. — Chodź, rzekła, sadzając go obok siebie na kanapie. Położywszy jedną rękę na jego ramieniu, drugą w jego dłoni, Stefanija rozpoczęła drżącym głosem opowiadanie, którego my tu nie powtórzymy, żeby nie uprzedzać wypadków.

Upłynęły dwa tygodnie. Było to to w połowie czerwca. Uśmiechnięte słońce jasno przyświecało górcom i dolinom, a cała przyroda dokoła Kungsborga przybrała się w świąteczny strój z różnobarwnych kwiatów. Wyniesiono na ganek kanapę, na której spoczywała hrabina. Stefanija i Helfryda siedziały przy niej z robotami. Jakób czytał głośno.

Gdy przestał na chwilę, odezwała się Stefanija: — Wybiła szósta godzina, lękam się, czy powietrze nie będzie za chłodne dla pani hrabiny. — Masz słuszość kochana przyjaciółko, i sędzę, że najroztropniej zrobimy, gdy będziesz łaskawa zawołać służących.

Stefanija zadzwoniła i przeniesiono hrabinę. Helfryda wstała chcąc iść za matką, ale Jakób ujął jej rękę i rzekł: — Zatrzymaj się pani chwilę. Stefanija zabawi pańską matkę.

Helfryda pozostała.

— Czym zawiódł się na charakterze pani, czy też dobrze go oceniłem? odezwał się Jakób. Mamże widzieć w pani przyszłą baronową Skjöld? — Ocenieś mię pan trafnie—nigdy nie będę żoną barona. Wczoraj dałam mu stanowczo odmowną odpowiedź, — rzekła spokojnie Helfryda.

Jakób ze czcią podniósł do ust rękę młodej dziewczyny, i dodał: — Dziękuję panno Helfrydo, żeś mię nie pozbawiła wiary w dobroć i szlachetność twojego charakteru.

To powiedziawszy, puścił jej rękę i nastało milczenie. —Zapewne się pan dziwi, że tak prędko zdecydowała się poświęcić najdroższe życzenia swej matki? odezwała się nakoniec Helfryda. — Wcale nie, gdyż ani na chwilę nie mogłem wierzyć, żebyś pani w istocie zechciała poświęcić dla tych życzeń szczęście i spokój dwojga ludzi.— A jednak taki był mój zamiar. Byłam przygotowana oddać rękę baronowi, bo jest mi równy stanowiskiem społecznym, i związek z nim uważałam za stosowny pod każdym względem, zwłaszcza, że sprawiałabym tem matce jedyną radość, jaką to życie dać jej jeszcze może; ale...— Mów pani, proszę. — Ale rozmowa z panem wywarła na mnie tak głębokie wrażenie, iż mi się zdawało, że się ze snu budzę, i że dopiero teraz jasno widzę swoje własne stanowisko i krok, jaki uczynić zamierzałam. Uznałam słusność twierdzenia pana, że taki związek jest właści-

wie tylko frymarką i targowicą. W istocie byłam gotowa się sprzedać, a taki handel przyniósłby mi w zysku pociechę matki, że przed jej śmiercią biedna córka zostanie bogatą baronową Skjöld. Taki czyn, panie Lange, byłby brzydką interesownością, której ja hrabianka Romarierta nie chcę się dopuścić. Tym sposobem jestem panu wdzięczna za surowe słowa prawdy. Pan ustrzegłeś mnie od kroku, w skutku którego straciłabym szacunek dla siebie samej. Raz jeszcze dziękuję panie Lange.

Helfryda podała mu rękę.

— Jeśli własne serce pani przyznaje mi słusność, w takim razie jestem sownie wynagrodzony, odpowiedział serdecznym tonem Jakób. Przykro by mi było patrzeć na panią jak na pospolitą, ograniczoną arystokratkę, która nie jest zdolną należycie ocenić najważniejszego kroku w życiu—małżeństwa.—Tego ważnego kroku prawdopodobnie nigdy nie uczynię.—Panno Helfrydo, jesteś młoda, a nasze uczucia podlegają ciągłym zmianom. Ideał, jakiśmy sobie sami utworzyli i który dziś kochamy, przy bliższem poznaniu okaże się czemś bardzo pospolitem.— Może dla tego kto kocha ideały — ale nie dla tego, kto kocha rzeczywistą szlachetność i dobroć. Moje uczucie dla ciebie, panie Lange, pozostanie zawsze jednakowe, chociaż z dniem każdym mam coraz większy dla pana szacunek. Ale choćbyś podzielał to uczucie, to jeszcze nas rozłączają obustronne przesady i zawsze pozostajemy tem, czem jesteśmy—przyjaciółmi, a przeto nigdy nie mogę być żoną innego.—Nikt nie zna dróg losu; może nadejść dzień, w którym uczucie pani dla mnie bę-

dzie tem czem jest moje dla pani — szczerą przyjaźnią, gdy inny rozbudzi gorętsze. — Być może, ale temu nie wierzę, bo nigdy nie spotkam mężczyzny, którego bym mogła postawić na równi z panem pod względem moralnym i umysłowym.

W tej chwili dwa powozy podróżne zajechały na dziedziniec i Jakób rzuciwszy na nie okiem, rzekł:—Hrabina Elina Romarhierta i lord Charter.

Helfryda spiesźnie wróciła do pokoju matki, a Stefaniya, Jakób i Jane powitali nowoprzybyłych.

ROZDZIAŁ XL.

Czternaście dni upłynęło do niezmierzonego oceanu czasu; Elina od dwóch tygodni była gościem w Kungsborgu. Herman od miesiąca był nieobecny, zdawało się jednak, jakby zupełnie o nim zapomniano, bo nikt nie wspomniał jego imienia; nawet Helfryda milczała, zresztą dość często bywając u Stefanii i z jej gośćmi odwiedzając sąsiadów. Hrabina była niewidzialną dla Eliny, co nikogo nie dziwiło, gdyż Elina zajmowała pokój w pawilonie i nigdy nie wychodziła do ogrodu w godzinach, w których wynoszono hrabinę na świeże powietrze. Jednego pięknego dnia lipcowego w południe, Elina i młoda Niemka

panna Weisshaupt, która towarzyszyła młodej hrabinie do Szwecyi, pojechały z Jakóbem, Helfrydą, Jane i lordem Charter do baronowej F. Stefaniya pod pozorem bólu głowy została w domu; ale gdy wszyscy odjechali, poszła do hrabiny i całe południe czytała jej książkę. Pod wieczór, gdy hrabina kazała się przenieść z ogrodu do swego salonu, wszedł Eklund niosąc listy na drewnianej tacy. Rządca przywiozł je z poczty. Listy były z Londynu, jeden do hrabiny zapieczętowany herbem Romarhiertów, drugi do Stefanii z taką samą pieczętą.

— Wybaczysz szanowna przyjaciółko, rzekła hrabina, łamiąc pieczętą. — Przepraszam panią hrabinę, rzekła współcześnie Stefaniya idąc do okna, żeby swój list odczytać.

Jej drobna, delikatna rączka drżała, gdy oderwała pieczętą: z wolna otworzyła list, jakby lękając się na jego treść spojrzeć.

Podczas upłynionego miesiąca Herman raz tylko piśał do swojej matki, a do Stefanii ani słówka. W interesach gospodarskich, rządca wprawdzie odebrał dwa listy, ale w tych nie było wcale wzmianki o dniu, w którym powrócić zamierza, ani o czemkolwiekbydotyczącem jego osoby. Po długiej chwili wahania Stefaniya spojrzała nakoniec na treść listu, i zdumiała się, ujrzawszy tylko te kilka wierszy:

Szanowna pani!

Powiedziałas: „Będę liczyła dni twojego powrotu.“ Słowa te towarzyszyły mi w podróży. Ciężąc na mojej duszy, przemieniały godziny w dnie, dnie w długie wie-

ki—a jednak za powrotem do Kungsborga mam spotkać najprzykrzejsze i najnieznośniejsze dla mnie oblicze. Ach! pani, co kierujesz moją wolą, okaż się wspaniałomyślną względem człowieka, który twoje życzenia spełnia jak rozkazy—i chciej pierwsza powitać mię, gdy przyjadę. Nie możesz mi odmówić tej łaski. W dniu, w którym pani ten list odbierasz, przybywam wieczorem do Kungsborga. Uwolnij mię pani od widoku innej osoby—prócz ciebie, o to prosi przywiązany

Herman Romarhierta.“

Stefanija oparła gorące czoło o szybę okna i tak stała czas pewien. Boga wiadomo, co się działo w duszy młodej kobiety, jej lica jak śnieg zbielewały, a jednak gorący płomień oblewał czoło. Jedną ręką mocno ściśniętą, trzymała list złożony, drugą wsparła na ramie okna. Tak stojąc, podobna była do posągu niemej walki duszy, w której lepsza część naszej istoty pasuje się z sercem i namiętnościami. Głos hrabiny, wyrwał ją z tego zamętu uczuć, jakie wywołał list Hermana. Młoda kobieta drgnęła i zaledwie mogła dosłyszeć te słowa:

— Mój syn przyjedzie dziś w wieczór lub w nocy. Przeczytałaś pani jego list?

— Tak, odpowiedziała Stefanija przesuwając rękę po czole i zbliżyła się do hrabiny. Hrabia pisze, że spodziewa się być tu prawie współcześnie z tym listem.

Stefanija spojrzała na zegar i dodała:

— Odchodzę już, pani hrabino, i spodziewam się, że będziesz pani miała noc spokojną.

To mówiąc ścisnęła rękę chorej i przez chwilę trzy-

mała ją w swoich dłoniach. Chora spojrzała na Stefaniję: byłże to cudowny wyraz rozczerzenia i boleści, który ją wzruszył? Sama nie wiedziała i nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, przyciągnęła ku sobie Stefaniję, i pocałowałwszy jej blade czoło, szepnęła:—Dobra noc!

Stefanija milcząc przycisnęła do ust rękę hrabiny i wyszła z pokoju. Długo przechadzała się po parku zamysłona, i wróciwszy do pałacu, zadzwoniła. Służący wszedł z prawego skrzydła. Proszę powiedzieć panu Eklund, żeby przyszedł do mnie, rzekła Stefanija i weszła do salonu.

Po chwili stał przed nią stary marszałek dworu.

— Czy pokoje hrabiego są w porządku? zapytała Stefanija. — Tak jest, sam je codziennie przewietrzałem, odpowiedział Eklund. — Dziś w wieczór wraca. Więc zajmę się uporządkowaniem i sypialnego pokoju. — Każesz pan także przynieść tu wieczerzę, i powiesz hrabiemu, że go czekam.—Dobrze pani. A kiedy goście wrócą do domu? zapytał Eklund zabierając się do wyjścia. Stefanija spostrzegła niespokojność na twarzy starca. — Nie prędzej jak po północy, odpowiedziała. Zresztą, nie trwóż się panie Eklund, hrabia wie, jakich mam gości.

W takim razie przygotowany jest na spotkanie z hrabiną Eliną?—Tak mój przyjacielu.

Eklund skłonił się i wyszedł. Stefanija siedziała na krześle przed otwartymi szklanymi drzwiami, na tem samem prawie miejscu, jak podczas pierwszych odwiedzin Hermana, i jak wówczas była ubrana czarno. Przed jej oczyma zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na drzewa ogrodu; tam dalej na widnokręgu niezmierzone

morze, a dokoła chóry skrzydlatych śpiewaków powietrznych. Wietrzyk wieczorny usnął, marząc na kielichach kwiatów: wszędy cisza i spokój tak rokoszny, iż zdawało się, że ten wieczór był umyślnie przeznaczony na to, by w sercu budzić miłość i namiętność. Taki wieczór ze swoją ciszą, wonią kwiatów i łagodnem powietrzem, w najzimniejszej piersi wznieca tęsknotę za czemś nieznanem, tak bolesnem, a jednak tak rokosznem i milem! Nawet przyroda zdaje się nęcić do rokoszy i człowiek mimowolnie wyciąga ramiona ku sercu, które tem samem tętni pragnieniem. Siedząc sama i marząc, Stefanija czuła cały czarodziejski wpływ tego wieczoru, ale spostrzegła także, że wpływ ten jest niebezpieczny i że musi oddziaływać wołą, jeśli nie chce uleść słabości. Nie jednokrotnie zamierzała powstać, żeby się otrząsnąć z tej dziwnie rokosznej tęsknicy. A jednak pozostała, jakby przykuta do miejsca i z melancholicznym uśmiechem na ustach słuchała śpiewu zięby wabiącej swoją towarzyszkę. Słońce utonęło w morzu purpury, zostawiając po sobie zmrok upajający, właściwy letnim nocom na północy, — a Stefanija ciągle jeszcze siedziała nieruchoma. Głośny dźwięk zegaru bijącego dziesiątą i turkot powozu, który wtoczył się na dziedziniec, współcześnie rozbudziły ją z tęsknych a tak ponętnych marzeń — i powstawszy ze słowami: To on! obydwiema rękami przetarła sobie skronie. Wkrótce potem szybkie stapania rozległy się na korytarzu i po chwili Herman stał przed nią. Stefanija przyjęła go uśmiechem radosnym, ale w którym nie było ani śladu miękkiego rozmarzenia, jakiemu przed chwilą uległa. Podawszy mu obiedwie ręce, zawołała:

— Witam, serdecznie witam, mój rycerzu!

Herman ujął podane sobie ręce, i z namiętną serdecznością przycisnął je naprzód do ust, potem do serca, nie mogąc ani słowa wymówić. Ale jego oczy mówiły tak czule i tak płomiennie, że Stefanija z właściwym przyciskiem dodała: — Przyjeżdżasz pan zapewne jak odjechałeś — jak drugi sir Edward! — Tak, ale w tej chwili jestem tylko szczęśliwym szaleńcem, co widzi przed sobą przedmiot najgorętszych swych pragnień. Przebacz więc jeśli moja radość, moje szczęście chwilowe jest tak wielkie, że nie mogę go zamknąć w swej piersi. — Radość twoja hrabio Hermanie i w mojem sercu znajduje odgłos. I ja jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą, oglądając pana znowu; i ja tęskniłam do tej chwili i liczyłam minuty, teraz jednak przeżyliśmy już pierwszą radosną chwilę i... — I szczęśliwy szaleniec musi ustąpić miejsca... — Sir Edwardowi, wtrąciła Stefanija z łagodnym uśmiechem.

Herman raz jeszcze podniósł do ust swoich ręce Stefanii i dodał głęboko wzruszony: — Dzięki za chwilę — która już przeminęła — dzięki za teraźniejszą — dzięki za to, żeś spełniła moją prośbę! I puścił jej ręce. Stefanija siadła na krześle, hrabia zajął miejsce naprzeciw, zupełnie tak jak przy pierwszym spotkaniu.

— Miałeś pan przyjemną podróż? pytała Stefanija. — Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, gdyż myślałem jedynie o tem, jakby najprędzej załatwić interesa i wrócić. Dwie tylko rzeczy mię pocieszały — dodał, wyjmując z kieszeni przy piersi rękawiczkę Stefanii — ten przedmiot i kwiat, któryś mi pani darowała. Dar od pa-

ni i jej zguba. — Zguba jakby umyślna, zauważyła Stefania.

I zaczęła mówić o zdrowiu hrabiny i innych rzechach, które mogły zająć i ucieszyć Hermana, starannie unikając naprowadzenia rozmowy w dziedzinę uczuć wzajemnych. W pół godziny później Eklund zawiadomił, że podano do stołu; Herman i Stefania jedli razem sami, a po skończonej wieczerzy podała mu rękę na pożegnanie. — Urok się rozwił — jutro wita mię rzeczywistość, rzekł Herman. — Nie był to urok, hrabio, lecz rzeczywistość, i dla tego w dniu jutrzejszym będziesz pan godnym szacunku i przywiązania, jakie zjednałeś sobie tego wieczora. Wierzaj mi pan, podziękujesz mi kiedyś za spotkanie, które cię jutro czeka. — Niepodobna pani! Musiałabyś chyba siebie samą i wspomnienie mojego obłędu zatrzeć w mej pamięci! — O, tego czynić bynajmniej nie myślę! Dobranoc, hrabio. Stefania znikła, Herman z wolna przeszedł do swoich pokojów.

ROZDZIAŁ XLI.

Gdy następnego poranku obudził się hrabia, Eklund podał mu bilet tej treści:

„Elina życzy sobie, aby hrabia Herman przy spotkaniu się nie okazywał wcale, iż jest z nią zaślubiony. Dla

świata jest ona tylko daleką jego krewną, niczem więcej.
Elina.“

— Dobrze, uprzedziła moje życzenia, mruknął Herman i zadzwoniwszy, ubrał się i poszedł powitać matkę i siostrę.

Stefania zaprosiła kilku sąsiadów na obiad i zawiadomiła o tem Hermana prosząc, aby wraz z innymi gośćmi przyszedł do wielkiego salonu. Herman przyjął zaproszenie i gdy wszedł, cała jego postać wyrażała tę wyniosłą, nieugiętą dumę, która była niegdyś wybitnem znamieniem jego charakteru. Zupełnie tak samo przedstawił się w Ljungstafors u kapitana Martensona. Gdy wszedł do salonu, spojrzenia jego jak zwykle szukały tylko jednego przedmiotu. Tym przedmiotem była Stefania; widział wprawdzie więcej osób w sali, ale nie zwracał na nie uwagi i szedł prosto powitać gospodynią domu. Kto go teraz widział i pamiętał jakim był w Ljungstafors, mógł sądzić, że czas upłyniony był chyba chwilą, i niby uwierzył, że ta chwila trwała lat jedenaście. Jak wówczas tak i teraz nie zwracał uwagi na Elinę. Powitawszy Stefanię, Herman obrócił się ku drugiej damie, która siedziała przy niej na kanapie i strasznie zbladła spojrzawszy na niego; Stefania rzekła: — Elina Romarhierta.

Elina podniosła się, odpowiadając na zimno-dumny ukłon hrabiego, ale tak drżała, iż musiała się wesprzeć na poręczu kanapy. Wzrok hrabiego padł na młodą kobietę i zdawał się być zdziwiony jej widokiem, wraże nie to jednak nie było przyjemne, owszem zdradzało gorzkie uczucie. Stefania pośpieszyła przedstawić lorda

Charter i pannę Weisshaupt. Następnie Herman chłodno powitawszy Jakóba, wmieszał się do jego rozmowy z lordem i z najobojetniejszą w świecie miną patrzył na Elinę, która usiadła przy Stefanii. Kochany czytelniku, i my także spróbujemy dać ci wyobrażenie o powierzchowności młodej hrabiny. Zapewne sobie przypominasz, że Elina w początkach naszego opowiadania wyglądała jak młoda nieopierzona sroka, co dość często się zdarza młodym nierozwiniętym dziewczętom, i nieraz ujrawszy w kilka lat później cudnie piękną dziewczę, pytasz zdumiony: Nie może być! czyż to ta młoda X., ta młoda Z.? I w istocie trudno przypuścić, aby w tak krótkim czasie chude, niezgrabne stworzenie wyrosło na idealną piękność. Hrabina była wzrostu średniego, kształtna, wysmukła, głowę nosiła z pewną zaniedbaną godnością, jeśli tak się można wyrazić. Cerę miała białoróżową, oczy wielkie i żywe, może nazbyt żywe, tak błyszczały, gdy mówiła. Nos prosty, usta trochę za duże, ze świeżemi, pulchnemi wargami i zębami śnieżnej białości. Zagięcia przy ustach zdradzały raczej wesołość niż powagę. Jasnobłęd włosy były niezmiernie obfite i gęste. Czarno zarysowane brwi miały wielkie podobieństwo z brwiami Romarhiertów, z pierwszego wejrzenia zdawały się nawet sztuczne, jeśli sobie przypomnimy, że w pierwszej młodości Elina prawie żadnych brwi nie miała. Lepiej się jednak przypatrzwszy, przekonywałeś się, że były naturalne. Ze wszystkich ruchów i całej postaci widać było, że większą część życia przepędziła we Francyi, gdzie przyswoiła sobie pełną wdzięku żywość, właściwą Francuzkom. Widoczne wzruszenie, jakie jej sprawił

widok hrabiego, po kilku minutach zupełnie zniknęło, i młoda kobieta rozmawiała wesoło i trzpiotowato, jakby osoba ta była dla niej zupełnie obojętną. Szczery jej śmiech rozlegał się z taką swobodą, jakby nigdy w życiu nie знаła troski, a jej rozmowa, rzeźwa i niewymuszona, tryskała brylantami dowcipu. Przytem wszystkiem, obejście Eliny miało w sobie coś tak arystokratycznego, a niekiedy nawet wyniosłego, iż zdawało się, że zrodziła się do rozkazywania i nieraz żywo przypominała Helfrydę. Trudno było poznać, w czem właściwie leżało podobieństwo, ale widocznie było, i mimowolnie musiałeś przyznać w duchu, że jest między nimi jakieś pokrewieństwo.

Patrząc na nią, Herman myślał:

— Czy podobna, żeby to była ta sama Elina? Gdyby nie wysokie czoło i jasne włosy, żaden jej rys nie jest podobny. Ile sobie przez mgłę przypominam, jakkolwiek była brzydka, więcej mi się wówczas podobała niż teraz. Oczywiście padły na Stefanię.

— Co za różnica! pomyślał.

Dumny przed chwilą wyraz jego spojrzenia, ustąpił miejsca niewysłowionemu podziwieniu. Różnica w istocie była wielka. Stefanię nadzwyczajnie wysmukła, a jednak posagowych kształtów, z niewymuszonymi a jednak pełnemi wyrazu ruchami, z bładem obliczem i cudownemi czarownej piękności oczyma, miała coś tak przyciągającego i idealnego, że zupełnie nikła przy niej piękność bardziej może lśniąca Eliny. Czy Jakób przeczuwał, iż hrabia robił to porównanie, czy też sam był zdziwiony tą wielką różnicą? Dość, że gdy lord Charter

odszedł do dam, a dwaj młodzi ludzie pozostali sami. Jakób rzekł do hrabiego:

— Trzeba porównać Stefanię z inną piękną kobietą, aby się przekonać, że jest rzeczywiście piękną.—W istocie, odparł Herman, o pani Stephensen śmiało można powiedzieć, że jest piękna, ale o hrabinie Romarhierta tego nie powiem.

Przybycie nowych gości przerwało rozmowę i hrabia znowu miał sposobność przekonać się, z jak świetną żywością Elina umiała zawiązać i podtrzymać rozmowę. Dowcip jej zniewalał, wesołość bawiła, a niesłychana żywość i giętkość umysłu mimowolnie każdego wciągała do jej rozmowy. Stefanija brała udział w rozmowie o tyle tylko, o ile wymagały jej obowiązki gospodyni domu, a zresztą zostawiła swobodne pole Elinie. Po południu towarzystwo rozpięchło się po ogrodzie. Ale i tu Elina siadłszy pod lipami, zebrała licznych słuchaczy dokoła siebie. Stefanija wzięwszy Helfrydę pod rękę, poszła do hrabiny. Wracając spotkała hrabiego.

— No, cóż? zapytała. — Nie dla mnie, odpowiedział poważnie Herman. — Dla czego? alboż w obejściu i całej postaci Eliny jest coś, coby się nie zgadzało z charakterem prawdziwej arystokratki? — Bynajmniej, jest rzeczywiście kobietą dystygowaną, ale nie dla mnie. Żebym się mógł pogodzić z tym wstępnym stosunkiem, musiałaby posiadać, pani moc zjednywania serc sobie. — Widziałeś ją pan dopiero kilka godzin. Zatrzymaj się z sądem, aż poznasz jej zacne, ciepłe serce, bijące pod tą płochą powierzchownością. Nie można pozyskać serca

w tak krótkim czasie, ale za kilka tygodni może podbije pańskie. — Mylisz się, szanowna pani. Pierwsze wrażenie rozstrzyga o naszych uczuciach. Pani wiesz to najlepiej, ty, co zwyciężasz w pierwszej zaraz chwili. — Tak sądzisz hrabio? rzekła Stefanija i smutnie spojrzała przed siebie. Przypominam sobie, że chciała zyskać jedno serce, a nie mogłam. — Czy rzeczywiście zostało zimne? zapytał hrabia spojrzawszy na Stefanię i oczy ich się spotkały. — Nie myślę się, pozyskałam je, odparła odwracając głowę, i milcząc szli dalej obok siebie. — Dla czego pan ożeniłeś się z Eliną? nagle zapytała Stefanija. Tego mi pan nigdy nie powiedziałeś. — Alboż pani nie wie? — Dajmy pokój temu, co wiem lub nie wiem. Chcę od pana dowiedzieć się, jakie powody skłoniły go do tego kroku. — Szanowna pani, tylko Elina może to opowiedzieć, ja nie mogę. — Dla czego? — Gdyż dałem słowo Elinie, że nigdy nie wymienię nazwiska osoby, która w tę sprawę była wmieszana. Przyszekając to Elinie nie przeczuwaaliśmy, ani ona, ani ja, że będziemy zmuszeni się pobrać. — Więc mi pan nie powiesz, jaka była przyczyna tego niepojętego postępu? — Nie powiem, gdyż nie mogę złamać danego słowa. — Ach, hrabio, jesteś prawdziwie zacnym człowiekiem, rzekła Stefanija i przyłączyła się do grona osób otaczających Elinę.

Herman zatrzymał się także, aby lepiej przypatrzeć się Elinie. Mimowolnie musiał podziwiać lekkość, z jaką przyswajała sobie myśli i wyobrażenia drugih, i za stosowywała się do usposobień każdego, z kim rozmawiała. A jednak cała jej istota wydała mu się jak świetna poźłota, pod którą trudno było odróżnić fałsz od prawdy.

W jednej minucie mogła być mocno wzruszoną i śmiać się, żartować i mówić poważnie, a nikt z pewnością nie mógł powiedzieć, co jest szczere, a co udane.

Goście się rozjechali do domów; Elina i Stefanija pozostały same w salonie. — Sądziłam, że będę lepszą aktorką, niż jestem, rzekła Elina wsparłszy głowę na rękę.

Ożywione przed chwilą jej oblicze, teraz pokryło się chmurą smutku. — Gdy wszedł do salonu, mówiła dalej, oddałabym połowę swego życia, żebym mogła rzucić się mu na szyję. Ach, Stefanijo, czy spotka mnie kiedy to szczęście?!

Wielkie jej oczy zapełniły się łzami.

— Spotka, Elino, ale nie teraz. Staraj się być cierpliwą, miej nadzieję i czekaj.

Elina podała jej z przyjaznym uśmiechem rękę i rzekła: — Jesteś moim opiekuńczym aniołem. Jakże wiele dłużną ci jestem! A jednak, choćby nawet jego serce otworzyło się dla mnie, nigdy nie uściskę go jak swego... — Nigdy? przerwała Stefanija. — Nigdy, dopóki wprzód nie da zupełnego zadosyćuczynienia swej wzgardzonej żonie. Ach, Stefanijo, straszna wina obciąża jego sumienie. — Nie mówmy więcej o tem, miłość godzi wszystko. Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak ci się podobała Helfryda? — Bardzo, chociaż mi się wydaje zbyt do-

skonałą. Sama będąc pełną niedoskonałości, prawdziwie lękam się widoku tak wzniosłego i bez skazy charakteru. W obec niej czuję się upokorzona, a to mi sprawia przykrość, zwłaszcza, że przy tobie nigdy nie podobnego nie czuję, zapewne dla tego, że jesteś tak dobrą. — Przypominam sobie teraz, żeś podobny zarzut czyła Jakóbowi. — O, dziś toż samo, rzekła Elina. Przed nim drzę formalnie ze strachu, dodała śmiejąc się ze zwykłym sobie trzpiotowatym tonem, Gdy utkwę we mnie swe jasne, promieniejące oczy, zda mi się, że na wskroś przenika mą duszę, i to mię strachem przejmuje, gdyż wiem, że jest w niej wiele, coby mogło być lepsze. — Ale Jakób jest łagodny i pobłażający, zauważyła Stefanija. — Nie względem mnie, odparła Elina spoważniawszy znowu. Widzi on we mnie tylko aktorkę, która tyle przeróżnych ról odgrywa, że wszelkie jej uczucia stają się w końcu udane. — Nie, tak nie sądzi, ale sam zbyt kocha prawdę, aby nie czuł wstrętu do wszystkiego, co od niej zbacza. — Wiem, iż rzadko jestem szczera, ale czy to moja wina? — Elino, po co to pytanie? rzekła Stefanija. Okoliczności zrobiły cię tem, czem jesteś. Gdyby one były inne, i ty miałabyś w sobie więcej prawdy. Od dzieciństwa prawie wzgardzona i zaniehbana, pragnęłaś zapomnieć o tej niesprawiedliwości, i to jest przyczyną, że tak często przybierasz różne maski. Z czasem jednak możesz stać się inną. — Nigdy, Stefanijo. Zawsze będę niewolnicą swoich fantazji i próżności, gdyż wady te wzięły nademną przewagę, a nie łatwo jest wyrzec się tego, do czego się oddawna przywykło.

R O Z D Z I A Ł XLII.

Upłynął czas pewien i wszystko szło zwykłym trybem. Herman obchodził się z Eliną, jak z osobą najzupełniej obcą, ale zwracał baczną uwagę na wszystkie jej poruszenia, szczególnie gdy sądziła, że nikt na nią nie patrzy. Po niedługim czasie Herman osądził, że już poznał doskonale charakter Eliny. Charakter ten składał się ze szlachetnej dumy, płochości i lekkomyślności bez granic, próżności, kaprysów, rozczulającej dobroduszości, żądzы pochwały i bezwarunkowej wzdargy dla opinii ludzkiej. Gdy jej przyszła do głowy jaka fantazya, wówczas zapominała o wszystkim, niszcząc przeszkody i obojętnie poświęcając wszystko, co jej zawadzało na drodze, byle dogodzić swemu przywidzeniu i ślepo oddać się jego wrażeniom. Często znowu dla przypodobania się drugim nie tylko mijała się ze ścisłą prawdą, ale gotowa była odegrywać jakobądź rolę, byle w niej najwięcej zjednała sobie hołdów. Wprawdzie z natury szlachetna i dumna, nie splamiła się nigdy czypem niegodnym, zniesławiającym, ale też najczęściej postępowała lekkomyślnie i trzpiotowato jak pensyonarka. Czuła wstręt do wszystkiego, co może zasmucić — trosk unikała jak ognia i uciekając przed niemi popełniała nie jedno głupstwo. Żeby się nie narazić na małą nieprzyjemność, często ściągała na siebie daleko większe, i nieraz dla chwilowej rokoszy poświęcała to, co ściśle biorąc byłoby jej obowiązkiem.

Taką była Elina. Z sercem dobrem i ciepłem, wyobraźnią żywą i ruchliwą, trochę zapalona, poddająca się łatwo każdemu wrażeniu, gdyby od lat najmłodszych otrzymała dobry kierunek, mogłaby się wykształcić wysoko pod względem moralnym i umysłowym. Tymczasem złe i dobre jej skłonności mieszały się tak niecharmonijnie, iż nieraz mając najlepsze i najczystsze zamiary, postępowała jak nedorzeczna egoistka. Herman przyrzekł Stefanii bezstronnie ocenić charakter Eliny i dotrzymał słowa. Czasem też czynił sobie wyrzuty na myśl, że mógł być kierownikiem tej młodej kobiety albo raczej dziecka, gdyby uczciwie i sumiennie z nią sobie postąpił. Mimowolnie przypominał sobie chwilę, gdy zaklinała go aby zerwał stosunki z macochą. Zdawało mu się, że jeszcze słyszy te dźwięki serdeczne i rozczulające, chociaż zupełnie zapomniał jej rysów, wówczas tak niekształtnych — i głos wewnętrzny mu szeptał: „Mogłaby stać się czemś lepszem.“

Pomimo to, Herman czuł nieprzewyciężony wstręt do wszelkiego z nią zbliżenia; przy najlepszych chęciach pojednania się, odpychała go mimowolnie ta myśl, że Elina wiedziała o jego stosunkach nieuczciwych z Zelmą, i że jako córka Martensona musiała go nienawidzieć. Skoro pomyślał o Elinie, wracały zaraz wszystkie dawne przesady urodzenia i każde z nią zbliżenie było tem boleśnieszem dla jego dumy, iż współcześnie wiedział, że był jej nieskończenie obowiązany, a jednak niedarowaniem postępowaniem swoim zamiast zmniejszyć, jeszcze dług ten powiększył. Nieustanni goście i częste wyćieczki w sąsiedztwo nie pozwoliły Hermanowi zbliżyć

się do Stefanii, ale jego podziwienie dla młodej kobiety wcale się nie zmniejszyło. Porównyując ją z Eliną, musiał ją bardziej czcić i uwielbiać. Kiedy Elina myślała tylko o uprzyjemnieniu sobie życia i prawie przemocą oddalała od siebie wszystkie niemiłe przedmioty, Stefania umiała tak urządzać nawet zabawy i przyjemności, aby i inni ludzie mogli coś na tem zyskać. Czy to była uczta, czy przejażdżka po jeziorze, czy inna rozrywka, Stefania tak układała rzeczy, aby nastrożyć przy tem sposobność ubogim do korzystnego zarobku lub otrzymania szczodrych podarków. Bo też Stefania miała sobie za prawidło życia, iż przyjemności i zabawy powinny być towarzyszami dobroczynności. Odwiedzający często Kungsborg ani się domyślali, że Stefania większą część swego czasu poświęciła najużyteczniejszym zajęciom w dobroczynnych i naukowych zakładach, które ustanowiła dla dobra swych włościan i robotników. W zakładach tych nie tylko czerpali potrzebne wiadomości i naukę, ale jeszcze w niedziele i święta mieli tam różne zabawy i rozrywki, dla których chętnie porzucali karczmy i szynkownie. W przeciągu jednego roku, w którym Stefania wzięła pod swoją opiekę włościan Kungsborga, obyczaje ich i dobrobyt znacznie się polepszyły, co mimowolnie każdy podziwiał, chociaż nie każdy wiedział, iż to było dziełem Stefanii.

Ci, co sądzą z pozoru, a takich zwykle bywa najwięcej, myśleli, że Stefania żyje tylko w wygodach i roskoszach nie troszcząc się o nic, — tak umiała zręcznie unikać wszelkiego rozgłosu dla swych prawdziwie dobrych i użytecznych czynów, a przytem tak roztropnie rozdzie-

lała czas na wszystkie zajęcia, że miała go jeszcze dość na własne ukształcenie i utrzymywanie stosunków z sąsiedztwem. Herman, który ją widział codziennie i wiedział od włościan o wszystkim, co dla ich dobra czyniła, miał ważne powody stawiać ją pod każdym względem wyżej nad Elinę. Pewnego wieczora—było to w końcu lipca—gdy Jane, Elin i inni goście pojechali na dni kilka do barona Skjöld, Stefania weszła do pokoju hrabiny, gdzie już zastała Hermana i Helfrydę.

— Jaktó! pani nie u barona? zapytał Herman.—Nie, wymówiłam się, gdyż nie jestem zupełnie zdrową.

Stefania mówiła prawdę, twarz jej wyrażała zniekanie.—Może pani chora? zapytała hrabina z niezwykłym współczuciem.—Właściwie mówiąc pani hrabino, nie jestem chorą, odpowiedziała Stefania, ale moja głowa czasami daje mi uczuć, iż raz mocno na nią cierpiałam. Ale nie warto mówić o takiej drobnostce. Mam do powiedzenia coś ważniejszego, obchodzącego państwa. — Cóż takiego?—Otrzymałam dzisiejszą pocztą list z Paryża, w którym mi polecają prosić pana hrabiego, aby odebrał w poselstwie francuzkiem przesłane tam pewne dokumenta spadkowe.—Spadkowe? powtórzyły hrabina i Helfryda.

Herman nic nie powiedział, tylko spojrzął na Stefanię, która list wyjęła. — List jest od przybranej córki hrabiego Runa, pani Eliny Wicker.

Stefania umilkła i rzuciła okiem na hrabinę, która okropnie zbladła. — Wychowanica mego wuja była podobno jedyną jego spadkobierczynią, wtrącił Herman. Testament był warunkowy, przybrana córka miała po-

bierać procenta z pozostałego majątku tak długo, dopóki żyć będzie ojciec jej męża. Po jego śmierci, jeśli odziedziczy po nim majątek męża, spadek po hrabi Runa przechodzi na jego siostrzeńca, to jest na ciebie, panie hrabio. Otóż stary Wicker umarł zapisując cały majątek synowej, a następnie majątek hrabiego Runa przechodzi na pana. Prócz tego pani Wicker ma zamiar wstąpić do klasztoru.

Oczy Stefani ani na chwilę nie opuścili twarzy hrabiny. Gdy powiedziała, że hrabianka Runa zamierza wstąpić do klasztoru, hrabina drgnęła gwałtownie.— Herman rzekł nieco wzruszony:

— Przypominam sobie, że przybrana córka mojego wuja była protestantką.—W istocie, hrabio, ale wychodząc za śpiewaka Wicker, przeszła na łono rzymsko-katolickiego kościoła, gdyż Wicker był także katolikiem. Zapewneś pan słyszał o tem małżeństwie?—Coś słyszałem, ale już nie pamiętam, odpowiedział hrabia.

Hrabina leżała nieruchoma—wszyscy milczeli.—Panna Helfryda trochę zmizerniała, rzekła Stefanija. Może pani hrabina namówi swoją córkę, aby się przeszła po ogrodzie, ja tymczasem tu pozostanę.

Było coś w głosie Stefani, co mówiło Hermanowi, że pragnie sama pozostać z hrabiną, to też zaraz namówił Helfrydę, żeby z nim poszła do parku. — Hrabina z roztargnieniem pocałowała w czoło Helfrydę, prosząc ją, żeby odetchnęła świeżem powietrzem.—Herman z Helfrydą wyszli, hrabina pozostała sama ze Stefanią.—Droga przyjaciółko, rzekła hrabina z cicha trwożliwym tonem, bądź łaskawą usiąść bliżej przy mnie.

Stefanija zadość uczyniła życzeniu i siadła na taboreciku przy sofie. — Czy znasz pani bliżej wychowanicę hrabiego Runa? zapytała hrabina i ścisnąwszy rękę Stefani, dodała: Chciej mi odpowiedzieć szczerze i otwarcie. — Zawsze odpowiadam szczerze i otwarcie, albo nie wcale. Znam bardzo dobrze wychowanicę hrabiego Runa; jestem z nią spokrewniona.—Pani?—Tak, przez mojego męża.—A, rozumiem,—mąż pani i jej, byli krewni.

Stefanija skłoniła się nic nie odpowiedziawszy.

— Czy w istocie ma zamiar wstąpić do klasztoru?— Powzięła to postanowienie, jak tylko owdowiała, ale nie wykonała go zaraz. Teraz opuszcza świat dla tego, że mimo najgorętszych życzeń, nie mogła pojednać się z matką.—W takim razie będzie umarłą dla świata?— Tak jest, o Elinie Wicker można powiedzieć, że jest umarłą dla świata.

Hrabina rzuciła się niespokojnie na poduszkach, a jej twarz wychudła, zdradzała bolesną walkę wewnętrzną. Nastąpiło długie milczenie.—Stefanija siedziała oparłszy głowę na rękę, a pierś jej wznosiła się niespokojnie.—Nakoniec odezwała się z wolna, mówiąc jakby do siebie:

— Przed wielą laty pewna młoda, piękna kobieta wysokiego rodu zaślubiła znakomitego arystokratę. Ogólnie sądzono, że zawiera ten związek z miłości: Mylono się jednak. Młoda dama umyślnie wyszła za dostojnego pana, gdyż była zakochaną w ubogim, pełnym talentów młodzieńcu, którego nazwisko i położenie w społeczeństwie, wcale nie odpowiadało świetnemu stanowisku dużej dziewczyny. Lękając się, żeby z miłości nie weszła w związki niestosowne, zaślubiła bez miłości człowieka,

którego uważała za równego sobie. Upłynęło lat kilka i nikt się nie domyślał, że serce dumnej hrabiny pustoszyła cicha troska, że tam osiadło widmo nieszczęśliwej miłości, którą sama na śmierć skazała. Myle się jednak mówiąc, że nikt się nie domyślał tej miłości, gdyż rodzony jej brat wiedział, iż dumie swojej poświęciła szczęście. W drugim roku małżeńskiego pożycia, hrabina urodziła syna i cała okolica wysławiała szczęście młodej pary. Jakoż mieli wszystko, co życie dać może — bogactwo, urodzenie i piękność, a jednak zdrowie hrabiny zaczęło słabnąć. Uporczywy kaszel i wzrastające wycieńczenie zaniepokoiły lekarzy: przepisali tedy podróż do ciepłych krajów. Hrabina nie chciała się rozstać ze swem niemowlęciem; w końcu jednak uległa prośbom męża i w towarzystwie brata pojechała do Włoch.—Los zwykle szydzący niemiłosiernie ze śmiertelników, zrzucił, że hrabina spotkała się w Neapolu z człowiekiem, którego kochała i poświęciła, chociaż wiedziała, że ją kochał wzajemnie. Oddzielona od północy i dumnych swych krewnych, sama z uczuciami swego serca i codzienną pokusą widzenia człowieka, któremu oddała swoje serce, dumna pani nie była we Włoszech tak nieugiętą jak w Szwecji. W kraju rodzinnym poświęciła miłość swęj pysze, tu dla miłości zapomniiała o obowiązkach żony.“

Stefanija uczuła, jak zimna, wilgotna ręka silnie chwyciła ją za ramię. i hrabina odezwała się głucho:—Co mi o pani opowiadasz?

Stefanija podniosła oczy. Spojrzenie jej było spokojne, ale głos stał się dzikim prawie, gdy odpowiedziała:

— Opowiadał historję matki Eliny. Kto ona była, jak się nazywała, nie wiem; chcę tylko tą historją dowieść pani hrabinie, że bardzo często mimo świetnego nazwiska, popełniamy błędy i okrucieństwa, które zgrozą przejmują. Pozwolisz więc hrabino, że będę dalej opowiadała. Brat hrabiny zakochawszy się w Neapolu w pięknej francuzce, zbyt był zajęty swoją miłością, aby zwracał uwagę na to, co się dokoła niego działo. Wszelako jednego dnia dowiedział się o wszystkim. Kochanek wyzwany, poległ z ręki hrabiego, i brat z siostrą spieszenie powrócili do Szwecji. W ośm miesięcy po powrocie z Włoch hrabina urodziła córkę, która—jak mówiono—za wcześniej przyszła na świat. Tymczasem brat pojechał do Francji, gdzie ożenił się ze swoją powabną francuzką i osiadł w Paryżu. Hrabina ubóstwiając syna, czuła nieprzewyciężony wstręt do córki, i na sam widok tego dziecięcia wpadała w rozpacz. Uciekając przed upokarzającym wspomnieniem i wyrzutami sumienia, hrabina rzuciła się w wir uciech i zabaw i tak upłynęło lat kilka. Syn, piękny chłopczyzna, bywał na wszystkich przechadzkach i w salonach obok matki, gdy córka zapomniana, nie opuszczała prawie dziecinnego pokoju. Dziewczynka miała lat sześć, gdy brat hrabiny, który stracił współcześnie żonę i dziecko, przyjechał do ojczyzny. Dawniej rześki, wesoły i nieco porywczy młodzieniec, teraz stał się łagodnym i melancholicznym marzycielem, którego nieustannie ścigało, widmo poległego w pojedynku. Gdziekolwiek się obrócił, wszędy stawała przed nim wybladła postać, zabitego kochanka hrabiny, i patrzyła na niego straszniemi, martwemi oczyma, wle-

wając krople zółci do kielicha jego szczęścia, i gdy śmierć małżonki zniszczyła to szczęście, straszna postać wołała nań szyderczo:

„Cierpij zasłużoną karę!“

Gdy odwiedziwszy siostrę, poznał, że tak zupełnie zaniedbała córkę, zaproponował jej, aby mu pozwoliła zabrać z sobą i przybrać za swoje, to dziecko, względem którego, jak sądził, był wielkim dłużnikiem. Mąż hrabiny nie chciał na to pozwolić, w końcu jednak uległ silnym przedstawieniom i prośbom szwagra. Później hrabia Runa wziął dziewczynkę od jej wuja i również przyznał jej prawa córki.

— I pani nie dowiedziałas się o nazwisku...—Eliny matki lub wuja? czy o to pyta hrabina?—Tak, odpowiedziała chora, ciężko odetchnąwszy.—Hrabia Runa, który mi opowiadał to, co ja teraz pani powtarzam, nigdy nie wymienił nazwiska krewnych Eliny, mawiał tylko: „Wziąłem dziewczynkę w spadku po jej wuju, i jak pani widzisz starałem się wynagrodzić jej to, co straciła w swych krewnych.“

Hrabina lżej odetchnęła, a Stefaniya opowiadała dalej spuściwszy ku ziemi oczy, jakby unikała jej spojrzeń.

Kilka lat upłynęło od czasu, jak hrabia Runa przybrał Elinę. Pewnego dnia dowiedział się, że matka jej ze swym mężem bawi w Paryżu. Hrabia Runa nauczył Elinę kilku piosenek ludowych szwedzkich, między innymi jednej którą śpiewał młody Szwed, ojciec dziewczęcia. Hrabia zaprosił do siebie hrabinę i jej męża. Elina miała wtedy lat dwanaście i zapowiadała piękną dziewczę, wówczas już bowiem była nadzwyczajnie miłą, wdzięczną

i rokoszną dziewczką. Gdy weszła hrabina, widok córki obudził w niej uczucia gorzkie i nieprzyjacielskie,—dumna niewiasta odepchnęła dziecię, które biegło w jej objęcia, i Elina płacząc przytuliła się do piersi jej męża, jak mniemała, swojego ojca. Hrabia Runa, który pragnął obudzić słodsze uczucia w piersi matki, kazał małej zaśpiewać ową pieśń szwedzką, którą, jak mu było wiadomo, niegdyś w czasach miłości ojciec jej, śpiewał hrabinie. Wspomnienie to sprawiło tylko taki skutek, że hrabina natychmiast opuściła dom hrabiego Runa i przez resztę pobytu w Paryżu, ani razu nie chciała zobaczyć swej córki. Przeciwnie mąż hrabiny obsypywał pieścotami dziewczynkę i oświadczył, że jakkolwiek hrabia Runa przyjął ją za swoją córkę, pragnie jednak, żeby nosiła nazwisko swojego ojca, miał ją bowiem za swoje dziecko. Hrabia Runa spełnił to życzenie. Czułe serce kochającej Eliny było boleśnie dotknięte obojętnością matki, i nie mogła bez łez wspomnieć o tem jedynem spotkaniu z kobietą, która jej dała życie. W sześć lat później, Elina zakochała się w niemieckim śpiewaku Wicker, synu bogatego kupca z Frankfurtu, młodzieńcu bardzo miłym i pod każdym względem godnym szacunku. Hrabia Runa nie pochwałał zrazu tej miłości, ale poznawszy nadzwyczajnie prawy charakter Wickera, zezwolił na związek małżeński; nie chciał bowiem, aby jego wychowanica podobnie jak jej matka poświęciła rzeczywiste szczęście dla przesądów. Hrabia zawiadomił matkę Eliny o zamążpójściu córki. Teraz wyniosła kobieta miała pozór do wyparcia się córki przed światem,—i odepchnęła ją powtórnie—ta matka co tyle

zawiniła, co z dumy wyszła zamaż bez miłości, a z miłości zламаła wiarę mężowi, i znowu z pychy poczuła wstręt ku dziecięciu, które jej przypomniało zdeptany honor i uczciwość małżeńską. Teraz, gdy córka oddała rękę mężczyźnie, który jej serce pozyskał, wyparła się jej i ogłosiła, że nie żyje. Ach, pani hrabino—dodała Stefania spoglądając na chorą — dumna ta niewiasta bardziej zasługiwała na wzgardę swej rodziny niż cnotliwa i nieszczęśliwa Gunilla. Czyż nie mam słuszności? A jednak jestem najmocniej przekonana, że gdyby ta występna kobieta należała do rodziny Romarhierta, byłaby pierwszą do lekceważenia i gardzenia szlachetną Gunillą, której życie było tak czyste i nieskażone. Racz mi pani powiedzieć, czy jest co moralnego lub przynajmniej rozumnego, w tem pojęciu godności ludzkiej?

Minęły lata. Elina straciła męża i opiekuna. Doznając wielu cierpień, niejednokrotnie z zakrwawionem sercem zwracała się ku matce, prosząc o przebaczenie i pojednanie, ale zawsze na próżno. Duma tak zamknęła serce matki, że postanowiła zstąpić do grobu nie wspomniawszy nawet o swej córce niewinnej. Gdyby ta matka miała serce zimne i nieużyte, gdyby to była pod każdym względem kobieta nieczuła i samolubna, wówczas hrabino, możnaby powiedzieć: To kamień nie kobieta, jak żądać, by zrozumiała język serca? Ale przeciwnie, miękkie jej serce przez słabość przywiodło ją do upadku, to samo serce miało uczucia gorące dla męża, któremu sumiennem wypełnieniem swoich obowiązków starała się wynagrodzić występne zapomnienie, co dało życie Elinie. We wszystkim, gdzie pycha jej nie miała udziału, była

dobrą, czułą i szlachetną, ale też wszędzie, gdzie ta pycha wystąpiła, stawiała się nieczułą i moralnie okrutną. I z czego tak się pyszniła? Nie z wyższej wartości moralnej, bo tej kłam zadała, lecz z odziedziczonego nazwiska w świecie. Miły Boże, czy podobna pysznić się z zalet nie swoich, z korzyści, na któreśmy nie zapracowali sami, zwłaszcza gdy obyczajami i cnotami chrześcijańskimi nie celujemy nad innych! Alboż odziedziczony tytuł nadaje nam wartość? Czy nie przeciwnie, wyższy i szlachetniejszy charakter wyróżnieniu temu daje dopiero istotne znaczenie? Przed trybunałem Najwyższego tylko cnoty nasze mają znaczenie. Tam niebędą pytać, czem byliśmy, ale jakieśmy używali darów otrzymanych od Boga, i czy byliśmy istotnie użyteczni bliźnim. Stojąc na progu śmierci, mamyż przejść do wieczności bez żalu za winy i bez chęci naprawienia wyrządzonego złego?”

Stefania umilkła. Hrabina leżała długo nieporuszona. Nakoniec położyła rękę na schyloną głowę młodej kobiety, i rzekła cicho i łagodnie:

— Spójrz na mnie pani i powiedz otwarcie, dla czegoś mi opowiedziała tę historję? Pomyśl, że teraz mówisz z umierającą, która za parę tygodni stanie przed trybunałem Najwyższego.

Stefania uchwyciła obiedwie ręce hrabiny i pocałowała je zapłakana. Później błagalnym, anielskim wzrokiem spojrzała na hrabinę i rzekła: — Bo chciałam wzruszyć twoje serce pani.—Moje serce? Cóż ma z niem za związek opowiadanie o obcej osobie?

Stefania padła na kolana przed hrabiną i przycisnąwszy

jej ręce do swojego łona, mówiła głosem wzruszonym, a stanowczym:

— Pani hrabino, wiem, iż twoje serce, gdy przemówi, jest dobre i czułe. Wiem także, iż masz uczucie ściślejszej sprawiedliwości, i dla tego pragnęłam swoim opowiadaniem wpłynąć na jedno i na drugie i dowieść, że urodzenie nie upoważnia nas do wynoszenia się nad drugich, jeśli cnoty nasze nie dorównywają ambicji. Pani hrabino, czy i teraz, gdy Elin na klęczkach błagać cię będzie o życzliwe słowo: powiesz: „Idź precz, nie znam cię, i nigdy nie uznaję za małżonkę mojego syna?” Czy i teraz odrzucasz od swego łona niešťęsną, którą zgnębił gniew własnego ojca i wzgarda twojego syna? Nie, hrabino, czytam w twoich oczach, że tego nie uczynisz. Czuję to z drżenia rąk twoich.

Hrabina oswobodziła swoje ręce i rzekła słabym głosem:— Jesteś pani niebezpieczną kobietą. Proszę cię, zostaw mię samą, potrzebuję być samotną. Bardzoś mię pani rozdraźniła!—Więc pozwól się znowu uspokoić, rzekła pieszczotliwie Stefania okrywając pocałunkami jej ręce.—Uspokoić! powtórzyła hrabina z gorzkim uśmiechem. Och, dla mnie już nie ma spokojności!

Stefania nie nie odpowiadawszy poszła do małego stolika i wzięła książkę, która na nim leżała. Potem siadła znowu na stołeczku przy hrabinie i zaczęła czytać. Postąpiła sobie, jak Chrystus Pan, gdy przed niego wprowadzono cudzołożnicę. Głosem poważnym, donośnym i przenikającym do serca odczytała te słowa:

„Kto jest bez grzechu niech pierwszy rzuci na nią kamieniem.“

Głos Stefania zadrżał, gdy przeczytała następujące wyrazy: „Nie potępiam cię, idź w pokoju, a nie grzesz więcej.“

I z własnego serca dołączyła słowa pełne miłości i pojednania. Hrabina pomyślałaby, że czyta, gdyby nie poznała tych pieszczotliwych a czułych i serdecznych wyrazów, które już raz słyszała. I teraz jak wówczas duch prawdziwego chrystjanizmu i pojednania działał jak balsam gojący ranę. Przykre wrażenie znikło z rysów hrabiny i zastąpił je cichy, pogodny smutek. Stefania umilkła, a hrabina po chwili wyszeptwała: — Dzięki ci, dzięki, mój aniele! Idź teraz do dzieci i powiedz, że chcę pozostać sama.

Stefania wstała, ale gdy oczy jej padły na lica hrabiny, teraz pokornie smutne, raz jeszcze przed nią ukłękła i pocałowała jej ręce, na które kilka łez spłynęło. Gdy chciała wstać, uczuła, że usta hrabiny dotknęły jej czoła.—Dzięki, dzięki! szepnęła z cicha Stefania i wybiegła z pokoju..

ROZDZIAŁ XLIII.

Stefania szukała Helfrydy i Hermana i powiedziała im, że hrabina prosi, aby jej teraz nie przeszkadzano. Rozmawiając o rzeczach obojętnych, przeszli kilka alei i zawrócili do wielkiego salonu. Nagle rzekła Helfryda do Stefania:

— Mama mówiła, że pani śpiewasz, a dotychczas ani Herman ani ja nie słyszeliśmy twego śpiewu. Może dziś w wieczór sprawisz nam tę przyjemność? — Z największą chęcią, gdybym była w innem usposobieniu, odpowiedziała smutnie Stefanija. Dziś mój śpiew byłby tylko jednym niezmiernie bolesnem westchnieniem.

Herman spojrzał na Stefanję. Młoda kobieta siadła na fotelu przed szklanymi drzwiami. Na całej jej postaci rozlany był smutek: zdawało mu się jednak, że pod tą powłoką melancholji wrzały gorące i przykre uczucia, i że słyszy gwałtowne a dręczące uderzenia jej serca. — Zaśpiewaj, hrabio Hermanie! prosiła słabym głosem Stefanja.

Herman siadł do fortepianu i śpiewał:

„Ty coś mej duszy rozświeciła cienie,
Ostatnie moje przyjmij pozdrowienie,
I jeśli ziemską dola nas rozdzieli;
Wtedy tam w gwiazdy zwieńczę nas anieli“.

Dośpiewawszy ostatnich wyrazów, obrócił głowę i spojrzał na Stefanję. — Jej oczy spoczywały na nim.

„I jeżeli ziemską dola nas rozdzieli“ powtórzył Herman utkwivszy w niej wzrok pałający.

Stefanja spuściła głowę i zakryła twarz rękami. Było to złudzenie, czy też rzeczywiście widział, jak dwie grube łzy spadły na jej czarną jedwabną suknię? Dokończycwszy zwrotki wstał od fortepianu i szedł prosto do Stefanji. Koniecznie chciał się przekonać, czy go oczy nie myliły. Młoda kobieta siedziała nieruchoma i spoj-

zenia hrabiego padły na dwie wilgotne plamki, które po łzach pozostały. I długą chwilę stał i patrzył na Stefanję, — aż go zbudził z marzenia głos Helfrydy:

— Drogi Hermanie, nie jesteś szczęśliwy w wyborze swych pieśni. Zasmuciłeś tylko mnie i panię Stephensen. Zaśpiewaj co weselszego.

Herman wrócił do fortepianu i zaśpiewał kilka powszechnie lubionych pieśni Gunnara Wenneberga. Ta rzeźwa, żywa muzyka sprawiła skutek pożądany. Stefanja przetrzała ręką czoło, i spojrzała, rysy jej twarzy były spokojne. W godzinę później Stefanja zeszła do parku, a Herman z Helfrydą udali się do hrabiny. Stefanja nie zbyt daleko oddaliła się od pałacu, gdy ją dogonił Herman. — Krótko bawiłeś pan u hrabiny, rzekła. — Moja matka już śpi. Zresztą pragnąłem ci towarzyszyć, pani. Racz się wesprzeć na mojem ramieniu.

I jak zwykle, nie czekając pozwolenia, ujął jej rękę i złożył na swojej. — Byłaś pani tak smutna dziś wieczór, odezwał się Herman. — W istocie, odpowiedziała Stefanja i spojrzała na niego; a jednak znowu stałam się weselszą. — Czy miałaś pani szczególny powód do radości lub smutku? — Do radości, miałam. — Przecież szczęście uśmiechnęło się do pana i to jest dla mnie prawdziwem powodem radości, ale... — Ale? — Przez chwilę byłam egoistką, dodała Stefanja. Zważ pan, iż mówię: byłam, to znaczy, że już nią nie jestem. — Pani egoistką? Bardzo wątpię. W jakimże to razie? — Pomyślałam, że w przyszłości Kungsborg nie będzie miał administratora. — Tak pani sądzi? zapytał Herman schylając się ku Stefanji. — Jesteś pan znowu bogaty, szepnęła kobieta, a jejlica zapłonęły

żywym rumieńcem.—Choćbym był bogatszy od Rotszyldów, nie opuszczę Kungsborga i swojego urzędowania, dopóki mię pani zechcesz zatrzymać.—Więc nie opuścisz nigdy, szepnęła Stefanja.—Stefanjo!

I znowu wymówił to imię z niewysłowienie namiętnym wyrazem. — Sir Edwardzie! odpowiedziała Stefanja patrząc na niego spokojnym wzrokiem, który działał jak wędzidło na ognistego rumaka.

Milcząc szli obok siebie.

— Mam jedną do pani prośbę, odezwał się nakoniec Herman.—Jaką? słucham. — Czy pani nie mogłabyś mi nastreczyć sposobności do widzenia się z wychowanicą hrabiego Runa? — Myślisz hrabio jechać do Paryża? — W istocie, nie mogę przyjąć testamentu bez ustnego porozumienia się z dotychczasową spadkobierczynią.—Podróż do Paryża na nic się panu nie przyda. Osoby tej tam nie spotkasz. Jedną tylko rzecz mogę zrobić dla pana, to jest, przesłać jej list, który mi pan powierzysz. Zobowiązałam się przysięgą, że bez szczególnego upoważnienia Eliny, nie wymienię miejsca jej pobytu. Co do testamentu, jest spisany legalnie i Elina wypełniła tylko wyrażone w nim życzenie swego opiekuna.—Ależ pani, majątek ten właściwie należy do Eliny.—Hrabio Hermanie, Elina go nie potrzebuje, gdyż otrzymała znaczny spadek po swoim teściu, a zresztą nie chodzi jej o bogactwo lecz o coś innego wcale, co... — Co jej dam? choćbym miał utracić wszystko, co posiadam. — Uczyń, jeśli to w twojej mocy. Napisz do niej zawiadamiając, że może mieć nadzieję.—Szanowna pani, więc wiesz, kto jest Elina?

Herman się zatrzymał.—Stefanja położyła rękę na je-

go ramieniu i rzekła z cicha: — Nia zadawaj mi pan żadnych pytań, nie mogę odpowiedzieć bez złamania danego słowa. Wierzaj tylko, że co wiem, pozostanie zamknięte w mojej piersi. — Zrób pan, co możesz dla szczęścia Eliny, ale nie staraj się wprzód z nią zobaczyć, aż będziesz mógł powiedzieć: Przybywaj! — Dzięki, szanowna pani, domyślam się, że wiesz wszystko. Jutro napiszę do ambasady francuzkiej. — Czy sam pan jedziesz do stolicy? — Nie, pani; daję pełnomocnictwo baronowi C. do działania w moim imieniu. — Nie powiedziałaś mi pan ani słowa, co sądzisz o Elinie, swojej małżonce.—Owszem, zdaje mi się, że już pani powiedział, że nie jest dla mnie stworzona.—I teraz jeszcze tak pan sądzisz? — Czyż Stefanja może mi zadawać podobne pytanie?—Niewątpliwie, gdyż jednym z najgorętszych życzeń Stefanji było pogodzić Elinę z cierpieniami, jakieś pan jej zgotował, i starać się będę, aby otrzymała należne zadośćuczynienie.—Jakież to?—Abyś jej oddał swoje serce i uznał ją za swoją małżonkę.—Pani, przypuść na chwilę, że przezwytyczył głęboko zakorzeniony wstręt ku Elinie, przypuść, że jej wrócę wszystkie prawa małżonki, że jej oddam serce i życie, któż mi zaręczy, że ją tem uszczęśliwię? Może pani sądzisz, że z miłości oddała mi rękę? To się mylisz. Uczyniła to ze współczucia, z litości, z czego chcesz pani, tylko nie z miłości. Czy w takim razie nie byłoby dla nas najlepszem odzyskać dawną wolność? Wówczas mogłaby wejść w związki według swego upodobania a ja.... —A pan? — Mógłbym marzyć o szczęściu? — Chyba nie wiesz hrabio, że ta ciężko obrażona i głęboko zraniona Elina zawsze kochała tylko jednego mężczyznę.—Tem

większy powód, by mu pozostała wierna i odzyskawszy wolność, mogłaby być szczęśliwą.—Ależ tym mężczyzną, pan jesteś!

Lica Stefanji zapalały, a oczy patrzyły poważnie, gdy wyrzekła te słowa.

Herman stanął jak wryty.

— Co mówisz, pani? — zawołał. — Prawdę. — Niepodobna. Elin i ja rzadko widywaliśmy się z sobą i ledwie mogę sobie przypomnieć, jak wówczas wyglądała. Jakże by mogła mię kochać?—Hrabio, zapominasz, że Elin dziecięciem będąc widywała cię, i że na rok przed pójściem za mąż codziennie spotykała cię w Strömsted, chociaż pan nie zwracałeś na nią uwagi. Słowem, dzieckiem będąc zakochała się w tobie i nikogo innego w życiu nie kochała.—Straszną rzecz pomyśleć, to znacznie obciąża moją względem niej winę!

Herman siedł kilka chwil zamyślony obok Stefanji.

— Ach pani, — odezwał się nakoniec, — obudziłaś moje współczucie dla niej, ale pomimo to nie zbliżyłaś się do swojego celu. Z uczucia honoru i obowiązku mógłbym każdej innej kobiecie dać zadośćuczynienie, na jakie zasługuje, ale między mną i Eliną, wszelkie zbliżenie jest niemożliwe. Może być, że mię kochała, ale teraz niepodobna temu wierzyć; napróżno bowiem szukałbym w tej lekkomyślnej i płochy kobiecie czegoś, coby pozwalało wnosić, że ją trawi tajemny, głęboki smutek, a przecież musiałaby go doświadczać, będąc tak głęboko obrażoną przez mężczyznę, którego kocha. W takich okolicznościach postępowanie moje względem niej zostawiłoby nieuleczone rany w jej duszy, któreby nigdy nie dopuścili

płochy lekkomyślności.—Masz pan słuszość, postępowanie pańskie zostawiło nieuleczone rany w sercu biednej, odpowiedziała ponuro Stefanja. I napróżno przeżyła te lata męczarni bez końca!—Twierdzisz pani, że Elin jest nieszczęśliwą, lub że znalazłaby szczęście obok mężczyzny, który jej nigdy kochać nie może?—Przestań, hrabio Hermanie. Słowa pana boleść mi sprawiają, rzekła Stefanja drżącym ze wzruszenia głosem.

Herman spojrział na nią: bolesny wyraz jej głosu przeniknął go do głębi duszy. Twarz Stefanji wyrażała głębokie cierpienie, którego wrażeniu niemógł się oprzeć Herman.—Stefanjo, rzekł z cicha głosem wzruszonym, ty wiesz, iż prędzej na całą wieczność rzucę się w przepaść męczarni, niż pozwolę, byś ty choć chwilę cierpiała. — Chwilę! powtórzyła Stefanja głosem, w którym było całe życie boleści.—Tak, na Boga!—Więc dla mnie pojednałbyś się z Eliną?—Takiej ofiary nie będziesz pani odemnie żądała. — A gdybym żądała? — Możesz że mię wskazywać na nieszczęście całego życia?—Skazywać nie, ale dowieść, że honor i sumienie wymagają po panu, abyś siebie samego poświęcił dla obowiązku i starał się naprawić złe, które twoja pycha wyrządziła. Jeśli pokuta ma mieć wartość, musi być dobrowolną. Ale dajmy temu pokój,—przyjdzie czas, hrabio, że sam przyznasz mi słuszość i ściśle spełnianie powinności przyjmiesz za prawo swojego życia. Jesteś pan dumny ze szlacheckiego rodu, bądźże i w postępkach swoich szlachečnym.—Jestem dumny z tego tylko, że posiadam szacunek pani.—Więcej niż szacunek—serdeczne przywiązanie.—To też stanowi moje szczęście jedyne.

ROZDZIAŁ XLIV.

— Stefanjo, rzekł w kilka dni później Jakób, jadę do Anglii; czy wspomnisz kiedy o mnie w czasie mej nieobecności? — Zawsze będziesz przytomny mej duszy, bo jesteś jej najlepszą częstką, a jednak powiadam chętnie: Jedź! — Dzięki. Za tydzień wyjeżdżam. — A gdy wrócisz — będziesz już uleczony? — Spodziewam się, gdyż wszystko dokładnie poznam. — Kiedy powracasz? — Za kilka tygodni. — Cóż ja tymczasem pocznę? rzekła Stefanja i oparłszy głowę o ramię Jakóba dodała: Lękam się, wszystko mię trwogą przejmując na myśl, że nie będziesz przy mnie. — Nie obawiaj się niczego, dopóki kierować się będziesz czystymi i szlachetnymi pobudkami. Wierzaj mi Stefanjo, nie potrzebujesz mojego wsparcia, gdyż jesteś dość mocną, by zaufać własnemu siłom. — Dałby Bóg, abyś miał słuszość.

Rozmowę przerwało nagle wejście Eliny. Była śmiertelnie blada i rzekła z trudnością oddychając:

— Hrabina dostała strasznego krwotoku, — hrabia sam pojechał po doktora, a Helfryda prosi cię, abyś zaraz do nich przyszła. Elin jeszcze mówiła, gdy już Stefanja była za drzwiami. Elin padła na krzesło i zakrywając twarz rękoma, płakała.

Jakób zbliżył się do niej i rzekł ze współczuciem:

— Czy bardzo z nią źle, Elino?

Elin podniosła głowę i rzekła zwolna z głęboką bo-

leścią: — Może dziś umrze. — Bóg oszczędzi nam tej boleści, by umarła nie pojednawszy się ze swojemi. — Ach, Jakóbie, co obchodzimy Boga, my, robaki ziemskie! Radźmy sobie, jak umiemy, lub gińmy nie oczekując od niego pomocy.

Jakób długo patrzył na nią w milczeniu, potem usiadł przy niej i rzekł: — Ze zbytku wiary do braku wszelkiej wiary przejście nietrudne. Wszakże ci to już raz mówiłem? — Masz słuszość. Dziś straciłam prawie wszelką wiarę. — Wpadłaś z jednej ostateczności w drugą. Przyczyna jest ta, żeś nigdy nie pojmowała jasno, na czem ma polegać twoja wiara, lecz zawsze poddawałaś się wrażeniom chwilowym i wpływom na wyobraźnię. Wiara nie wspierająca się na mocnem przekonaniu, nie daje ani mocy duszy, ani istotnej pociechy.

Opuścimy teraz Elinę i Jakóba, a pójdziemy wywieźć się o stanie zdrowia hrabiny. Gdy Stefanja weszła do pokoju chorej, Helfryda z czerwonymi od płaczu oczyma pobiegła naprzeciw niej i rzekła: — Mama pragnie pomówić z panią, — znacznie ma się gorzej.

Stefanja milcząc, ścisnęła rękę Helfrydy i zbliżyła się do hrabiny, która leżała nieruchoma podobniejsza do martwej niż do żyjącej. Ujrawszy Stefanję, poruszyła rękę, jakby chciała ją podać.

Stefanja schyliła się i ujęła rękę chorej. — Stęskniłam się do pani, wyszeptwała hrabina.

Potem obróciła się do Helfrydy i dodała: — Zostaw nas samych moje dziecko, — pragnę pomówić z panią Stephensen.

Helfryda wyszła. Hrabina położyła rękę na schylonej

głowie Stefanji i rzekła ledwie dosłyszczanym głosem. — Wkrótce wybiorę się w długą podróż do wieczności i niezadługo stanę przed trybunałem Najwyższego. Ale wprzód muszę naprawić jedną ciężką winę. Czy zechcesz pani mi dopomódz, abym lżej przeżyła tę chwilę ostatnią? — Rozkazuj pani! Całe moje życie do ciebie należy, odpowiedziała Stefanja. — W jak prędkim czasie może tu przybyć Elina? — Przyjmiesz ją pani? — Tak.

Długo Stefanja nie była w stanie słowa powiedzieć, tylko pochyłona na ręce hrabiny rzewnie płakała. Dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi. Wszedł lekarz.

— Jak długo jeszcze pożyję? zapytała go hrabina i prosiła Helfrydę i Hermana, aby ją zostawili samą z doktorem i Stefanją. — Przy zupełnej spokojności przeżyłaby pani hrabina jeszcze kilka tygodni; ale takie wzburzenie duszy, jakiego pani teraz doznaje, tygodnie w dnie zamieni. — Dziękuję, panie konsyljarzu. Będę się starała przeżyć kilka tygodni.

Lekarz zapisał coś uspakajającego i po chwili hrabina pozostawała sama ze Stefanją.

— Przrzekam pani — odezwiała się Stefanja — że zobaczysz Elinę, skoro tego zażadasz, ale niech mi pani przrzecze, że dzieci jej nie będą obecne temu spotkaniu. — Przrzekam tem chętniej, że takie jest moje życzenie. Czy wiesz pani — dodała chora głosem niespokojnym i gorączkowym — ja jestem matką Eliny. Ale nie chcę najdroższym moim dzieciom wyznać na łożu śmiertelnem, że ją poświęciłam dla przesądnych wyobrażeń. Herman sądzi, że tylko małżeństwo Eliny było przyczyną mojego ku niej wstrętu, nie domyśla się jednak, iż ona jest ży-

wem świadectwem przypominającym występne zapomnienie się matki. Helfryda przeciwnie sądzi, że umarła, gdy tak rozgłosiłam po jej zamążpójściu. Zresztą w obec śmierci nie zaprę się zasad, w których wychowałam dzieci, bo nie chcę stracić ich szacunku. Umrę wierna przekonaniu, że w czyich żyłach płynie krew szlachetna, ten nie powinien wchodzić w związki małżeńskie z mieszczaństwem, ani na swem drzewie rodzinnem szczepić nieszlachetnych latorośli. Ale z drugiej strony, nie mogę rozstać się z tym światem nie przypuściwszy do serca tego biednego dziecięcia moich grzechów, i nie prosiwszy jej przebaczenia za złe, jakie jej wyrządziłam. Na moim grobie może się znowu połączyć ze swoją siostrą i bratem. Wówczas mię już nie będzie, ale nawet umierając chcę zostać niezachwianie wierną swemu arystokratycznemu sposobowi myślenia. — I nie powiesz pani dzieciom, żeś przebaczyła swojej córce? zapytała Stefanja smutnie patrząc na hrabię. — Owszem, zem przebaczyła powiem, ale nie powiem, że ją widziałam przed śmiercią, gdyż jednego dnia, gdy Herman prosił za nią, powiedziałam mu, że nigdy żony śpiewaka Wicker jako swej córki nie uściskam i tej zasadzie muszę pozostać wierną w jego oczach. — A Elin — szepnęła Stefanja — dla niej nie masz pani dobrego słowa? — Nie jest moim dzieckiem, i stała się nie szczęściem mojego syna. Przebaczam jej złe, które nam wyrządziła, — więcej uczynić nie mogę. — I nie złączysz w śmierci godzinie tych, których przez dumę rozłączyłaś? — Nie, to się sprzeciwia moim zasadom.

Stefanja westchnęła.

— Czy nikt prócz pani nie wie o pochodzeniu Eliny?

pytała hrabina z widocznym wysileniem. — Nikt. Hrabia Runa na łożu śmierci powierzył mi to, com pani opowiedziała, i oddał Elinę pod moją opiekę, prosząc, żebym starała się wyjednać u pani przebaczenie i błogosławieństwo dla niej. — I to, co wiesz, wraz z tobą umrze? — Przysięgam na Boga! Nigdy przez moje usta nie przejdzie. — Dziękuję ci, moje dziecko.

W nocy hrabina dostała mocnej gorączki, i Stefanja sama czuwała przy jej łożu, po długich prośbach namówiwszy Helfrydę, żeby się udała na spoczynek. Przyjąwszy proszek opjum, hrabina właśnie zasnęła, gdy otwarły się drzwi od pokoju i Elin weszła na palcach. Była strasznie blada. Stefanja spojrzała na nią przestraszona i rzekła z cicha:

— Niebaczna, co czynisz! — Nie mogłam wytrzymać. O Stefanjo, serce mi pęka z bóleści. Przez te kilka tygodni spędzonych pod twoim dachem doznałam tylu męczarni, że sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Pozwól mi tu usiąść za firankami jej łoża. — Biedne dziecko, siadaj, ale zachowaj się cicho.

Elin siadła na krześle po drugiej stronie łóżka, tak jednakże, by ją firanki zasłaniały.

— Zastałam Hermana w salonie — siedzi tam jeszcze, rzekła Elin westchnąwszy głęboko. — I cóż mówił? pytała Stefanja. — Przystąpił do mnie z temi słowy: „Czego sobie

życzysz szanowna pani? — „Chcę pójść do łoża chorej hrabiny“, odpowiedziałam.

Elin spuściła głowę i milczała. — I puścił cię? — Nie, rzekł surowo: „To być nie może“ i współcześnie schwylił mnie za rękę chcąc zatrzymać, ale się wyrwała, nie nie odpowiedziawszy, i tu przyszedł. Ach, Stefanjo, już teraz opuszcza mnie nadzieja, a później, co będzie później! — Miej odwagę, Elino, jam nie straciła jeszcze nadziei.

Stefanja wstała i zbliżywszy się do Eliny, otoczyła ramieniem jej szyję i długo szeptała jej do ucha: twarz Eliny przybrała spokojniejszy wyraz.

Nagle zawołała hrabina głosem bolesnym, rozdzierającym:

— Elino, dziecko moje, gdzie jesteś! — Tu! odpowiedział głos łzawy i tejże chwili jedna z młodych kobiet klęczała u łoża hrabiny.

Druga stała ukryta za firankami, a my spuścimy zasłonę na scenę, jaka potem nastąpiła.

W tydzień później pochowano zwłoki hrabiny Romarierta z całym przepychem należnym jej stanowi.

Sąsiedzi wysławiali i chwalili jej surowe obyczaje i nadzwyczajne cnoty: dzieci jej były w nieutulonym żalu; tylko dawni poddani wcale nie uczyli poniesionej straty.

R O Z D Z I A Ł XLV.

We dwa miesiące później w ostatnich dniach września, Stefanja i Helfryda siedziały same w salonie.

— Czy Elin nie prędko wróci? spytała Helfryda. — Myślę, że przyjedzie razem z Jakóbem. Pojechała tylko na parę tygodni do stolicy odprowadzić pannę Weischaup. Z listu Jakóba wnoszę, że wkrótce razem powrócą.

Nigdy niezapomnę delikatności i współczucia, z jakim nam dopomagała w pielęgnowaniu mamy. Gdybyście, ty i ona — były rodzonemi dziećmi mojej matki, nie mogłybyście okazać większej dla niej miłości.

Helfryda siedziała na stołeczku u nóg Stefanji, wsparłszy głowę na kolanach przyjaciółki, ścisła jej rękę. — Nie mów o tem, Helfrydo; wierzaj mi, słuchałyśmy tylko głosu swojego serca. — Ale, droga Stefanjo, nie domyślasz się może, jak ciężko zawiniłszy względem Eliny. Ach, biedna! ma tyle powodów nas niekochać, a jednak w obec umierającej zupełnie zapomniała o krzywdach doznanych. — Więc przyznajesz, że Elin umie postępować szlachetnie, chociaż jest niskiego urodzenia? — Jak można myśleć o jej urodzeniu, patrząc na tak wymowne dowody jej wielkiej dobroci serca! Oczywiście wołałabym, żeby pochodziła ze znakomitej rodziny, w takim bowiem razie nie zaszyłyby między nami przykre stosunki, które były tyłu jej cierpień a naszych upokorzeń powodem; nigdy jednak nie

zapomnę o jej szlachetnem obchodzeniu się z mamą i prawdziwem uczuciu godności ludzkiej, jakkolwiek nie należy do arystokracji. — Gorąco pragnę zobaczyć jak najprędzej Jakóba, rzekła po chwili milczenia Stefanja. Już blisko trzy miesiące, jak go nie widziałam. — Prawda, pan Lange wyjechał jeszcze przed śmiercią mamy. Czy jaka ważna sprawa skłoniła go do tej podróży? — Poniękał ważna. Pojechał do Anglii odzyskać straconą spokojność.

Stefanja uczuła mocne drzenie Helfrydy. — Straconą spokojność powiadasz? powtórzyła dziewczyna. — Jakób kochał w Anglii młodą panienkę, a może i dziś jeszcze ją kocha. Przed pięciu laty, gdy jej rodzice mieszkali w Barthen, zaręczyli się z sobą. Elżbieta Jonker miała wówczas lat ośmnaście i była czarownem, powabnem i niewysłowienie miłym dziecięciem. Jest ona daleką krewną Jakóba, i gdy pracując w Barthen mieszkał u jej matki, nic dziwnego, że powstała między niemi gorąca i młodzieńcza miłość. I zaręczyli się. Elżbieta i jej matka żyły bardzo oszczędnie, prawie biednie. gdy niespodziewanie, otrzymały list z Anglii od brata pani Jonker, z wezwaniem, aby do niego przyjechały. Brat ten był bogaty i bezżenny. Jakób i Elżbieta od roku już byli zaręczeni; gdy musieli się rozstać, przyrzekłszy sobie wzajemną wierność, dopóki Jakób pracą nie zdobędzie niezależnego stanowiska i nie przyjedzie do Anglii po swoją narzeczoną. Jakób pracował dzień i noc, wyężdżając wszystkie siły swej duszy, korzystając z każdej chwili, żeby mógł jak najprędzej połączyć się ze swoją oblubienicą. Po trzech latach ciężkiej pracy i walk niezliczonych do-

piął nareszcie swojego celu. Zebrawszy znaczny kapitał przyjechał tu zemną zakładać fabryki. Listy Elżbiety były coraz rzadsze, w ostatniem półroczu ustały zupełnie, a jeden, który pisała jej matka przed samym naszym wyjazdem z Ameryki, mógł obudzić niepokój w duszy Jakóba, wyraźnie bowiem dawał do zrozumienia, że Elżbieta powzięła zamiar niedotrzymać danego słowa. Kiedyśmy przyjechali do Anglii, Elżbieta ze swoim wujem bawiła na lądzie stałym; Jakób dowiedział się tylko z boleścią, że zaręczyła się z bogatym kupcem, nie zerwawszy wprzód z Jakóbem, ani go zawiadomiwszy o zmianie postanowienia. Jakób nie powiedział ani jednego słowa żalu lub wyrzutu matce, i wyjechał ze mną z Anglii, unosząc nieuleczoną ranę w swem zacnem i wiernem sercu.

— A teraz pojechał skłonić ją, żeby pozostała wierną dawnemu słowu? zapytała Helfryda niepewnym głosem. — Nie Helfrydo, Jakób nie jest do tego zdolnym. Kobieta, która uczyniła sobie igraszkę z jego serca, nie może się niczego od niego spodziewać, choćby go na kolanach błagała o przebaczenie; ale Jakób kochał z całej duszy, a będąc w uczuciach wierny i wytrwały, kocha jeszcze wspomnienie powabnego dziecka, które tak często uśmiechało się doń miłością i którego świeże usta tyle mu dały gorących obietnic. Rozwiane sny czarowne wracają nieustannie, i właśnie od nich chce się teraz uwolnić, patrząc na kochankę taką, jaką jest obecnie i dowiadując się z jej własnych ust, iż z miłości robiła sobie igraszkę. Opowiadano w Anglii, że podczas trzechletniego rozłączenia z Jakóbem, zaręczyła się znowu i znowu zerwała dla innego. Jeżeli w istocie żartuje sobie z cudzych

uczuć, tak płocha i bez serca kobieta, może tylko wstępną obudzić w Jakóbie: jeżeli zaś okoliczności zmusiły ją złamać słowo, wspomni o niej z politowaniem; w obu dwóch jednak razach dla swojej spokojności musiał ją widzieć i z własnych jej ust dowiedzieć się prawdy, aby zatrzeć w duszy ostatnie niebezpieczne wrażenie, jakie pamięć o niej sprawiło. — Może ujrzenie jej po tylu latach, zamiast stłumić, podnieci jego miłość? — Nie, gdy jasno pozna prawdę, gdy wszelka wątpliwość zniknie, sam mocą woli oderwie się od uczuć, które musi potępić. — Czy to, jego pierwsza i jedyna miłość? — Tak jest, chociaż był czas, gdy z młodzieńczą żywością oddał się uczuciom, jakie ja w nim budziłam, i marzył o szczęściu ze mną; było to jednak złudzenie młodzieńcze, które się przemieniło w głęboką przyjaźń do śmierci. — Jak można poznawszy ciebie, później zakochać się w drugiej? — Można bardzo łatwo, jeśli miłość zmieni się w przyjaźń. Zresztą okoliczności sprawiły, że uczucia Jakóba dla mnie nigdy czem innem być nie mogły i nie będą, jak tylko najżywszem przywiązaniem.

Tu przerwało rozmowę wejście Eklunda, który zawiadomił, że właśnie przyjechali: hrabina Elin Romarhierta, lord Charter i pan Lange. Po chwili weszła Elin. Jak wszyscy mieszkańcy Kungsborga, nosiła grubą żałobę. Uściskawszy Stefanję i Helfrydę, Elin zawołała śmiejąc się:

— Co powiecie o lordzie Charter, tym człowieku zagadkowym, którego zastałam już w Stokholmie, chociaż jeszcze siedział w Kunsborgu, gdym ztąd wyjeżdżała.

Nie dość na tem. Wyobraźcie sobie, nie chcąc być od niego eskortowaną z powrotem, nie powiedziałam mu ani słowa, kiedy odjeżdżam ze stolicy; aż tu pod samym Kungsborgiem dogania mię powóz i któż w nim siedzi? Mylord. — Pani dobrodziejko, rzekł lord, który wszedł w tej chwili, gdybyś rzeczywiście chciała, abym niewiedząc, kiedy odjedziesz, tobyś nic o tem nie mówiła panie Weisshaupt. — Lord z uśmiechem powitał Stefanję i Helfrydę. — Przyszajcie, rzekła Elin podając mu krzesło, że los mój jest godzien litości: angielski lord jak cień zaklęty nie odstępuje mię przez całe życie! — Hrabina tak mówisz, a w istocie inaczej myślisz. — Ach, ach zawołała śmiejąc się Stefanja, znowu kłótnie! Elin zaledwie się z nami przywitała, nie powiedziała nawet, że panna Weisshaupt przesyła nam ostatnie pożegnanie. — I nie jedno! — przerwał lord, wygodnie siadając na kanapie, cały tuzin najpatetyczniejszych niemieckich tandresów i zachwyceń nad pani dobrocią, pięknnością i wdziękami, o czem wszystkim mówiła ze łzami rozczulenia. Nie będę opisywał, jak jej teraz tęskno i jak boleśnie było rozłączyć się z panią: praca ta nad moje siły. Że jednak cierpi biedaczka na ogólnie panującą w Niemczech chorobę pisania, możesz pani być pewną, iż odegrasz główną rolę w jej najpierwszym czterotomowym romansie. O tem wszystkim zapomniiała powiedzieć hrabina, a to z wielkiej radości, że mię tu spotyka. — O! zapewne — z radości! powtórzyła Elin. — Nie spierajmy się o słowa, hrabino, doskonale się i tak rozumiemy. Na honor, pan Lange ma minę Anglika. — Dla czego? — Bo wygląda jak prawdzi-

wy gentelman, nie jak yankees ¹⁾. Jakób przywitał serdecznie, po przyjacielsku Stefanję i zbliżył się do Helfrydy. Twarz jego wyrażała najżywsze współczucie, gdy ująwszy jej rękę rzekł: — Panno Helfrydo, potrzebuję ci mówić, jak głęboko i serdecznie podzielim twój smutek? Pani wiesz i czujesz, że z tego powodu serce moje cierpi, jakby samo doznało straty. — A jednak odjechałeś pan wtedy właśnie, gdy matka moja staczała ostatnią bolesną walkę ze śmiercią a....

Helfryda umilkła.

— A ja wiedziałem, jak są pani potrzebne słowa współczucia i pociechy; to chciałaś pani powiedzieć — tak. Ach, zbyt dobrze znam boleść, abym nie wiedział, że w pierwszej chwili doznanego nieszczęścia, wszelkie pocieszenie sprawia zupełnie przeciwny skutek. Zresztą nie miałem prawa podzielać pani smutku, a patrzeć i nie móc jak brat być wsparciem twojem w nieszczęściu, wydało mi się czemś boleśniejsem niż rozłączyć się na długo. Ale odjeżdżając, byłem przekonany, iż pani wie, że zdaleka czy z bliska myśli moje zawsze są przy tobie. — Słyszałam, że pan miałeś ważny powód jechać do Anglii. — Tym ważnym powodem była słabość, któraby nie usprawiedliwiła odjazdu, gdybym sądził, że zostając mogę być pani użytecznym. Jeślibym sądził, że mogę złagodzić boleść pani, żaden interes osobisty nie byłby w stanie ztąd mię oddalić. Ale wiedziałem, że obecność lub nieobecność moja w niczem nie zmieni twojej boleści; zresztą została przy pani Stefanja, a gdzie ona jest, tam

¹⁾ Tak nazywają żartobliwie Amerykanów północnych (P. R.)

jest także prawdziwa pociecha. Myśli moje były tu nieustannie, i gdy znowu ujrzał cię pani, zdawało mi się, że odzyskał część władzy duszy, którą straciłem w podróży.

Helfryda zarumieniła się na te wyrazy, ale Jakób dodał z nienasładowanym spokojem świadczącym, że te zapewnienia gorące płynęły z czystej przyjaźni tylko:

— Przyzwyczyłaś mię pani uważać się jak młodszą siostrę, w której zwierciadlanej duszy chętnie czytam własne myśli, czyste i szlachetne. — Pani jesteś dziećciem, którego serce niedoświadczone i niewinne przypomina mi piękne i szczęśliwe czasy, owe złote dni pierwszej młodości, w której nie znałem, co to smutek i cierpienie. — Alboż ja ich nie znam? — Tak jest; pani nie znasz jeszcze cierpień pochodzących z mylnego sądzenia o świecie i ludziach; z rozwianych złudzeń i gorzkich doświadczeń: mnie zaś one, że tak powiem, wydarły młodość duszy. — Wcale tego nie widać, gdy z gorącym zapalem mówisz pan o rozwoju i postępie ludzkości; wówczas jesteś pan młody zarówno duszą jak latami. — Tak jestem, pełen zapалу młodzieńczego we wszystkim, — ale jak starzec nie wierzę już w ułudne marzenia życia. Nie należą do tych, co doznawszy wielu nieszczęść stają się nieprzyjaciołmi ludzi! Nie zaiste, życie ma jeszcze wielką dla mnie wartość, kocham ludzi równie gorąco jak dawniej i w ogóle o życiu podzielałam to zdanie wielkiego poety:

„Gdy będziesz dziękował Bogu za każdą radość,
Zabraknie ci czasu do skarg na cierpienia.“

I kocham życie, jak ono jest rzeczywiście, nie rojąc o niem owych cudownych marzeń, którym tak chętnie oddajemy się w pani latach. — Zdaje się, że podróż nie posłużyła panu, rzekła Helfryda patrząc na bladą i smutną twarz Jakóba. — Przeciwnie pani, podobny jestem do chorego, który po ciężkiej operacji przyszedł do zdrowia. Wprawdzie dawnych sił jeszcze nie odzyskał, — ale jest wyleczony. — Zupełnie? zapytała Helfryda. — Najzupełniej. Pozostało mi tylko wspomnienie boleści, bo samej boleści już nie czuję. Teraz nie pozostaje mi, jak założyć nowe podstawy szczęścia, tym razem jednak, nie będę go budował na piasku. I spojrzenia jego w tej chwili padły na Stefanję. Helfryda powiodła oczyma w kierunku jego wzroku i rzekła:

— Kto w niej pokłada swe nadzieje, ten nie buduje na piasku. — Nie, na Boga — żywo odparł Jakób, a oczy jego wyrażały najgorętsze przywiązanie — ten buduje na opoce. W jej orszaku idą: miłość i wierność. Kto jej serce posiada, może niedbać o skarby całego świata.

Wieczorem, gdy się towarzystwo rozeszło, Stefanja i Jakób siedzieli jeszcze w salonie.

— Nie potrzebuję się pytać, czyś uleczony, — poznałam z pierwszego wejrzenia, rzekła Stefanja, przesunawszy dłoń po jego czole. Więc złamała wiarę? — Tak i bez żadnego skrupułu — z wolna odpowiedział Jakób.

Żaden nagły powód, nie zgola jej nie zmusiło do takiego postąpienia. Owszem matka, wuj i wszyscy upominali ją, by dotrzymała danego słowa; ale chcąc koniecznie bogatego męża, zaręczyła się najprzód z młodym Anglikiem, który uchodził za milionera. Gdy jednak wkrótce jego ojciec umarł i pokazało się, że niewielkie rzeczy zostawił, zerwała stosunki z narzeczoną i teraz wychodzi za innego. — Czy sama ci to mówiła? — Sama, tylko innemi słowy. Rozumowała tak: „Bez majątku nie pojmuję szczęścia, sama miłość nie może mię uszczęśliwić. Lubię zabawy i przyjemności życia, a niedostatku znieść bym niemogła.“ To są jej własne wyrazy. Zapewniała mię, że miłość naszą zawsze uważała za dzieciństwo i zabawkę. Zresztą myślała, że i ja będę miał tyle rozumu, iż poszukam sobie bogatszej żony. „Cóż jest, miłość, panie Jakób, mówiła, jeśli nie ostatnia z naszych zabawek dziecińczych? Chętnie się w nią bawimy, póki rozum nie dojrzeje; skoro jednak wyrobimy sobie jasne pojęcie o życiu, porzucamy tę resztę dzieciństwa, jak ostatnią lalkę.“ Łątwo pojmujesz, że tak rozumna Elżbieta zatarła wszelkie wspomnienia o czarownej dziewczyci, którą niegdyś kochałem.

— Więc jesteś zupełnie uleczony? — Tak, zupełnie. — I serce twoje znowu.... — Znowu będzie czynne. Duższa moja z całą dawniejszą energią poświęci się pracy. Objechałem już wszystkie miasta fabryczne Anglii, zwiedziłem wszystkie rękodzielnie, z bogacając w ten sposób nowemi ideami umysł, a duszy dając nowe przedmioty zięcia. — I nowe nadzieje w życiu. — Tak, ale ich nie pokładam w kobiecie. — O tem kiedyś pomówimy.

Jakób wstał zabierając się do wyjścia. — Nie widziałem jeszcze hrabiego, rzekł: czy wyjechał z Kungsborga? Tak jest, stosownie do testamentu swojego wuja pojechał zawrzeć kontrakt kupna dawnej posiadłości rodziny Runa, i tam w starożytnym zamku hrabiowskim założyć fabrykę. — Widać, jego tam obecność musiała być potrzebną. — A jakże mu się podobał testament hrabiego Runa? zapytał z uśmiechem Jakób. — Ach, mój drogi, dziś zupełnie inaczej patrzy na to, co by przed trzema laty uważał za zniewagę. Ten sam hrabia Herman Romarhierta, który dawniej miałby sobie za największą hańbę pracować na kawałek chleba, dziś z zapalem przyjął myśl wyrażoną w testamencie. Przekonał się, że rozdzielone interesa klas ludności są główną przeszkodą w pomyślności narodów, i że jeśli jaki kraj ma czynić wielkie postępy na drodze cywilizacji i oświaty, to muszą w nim być wspólne wszystkie interesa najwyższe i najniższe. Podobnie doskonale poznał, że praca nigdy nie poniża. że owszem, ona to stanowczo podtrzymuje potęgę narodów, i że państwo niezmiernie zyskuje pod materialnym i duchowym względem, gdy każdy jego członek szuka uszlachetnienia w pracy użytecznej. — I wierzysz, że teraz we wszystkim postępować będzie jak człowiek honorowy i światły? — Tak mocno w to wierzę, że umarłabym doznawszy zawodu. Dobranoc, przyjacielu!

Podala mu rękę i rozeszli się.

ROZDZIAŁ XLVI.

W kilka dni później zebrali się wszyscy w wielkim salonie. Jakób mówił z żywym zajęciem o instytucjach amerykańskich, a od nich przeszedł do zasad arystokratycznych.

— Nie można zaprzeczyć, że wniosła myśl jest zasadniczą podstawą arystokracji, rzekła Helfryda; wspiera się bowiem na usiłowaniu uszlachetnienia człowieka. Przypuściwszy, że przyzwyczajenie uzacnia duchowe przymioty i nadaje im wyższy rozwój, musimy wyznać, że zasada arystokracji jest dobra i prawdziwa. — Niezawodnie, rzekł Jakób. Wadą jest jednak, że często od najpierwszej młodości rozwijają tylko samolubstwo w ludziach tego stanu. Wysokie wyobrażenie własnej wartości, niedorzeczna duma z odziedziczonych tytułów, pretensja do przodowania w publicznym i prywatnym życiu, wzgarda dla ludzi zajmujących niższe stanowiska w społeczeństwie — oto pospolite wady wielu ludzi tej klasy. — Dobrze urodzony próżniaczek patrzy z góry na człowieka, który pracą i trudem zdobył sobie stanowisko niezależne. Chciej sobie przypomnieć, panno Helfrydo, jak od lat dzieciennych przyzwyczajono cię lekceważyć osoby, które z niczego wyszły na ludzi. — Tak, wtrąciła Elina, przypomnij sobie, jak kapitana Martenson zawsze nazywano dorobkiewiczem i parweniuszem, a jednak powiedz, czyż wielu znalazła ludzi, którzy bardziej od niego

godni byli szacunku? Czyż jego charakter prawy i znaczny nie zasługiwał na poważanie? — Wszyscy też go poważali, odpowiedziała Helfryda tonem zdradzającym, że ta rozmowa przykrość jej sprawiła. — Mylisz się, żywo odpowiedziała Elina, nie jego charakter, ale jego pieniądze poważano. Przed pieniędzmi uchyla czoła najwynioślejszy pyszałek. Nie przeszkodziło to jednak człowiekowi należącemu do wysokiej arystokracji zdeptać jego honor i spokojność duszy.

Elina wymówiła te słowa niezwykle surowym tonem. Stefanijska była zmieszana. Czoło Hermana się nachmurzyło.

Jakób nadał zaraz inny, ogólniejszy zwrot rozmowie.

— Hrabino, nagle odezwał się lord Charter, który siedząc cicho przewracał karty książki, — czy to był jaki krewny znajomej naszej pani Martenson? — Tak jest, mylordzie. — Bardzo piękna kobieta. Szkoda, że tak młodo umarła. Lord był to mężczyzna trzydziesto-sześcioletni, pod każdym względem piękny, wysoki, wysmukły i nieco sztywny jak prawdziwy Anglo-saxon. Szlachcic w najpiękniejszym znaczeniu tego wyrazu, nie był jednak wolnym od dziwactw i fantazji właściwych Anglikom. Uparty jak wszyscy jego ziomkowie, jeśli sobie co wziął do głowy nie ustąpił dopóki swego nie dopiął. Gotów był dziesięć lat nieruszać się z miejsca i patrzeć na starą chwiejącą się wieżę kościoła, jeśli sobie postanowił widzieć jej upadek. Podobny upór sprowadził go do Kungsborga, gdzie bez ceremonji zamieszkał czekając. Na co czekał, — o tem wkrótce się dowiemy. Stefanijska proponowała grę na fortepianie i podczas gdy Helfryda i Jakób śpiewali duet, Herman zbliżył się do lorda Charter i rzekł:

— Więc mylordzie spotkałeś się z panią Martenson— gdzie i kiedy? — Było to w tym samym roku, w którym poznałem hrabinę, to jest, przed jedenastu laty. Bawiłem wówczas w Pizzie i tam poznałem się z państwem Martenson. Ona była bardzo słaba, i umarła podczas naszej bytności w Pizzie.—Na co umarła?—Ze zgryzot, jak się zdaje, gdyż wyglądała jak posąg najgłębszego smutku. — Pani Martenson umarła na suchoty, rzekła Elina siadając za Hermanem.

Gdy hrabia zbliżył się do lorda, Elina siedziała w przeciwnej stronie sali, i nie spostrzegł, iż zmieniła miejsce.—Hrabina ma słuszość; umarła na suchoty, ale suchoty były następstwem zgryzot, rzekł lord nie patrząc na książkę, której karty przewracał.—A zkąd wiesz mylordzie, że ze zgryzot zapadła w chorobę? zapytała Elina brwi zmarszczywszy.—Ztąd wiem, że wszystkie kobiety nieszczęśliwie kochające, nieszczęśliwie zameżne i od swoich kochanków opuszczone, dostają suchot. Ty hrabino, z pewnością nie znasz tej szkaradnej choroby.—Zczego wnosisz mylordzie?—Gdy jesteś zbyt wielką grymaśnicą, byś mogła uleść podobnej słabości jak nieuleczony smutek.

Herman odszedł, a Elina siadła na kanapie przy lordzie.

— Więc jestem grymaśnica?—Okropna!—Mylordzie, nie bardzo grzeczny.—Już przed laty dziesięciu powiedziałem to samo hrabinie. — A jednak się nie poprawiłeś.—Zupełnie jak pani—zawsze jestem jednaki.

Lord spojrział na Elinę z komiczną powagą.

— Jeśli jednak jestem tak okropną grymaśnicą, po

cóż mię pan jak cień nie odstępujesz? zapytała Elina z roztargnieniem bawiąc się kwiatami.—Miły Boże, bo panią kocham! Powiedziałem to już hrabinie przed dziesięciu laty.—Kochasz pan grymaśnicę?—Właśnie za grymasy. A prócz tego jesteś tak wysoce zalotną, że niekiedy przywodzisz mię do szaleństwa. A jednak mię kochasz, mylordzie? — Z pewnością, bo gdybyś pani nie była taką grymaśnicą, niestałą i zalotną, nie mogłabyś mi dokuczyć, a jeśli byś mi nie dokuczała, to bym się nieznośnie nudził, a nudząc się nie mógłbym cię kochać. Kobiety, które mają się mi podobać, nie powinny być aniołami, ani koźmi, ani jagniętami.—Fi—jaka niedelikatność, mówić współcześnie o kobietach i o koniach! Czy wiesz mylordzie, że ci zabraniam pokazywać mi się na oczy.—Pani możesz wyśmienicie zabraniać i rozkazywać, ale mnie się podoba nie słuchać. O tem wiesz, hrabino.—Proszę mi powiedzieć, dla czego mię pan prześladujesz?—Chodzę śladem pani, ale nie prześladuję.—I na co?—I o tem wiesz, hrabino. Albowiem postanowiłem, że będziesz lady Charter.—Doprawdy? To się pan przygotuj jeszcze z lat dziesięć biegać moim śladem. — Nie zawadzi, choćby dwadzieścia. — Jesteś pan niepoprawiony.—Zupełnie jak pani, z tą tylko różnicą, że ja jestem zawsze wierny swemu postanowieniu, a pani nigdy.—*Eh bien*, robię co mi się podoba.—Ja także, wykonywam to tylko, com postanowił. — Lord zamknął książkę i z najspokojniejszą w świecie miną zabrał się do przeglądania drugiej.

Elina patrzyła na niego na poły z uśmiechem, na poły rozniewana.—Nie znam mężczyzny, któryby mię tak

gniewał jak pan, odezwała się znowu Elina. — Ani ja kobiety, któraby mi tak dokuczała, jak hrabina. — Czy nie byłoby lepiej pojechać do swojej nudnej Anglii i uwolnić mię od nieustannych udręczeń, a siebie od dokuczania — Ani myślę — gdyż właśnie lubię pasjami, żeby mi dokuczano. — Ale ja bynajmniej nie szukam udręczeń, a pan mię dręczysz. Obecność pana sprawia mi męczarnię. — Mylisz się hrabino. Gdybyśmy się rozłączyli, nudziłabyś się nie mniej odemnie. — Może jeszcze mylordzie będziesz utrzymywał, że jestem w tobie zakochana? — Wcale nie, pani nie jesteś zdolna kochać, jak nie jesteś zdolna głęboko się smucić? — Oczywiście, bo jednego dnia lejesz pani łzy rześiste, rozpaczasz i jesteś niepokieszona, a drugiego zapominasz o smutku i radujesz się jak dziecko. Właśnie ta niestałość charakteru pani niezmiernie mi się podoba.

Gdy tak lord Charter rozmawiał z Eliną, Herman zbliżył się do Stefanji. — Czy pani sądzi, zapytał siadając przy niej, że żona kochająca męża, może tak w ogólnej rozmowie wręcz dotknąć przedmiotu, który jest dla niego najboleśniejszy i najdrażliwszy? — Widać, że ten mąż ciężko zawinił. — Nie jesteś pani sprawiedliwą. Byłże postępek Eliny delikatnym? — Wypowiedziała swoje przekonanie, nic więcej. — Ach, pani! zawołał uderzając się w czoło, dałbym nie wiedzieć co, gdybym mógł jeden czyn wydrzeć ze swojego przeszłego życia, a właśnie ona wie o tym nienawistnym, złym czynie.

Stefanija patrzyła na niego ze współczuciem. — Zły czyn, powiadasz pan? Alboż Herman Romarhierta mógł kiedykolwiek dopuścić się podobnego czynu?

Herman utkwiał oczy w Stefanji i rzekł: — Tak jest pani, ten dumny Herman Romarhierta w istocie popełnił czyn podobny, a pani chcesz, aby się połączył z jedną osobą, która wie o nim, i żeby codziennie, co chwila, rumienił się przed nią. — Miłość zapomina i przebacza, szepnęła Stefanija. — Miłość? — Tak jest, alboż pan sądzisz, że kobieta, która od lat dziecinnych jednego tylko mężczyznę kochała, nie zapomni i nie przebaczy mu wszystkich jego błędów? — Nie kocha się ludzi z wadami, rzekł Herman poważnie. — Więc nie kochalibyśmy nigdy, bo nie masz doskonałości na świecie. Ty sam hrabio, czy możesz powiedzieć, żeś kiedy kochał osobę, w której nie było żadnej wady? — Raz tylko kochałem i w tej osobie... Cóż? — Nie widziałem żadnej wady. — Ale dostrzegłeś później? — Dotychczas nie, a choćbym później dostrzegł, to wiem, że cnoty przeważają. — To samo myśli o panu Elina. — Elina i zawsze Elina! Racz pani spojrzeć, jak sobie tam swobodnie gawędzi z lordem; alboż wygląda na osobę, co nosi w sercu miłość nieszczęśliwą? — Na to nie umiem odpowiedzieć. Wiem tylko, że Elina kochała pana i kocha z całej duszy i z całego serca.

Głos Stefanji drżał, twarz miała rzewny, cudny wyraz, oczy były łez pełne. — Elina się śmieje, pani płaczesz i bronisz jej! Dla ciebie gotówbym... — Elinie winien pan jesteś życie, rzekła poważnie Stefanija. Na dowód opowiem panu, ile wycierpiała biedna.

W kilka dni później Elina wymawiając się bólem głowy, pozostała w swoim pokoju; Helfryda i Jane poszły ją rozerwać. Lord Charter zaraz po południu pojechał do Akersnäs i resztę dnia przepędził z Jakóbem. Gdy Eklund zapalił światła w salonie, weszła Stefanija, i na zapytanie starego sługi, gdzie mają podać herbatę, rzekła:—Innym paniom niech podadzą u hrabiny. Ja tu będę piła. Zejdź pan do hrabiego i proś do mnie.—Dobrze pani. Czy i hrabia tutaj będzie pił herbatę?—Tak, odpowiedziała Stefanija siadając na kanapie, przy której stał stół ze świecznikiem.

W krótkce przyszedł hrabia.—Dziś w wieczór postanowiłam, że pan poprzestaniesz na mojem towarzystwie, rzekła Stefanija i nie wstając podała mu rękę.—Pani wie, iż towarzystwo to przekładam nad wszystkie inne, odpowiedział hrabia i pocałowałszy podaną sobie rękę, siadł na fotelu przy kanapie.—Wie pan, dla czego opuściłam Elinę, aby tu z panem wieczór przepędzić?—Nie wiem, zapewne jednak miałaś pani ważne powody, gdyż wiem, że.... — Że co? — Że nie uczucie panię tu sprowadza.—Strzeż się hrabio, wpadasz w sprzeczność z sobą samym. Przypomnij sobie, coś twierdził niedawno, że ludzie zawsze powodują się tylko uczuciem.—Bo tak jest w rzeczy samej, i dziś jeszcze to twierdzę. Mówiąc zaś teraz o uczuciu, miałem na myśli głos serca.—I sądzisz pan, że nie mogę usłuchać tego głosu?—W duszy pani przeważają rozum i dobroć serca. Każdy inny wpływ odpychasz, każde inne uczucie tłumisz.—Panie hrabio, gdy ci kiedyś opowiem swoją historję, sam przyznasz, że nie masz słuszności. Wcale nie jestem wzorem doskonałości,

za jaki mię uważasz. Ale teraz nie będę mówiła o sobie. Chciałabym zwrócić uwagę pańską na inny przedmiot, czy tylko zechcesz mię słuchać?—Owszem, pani! rzekł Herman, zimno spojrzawszy na Stefaniję.

Młoda kobieta spostrzegła tę zmianę w jego usposobieniu, udała jednak, że nic nie widzi.

— Przed kilku dniami—mówiła—pan i ja spieraliśmy się z powodu Eliny, nie doszedłszy jednak do jasnych wniosków o przyszłym stanowisku jej i pana. Pewnem jest, że pan nie poznasz jej nigdy, dopóki się nie dowiesz, ile była nieszczęśliwą. Jestem jednak przekonana, że nie zawachasz się ani na chwilę oddać jej zupełną sprawiedliwość, skoro poznasz cierpienia, jakie przeżyła, a których wielu ani się domyślasz: i niezawodnie wyda ci się okrutnem, że tak młoda i niedoświadczona, wtrąconą została w straszne, goryczy i boleści pełne położenie. Wybaczysz mi pan przeto, jeśli w opowiadaniu swojem powtórzę rzeczy już znane, konieczne to jednak do przedstawienia dokładnego obrazu przeszłości. Przyrzeknij mi pan także słuchać mojego opowiadania bez goryczy i wstrętu. Zapomnij, że mówię o wnuczce kowala, a pomyśl tylko—że przed twemi oczyma roztaczam wzruszający obraz cierpień kobiety.

Stefanija podała Hermanowi rękę dodając:—To wyniosły Herman Romarhierta odegrywa główną rolę w mojej historii, to pyszny ze swego rodu arystokrata, nie zaś prawdziwy szlachcic, którego nauczyłam się cenić i szanować, tak dalece, że prawie zapomniała o wadach jego stanu.—W zamian za ten szacunek pani, odrzekł Herman z gorzkim uśmiechem, nauczyłaś mię lekceważyć swój

stan i czuć wzdargę dla własnej pychy i wyniosłości.— Wieg zwyciężyłam w panu gorszego człowieka, i na przyszłość tylko lepszy będzie kierownikiem pańskich postępów.— Pani, słońce topi wprawdzie lód, ale go w ogień nie przemienia. A jednak chcesz tego dokazać, gdy się spodziewasz po znikłej pysze mojej, iż rozbudzi ciepłe i potężne uczucie, które będzie w stanie powiązać zerwane węzły. A z resztą, czyż pani nie wie, jak potężnego wroga tego zwycięstwa spotykasz w mej własnej piersi? Czy nie wiesz, jak moje serce jest niezdolne do posłuszeństwa?—Wiem, ale sir Edward, do którego pana przyrównywan, dla obowiązku poświęcił najgorętsze uczucia swojego serca.—Sir Edward nigdy ciebie pani nie widział, ani poznał twej duszy.—Porzućmy to i wróćmy raczej do historii Eliny.

„Zapewne wiadomo panu, że zaraz po ożenieniu ojca z Zelmą Fries, Elina odesłana została na pensję do stolicy. Ale tego pan nie wie, że Elin uniosła z sobą dwa wszystkie inne pochłaniające uczucia. Jednem była miłość dla ojca posunięta aż do bałwochwalstwa, drugim dziecinne fantazyjne podziwienie dla hrabiego Hermana.—Czternastoletnia Elina była milcząca, marzycielka, zamknięta w sobie i niedostępna, z rozumem przedwczesnie dojrzałym i zarodem głębokich a silnych namiętności. Zdawałoby się, że zbyt wczesne rozwinięcie jej duszy szkodliwie wpłynęło na ciało, gdyż powierzchowność jej i cała postać były chorowite, słabe, nierozwinięte; może też życie pensjonarskie w zamknięciu nie sprzyjało swobodnemu rozwinięciu zdrowia i siły. Podobną była do rośliny w doniczce, co lodygą strzela wy-

soko, ale ma liście drobne i blade, gdyż ścieśnione w szczupłej przestrzeni korzenie nie mogą w pełni rozwinać życia. Jeśli jednak na pensji zbywało Elinie na dostatecznem powietrzu, ruchu i swobodzie, za to, tem niebezpieczniej i zbyt wczesnie rozwijały się i dojrzewały uczucia i myśli. Jej koleżanki dostarczały jej do czytania powieści i romansów, bez żadnego wyboru, ukradkiem, bez wiedzy ochmistrzyni. Napojona trucizną tych książek, wkrótce Elina wysnuła cały romans ze swego dziecinnego podziwienia dla hrabiego Hermana. W jej wyobraźni Herman stał się bohaterem, a ona miała odegrać rolę bohaterki. Pisząc w szkole wypracowanie lub siedząc pochylona przy krosienkach, układała romanse jedne po drugich, które wszystkie krążyły około jednego: że mianowicie po latach kilku spotka się z hrabią, że będzie piękną, że hrabia się na śmierć w niej zakocha i t. d., i t. d.

Jak pan widzisz, ciche te marzenia, zupełnie zamknięte w jej duszy, gdyż różna w tem od innych dziewcząt, nie mówiła nikomu o swoich dziecinnych urojeniach, z dniem każdym stawały się niebezpieczniejsze, zwłaszcza iż czuła się samą i opuszczoną, bo teraz ojciec rzadko kiedy kilka słów do niej napisał. Oplakując stratę miłości swego ojca, bez przeszkody oddawała się marzeniom o hrabi. Tak upłynęły dwa lata i z szesnastym rokiem serce Eliny było zupełnie ovladnięte jednym uczuciem, uczuciem spotęgowanym do namiętności. Było to wówczas, gdy w towarzystwie macochy widywała pana codziennie w Strämstad.“ Stefanija zamilkła i oparłszy się o poręcz kanapy, zamknęła na chwilę oczy, jakby

tłumiąc gwałtowną, wewnętrzną boleść. Herman siedział zamyślony wsparłszy czoło na rękę. Po chwili Stefania tak dalej opowiadała:

„Wiadomo panu najlepiej, z jak gwałtowną namiętnością kochałeś macochę Eliny, i jak ona okazała się słabą dla pana. Elina była zbyt młoda, żeby mogła jasno zdać sobie sprawę z tego, co się dokoła niej działo, a szczególnie, żeby rozumiała charakter stosunków Zelmy z hrabią Romarhierta. Wiedziała tylko i rozumiała, że pan kochałeś jej macochę.

Gdybym opowiedziała panu, ile wycierpiało w cichości serce Eliny, to byś użalił się nad biednym dzieckiem, które z braku stosownego pokierowania padło ofiarą przedwczesnego uczucia. Śmiało można powiedzieć, że owe sześć tygodni pobytu u wód były dla młodego serca całą wiecznością cierpień niezmiernych. Stan taki był jeszcze tem nieznośniejszy, że wyobrażnia Eliny przesadzała go coraz bardziej, gdyż biedna nie miała komu powierzyć swych męczarni, miłości niewzajemnej i zazdrości.

Każdej chwili przez cały ten długi przeciąg czasu powtarzała sobie: „On ją kocha i ledwie wie, że ja żyję na świecie.“ Później konwulsyjnie cisnęła ręce do piersi lub gorzkiemi zalewała się łzami. Lękając się jednak, żeby nie poznano jej cierpień, zatrzymała je w swem sercu dziecinem. Nakoniec opuszczono Strömstad i Elina wróciła na pensję z cierpieniami duszy, które odtąd miały nieodstępować jej przez całe życie. Samotnie marząc w swym pensjonarskim pokoju, Elina zaczęła snuć ze swej nieszczęśliwej miłości nowy romans, w którym znowu grała główną rolę. W młodzieńczej wyobraźni rola, że

pan nieszczęśliwie zakochany w jej macosze, nie będziesz miał nadziei obudzenia miłości w Elinie, która jednak zostawszy piękną, marzyć będzie o tem tylko, jakby osłodzić cierpienia, na jakie cię skazała nieszczęsna miłość dla Zelmy. Elina ani na chwilę nie przypuściła, że macocha podzielała uczucia pana. Zdawało jej się niepodobieństwem, żeby osoba posiadająca serce jej ojca, mogła się do drugiego przywiązać. W oczach Eliny, ojciec był tak niedościgłym ideałem męskiej doskonałości, że nawet hrabia Herman nie mógł wytrzymać z nim porównania.

Rok upłynął; macocha zabrała Elinę z pensji do domu. Ledwie Elina stanęła pod dachem swojego ojca, pan ukazałeś się tam zaraz. Kilkogodzinne obcowanie z macochą przekonało Elinę, że hrabia pozyskał wzajemność, że ojciec był zdradzony, a sama nie miała żadnej nadziei.

Najbardziej dręczyła ją myśl o ojcu. Oddałaby przyszłe szczęście i życie swoje, oddałaby wszystko, byle oszczędzić ojcu okrutnej boleści, jaką by mu sprawiła pewność, że go zwodzi osoba, którą kocha. Właśnie w chwili gdy Elina zapomniawszy o własnych męczarniach, myślała tylko o ojcu, ten wszedł do jej pokoju i zapowiedział, aby się nie ważyła pomagać macosze, gdyby ta zamierzała złamać mu wiarę. Rozmowę zakończył temi słowy: „Najprzód zastrzelę człowieka, który mi skradł szczęście, a potem sobie w łeb wypalę.“

Z temi słowy opuścił biedne dziecko, które nie było w stanie dopatrzeć jasnej drogi pośród tych zawiłych stosunków. Tak miłość, dawniej już będąca podwójną męką dla młodej dziewczycy, teraz ukazała się jak straszne widmo, po za którym leżały krwawe trupy dwóch

jedynych istot, jakie kochała i dla których oddałaby ostatnią kroplę krwi własnej. Lękając się następstw, które mi ojciec groził, Elina nie spuszczała ani na chwilę z oczu Zelmy i hrabiego i tym sposobem doszła jej wiadomość o umówionej schadzce w altanie. Nie tracąc czasu Elina pobiegła do pokoju macochy, prosiła i groziła, by wy-módził na niej obietnicę zerwania stosunków z hrabią. Gdy Zelma odmówiła, Elina w przystępie rozpaczcy powzięła na chwilę myśl raczej odebrania jej życia, niż dopuszczenia oczywiście zguby ojca i hrabiego. Właśnie w tej rozpacznej chwili zabłysła jej nagle myśl inna, jak mniemała, szczęśliwsza: udać się do pana i błagać, abyś opuścił dom jej ojca i nigdy już nie widywał macochy. Wiadomo panu, jak się powiódł ten sposób.“

Stefanija znowu umilkła, a z drgania jej rzęs i warg widocznem było, że to opowiadanie dużo ją kosztowało. Herman siedział nieruchomy. Stefanija ciężko odetchnąwszy, mówiła dalej głosem niepewnym:

„Zmuszona — głównie z obawy aby jej odmowa nie wykrzyła rzeczywistych stosunków — Elina mimo swej woli zgodziła się zostać żoną człowieka, którego aż do fanatyzmu kochała. Była to straszna, okropna chwila, gdy ojciec odepchnął ją od siebie na całą przyszłość; i zdawało jej się, że ją na śmierć skazano, gdy pozostała sama w tej nieszczęsnej altanie. Z rozpaczą w sercu rzuciła spojrzenie do koła i pierwszy przedmiot, jaki jej oczy spotkały, był ów list fatalny, co o jej życiu rostrzygnął. Nie знаła jego treści, rozumiała jednak, że w niej była wypisana hańba macochy — hańba, którą przyjęła na siebie. Tak jeszcze z całej duszy kochała uwodziciela

swojej macochy, że nie chciała przeczytać wierszy, które były świadkami jego winy. Słuchając głosu miłości — która każe nam kobietom poświęcać życie, byle ocalić przedmiot kochany — Elina spaliła list, jedyny dowód wyraźny, winy drugich a jej niewinności.“

Stefanija ciężko odetchnęła i dodała z cicha: — Musiałeś pan bardzo kochać Zelmę, kiedyś wołał poświęcić siebie i biedne dziecię, byle nie wykryć występnej macochy.

Herman zwolna podniósł pochylone czoło i rzekł:

— Pani, na kilka minut przed tem dałem słowo Elinie, że nigdy nie zdradzę swoich stosunków z Zelmą. Zresztą nie mogłem rozgłaszać rzeczy, które w następstwie swoim mogły pozbawić Elinę ojca i ściągnąć przekleństwo na kobietę, której całą winą było, że uległa moim burzliwym namiętnościom.

— Namiętnościom tylko? zapytała Stefanija; masz to znaczyć, że pan nigdy nie kochałeś Zelmy?

— Stefanijo, szepnął Herman ujawnszy jej ręce i z bolesną gwałtownością przycisnąwszy je do ust swoich: nigdy nie byłbym w stanie poniżyć swą żądzą kobiety, która obudziła w mem sercu rzeczywistą miłość. O tem wiesz pani, nie prawdaż? To com czuł dla Zelmy, było upajającym szalem młodości, który zostawił po sobie wzgardę, gorycz i zimno.

— Dzięki, hrabio, odpowiedziała wyrывая swoje ręce, i tak dalej opowiadała:

„Nie będę opisywała trzech tygodni, które upłynęły od sceny w altanie do ślubu Eliny. Codziennie, odtrącona córka leżała u nóg ojca błagając o przebaczenie winy, której nigdy nie popełniła, i codziennie odchodziła

niewysłuchana. Gdyby miłość Eliny dla ojca była cichą i spokojną, możeby łatwiej swój los znosiła; ale w piersi biednego dziecka wszystkie uczucia wpadły w ostateczność, a jej miłość dla ojca była prawdziwą namiętnością. Zdawało jej się, że nie będzie mogła żyć bez jego przebaczenia. Biedne dziecko! Nigdy nie miało otrzymać tego przebaczenia! Nadszedł nakoniec dzień, w którym Elina miała zostać małżonką hrabiego. Sama w swoim pokoju, całe godziny przepędzała na modlitwie, ślubując Bogu, że zawsze będzie pokorną, cichą i uległą jego woli.

Rodzony ojciec nie pocieszył jej przyjaznem słowem, ani spojrzeniem. Gdy już była ubrana do ślubu, wszedł do niej ojciec hrabiego. I po raz pierwszy znowu usłyszała słowa słodczy i miłości pełne. Stary hrabia powiedział jej, że wie wszystko, że wie, iż jest niewinną ofiarą za grzechy, których nie popełniła. Wzruszony jej smutnym losem, obiecał być jej ojcem i przycisnąwszy do swojej piersi zapewnił, że choćby syn nie wypłacił swego względem niej długu, to jednak zawsze będzie dla niej z szacunkiem, a może i z wdzięcznością. Znowu błysnął promyk nadziei w ciemnościach, jakie otaczały siedemnastoletnią oblubienicę i stanęła przed kapłanem z trwożliwą nadzieją, że przynajmniej ten, dla którego się poświęciła, będzie miał dla niej litości spojrzeniem mówiące: „Biedne dziecko, będę podporą twoją, jeśli czem innem być nie mogę.“ Niestety, nie spojrzał na nią ani razu, gdy błada i drżąca stała obok niego. Była to gorzka bez granic chwila dla Eliny i gdy kapłan wyrzekł: *Amen*, zdało jej się, że zerwano strunę jej serca, tak się uczuła opuszczoną i bezdennie nieszczęśliwą! A jednak piła

dopiero pierwsze krople kielicha goryczy, który spełnić do dna byłoby jej przeznaczone. Dotychczas cierpiała od wzgardy ukrytej dla świata, w kwadrans po ślubie miała ją spotkać wzgarda publiczna. W chwili gdy twój powóz, panie hrabio, odjeżdżał i gdy zdawał się mówić światu: „Tak lekceważę kobietę, której zmuszony byłem dać swoje nazwisko, że nigdy jej nic więcej nie dam“ — w tej okrutnej chwili złamała się dusza Eliny i bez zmysłów padła przy oknie. Rzekłbyś, koła pańskiego powozu przejechały po jej sercu. Ach! ileż razy pragnęła nie wrócić już do życia! Stefanija znowu mówić przestała. Przez kilka minut tylko poruszanie się wahała zegaru przerywało milczenie. Młoda kobieta uważnie wpatrywała się w Hermana, który z głową opartą o poręcz fotelu siedział nieruchomy. Z bladego jego czoła mogłeś wyczytać, że opowiadanie Stefanji sprawiło na nim głębokie i dręczące wrażenie. Służący, który wniósł herbatę, przerwał milczenie i hrabia przetarłszy czoło rzekł:

— Posiadasz pani dziwną moc poruszenia wszystkich strun serca swemi słowy. — Jeśli ją rzeczywiście posiadamy, to dla tego że moje słowa z serca płyną, odpowiedziała ze słodczą Stefanija.

Milcząc pili herbatę. Z całej postaci Hermana widać było, że został pod wpływem najprzykrzejszych uczuć. — Może zaprzestać dalszego opowiadania? zapytała Stefanija. — Owszem pani; pragnę wysłuchać jej do końca. W prawdzie dajesz mi tu pani przykrą naukę, bo nic bardziej gorzkiego jak gdy drudzy wytykają nam postęпки, które sami ganimy; ale bardzo pożytecznie jest patrzeć

na taki obraz, gdyż dopiero wtedy poznajemy całą niedoskonałość swego charakteru.—Więc opowiadał dalej, rzekła Stefanija.

„Gdy Elina wróciła do przytomności, przeniesiono ją do jej pokoju. Pochyliła nad nią, stała siostra ojca, żona *nemdemana*, to jest członka włościańskiego sądu przysięgłych.—Jakże ci teraz, dziecko? pytała ze łzami w oczach patrząc na siostrzenicę.

Elina podniosła ręce do czoła. Nie miała bynajmniej jasnego wyobrażenia o tem, co zaszło i dopiero gdy ręka dotknęła wienca panny młodej, przypomniała sobie, co się stało.—Ciotko, zawołała, gdzie on? Co mi się śniło, czy też rzeczywiście odjechał?—Kochane dziecko, rzekła ze współczuciem ciotka wstrząsając głowę Eliny: w istocie odjechał, ale wróci, dodała pocieszając.

Elina zakryła twarz rękoma. Płakać nie mogła—Ojciec Eliny wszedł do pokoju córki i zimnym, surowym wyrazem twarzy zbliżył się ku niej. Skinąwszy na siostrę, żeby się oddaliła, rzekł:—Kobieta zniesławiona największą budzi wzdargę w tym, który ją zniesławił; ty jesteś wymownym tego dowodem. Twój mąż opuścił cię w kwadrans po ślubie, rzuciwszy ci te kilka wierszy na pożegnanie. Czytaj! Kapitan podał córce list. Ręce jej tak drżały, że zaledwie mogła utrzymać w nich papier. Żaden głos z ust jej nie wyszedł. Gdy ciągle milczała, ojciec rzekł jeszcze surowszym tonem: — Czytaj, powiadam ci—nie wiesz, że powinnaś mi być posłuszną!

Elina zwróciła oczy na list i milcząc przeczytała kilka wierszy. Ojciec przerwał. — Czytaj głośno, rozumiesz!

Elina czytała głosem drżącym i niewyraźnym:

„Szanowna pani!

Spełniłem swój obowiązek względem pani ojca, dawsz ci moje nazwisko, jedyną rzecz, jaką mogłem dług swój wypłacić, ale też więcej ofiarować nie mogę. Noś więc pani to nazwisko, a proszę go nie zniesławiać. Sama pani widzisz, że nigdy nie możemy uważać się za małżonków, bo ani pani nie jesteś moją żoną, ani ja twoim mężem. Prócz nazwiska nie mamy nic wspólnego, i dla tego drogi naszego życia nie powinny się nigdy spotkać. Żegnaj pani — wyjeżdżam za granicę. O ile zależy odemnie, nigdy mnie pani nie spotkasz.

Herman Romarhierta.“

Stefanija położyła rękę na ramieniu hrabiego i rzekła z cicha:—Czy pojmujesz hrabio, jakie ten list musiał sprawić wrażenie na sercu siedemnastoletniej Eliny? Czy pojmujesz że cios był za srogi i za ciężki, aby go mogła przenieść? Biednej się zdawało, że cała jej istota składała się z jednej nieskończonej boleści. Przeczytawszy ten list, długo siedziała nieruchoma, aż nagle zadrzała na głos ojca. Głos ten był tak surowy, ostry i zimny, że jak miecz przeszywał jej serce.

Kapitan mówił:—Sądzisz może, iż twój ojciec przebaczy córce, która się tak poniżyła, że nawet uwodziciel nie chciał jej uważać za swoją żonę i odepchnąwszy zaraz po ślubie, powiedział światu: Zmuszony byłem ożenić się z tą dziewczyną, ale w szacunku moim upadła tak nisko, że nie mogę jej dać miejsca przy sobie jako małżonce. Pojmujesz, nieszczęсна, żeś i mnie zniesławiła, i że z większem jeszcze prawem mogę cię odepchnąć! Już

dzisiaj odjedziesz do Hilesta, twojego macierzyńskiego majątku. Siedź tam, podróżuj i bądź, co ci się podoba, ale nie waz się pokazywać w domu ojca, dopóki mąż nie wróci ci przynajmniej pozorów szacunku i nie okaże przed światem, że z tobą żyje w zgodzie. On wyrzekł się cię publicznie—i ja toż samo uczynię. Kazałem zaprzężyć do powozu i oddalisz się stąd bezzwłocznie, dopóki jeszcze są goście weselni. Pamiętaj, że nie niższe mam pojęcie o honorze od arystokratów. Nie chcę, by mówiono, że Martenson pozwolił dziecku bezkarnie żartować ze swego honoru, lub że zadowolili się nazwiskiem hrabiowskim, które rzucono jego córce. Tak, nieszczęsne dziecko, powiedzą, że dorobkiewicz kupił hrabiego na męża swej córce, aby sam wcisnął się do pańskiej rodziny; ale dowiodę światu, że zbyt wysoko się cenię, bym miał szukać spokrewnienia z tą pyszną hołotą. Wzgardzona hrabina Romarhierta nie jest moim dzieckiem i nie może mieszkać w moim domu.“—Hrabio, dodała Stefanijsa z przejmującą powagą, tak mówił do Eliny jej ojciec, którego nad wszystko w świecie kochała.

Muskuły twarzy Hermana drgnęły i szybko podniosłszy chustkę do czoła, krzyknął głosem wzruszonym:—A Zelma? Zelma pozwoliła mu odepchnąć córkę, zamiast paść do nóg jego i wyznać, że Elina jest niewinną? — Zelma kochała pana, odpowiedziała łagodnie Stefanijsa, i raczej poświęciła wszystko, byle ciębie nie wystawić na wściekły gniew swego męża.

Herman spuścił głowę i ręką zasłonił oczy. Widać było, że to wspomnienie dręczyło go niezmiernie.

Stefanijsa mówiła dalej smutnym tonem:

„Nie będę panu opisywała, jak Elina z boleścią i rozpaczą rzuciła się do nóg ojca, żebrać o jedyną łaskę, by jej pozwolił mieszkać pod swym dachem. Wszystko było daremne. Odepchnął ją surowo, zimno, prawie ze wstrętem—i w pół godziny później powóz toczył się do Hillesta wioząc wzgardzoną od męża i ojca Elinę; przy jej boku siedziała ciotka prosta wieśniaczka, matka Greta, jedyna istota, która miała współczucie dla biednego dziecka. Gdy powóz zatrzymał się w Hillesta, Elina....“

Stefanijsa umilkła. Była tak blada, że jej wargi zbieleły.

Herman spojrzał przestraszony i zawołał: — Co ci jest, pani? zasłabłaś? — Nie. — Więc, błagam cię, mów dalej—prosił Herman, który zbłądł równie prawie jak ona. — Elina dostała pomieszania zmysłów, rzekła Stefanijsa zamarłym głosem.—Ha, to okropne! zawołał Herman zrywając się z krzesła.

Nastąpiło milczenie, podczas którego biegali po salonie niespokojny, nieprzytomny, w rozpacz. — Nakoniec zatrzymał się przed Stefaniją i rzekł: — Jak pani mogłaś nie czuć wstrętu do mnie, sprawcy tak okropnej nędzy? — Hrabio Hermanie, żałowałam cię tylko, odpowiedziała Stefanijsa z czarowną dobrocią, podając mu obiedwie ręce. Zasłепiony pychą nie rozumiałeś, że wnuczka kowala miała równie delikatne i czułe serce, jak córka bogatego hrabiego. Sądziłeś, że otrzymawszy tytuł pochlebiający próżności, nie będzie czuła piętna upokorzenia i wzgardy. Widzisz hrabio, do przesądów, w jakich zostałeś wychowany, należy i to mniemanie, że ludzie niskiego stanu nie mają uczucia i że można obchodzić się z nimi, jak się podoba, gdyż nie uczują ani wzgardy ani lekceważenia.

I dla tego nie raz depczecie najświętsze i najwznioślejsze uczucia klas niższych. Ale czyż dla tego mam się brzydzić panem? Bynajmniej hrabio. Ludzi szanuję i kocham, zasadami się brzydzę. Zasady samolubstwa, niesprawiedliwego wynoszenia się nad drugih, lekceważenia godności ludzkiej w upośledzonych od losu,—takie zasady potępiam i ze wstrętem odpycham. Ale nienawidzić ludzi wyznających te zasady, gardzić i brzydzić się nimi, nie mam prawa, nie mogę. Zresztą osobista znajomość z panem nastreczyła mi sposobność do wykrycia i szanowania wielu szlachetnych i wzniosłych przymiotów w jego charakterze, a przytem zaraz z pierwszego spotkania poznałam, że wpływem swoim mogę z czasem wydrzeć z pańskiego serca tę samolubną pychę, która tyle złego wyrządziła... Wiedziałam hrabio, że gdy kiedyś opowiem ci historję nieszczęśliwej Eliny, jej cierpienia gorzkie a niezasłużone wycisną łzy z twoich oczu i wówczas z oburzeniem i zgrozą pomyślisz o wszystkim złem, którego byłeś sprawcą. — Osądziłaś mię pani trafnie, rzekł Herman, do ust swoich przyciskając jej rękę. Racz opowiadać dalej.

Usiadła znowu przy kanapie, a Stefanja tak mówiła: „Dwa miesiące cierpiała Elina obłąkanie, kapitan Troberg i matka Gretta powieźli ją do stolicy i wezwali rady najznakomitszych doktorów. Dzięki ich staraniom a nadewszystko młodości, temu potężnemu środkowi lekarskiemu, Elin po kilku miesiącach odzyskała zupełnie rozum, ale zapadła w głęboką melancholję. Lekarze przepisali podróż za granicę, ale Elin nie chciała opuścić ojczyzny, dopóki pierwej nie otrzyma przebaczenia ojca.

Pisała do niego; lecz jej listy wracały nierozpieczętowane. Ta wzdarda i surowość dumnego ojca o mało ją znowu nie pozbawiły rozumu. Szczęściem, w tym właśnie czasie odwiedził biedną wzgardzoną ojciec pański, hrabia Romarhierta. Dowiedział się, że była chorą, tak nazywano jej obłąkanie, gdyż ojciec Eliny wyraźnie żądał, aby stan jej utrzymywano w tajemnicy. Dumny starzec miałby sobie za wielkie upokorzenie, gdyby mówiono, że jego córka zwarzowała dla tego, że ją odepchnął jej mąż, hrabia. Ojciec pański dowiedziawszy się, że lekarze przepisali Elinie podróż za granicę, namówił ją, żeby jechała i sam ofiarował się jej towarzyszyć. Mimo oporu swojej żony, która wyraźnie zapowiedziała, że nigdy córki szypa Martensona nie uzna za swoją synowę, ani jej uważać będzie za krewną, hrabia wyjechał z Eliną w podróż do Niemiec i Francji. Wszędzie przedstawiał ją jako małżonkę swojego syna i okazywał jej wszelkie względy, jakich córka może oczekiwać od ojca. Później też Elin oceniła jak należało te szlachetne usiłowania, żeby ją ze smutnym losem pogodzić. Przejechawszy Niemcy przybyli do Paryża. W kilka dni po przyjeździe, Elin szła do pokoju pańskiego ojca, gdy nagle zatrzymała się niezdolna podnieść zasłony od drzwi, gdyż obił się o jej uszy głos, którego dźwięku nigdy nie mogła zapomnieć. Stała i słuchała.

Stary hrabia mówił z surową powagą:

— I tobie się zdaje, żeś uczciwie postąpił, znieważając publicznie niewinne dziecko i wydając je na pastwę gniewu srogiego, dumnego ojca? — Ojciec—odpowiedział głos wyniosły — nie byłem Elinie nic więcej dłużny nad

to, czego odemnie żądano, to jest nazwiska, i to dałem. Z drugiej strony przyrzekłem matce, że się nigdy nie zniżę aż do uważania córki Martensona za swoją towarzyszkę życia. Daremna praca, namawiać mię, żebym żył razem z tą kobietą. Dość już poniżyłem swoje nazwisko pozwalając żeby je nosiła, — ale nie poniżę się tak dalece, abym sam mówił: to jest moja małżonka, córka byłego szypra w dobrach mego ojca. Prócz tego, matka moja — zapewne sam to przyznasz ojcie — ma przynajmniej tyle prawa nad synem, iż może od niego wymagać, żeby dotrzymał uroczyste danego słowa. — I rzeczywiście nie chcesz zmienić swego postępowania względem Eliny? — Tak jest. — Nawet gdybym ja tego sobie życzył? — Wiesz, ojcie, że cię bardzo poważam, ale nie jestem młodzieniaszkiem i mam swoją wolę mężczyzny. Czuję wstręt do związku z tą kobietą, a jakkolwiek jej los politowania jest godzien, — wzdrygam się na samo wymienienie jej imienia. Jak możesz żądać, abym z nią codziennie przestawał? Czyż koniecznie mam swoje i jej życie w piekło zamienić i powiększać boleść, jaką ten związek sprawia mojej matce? Czyż ta dziewczyna rzeczywiście jest tego warta, abym dla niej rzekał się błogosławieństwa matki, aby przestała nazywać mię swoim synem! — Więc sam z siebie nie byłeś dość wyniosły? Musiałeś jeszcze pożyczć pychy od swojej matki. Ach kochany Hermanie, podobno wszyscy drogo przypłacimy twoje nedoręczne umizgi do pani Martenson. Dwóch rodzin pokój został na zawsze zakłócony. Twoja matka nigdy mi nie daruje twojego związku z Eliną, i w gniewie swoim podnieciła twój wstręt do pochodzenia dziewczęcia. — Nie podnieciła,

a po prostu uczyniła, co było jej obowiązkiem. Powiedziała: hrabina Romarhierta nie może nazywać Eliny Martenson swoją synową i w dniu, w którym mój syn zechce mi podobną kobietę narzucić jako córkę, w dniu tym przestanie sam być moim synem. — No dobrze, dobrze, nie mówmy już o tem. Czy wiesz, kto mi towarzyszy w podróży i tutaj ze mną mieszka? — Pewnie nie moja matka, bo zdrowie nie pozwala jej podróżować; chyba Helfryda? — Nie; twoja żona. — Ojcie! Przed całym światem uznajesz ją jako żonę twego syna? — A rozumie się, albowiż nią nie jest? Zabawimy parę miesięcy w Paryżu. — A ja jutro Paryż opuszczam, — odpowiedział hrabia Herman.

Elin dość słyszała, i znękana wróciła do swego pokoju. — W miesiąc później stary hrabia wrócił do Szwecji, zostawiwszy Elinę u swojego szwagra, hrabiego Runa. Elin bawiła jeszcze cały rok w Paryżu i prawdopodobnie pozostałaby tam dłużej, gdyby różne wypadki nie zmusiły jej opuścić Francję. Boleść zostawiła w jej duszy niezatartą gorycz, zaczęła wątpić o wszystkim dobrem i szlachetnem, chociaż hrabia Runa i jego przybrana córka Elina mieli najwznioślejszy charakter i najszlachetniejszy sposób myślenia. Ale odepchnięta żona i córka była nieczułą na ich uprzejmość i dobroć. Z nieprzejednaną nienawiścią do stanu, do którego teraz należała, zimno i obojętnie przyjmowała dowody współczucia tych osób szlachetnych. Żeby odużyć w sobie myśli, uczucia i wspomnienia, rzuciła się w wir zabaw, goniąc za rozrywkami. Podczas gdy w taki sposób usiłowała zapomnieć o swojej męczarni, znaczna zmiana zaszła w jej powierzchowności. Obcięte w czasie obłąkania włosy znowu odro-

sły i stały się ciemne, cera wybielała, brwi pociemniały, wszystkie kształty ciała rozwinęły się i wypełniły — i teraz każdy mówił: „Jaka piękna!“

Stefania uśmiechnęła się smutnie i dodała:

„Powierzchność jej zakwitła, ale duszę trawiła gorycz, troska i nienawiść. Dziwne zjawisko dowodzące, jak wielką potęgę ma młodość, kiedy tak ciężkie jak jej cierpienia nie mogły wpłynąć szkodliwie na ciało. Występując po raz pierwszy w Paryżu, była tak niepozorna, że nikt na nią nie zwrócił uwagi; teraz po roku, gdy skończyła lat ośmnaście, stała się przedmiotem ogólnego zajęcia: zachodzono w głowę, jak można było uważać za brzydką osobę tak piękną i okazałą. Jednego wieczora w ostatnich dniach marca, siedziała w łoży opery włoskiej. Wówczas już Elina była zaręczoną młodemu Wicker, śpiewakowi opery. Tego wieczora występował i zakochała narzeczona miała tylko dla niego oczy. Przeciwnie Elin była tego wieczora smutna; muzyka i śpiew nie mogły rozproszyć tęsknych myśli, które ją ciągnęły do ojca i ziemi rodzinnej. Gdy dusza jej błądziła daleko, rozdartnione spojrzenia padały niekiedy na młodzieńca, który siedział na parterze i nie spuszczał z niej oczów. Powierzchność jego była tak nadzwyczajnie piękną, że Elin przez chwilę przypatrywała się mu bliżej. W rysach jego twarzy było tyle rozumu, otwartości i życia, że mimowolnie zwracał na siebie uwagę. Wkrótce potem odwróciła głowę, i po kilku minutach zupełnie o nim zapomniła.

Po skończonem przedstawieniu, gdy wsparta na ramieniu hrabiego Runa, Elin wychodziła ze swej łoży, zobaczyła znowu tego młodzieńca rozmawiającego na ko-

rytarzu z wysokim, czarno ubranym jegomością, który był plecami obrócony do Eliny. Gdy jednak przechodząc około niego dotknęła go szalem, nieznajomy ustąpił na bok i obrócił się twarzą ku Elinie. Nieprzytomna, sama nie wiedząc co czyni, Elin opuściła natychmiast hrabiego, i rzuciwszy się ku czarno ubranemu mężczyźnie, chwyciła go za rękę wołając:

— Ojcie mój!

On krok się cofnął i rzekł głośno po francuzku: — Ta pani widocznie jest chora!

Elin słyszała te wyrazy i padła bez zmysłów, nie na ziemię lecz w objęcia wyżej wspomnianego młodzieńca, który ją zaraz zaniósł do powozu. Przez kilka dni Elin leżała w gwałtownej gorączce, po której wstała bardzo osłabiona. Jednego dnia służący zawiadomił, że niejaki pan Lange pragnie z nią się widzieć. Wszedłszy do salonu ujrzała pięknego młodzieńca z włoskiej opery. Powitał ją z niewyszukaną prostotą, która zdradzała, że nie był Francuzem. Jakoż odezwał się po szwedzku: — Daruję hrabina, że przeszkadzam, rzekł, ale przyrzekłem pewnemu Szwedowi, którego nazwiska nie śmiem wymienić, że osobiście doręczę pani ten list. To mówiąc podał Elinie list zapieczętowany i zaraz się oddalił. Elina zadrzała poznawszy pismo swego ojca. List był nie długi, tej treści:

„Przypominasz sobie pani, że hrabina Romarhierta nie ma żadnych praw do mnie, że nawet straciła prawo nazywania mnie ojcem, publicznie czy prywatnie. Oredowniczką, jaką miałaś pani w mojej małżonce, już nie ma, gdyż umarła i teraz jestem sam. Wolę jednak żyć samo-

tnie, niż nazwać swoją córką osobę, która splamiła moje uczciwe nazwisko. Gdy mąż pani powie przed światem: To jest moja żona—wówczas, ale tylko wówczas, będziesz pani miała prawo nazwać mnie ojcem.

Gdy pani ten list otrzymasz, mnie już tu nie będzie, bo niechcę się narażać na powtórne spotkanie.

Per Martenson.“

W tym samym dniu otrzymała wiadomość o śmierci twojego ojca, panie hrabio. W kilka tygodni później opuściła Paryż i wróciła do Szwecji. Przyjechawszy do Sztokholmu chciała zaznać zobaczyć się z kapitanem Troberg, przyjacielem ojca. Ale i ten już nie żył: tak więc została sama jedna, bez żadnej opieki i podpory. Od ciotki dowiedziała się, że ojciec leży chory w Liungstafors. Elin natychmiast pojechała do Hillesta i za pośrednictwem ciotki usiłowała wyjednać sobie pozwolenie zobaczenia ojca, ale tenże powiedział:

„W towarzystwie męża swego i szanowana przez niego może przejść moje progi; inaczej, nie.“ Wówczas Elin pisała do pana prosząc, abyś raczył kilka godzin cierpieć ją przy sobie, gdyż inaczej nie zobaczy ojca przed jego śmiercią i nie otrzyma przebaczenia. — Pan odesłał list nierozpieczętowany.“

— Ja! zawołał Herman i spojrzał oburzony. Mylisz się pani, nigdy nie otrzymałem od niej listu ani przed śmiercią, ani po śmierci jej ojca. Wierzaj mi pani, jakkolwiek postępowałem względem niej bez serca, nigdy przecież, jak mi Bóg miły, nie byłbym tak okrutny, abym jej list odesłał lub na takie wezwanie odmawiał.

Stefanja spojrzała na Hermana z radosnem zdziwie-

niem i rzekła:—Więc to nie pan list odesłałeś?—Nie, na honor! — Ale pan byłeś wówczas w Kungsborgu, a Elin tam list adresowała. — Prawdopodobnie list doszedł do Kungsborga, gdy bawiłem za interesami w Kopenhadze. Powróciwszy słyszałem, że ojciec Eliny umarł. — Więc to była hrabina, szepnęła Stefania spuszczać głowę. — Moja matka wiedziała, że Elin mieszka w Hillesta i prawdopodobnie ze stępla pocztowego wniosła, że list od niej pochodził i odesłała go.

Stefanja głowę oparłszy na rękę siedziała kilka minut pogrążona w myślach. Później nie zmieniając postawy mówiła dalej:

„Przywiedziona do rozpaczki na myśl, że ojciec umrze nie widziawszy jej ani przebaczywszy, i przypominając sobie z podsłuchanej rozmowy starego hrabiego z panem, iż matka pańska wymogła przyrzeczenie, abyś nigdy nie uważał Eliny za swoją małżonkę, — pojechała natychmiast do Kungsborga i przybyła tam w burzliwy wieczór listopadowy. — Nie wymieniając swego nazwiska zażądała widzieć się z hrabiną, i została wprowadzona do tego samego pokoju, który później po zgorzeniu Furuhof był sypialnią hrabiny. Tu ją zastała. Lampa stojąca na stole rzuciła blade światło na piękną, dumną twarz pańskiej matki. Nie opowiem panu, jak się obeszła z Eliną, gdy biedna kobieta wymieniła jej swoje nazwisko. Nie będę powtarzała srogich i ubliżających niewieściemu honorowi oskarżeń, które obarczyła nieszczęsną, nie opowiem wzgardy i nienawiści, jakimi tchnęło każde jej słowo. Złamana ogromem bólesci, zgębiona nadmiarem niesprawiedliwości, Elin słuchała, słowa nie odpowiadając

na niezasłużone obelgi, a gdy hrabina umilkła, nieszczęśliwa kobieta padła jej do nóg błagając o wstawienie się do pana, abys zechciał na kilka godzin towarzyszyć jej do ojca. Ale matka nie miała litości nad biednym dziećciem; szyderstwem i wzgardą odpowiedziała na jej lzy i błagania, z temi słowy opuściła zrozpaczoną:

„Ani na pół godziny syn mój nie nazwie pani swoją żoną, ani ja kiedykolwiek nazwę cię swoją córką. Wychodź więc z tego domu i nietrwoń daremnie słów i prośb! Zapragnęłaś pani, żeby świat wiedział, iż cię uważamy za należącą do naszej rodziny: nic z tego nie będzie; jesteś dla mnie zupełnie obcą. Jesteś nieprzyjaciółką mojej spokojności i mojego honoru familijnego: nie możemy ani jednej nocy zostawać pod tym samym dachem. Spodziewam się przeto, że pani natychmiast opuścisz Kungsborg, gdyż w przeciwnym razie ja odjadę.“

Elin odeszła ze śmiercią w sercu: bezdenne uczucie nienawiści i wstrętu zapełniło jej duszę. We dwa tygodnie później umarł ojciec Eliny, nie pozwoliwszy córce zamknąć sobie oczów. Wszelako w ostatniej chwili podarł testament, który będąc zdrowym napisał, i w którym wydziedziczał Elinę. Czyn ten w ostatniej chwili życia zdawał się dowodzić, że przed śmiercią przeczuł może niewinne cierpienie córki, a przynajmniej jej przebaczył.“ Stefanja zamilkła,

— Stało się to wówczas, gdy pisała do mnie prosząc, żebym zgodnie z prawem, objął zarząd ogromnego majątku, jaki odziedziczyła po ojcu.—Tak jest, a panna na ten list odpowiedziałaś wysłaniem do niej dokumentu prawnego, w którym zrzekasz się wszelkich pretensji do tego

majątku i dajesz Elinie wszelką wolność i prawo rządzenia nim według swego upodobania. — Czyż mogłem inaczej postąpić, gdy nie chciałem być jej mężem? zapytał hrabia. — Nie! odpowiedziała Stefanja. To też—dodała uśmiechając się melancholicznie — postępek ten sprawił na niej pewne wrażenie, choć jej się zdawało, że miłość jej dla pana rozbiła się o skały cierpienia i upokorzenia. Myliła się jednak. Pod powłoką oburzenia, goryczy i nienawiści, w duszy jej spoczywało uczucie miłości nigdy niezagaste i tłało nieustannie, aż nadszedł, dzień gdy buchnąwszy płomieniem spaliło wszystkie inne uczucia.

Urządziwszy z prawnikami interesa majątkowe, gdy i pocziwa ciotka umarła, Elin postanowiła wrócić do Paryża. Przyjechawszy tam zastała przybraną córkę hrabiego Runa, Elinę, szczęśliwą małżonką śpiewaka Wicker, tak szczęśliwą, że prawie zapomniała, iż ją odepchnęła matka rodzona. Od tego czasu datuje się, moja przyjaźń dla Eliny. Razem ze mną pojechała do Ameryki: tam powierzyła mi swoje cierpienia, tam także powzięłam zamiar pogodzić ją z wycierpianą niesprawiedliwością i pracować dla jej szczęścia. Tu koniec historii Eliny. Więcej nie powiem już o niej. Jeśli jej cierpienia nie przemawiają do twego serca panie hrabio, jeżeli i teraz sumienie nie dyktuje panu, jak masz sobie postąpić, w takim razie wszelkie moje dalsze starania będą bezowocne. — Patrz pan—dodała wskazując na drzwi,—otóż przychodzą lord Charter i Jakób.

Stefanja podała lordowi prawą, Jakóbowi lewą rękę i rzekła zwyczajnym przyjaznym tonem

— Cóż to, panowie, nie mogliście wytrzymać z sobą

całego wieczoru w Akersnös? — Nie podobna, pani, odpowiedział lord siadając na kanapie przy Stefanji. Kto zechce być zdala od pani, gdy inni cieszą się jej towarzystwem? — Strzeż się, mylordzie: pańskie słowa tracą przeniewierzeniem. Nie zapomnij o królowej swego serca! — Nie potrzebuję sam sobie przypominać, gdyż mi o tem ciągle przypominają, co mi jednak nie przeszkadza utrzymywać, że pani jesteś najczarowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem.

Hrabia powstał i w pewnej odległości rozmawiał z Jakóbem. Stefanja i lord mówili po angielsku, — hrabia nie był biegły w tym języku, więc nie mógł brać udziału w rozmowie, choćby toczyła się o innym przedmiocie. — Jeśli jednak ja jestem najczarowniejszą kobietą, czemuż jest ona? — Najkapryśniejszą, łaskawa pani. — Oryginał z pana. — Być może, ale to nie moja wina. — Powiedz mi mylordzie, dla czego kochasz Elinę? — Ciągną mnie ku niej jej kaprysy i niestałość. Sam mając duszę ociężałą i leniwą i nie będąc w stanie otrząść się z wrodzonej flegmatyczności, lubię widzieć przed sobą istotę, która mnie drażni, dręczy i niepokoi. To we mnie budzi życie i uczucie, nie uginając mnie jednak pod brzemieniem gwałtownej namiętności, którą niegdyś pani wzniciłaś we mnie. — I która sześć dni trwała, rzekła śmiejąc się Stefanja. — Sześć wieków, powiedz pani! i gdyby się przeciągnęła do tygodnia, z pewnością w łeb bym sobie wypalił. — Aleś pan postąpił daleko roztropniej. — Tak jest, pojechałem do Francji i znowu zacząłem krążyć około swojej dręczycielki, która mnie opuściła podczas owych nieskończonych jak wieczność sześciu dni i nocy.

Lord przetarł chustką czoło i dodał z komiczną powagą: — Jesteś pani niebezpieczną kobietą; hrabio, czy nie mam racji? zawołał po francuzku. — W czym? — W tem, że panię Stephensen zaliczam do kobiet, od spotkania których niechaj Bóg uchowa każdego mężczyznę. — Na to się nie zgadzam, owszem, za to szczęście trzeba dziękować losom, odpowiedział hrabia.

Lord rozsiadł się wygodnie na kanapie i rzekł z wielką flegmą. — Hrabia widocznie masz zimną krew w swoich żyłach. Kiedym ja po raz pierwszy zobaczył panię Stephensen, pomyślałem w duchu: „Boże strzeż mię, abym podobnej kobiety nie dostał za żonę.“ — Mylordzie, rzekła z uśmiechem Stefanja, nie bardzo jesteś grzeczny. — Grzeczny, mistress Stephensen! Mówię świętą prawdę. Gdybym się z panią ożenił, wkrótce wyprawiłabyś mię do czubków.

Lord mówił z tak niezachwianą powagą, że Stefanja, Jakób i Herman musieli się śmiać, chociaż Herman wcale nie miał ochoty do śmiechu. — Robisz pan ze mnie formalnego potwora, rzekła Stefanja. — Bynajmniej, pani jesteś aniołem i to jest właśnie nieszczęście. Pomyśl tylko pani, jak szalenie trzeba kochać anioła! Żadna moc duszy ludzkiej nie wytrzyma takiej miłości i musisz w końcu zwarjować.

Wszyscy się śmieli. Helfryda i Jane weszły do salonu, a nieco później Elin.

Była bardzo blada i cierpiąca. Herman nigdy jej tak nie widział.

Lord poszedł naprzeciw niej i zapytał bardzo spokojnie: — Miałaś pani ból głowy? — Tak odpowiedziała Elin

i powitała ukłonem Hermana i Jakóba. — Jakże się pani ma teraz? zapytał Herman.

Poraz pierwszy hrabia wprost przemówił do Eliny. Młoda kobieta zarumieniła się i spojrzała na niego.

On stał oparty o poręcz sofki, na której usiadła.

— Ból głowy ustał i mam się lepiej, odpowiedziała Elin z łagodnym uśmiechem. Pan i Stefania przepędziliście wieczór razem? dodała — A razem; co o tem sądzisz hrabino? wtrącił lord siadając przy Elinie — byli razem, a jednak hrabia pozostał przy zdrowych zmysłach. — Czego byś był na miejscu hrabiego, rzekła Elin. — Masz słuszość hrabino. Wiadomo pani, jak było źle ze mną w Barthen. — Toby mogło dowodzić, że pańska głowa jest dość słaba. — Wcale nie, lecz tylko że krew hrabiego nie jest krwią ale wodą, jak również że mistress Stephensen jest tak piękną i zachwycającą czarodziejką, iż może rozpłomić uczucia nawet Anglika.

Lord bawił się lornetką, a Herman zobaczył, iż Elina zbladła i brwi zmarszczyła zniecierpliwiona i zadasana. — Wieczera na stole! odezwał się głos we drzwiach i wszyscy przeszli do jadalnego pokoju.

ROZDZIAŁ XLVII.

Nazajutrz był jasny i zimny dzień październikowy. W nocy był przymrozek, ziemia skrzepła i okryła się szronem i lodem. Przed gankiem pałacu stał sługa, trzymając dwa osiodłane konie. Stefania i Jakób wyszli i gdy młody człowiek pomagał jej wsiąść na konia, ukazał się hrabia i przywitawszy zapytał: Dokąd to państwo wybierają się tak wcześnie?

Do plebanji, rozmówić się o dom przytułku dla ubogich, który tam stawiamy.

— Więc nie jedźcie państwo głównym gościńcem, rzekł hrabia; budują nowy most: obierzcie drogę przez las, inaczej bowiem nie dojdziecie do miejsca.

I skłoniwszy się ustąpił. Był to rzeczywiście piękny widok, gdy Stefania i Jakób siedzieli na koniach. Oboje mieli ten wdzięk niezwykły, który nieprzepartą siłą przyciąga oczy i zostawia nieprzeparte wrażenie.

— On niepospolicie kształtny, a ona piękna, rzekł hrabia i wdychając poszedł do stajni.

Jakób i Stefania szybkim klusem przejechali aleję i skręcili do lasu.

— Gdzie to lord się dziś wybrał? zapytała Stefania. Mówił mi Eklund, że już gdzieś pojechał. Wybrał się na polowanie z rotmistrzem D.—który do niego tu przyjeżdżał.—Ale, czy widziałas Stefanijo, jakie wrażenie sprawiły na Elinie ostatnie słowa lorda? — Widziałam. — Na

jej twarzy malowała się zazdrość. — Jakóbie, wszystkie my zazdrosne, gdy kochamy. — Droga Stefanijo, nie mów wspólnie o miłości i Elinie. — Dla czego? Jakąż dałbyś nazwę jej uczuciom dla lorda? — Namiętności, kaprysu, lub czego chcesz, byle nie miłości. — Pomyśl, co powiedział Bulwer: „Miłość jest tylko jedna, ale ma wiele kopji.“ — Serce Eliny umie tylko kopjować. Jej uczucia nie mają nic stałego i głębokiego. Podobne są do błędnego ognika.

Stefanija i Jakób odjechali teraz do miejsca, gdzie droga leśna stała się tak wązka, iż nie mogli obok siebie jechać: Jakób zatrzymał swego konia i puścił na przód Stefaniję. Przerwało to rozmowę. Nagle rozległo się w lesie ujadanie psów, którego odgłos zbliżał się coraz bardziej.

— Zdaje się, że panowie polują w tych stronach, rzekła Stefanija obracając się do Jakóba.

Tejże chwili lis ścigany przez smyczę psów gończych przebiegł drogę jeźdźcom i w krótkce potem rozległ się wystrzał. Koń Stefanji padł, a Jakób z krzykiem przerażenia zeskoczył na ziemię i pobiegł do Stefanji. Koń padając całym ciężarem swoim przygniół Stefaniję: młoda kobieta zemdliała. Lord Charter, którego strzał powalił konia, przybiegł na wołanie Jakóba i z całą przytomnością umysłu Anglika pomógł do wydobycia Stefanji z pod konia. Zaraz potem Jakób zawrócił do Kungsborga, trzymając na ręku ciągle nieprzytomną Stefaniję. Niezmierne było przerażenie we dworze, gdy wniesiono Stefaniję nie dającą żadnego znaku życia. Elina, Helfryda i Jane pospieszyły jej na ratunek, ale zdawało się rzeczywiście, że już wszelkie życie z niej uleciało. Herma-

na nie było w domu. Gdy doktor nie zaraz przybywał, a Stefanija ciągle była jeszcze bez zmysłów, Jakób widząc, że wszelkie użyte przez kobiety środki okazały się bezskuteczne, wziął jej rękę, i odwinąwszy rękaw, scyzorykiem otworzył żyłę. Helfryda trzymała ramię i gdy Jakób ostrzem stali naciął żyłę, obfity strumień krwi obryzgał ich obojga.

— Bogu dzięki! zawołał Jakób, położywszy swą rękę na sercu Stefanji.

Słabe, z trudnością wydane westchnienie dało poznać, że życie powraca, a bicia serca stawały się coraz wyraźniejsze. Gdy oddech stał się swobodniejszym, Jakób obandażował rękę i schylił głowę ku przychodzącej do przytomności.

— Jakże się masz, najdroższa Stefanijo? wyszeptał trwożliwie. — Nie dobrze, mój kochanku, odpowiedziała z cicha.

Helfryda słyszała te ledwie wyszeptane pieścizłote słowa i drgnęła, jakby nóż przeszył jej serce. I znowu pomyślała:

— Jakób ją kocha.

W tej chwili wszedł doktor i przeniesiono Stefaniję do jej sypialni. Teraz dopiero spojrzenia Jakóba padły na Helfrydę i zawołał: — Boże! pani cała zakrwawiona!

Tak wyłącznie zajęty był Stefaniją, że nie spostrzegł, kto stał przy nim, gdy otwierał żyłę. To nic niebezpiecznego — to jej krew. I pan masz nią zbрызganę czoło. Jakób rzucił się na krzesło mocno niespokojny. Był błądy i cierpiący. Helfryda długo patrzyła na niego milcząc, i owładnęło ją jakieś bolesne uczucie, gdy widziała, że

jego myśli tak wyłącznie były Stefaniją zajęte. Nareszcie Jakób podniósł oczy i spostrzegłszy, że Helfryda obciera chustką zakrwawione ręce, rzekł:

— Chciej mi pani dać swoją chustkę, panno Helfrydo. Chętnie, ale jest pokrwawiona, odpowiedziała Helfryda podając mu chustkę.

Młody człowiek obtarł nią czoło i zapytał:—Czy mogę ją zatrzymać dla siebie?

Głos jego zmiekkł, ale w spojrzeniu pozostał ten sam wyraz niespokojny.—Krwia Stefanji zarumieniona, musi być dla pana droga, rzekła z przymusem Helfryda.

Niech panu służy. —Drogą jest dla mnie, masz pani słuszość. Krew jest Stefanji a chustka twoja, panno Helfrydo, i dla tego chowam ją tutaj.

I włożył ją za kamizelkę po lewej stronie piersi. Potem wstał i poszedł do okna. W tej chwili wszedł Herman. Wracając do domu dowiedział się o nieszczęśliwym wypadku.

— Co mówi lekarz? zapytał przerażony, a na jego twarzy malowało się jedno wyłączne trwożliwe zajęcie. Jeszcze jest u niej, odpowiedziała Helfryda.

Herman rzucił się na kanapę, a Helfryda pomyślała:—Zdawałoby się, że życie ich obydwóch zależy od Stefanji. Ach! prawda, bo też w istocie jest aniołem! Wszedł lekarz. Młodzi ludzie pobiegli ku niemu zarzucając pytaniami. Lekarz odpowiedział:—Mam nadzieję, że pani Stephensen szczęśliwie wyjdzie z tego wypadku, chociaż płuca mocno są nadwężone. Minęło kilka dni pełnych trwogi i niepokoju. Helfryda siedziała bez przerwy u łóża Stefanii, pielęgnując ją jak najczulsza siostra.

Elina płakała, załamywała ręce i odchodziła od siebie. Jakób zdawał się być całą duszą przy chorej, a Herman większą część dnia przepędzał w małym salonie, chciwie chwytając od przechodzących każdą wiadomość o chorej. Lord Charter zamknął się w swoim pokoju z nabitym pistoletem i mocnem postanowieniem, że w łeb sobie strzeli, jeśli mistress Stephensen umrze z jego winy. Trzeciej nocy siedziała u Stefanji Helfryda z radością i nadzieją przysłuchując się jej niezwykle swobodnemu oddechowi, gdy i lekarz powiedział, że ma się znacznie lepiej. Pokojówka zasnęła wsparłszy głowę na poręczy łóżka — wszystko było ciche i milczące wśród głębokiej nocy. Helfrydzie przyszło na myśl, że ten pokój był niegdyś sypialnią hrabiny Gunilli, a gdy w tej chwili północ wybiła na zegarze, dreszcze przeszły młodą dziewczę. W pamięci jej uprzytomniły się wszystkie straszne historie, jakie w dzieciństwie słyszała o tym pokoju. Nagle trzykrotnie zastukano do drzwi. Helfryda zerwała się z krzesła i w jednej chwili stanęła za śpiącą pokojówką i przerażona patrzyła na drzwi. Wszystko było spokojne. Helfryda ochłoneła z przestachu i już chciała wyjść i zobaczyć, kto przychodził, gdy powtórnie rozległo się stukanie, tym razem mocniejsze. Helfryda przewyciężywszy obawę, poszła i otworzyła drzwi. Zamiast Hrabiny Gunilli stał przed nią—Herman. Helfryda wyszła.

— Czy pokojówka śpi? zapytał Herman.—Śpi; ale na miłość Bożką, co tu robisz o tej godzinie? — Helfrydo, chcę widzieć Stefaniją.—Czego żądasz?—Abyś na chwilę puściła mnie ją zobaczyć.

Gdy Helfryda wahała się jeszcze, Herman schwycił jej obie ręce i dodał błagając:

— Helfrydo, niech choć sekundę na nią patrzę, abym mógł żyć. — Hermanie, ty ją kochasz, szepnęła Helfryda śmiertelnie pobladłszy. — Kocham ją! powtórzył z wolna Herman i usunąwszy siostrę, wszedł na palcach do pokoju.

Zbliżył się do łóżka i patrzył na Stefaniję. W tej właśnie chwili otworzyła oczy. — Herman! szepnęła z omdłym uśmiechem. — Stefanijo! jęknął Herman i schylił się ku niej.

Kobieta podała mu rękę i rzekła spokojnie: — Myślałam, że umrę i pragnęłam widzieć cię raz jeszcze. Dzięki ci za to, żeś przyszedł. Łatwiej mi będzie wyzdrowieć, gdy cię widziałam. — O Stefanijo, słysząc te słowa, zapomniał o wszystkim, com w tych dniach wycierpiał! — Odejdź pan teraz, odejdź prosiła Stefanija; ale gdy Herman stał jeszcze i patrzył na nią wzrokiem świadczącym, że nie ma ochoty być zaraz posłusznym, kobieta spokojnie i poważnie dodała tylko te słowa: — Sir Edward.

Herman drgnął, ścisnął jej ręce i bez szmeru wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ XLVIII.

W kilka dni później Stefanija w lekkim porannem ubraniu leżała na kanapie w wielkim salonie. Jakób klęczał przy niej trzymając jej obie ręce w swych dłoniach:

— Niepodobna, Stefanijo, mówił młodzieniec; serce moje nie przylgnie do żadnej kobiety, wszelkie moje usiłowania byłyby daremne, gdyż w duszy mojej żyje jeszcze świeże wspomnienie tego, com wycierpiał. Zważ przeto, że moja wiara w kobiety znacznie osłabła i dla tego nie dziw się, gdy ci powiem, że nie będę szukał i nie chcę szukać pociechy po utraconym raju. — Ależ Jakóbie, z twoim charakterem i sposobem myślenia, nie możesz sam pozostać. Potrzebujesz mieć towarzyszkę życia, potrzebujesz wiernego serca, na którym mógłbyś wesprzeć się w chwili smutku i słabości, a któż ma to serce, jeśli nie kochająca żona? Dla tego mój drogi powinienes szukać istoty, którąbyś mógł przywiązać do siebie na całe życie i któraby myślała tylko o tobie, jako jedynym swym skarbie. — Tak — rzekł Jakób przyciskając swoje czoło do rąk Stefaniji — ale gdzie znajdę taką kobietę, któraby umiała ocenić to, co jest we mnie czystego i szlachetnego? — Pytasz mnie która? — Tak. — Helfryda. — Byłem pewny, że usłyszę to imię. Możebym ją kochał, gdybym nigdy dawniej nie kochał, albo raczej gdybym nigdy...

Jakób się usmiechnął. — Czemu nie mówisz dalej? —

Gdybym nigdy nie znał ciebie, lecz tylko kochał Elżbietę, możeby Helfryda była niebezpieczną dla mojej spokojności, gdyż jej obejście ciche, prawie zimne, a zawsze proste i niewyszukane, miałyoby wiele niebezpieczeństwa dla mnie, gdyby twój obraz nie stał przy niej. Teraz zaś Helfryda może być w moich oczach tylko siostrą kochaną, dziećciem, które gotów byłbym kierować i wychowywać, rozwijając jej duszę, aby mogła być do ciebie podobną. Kobieta jednak, z którą mam swój los połączyć, musi być mi równą i nie może być dzieckiem pod względem umysłowym. Rozwiało się marzenie o rokosznem i powabnem dziećciu, dziś chcę widzieć w żonie swoją najlepszą przyjaciółkę. Na to jednak nie ma jeszcze między mną i Helfrydą dostatecznej zgodności i harmonji duchowej. Nie, jedyną kobietą, której mógłbym z nieograniczonem zaufaniem oddać swoje serce, jest Stefania. — Ależ ja nie mogę być twoją żoną. — Wiem, i dla tego, droga przyjaciółko, Jakób pozostanie samotny.

Młody człowiek powstał. — Prócz tego — mówił dalej — oddzielają mnie od Helfrydy przesady dumi, zarówno jej, jak moje. Oblubienicą moją nie była Stefania, nie była Elżbieta. Ha, więc poszukałem sobie innej, a tej na imię *Praca*.

Jakób pocałował Stefanię w czoło i dodał:

— Serce moje pozostanie wierne pierwszej miłości. — A ja będę jak zawsze twoją najwierniejszą przyjaciółką. — Dzięki! Czy wiesz Stefanijo, że często zadawałem sobie pytanie: dla czego nie podobało się losom, abyśmy byli połączeni jak małżonkowie? — Prawdopodobnie dla tego, żeśmy za bardzo byli dla siebie stworzeni, a w sto-

sunkach między ludźmi nader rzadko napotyka się zupełna harmonija. — A jednak powinnyby panować taka harmonija, jeśli zważymy, że jest najdoskonalsza zgodność w całym stworzeniu. — Stworzenie jest dziełem Boga, gdy ludzkie stosunki sami zawiązujemy. — Masz słuszność i dla tego myślę: Skoro nie mogłem wejść w związki dla mnie najodpowiedniejsze, więc nie wejdę w żadne. — I ja tak samo myślę, szepnęła do siebie Helfryda, która stojąc za kotarą drzwi od salonu, wysłuchiwała całej tej rozmowy. Po bładych licach dumnej dziewczycy stoczyły się z wolna dwie grube łzy — gorzkie łzy miłości bez nadziei.

W tydzień później, baronowa T. zaprosiła do siebie mieszkańców Kungsborga, była bowiem długo chorą i pragnęła uroczystie obchodzić z przyjaciółmi swoje przyjście do zdrowia. Stefania była jeszcze zbyt słabą do takiej wycieczki, zwłaszcza, że lekarz przepisał jej zachowanie się jak najspokojniej. Inni mieszkańcy Kungsborga obiecali być u baronowej. W krótkce po odejździe jej posłańca z odpowiedzią, Herman wszedł do Stefani, która spoczywała na kanapie w swoim buduarze.

— Czy pani nie pojedzie do baronowej? zapytał. — Nie, zostaję w domu. — Czy raczy mię pani przyjąć dziś po południu? — Chętnie; ale czemu pan nie jedziesz do baronowej? Spozstrzegą ze smutkiem nieobecność pańską. — Wątpię, a zresztą nie podobna mi dziś być u niej. I ja mam coś do powiedzenia pani, co rozstrzygnie o moim losie. — Czekalam na to, wiedząc, że mi pan kiedyś opowiesz swą przyszłość. Będę niecierpliwie oczekiwała pana po południu.

Herman wyszedł, a w krótkce potem weszła Elina.

Ukłękawszy przy kanapie, ujęła obiedwie ręce Stefanji i złożyła je na swojej głowie, mówiąc:

— I kiedyż, Stefanijo? — Już jutro, odpowiedziała Stefanija głaszcząc jej bujne jasne włosy. — Rozporządziłam już dawniej dniem jutrzejszym. Kiedy się z nim rozmówisz? zapytała Eliną. — Dziś po południu. — Dobrze, więc mię posłuchaj. Jutro odjeżdżam do stolicy. Dałam lordowi słowo, że tam spotkam się z jego matką. Chciałam tylko w kilku słowach zawiadomić Hermana, aby rozstrzygnął o swoim i Eliny losie, albowiem od tego zależy będzie, czy mam ze Sztokholmu jechać wprost do Anglii lub też tutaj powrócić. O jedenastej odjadę. Daj Boże, żeby... — Eliną, rzekła Stefanija kładąc rękę na sercu, czuję tu, że nie zawiedzie mojej wiary w jego honor i uczucie obowiązku. — Wiem, że twoje serce rzadko się myli. Więc odzyska nie tylko małżonkę, ale i siostrę? — Druga będzie nagrodą pierwszej. Jak długo myślisz zabawić w Sztokholmie? — Kilka tygodni.

Stefanija zaczęła mówić o innych przedmiotach. W godzinę po wyjeździe wszystkich do baronowej, Herman wszedł do Stefanji.

— Witaj hrabio — czekam cię od godziny. — Wybac pani; zwłoka moja z tąd pochodzi, żem był w położeniu człowieka, co ma stoczyć walkę, w której wie, że będzie zwyciężony. — Ach hrabio, czy jeszcze mię uważasz za swojego wroga? rzekła z uśmiechem Stefanija. Bo ja zawsze się miałam za pańską przyjaciółkę i sprzymierzoną. — Jesteś pani sprzymierzoną ze wszystkiem, co prawe i dobre, a jednak jesteś wrogiem mojego szczęścia. — Nie wierzę, by odstępując od tego, co jest prawe i dobre,

można być szczęśliwym. Dla tego hrabio, jestem także sprzymierzoną z twojem szczęściem. — Pani, nie mów współcześnie o szczęściu i o mnie, rzekł z gorzkim uśmiechem Herman i usiadł na krześle przy Stefanji. Opowiedziałas mi historję Eliny i jej cierpienia. Teraz ja z kolei otworzę ci swoją duszę, abyś mogła ocenić wielkość ofiary, jaką poniosę znowu łącząc swe losy z Eliną. Dziś zawiadamia mię listownie, że jutro odjeżdża z Kungsborga i że odemnie zależy będzie, czy go opuści na zawsze, gdyż — są to jej słowa — jeśli raz jeszcze odtrącę małżonkę, która mię dwanaście lat kochała, wówczas nigdy już do Szwecji nie wróci. Jak prawdopodobnie wiadomo jest pani, odjeżdża jutro rano o jedenastej i jeśli się do tej pory nie zdecyduje, stracę wszelką możność naprawienia wyrządzonego złego.

— I pan masz zamiar? — Dać Elinie wszelkie zadość uczynienie, jakie jest w mojej mocy. Alboż powątpiewałaś pani o tem, jak sobie postąpię, skorom się dowiedział, co wycierpiała biedna? — Hrabio Hermanie, nie wątpiłam ani chwili, że w piersi pana bije serce szlachetne, ale... — Nie przypuszczałaś, że mogę przezwyciężyć wstręt, jaki czuję ku Elinie? — Albo właściwiej mówiąc, ku jej niskiemu pochodzeniu, gdyż jest wnuczką kowala, a córką szypa fryszerki, w dobrach pańskiego ojca. — Minęły czasy, gdym przywiązywał wagę do urodzenia człowieka. Pani nauczyłaś mię prawie pogardzać moim stanem. Ale nie o tem chciałem mówić.

Ujął rękę Stefanji i ścisnąwszy ją w swoich, dodał:

— Przyrzeknij mi pani, że będziesz mię słuchała cierpliwie nawet wówczas, gdy przekroczę granice, jakies

dla nas obojga zakresliła i gdy w wyrażeniach swoich nie zawsze zachowam zimną krew sir Edwarda. — Przyrzekam, bo teraz znam pana i wiem, że jak sir Edward zdołasz zapanować nad swojemi uczuciami. — Dziękuję, rzekł Herman pocałowawszy rękę Stefanji i puszczając ją z niechęcią. Potem oparł się o poręcz kanapy i zaczął mówić tonem smutnym i poważnym:

„Gdy wróciwszy z zagranicy, znowu zobaczył Zelmę, odżyło najżywsze zajęcie, jakie obudziła we mnie przy pierwszym spotkaniu. Pomimo to zawsze ją uważałem za byłą guwernantkę, która za pieniądze służyła u moich rodziców, nigdy też nie widziałem w niej sobie równej, chociaż mocno zajęła moje myśli i uczucia. Był to piękny kwiat, który pragnąłem uszczknąć, żeby się nim pobawić, a potem rzucić w przepaść zapomnienia. Od dziecka wpojono we mnie zasadę, że lud prosty i klasę średnią należy uważać jako gromadkę istot podrzędnych. To pani wytłumaczy, dla czego ja gwałtowną i namiętną miłością prześladowałem Zelmę, współcześnie zajęty byłem myślą zaślubienia młodej i bogatej panny W.—który to projekt gorliwie popierała moja matka. Panna W.—jak zapewne pani wiadomo, należy do jednej z najznakomitszych rodzin w naszym kraju, a przytem jest bardzo bogata. Udało mi się pozyskać serce młodej dziewczycy, chociaż wyznaję otwarcie, że byłem i pozostałem najzupełniej dla niej obojętny. Przyzwyczajono mię uważać małżeństwo jako sprawę konwenansu, w której dwie osoby równego urodzenia i majątku łączą się, by wzajem sobie pomagać do uprzyjemnienia życia. Powodowany namiętym pociągami do Zelmę, postanowiłem właśnie wówczas towarzy-

zyć ojcu do Ljungstafors, aby znowu zawiązać stosunki, które jak czar rokoszny upajały me zmysły. Obiecałem matce, że po powrocie z Ljungstafors oświadczę się o rękę panny W. — której rodzice bardzo sprzyjali temu projektowi.

Późniejsze wypadki są pani znane. Opuściłem Ljungstafors głęboko rozżalony na losy, które zmusiły mię wyrzec się związku pochlebiającego mojej dumie a zawrzyć inny, w przekonaniu mojem zasługujący na wzgardę. Zajścia między ojcem moim i matką z powodu małżeństwa z Eliną, powiększyły mój wstręt do kobiety, którą uważałem za nieskończenie niższą od siebie. Z tem uczuciem złączył się gniew i nienawiść, gdy się spotkał z panną W. — i pomyślał, że muszę wyrzec się posiadania żony, która mogła zadowolić wszystkie wymagania mej ambicji. Zniszczone marzenia o świetnej przyszłości zatarły wszelkie ślady mej namiętności dla Zelmę i w duchu ją oskarżałem, iż swoją lekkomyślnością i słabością stała się sprawczynią nieszczęśliwego mego losu. Oskarżałem Elinę i kapitana, że umyślnie ułożyli całą intrygę, aby zmusić hrabiego Romarhierta do zostania mężem i zięciem do robkowiczów. Widziałem w tem zasadzkę uczynioną w celu zadowolenia ambicji tych ludzi.

Matka podtrzymywała mię w takim przekonaniu i skutkiem tego mocno i nieodwołalnie postanowiłem zawiść oczekiwania Eliny i jej oca. Chciałem pokazać światu, że choć byłem zmuszony dać swoje nazwisko Elinie, nie mniej jednak odmówiłem jej praw małżonki i opuszczając ją zaraz po ślubie, dałem poznać, iż nie uważałem ją za godną siebie towarzyszkę życia. Ach, pani, szkaradna, niegodna pycha natchnęła ten postępek i za-

razem wmówiła we mnie, że córka szypa Martensona w krótkce pocieszy się, byle tylko miała tytuł hrabiny.

— Ależ odparła Stefanija, ona zrzekła się pańskiego nazwiska wraz z tytułem hrabioskim, gdy klęcząc przy zwłokach swojego ojca, postanowiła, że nigdy ich napowrót nie przybierze, dopóki jej pan nie dasz swego serca i praw małżonki. — A jednak nosi dziś i jedno i drugie, zauważył Herman; więc nie dotrwała w postanowieniu. — O tem kiedy indziej pomówimy hrabio; teraz chciej mówić dalej. To otwarte opowiadanie swoich kolei, sprawia na mnie dobroczynne wrażenie. — Po ślubie — odezwał się znowu Herman — pojechałem w podróż do Niemiec i Szwajcarji, a potem do Francji, żeby zobaczyć siostrę Elinę. Ale w owym czasie wuj z Eliną byli w Anglii, i moje życzenia nie zostały spełnione. Po widzeniu się z ojcem w Paryżu bezzwłocznie opuściłem stolicę Francji i wróciłem do kraju. Ojciec na śmiertelnem łożu wymógł na mnie obietnicę, że nigdy propozycją rozwodu nie upokorzę znowu Eliny, chyba że sama zapragnie rozwiązania węzłów nas łączących. Po śmierci ojca musiałem walczyć z kłopotami pieniężnymi, które tak pochłonięły całą moją uwagę, że chyba wtenczas pomyślałem o Elinie, gdy wierzyciele grozili położeniem aresztu na majątku mojej żony, co mię w końcu zmusiło do sprzedania Kungsborga. Zostałem ubogim ze świetnem nazwiskiem, którego blasku nie byłem w stanie podtrzymać, i usunąwszy się z matką i siostrą do Furuhof, przeklinałem losy, które mię związały z Eliną, gdy mogłem być bogatym żeniąc się z panną W. — Elina była równie bogatą jak panna W. — wtrąciła Stefanija. — To prawda,

ale nie mogłem korzystać z majątku osoby, której nigdy nie uznałem za swoją żonę. Inaczej każdy mógłby mi zarzucić, że się ożenił z córką szypa swojego ojca, aby zabrać jej pieniądze. — To samo można byłoby powiedzieć o pannie W. — zauważyła Stefanija. — Nie pani, odpowiedział hrabia. Naprzód, gdy się starał o jej rękę, nie wiadano, że hrabiowie Romarhierta są zrujnowani i nigdyby się nie dowiedziano. Powtóre panna W. była mi równa urodzeniem i nigdyby mię nie posądzono, że w poziomej interesowności wszedłem w niestosowne związki.

Rok upłynął w bezczynności; w gorzkich troskach o przyszłość i w zupełnem oderwaniu od świata, gdyś pani tu przyjechała.“

Herman umilkł na chwilę, — potem tak mówił dalej: „Pierwsze twoje zbliżenie ze mną, pani, było upokorzeniem mojej dumy. Odwiedziłem cię z zamiarem oddania wet za wet.

Młody człowiek z żywością chwycił ręce Stefani:

— Nigdy nie zapomnę elektrycznego wrażenia, jakieś pani na mnie sprawiła, gdyś cię ujrzał po raz pierwszy. Nie wiem, Stefanijo, czy cię w ogóle uważają za piękną, sam nawet nie jestem pewny, czyś piękna w istocie, — ale to jedno wiem, że nikt jeszcze nie wywarł na mnie tak czarującego wpływu.

Od pierwszej chwili zawładnęłaś moją duszą z nieprzepartą mocą, ciągnąc ją ku sobie. Ta potęga, którą wywierałaś pomimo mojej dumy i woli, ta dziwna potęga sprawiła, że wyniosły i nieugięty dumny Herman został pierwszym u ciebie sługą. Żyć w twojej bliskości, tem

samem oddychać powietrzem, pozyskać spojrzenie życzliwe,—taki był odtąd cel mego życia, mych dążeń i najgorętszych pragnień. Być twoim sługą, byle cię widzieć i słyszeć, uważałem za większe szczęście, niż żyć zdala od ciebie w bogactwie i niezależności. Słowem pani—kochałem cię nie tą niedorzeczną i wyuzdaną namiętnością, jak niegdyś Zelmę, ale głębokiem, poważnem, prawie świętem uczuciem, które nie dawało przystępu pragnieniom i żądom. Widziałem w tobie istotę wyższą, szlachetniejszą i szcudrożej obdarzoną od innych, i uznałem wysoką godność ludzką, przed którą należy ze czcią uchylić czoła. Pani jesteś dziecięciem ludu—wiem o tem. Pochodzisz z tej samej klasy jak Elina, na której urodzenie niegdyś patrzyłem ze wzgardą i wstrętem. A jednak swemi niepospolitemi i wzniosłemi przymiotami zmusiłaś mię do podziwiania cię i cenienia. I uczułem własną nicość, gdy się przyrównałem do ciebie. Życzliwość twoja godziła mię ze zmarnowaniem życia, a myśl że kiedyś...

Umilkł i do ust przycisnął rękę Stefanji.

— Mów pan dalej, szepnęła Stefanija. —Myśl, że kiedyś stanę się godnym twojej miłości, obejmowała najwyższe szczęście moje w życiu. A jednak ta myśl wydała mi się tak zuchwałą, że nie wprzód ją dopuściłem, aż pani dozwoliłaś mi przeczuć, że....

Herman wsparł się na krzesło i przesunął ręką po czołe.

— Że co? powtórzyła Stefanija. — Że może nadejść chwila gdy...—Gdy będziesz pan wzajemnie kochany, dokończyła spokojnie Stefanija.—Tak jest.

Nastało milczenie. Stefanija oparła się także na kanapie i przez kilka minut zdawała się być pogrążona w głębokich myślach. Hrabia westchnął i mówił dalej:

— Niestety te olśniewające promyki nadziei nie pochodziły z ciebie pani, ale raczej były tylko odbiciem pragnień własnej mojej duszy, bo właśnie w chwili, gdy m sądził, że mię kochasz, ty stawałaś się obojętna, zimna, dając mi poznać, że nie miałem żadnego powodu marzyć o takim szczęściu. Gdyby w sercu twojem był choć cień miłości, czyżbyś tak nieustrudzenie pracowała nad pojednaniem mię z Eliną? Czując i wiedząc, jak cię z całej duszy kocham, czyżbyś pani miała odwagę zwracać nieustannie moje myśli ku Elinie i wszelkimi sposoby mię zachęcać, żebym się z nią połączył jak z małżonką? Niepodobna. Choć raz jeden odwagaby cię odstąpiła, choć raz jeden wyczytałbym na twojej twarzy wyraz stłumionej boleści. Ale nie pani miałaś łzy tylko dla Eliny cierpień, i tylko dla niej współczucie. Dla mnie zachowałaś mój obowiązek, moją powinność, wiedząc dobrze, ile mnie kosztować będzie ofiara, jakiej po mnie żądałaś. Dotychczas też nie miałem siły jej ponieść,

— Nie, hrabio? A przecież mówiłeś...

— Że ją poniosę, bo straciłbym na zawsze twój szacunek, jeślibym, zawiniwszy tyle względem Eliny, nie starał się jej pogodzić z nieszczęśliwym losem, jaki jej zgotowałem. Ale Stefanijo, jeśli pójde oddać jej resztę swego życia na ofiarę za grzechy przeszłe, niechże przynajmniej wiem, że będę żył przy tobie, że będę cię widział i oddychał tem samem powietrzem; przyrzeknij, że mi nie odmówisz tego jedynego szczęścia, jakie mi życie dać

może, inaczej bowiem nie ręczę, czy będę miał dość siły do spełnienia swego obowiązku względem Eliny.

— Hrabio Hermanie, żądasz rzeczy niemożliwych. Jako mąż innej kobiety chcesz żyć w bliskości tej, którą kochasz, ale której kochać panu wzbrania obowiązek! Chcesz więc, żebym była współniczką pana, gdybym wiedząc o miłości, która jest występkiem przeciw twojej żonie, pozwoliła ci mieszkać ze mną razem i oddychać tem samem powietrzem. Nie Hermanie, zdala od Stefani, wspierając się jedynie na uczuciu swojego honoru i powinności, musisz jako mąż wynagrodzić Elinie wszystkie sprawione jej cierpienia. Wówczas Stefania z szacunkiem i podziwieniem pomyśli o Hermanie, którego jest i zawsze będzie przyjaciółką. Tak jest, zdala odemnie masz wynagradzać złe, jakieś wyrządził.

— Stefanijo, czy można być tak dalece okrutną, żeby mi nie użyzyć ani promyka światła na ciemnej drodze życia?

— Okrutną! powtórzyła Stefania z melancholicznym uśmiechem. Nie, Hermanie, nie okrutną,—pragnę tylko abyś nigdy nie zboczył z prawej drogi, a właśnie mógłbyś to uczynić, sądząc, że uszczęśliwisz siebie lub Elinę żywiąc w sercu uczucie, które jest wręcz przeciwne jej uczuciom. Na gruncie niesprawiedliwości nie buduje się pokoju i zadowolenia. Bądź mężem hrabio, nakaz milczenie swemu sercu, stłum jego pragnienia, zapanuj nad słabością i poświęć się cały swemu obowiązkowi, lub też..

— Czemu pani nie kończysz?

— Lub zostaw samotną biedną ofiarę swej dumy, niech wlecze nędzny swój żywot jak dotychczas.

— Ach, pani, czego żądasz odemnie! zawołał Herman.

Był strasznie blady.

— Dziś ma się rozstrzygnąć, czy honor i obowiązek odniosą zwycięstwo nad słabością serca — mówiła dalej Stefania. Jeśli pan jesteś rzeczywiście człowiekiem honoru, to nie odepchniesz powtórnie Eliny. Jeśli obowiązek zwycięży, pójdiesz daleko za swoją małżonką. Jeśli przeciwnie, pozwolisz zapanować nad sobą słabości, jaką miłość w sobie budzi,—to niechaj Elina odjeżdża sama, bo jeśli masz wynagrodzić złe wyrządzone, ofiara powinna być zupełną i godną Hermana Romarhierta. Teraz, jeśli łaska, ani słowa więcej o tym przedmiocie. Postanawiaj sam! Osądź bezstronnie i sprawiedliwie, jak masz postąpić i dozwól Stefani mieć nadzieję, że mężczyzna, który powiedział, że ją kocha wzniosło i święcie, w całym charakterze swoim i postępowaniu okaże się szlachetnym i wspańiałomyślnym.

— A gdzieś znajdę nagrodę za tę szlachetność i wspańiałomyślność?

— We własnej piersi.

Nastało długie milczenie. Herman wstał i przez chwilę przechadzał się po pokoju, a potem usiadł przy fortepianie.

Stefania wsparła się na krawędzi kanapy. Była blada i mrok boleści spoczął na jej pięknem licu. Nagle Herman zaśpiewał:

I chociaż pójde precz na krańce świata,
Ty zawsze będziesz gwiazdą mojej duszy;
I chociaż wrócę w długie, długie lata,
Wierności mojej nic w świecie nie wzruszy.

Była to ta sama piosnka, która już raz wycisnęła łzy z oczu Srefanji; i teraz jasne perły stoczyły się po policzkach i spadły na czarne jedwabie.

Dokończywszy zwrotki, Herman zerwał się z krzesła i pobiegł do Stefani.

Placzesz? rzekł z cicha drżącym głosem.

Dreszcz przeniknął Stefanię, ale pozostała nieruchoma.

Herman wskazał na krople łez, które jeszcze nie obeschły na jej sukni i dodał:

— Był czas, gdy oddałbym długie lata swego życia, żeby się dowiedzieć, jakie uczucia wycisnęły te dżamenty.

— Które spadają na szatę smutku, szepnęła Stefania.

— A dziś oddałbym całe życie, gdybym choć jedną sekundę mógł czytać w twym sercu i poznać, dla kogo te łzy płynęły.

— Dla tego, który mię odział we wdowie szaty, rzekła Stefania podnosząc głowę.

— Ha! więc jest ktoś, co zajmuje myśli pani? zapytał Herman i spojrzał na nią ponuro.

Stefania z dumnym poruszeniem odrzuciła w tył głowę i rzekła:

— Jest, mój mąż.

— Więc go kochałaś pani.

— Ach, hrabio, kochałam go z całej duszy, wszystkie mi kroplami krwi, wszystkimi tętnami serca!

Stefania podniosła się, jej lica pałały, a w oczach czytałaś cały świat poświęcenia i miłości.

— I nigdy nie kochałaś pani innego?

— Nigdy!

— Ani nawet Jakóba?

— Ani Jakóba.

— I serce pani wiecznie pozostanie wierne tej miłości?

— Wiecznie.

— A jednak mówiłaś raz: Jeśli wyjdę za mąż, stanie się to z miłości, a wtedy zrzuć żałobę.

Tak, mówiłam.

— Jakże mam tłumaczyć te wyrazy?

— Tłumacz się same, gdy bowiem innego mężczyzny kochać nie mogę, nie mogę też zostać żoną innego.

— I nigdy pani nie zdejmiesz żałoby?

— Hrabio, po co te pytania? Dla czego się mną zajmujesz?

— Bo jesteś dla mnie całym życiem.

— Stefania i pan muszą się rozstać. Odtąd Elina będzie twoją nieodłączną towarzyszką. Od jutra Stefania przestaje być w duszy pana czemś innem, jak tylko wspomnieniem.

— Ach, Stefanijo, Bogu tylko wiadomo, co jutro postanowię, sam nie wiem jeszcze.

— Ścisnął rękę Stefani i dodał namiętnie:

— Ach, gdybym mógł zatrzymać rozkoszne złudzenie, które niekiedy uśmiecha się do mej wyobraźni — złudzenie, że mię kochasz!

— Hrabio, Stefanija kochać może tylko mężczyznę, który szczęście poświęca dla obowiązku i ma dość siły, by pożegnać na zawsze najwyższe rozkosze, a słuchać głosu sumienia.

Młoda kobieta podniosła się i dodała:

— Dobra noc.

Herman namiętnie ucałował obiedwie jej ręce i szybko wyszedł z salonu.

Stefanija postąpiła za nim kilka kroków, ale zatrzymała się, mówiąc do siebie:

— Precz słabości! Dzień jutrzejszy dowiedzie, czy jest rzeczywiście honorowym człowiekiem.

ROZDZIAŁ XLIX.

Większą część następnego poranku, Stefanija zabawiła u Eliny. Wychodząc od niej spotkała Eklunda, który rzekł:

— Pan hrabia pragnie się widzieć z panią.

Stefanija poszła do salonu, a pokojówka Eliny wydała rozkaz, żeby zajechał powóz jej pani. Gdy Stefanija weszła do salonu, Herman stał wsparty o kominek, z chmurą głębokiej boleści na wyniosłem czole. Stefanija zbliżyła się ku niemu. Była równie jak on blada. — Panie hrabio, życzyłeś sobie mówić ze mną, rzekła drżącym głosem podając mu rękę. — Tak jest, przychodzę panie pożegnać, odezwał się młody człowiek okrywając pocałunkami podaną sobie rękę. Musimy się rozstać; nie zobaczę cię już nigdy, Stefanijo, ciebie, której widok był radością mojego życia; ale ty i obowiązek tak chcecie.

I klękając przed nią mówił dalej:

— Gdyby mi powiedziano: Zrzeczesz się tytułów, majątku i znaczenia w świecie; włożysz na się siermięgę wyrobnika i będziesz drwa rąbał dzień cały, ale po znojach i upokorzeniach dziennych, każdego wieczora zasiądziesz przy boku Stefani, i będziesz zachwycał się głosem i wzrok napawał jej spojrzeniem, — bez wahania odrzuciłbym wszystko, co zowią znaczeniem i wielkością ludzką, byle tylko ciebie słyszeć i widzieć. Gdyby mi powiedziano: będziesz pracował na chleb w krwawym pocie czoła i walczył z niedostatkiem i nędzą, ale w tem ubóstwie Stefanija będzie przy tobie, — nie zmieniłbym tego szczęścia na wszystkie skarby i rozkosze świata. Wzgardziłbym hrabiowską koroną, przyjąłbym nędzę i upokorzenie, — byle widzieć ciebie i być z tobą: jeszcze byłbym dość szczęśliwy i dumny. Tak głęboko, tak nad wszystko cię kocham, a teraz....

Herman przycisnął jej rękę do swego serca i oczu i dodał z wyrazem boleści i rozpacz:

— A teraz powiadam ci: bywaj zdrowa na wieki! Teraz odchodzę, by miłość, całe życie i wszelkie nadzieje poświęcić dla niej. Oddaję całego siebie na ofiarę dla odpokutowania grzechów mojej dumy. Czyś teraz zadowolona Stefanijo?

— Tak jest, szepnęła Stefanijs i obiedwiema rękami odgarnawszy jego włosy, przycisnęła usta do jego czoła i dodała: Nie tylko zadowolona—jestem szczęśliwa!

— Szczęśliwa? zawołał zrywając się hrabia; szczęśliwa, — gdy ja ze śmiercią w sercu poświęcam się na pastwę nieszczęścia!

— Jestem szczęśliwą, bo jestem dumną z pana. Idź hrabio Hermanie i wiedz o tem że... ja cię kocham!

— Ach, Stefanijo! zawołał hrabia wyciągając ku niej ręce, jakby ją chciał przycisnąć do łona, ale nagle je opuścił i wyjąkał:

— Dzięki, dzięki, aniele! bywaj zdrowa!
I wybiegł z pokoju.

Tejże chwili potoczył się powóz po gościńcu Kungsborgskim. To Elina odjechała sama.

Przycisnąwszy ręce do niespokojnie bijącego serca, Stefanijs stała wsparta o ramę okna.

Upłynęło kilka minut długich jak wieczność cała. Nakoniec usłyszała stąpania w przedpokoju.

Był to on.

W krótkce stał przed nią bladym i ponurym.

— Elina wyjechała! Zapóźno już naprawiać złe wyrażdzone.

— Mylisz się Hermanie, odpowiedziała Stefanijs wyciągając ku niemu ramiona—Elina jest tu jeszcze—ja jestem Elina.

Ty!

— Herman rzucił się ku niej.

Dwanaście lat rozłączeni małżonkowie, teraz po raz pierwszy spoczęli w swoich objęciach!

.

Był to jeden długi uścisk, który obejmował cały raj rokoszy. Ziemia ze swemi przelotnemi radościami i gorzkimi bólami, znikła dla tych dwojga ludzi pogrążonych w bezdennem morzu szczęścia.

— Ha, oddycham znowu! zawołał we drzwiach głos wesoły. Rola moja odegrana, mogę nawet dzielić część waszej radości.

Słowa te przywołały małżonków do rzeczywistości. Stefanijs obróciła ku mówiącej lica zroszone łzami szczęścia, i wyciągnęła ku niej jedną rękę, drugą obejmując jeszcze szyję Hermana.

Chodź Elino i uściskaj swego brata, rzekła i obracając się do hrabiego dodała: — Hermanie, oto twoja siostra, która nie wprzód chciała nazwać cię bratem, dopóki nie oddasz swego serca Elinie.

Katwiej wyobrazić sobie niż opisać scenę, jaka nastą-

piła; dodamy tylko, że po chwili Helfryda dzieliła z drugimi radość złączenia się znowu i pojednania.

Wieczorem Herman i Stefaniya siedzieli na kanapie w gabinecie zwierniadlanym przed dawną sypialnią hrabiny Gunilli. Hrabia objął kibić Stefanji, której głowa spoczywała na jego ramieniu.

— Żebym mógł wierzyć w szczęście, które tak nie spodzianie na mnie spada, chciej moja odzyskana oblubienico, uzupełnić historję Eliny opowiadaniem losów Stefanji.

Herman pocałował ją w czoło i dodał:

— Opowiedz mi teraz, gdy cię przyciskam do swego serca; niech z dniem dzisiejszym spadnie zasłona na przeszłość, a dzień jutrzejszy niech tylko szczęście zastanie w mej duszy.

— Dobrze, rzekła Stefaniya pełnym miłości wzrokiem patrząc na swojego męża: — pochowajmy dziś przeszłość ze wszystkimi jej cieniami, żyjmy tylko dla przyszłości.

— Ale czy będziesz mogła zapomnieć o tylu długich lat męczarniach?

— Ach, Hermanie, chyba nie masz wyobrażenia jak cię kocham, kiedy nie wiesz, żem już wszystko zapomniała oprócz teraźniejszego swego szczęścia!

— Dzięki! dzięki! — Herman nie mógł więcej powiedzieć i gorący pocałunek, który złożył na ustach swej

pięknej małżonki był tłumaczem całej jego wdzięczności.

Po chwili Stefaniya rozpoczęła żądane opowiadanie:

„Opuściwszy Szwecję po śmierci swego ojca, przybrałam znowu nazwisko Martenson z mocnem postanowieniem nie noszenia nazwiska Romarhierta, dopóki mię nie przyznasz za swoją żonę.

W krótcę, po przyjeździe do Paryża otrzymałam list od swojego wuja kapitana Stephensen, który osiadł w Ameryce. Od lat wielu nie odbieraliśmy od niego listów, ale po śmierci ojca napisałam do niego z zawiadomieniem o stracie, jaką poniosłam. Odpisując, prosił mię do Bostonu, żeby mu uprzyjemniała ostatnie lata życia, albowiem był sam i chorowity. W razie, gdybym zgodziła się spełnić jego życzenia, prosił, żeby napisała do krewnego jego żony, pana Jakóba Lange, który wówczas bawił w Londynie, z zawiadomieniem go o mojem odejździe, aby mógł razem ze mną odbyć podróż do Ameryki, dokąd także przenieść się miał zamiar.

Ponieważ w Paryżu nic mię nie zatrzymywało, więc bezzwłocznie spełniłam życzenia wuja i spotkałam się w Londynie z Jakóbem.

Z wielkiem zdziwieniem poznałam w nim tego młodzieńca, który mi przyniósł list od ojca podczas pierwszej mojej bytności w Paryżu.

W Londynie opowiedział mi Jakób, że mój wuj był to oryginał bez kopji złożony z wszelkich sprzeczności, o jakich tylko pomyśleć można. Dwa razy był żonaty,

teraz owdowiał. Z sześciorga jego dzieci, żadne nie zostało przy życiu i teraz był samotnym i chorowitym posiadaczem niezmiernego majątku. Charakteru gwałtownego, podejrzliwego i despotycznego odstręczał od siebie wszystkich, nikt nie miał współczucia dla jego cierpień i podeszłego wieku, i to zapewne było powodem, że zapragnął mieć przy sobie dziecię swojej siostry.

Jakób opowiadał mi jeszcze, że jego matka była siostrą drugiej żony mego wuja, a ojciec wychodzącą szweczkim do Ameryki. Jakóba wychowywała matka, która wcześniej owdowiała: ale w siedemnastym roku życia utracił ją także i pozostał sam, bez majątku i innych krewnych prócz mego wuja, który ofiarował mu posadę głównego inspektora w swoich plantacjach.

Spragniony nauki, a czujący wstręt do niewolnictwa, młodzieniec nie przyjął tej posady, której nie mógł pogodzić ze swoim sposobem myślenia. Wuj nie przywykły do tego, by się sprzeciwiano jego woli, tak się rozgniewał tą odmową, że dał do zrozumienia Jakóbowi, aby już nic od niego się nie spodziewał.

Rozstali się więc; Jakób poszedł w świat daleki torować sobie drogę bez obcej pomocy. Walcząc z tysiącami przeciwnościami, wcześniej przywykły do materialnego niedostatku, Jakób w tej nieustannej walce z przeszkodami rozwinał niepospolite przymioty umysłu i duszy, jakimi go szczerze obdarzyła przyroda.

Obrał sobie zawód technika i mechanika. Dniem pracował w warsztatach, a gdy inni młodzieńcy w chwi-

lach od pracy wolnych szukali przyjemności i rozrywek, on pracował nad sobą, kształcił się teoretycznie, uczył się rysować i malować, uczęszczał na publiczne odczyty naukowe, tak iż współcześnie był najpraktyczniejszym i najukształconszym młodzieńcem. Ale ta ciągła praca i wczesna walka z przeciwnościami i troskami spłoszyły wrodzoną wesołość i żywość charakteru; młodzieńczy ogień przemienił się w głęboką, wszystko przenikającą powagę, owoc długiego i dojrzałego rozmyślenia.

Po trzyletniej pracy Jakób tyle oszczędził, że dla dalszego kształcenia i dokładniejszego obeznania się ze swoim fachem, mógł odbyć podróż do Francji i do Anglii.

We Francji bawił rok cały, dla swej gorliwej pracy i zdolności w mechanice jednając wszędy szacunek. Współcześnie jednak jego charakter prosty, bez pretensji i wolny od wszelkiej szarlatanerii był przyczyną, że nie umiał przebojem torować sobie drogi do szczęścia. Raczej by umarł, niż dopuścił się postępku, który zakazywało jego serce surowe i sumienne.

Dla tego Jakób nie miał tak świetnego powodzenia, jakby należało się spodziewać po jego niezwykłych zdolnościach. Pragnął tylko mieć byt niezależny i takowy zdobył pracą, gorliwością i prawością charakteru. Chociaż młodzieniec laty, sam był twórcą swojego losu.

Mój wuj sprzedał plantacje i teraz mieszkał w Bostonie. Chorowity starzec bardzo się do mnie przywiązał i strzegł jak oka w głowie.

Jakób mieszkał w domu mego wuja, ale płacił ko-

more. Starzec powiedział razu jednego, że nic już nie chce uczynić dla Jakóba, za to, że nie chciał być inspektorem w jego plantacjach; więc też dumny młodzieniec nie chciał być dłużny krewnemu swej matki i pod tym jedynie warunkiem przyjął propozycję zamieszkania w jego domu, że będzie za wszystko płacił.

Bliższa znajomość z Jakóbem dobroczynnie wpłynęła na moją duszę, napojoną goryczą i smutkiem zękaną. W nim przeciwnie, codzienne poufałe przestawanie ze mną obudziło żywsze uczucia, które jednak nigdy nie zamieniły się w miłość i pozostały tylko szczerą i głęboką przyjaźnią, gdy go zawiadomiła, że już jestem zamężną. Jakób usłyszawszy że mąż mój żyje, zapytał:

— A dla czego wuj mi mówił, że jesteś wdową?

— Bo sam tak jest przekonany, odpowiedziałam.

— Więc skłamałaś przed nim, rzekł Jakób patrząc na mnie surowo, z wyrazem stanowczej nagany.

— Jakóbie! zawołałam, raczej dam się zabić, niż komukolwiek opowiem smutną historję swojego życia. Co znaczy prawda dla tego, który w nic nie wierzy?

Jakób milczał, ale od tego dnia stał się lekarzem mojej duszy. On to nauczył mnie zapominać i przebaczać, on to zalecił płacić dobrem za złe i nie tylko z imienia, ale we wszystkich postępach być prawdziwą chrześcijanką.

„Tak upłynął rok. Później wuj udał się ze mną w podróż do Europy i rozłączyliśmy się z Jakóbem. Pod-

czas mojej nieobecności, Jakób zwrócił swe serce ku młodej kuzynce.

W miesiąc po powrocie z Europy do Ameryki wuj umarł, zostawiając mię jedyną spadkobierczynią niezmiernego majątku. Chciałam nim podzielić się z Jakóbem, ale nie przystał. Na jedno tylko się zgodził, że jak za życia wuja, mieć będzie mieszkanie w moim domu.

Odziedziczyłam, że tak powiem, Jane Smith, w spadku po wuju. Kiedy był właścicielem plantacji, matka jej była u niego gospodynią i dzięki jego staraniom, Jane otrzymała bardzo dobre wychowanie. Pomimo to nie dla niej nie zapisał w testamencie, polecając ją tylko moim względom. Dałam jej do wyboru, albo żyć osobno z kapitału, jaki jej wyznaczę, lub też pozostać u mnie jako osoba zupełnie niezależna. Wybrała drugie.

W przeciągu pięciu lat następnych, dusza moja pod duchowym kierunkiem Jakóba czyniła znaczne postępy w rozwoju umysłowym i moralnym.

Pod koniec czwartego roku otrzymałam list od hrabiego Runa z zawiadomieniem, że z powodu krytycznego stanu majątkowego zamierza przenieść się do Ameryki i powierzyć Elinę mojej pieczy; sądził bowiem, że nie długo przeżyje upadek swojej fortuny, zwłaszcza, gdy się dowiedział, że matka i brat Eliny, są także w niedostatku.

Odjechałam natychmiast z Jakóbem do Francji, żeby dopomóc hrabiemu Runa. Wkrótce potem hrabia umarł, na łożu śmierci powierzwszy mi Elinę, z prośbą,

abym starała się pogodzić ją z matką. Musiałam mu także przyrzec, iż nabędę Kunhsborg, aby nie wychodził z rodziny Romarhierta.

Pochowawszy hrabiego Runa, wróciłam do Ameryki w towarzystwie Eliny i lorda Charter, który jej jak cień nie odstępował.

Hrabia Runa słyszał moją historję od twojego ojca i opowiedział ją Elinie.

Pewnego wieczora, podczas podróży do Ameryki, gdy Jakób i Elina siedzieli na pokładzie, rozmowa toczyła się o arystokracji europejskiej, i Elina nie wymieniając mnie, opowiedziała Jakóbowi moje zamążpójście i dalsze losy.

W czasie tego opowiadania weszłam i ja na pokład, i nie spostrzeżona od nikogo, stanęłam za Eliną i słuchałam historii własnego życia. Od zgonu hrabiego Runa i rozmowy z nim przy jego łożu śmierci, byłam ciągle smutna i ponura.

Teraz, gdy słuchała opowiadania Eliny, odżyły na raz w mej duszy wszystkie przecierpiane bóle. Przypomnienie ojca, ciebie i wszystkiego, com utraciła, tak strasznie wstrząsnęło mój umysł, że wkrótce po przyjeździe do Bostonu, zachorowałam na gwałtowną gorączkę z obłąkaniem, które trwało parę tygodni.

Wróciwszy do zdrowia i przytomności rozumu, wymogłam na Elinie obietnicę, że nikomu nie powie, iż jestem żoną hrabiego Romarhierta.

W kilka dni później Jakób zapytał Elinę:

— Powiedz mi, czy znasz wzgardzoną żonę hrabiego Romarhierta?

— Znam.

— Jakże jej na imię?

— Elin, odpowiedziała Elina i spojrzała na mnie niespokojnie.

— Czy to prawda Stefanijo? zapytał Jakób bystro patrząc mi w oczy.

— Prawda, odpowiedziałam.

Jakób więcej już nie rozpytywał.

Poleciwszy swemu plenipotentowi kupić Kungsborg, postanowiłam przenieść się tam i przybrałam nazwisko swojego wuja, abyś się nie domyślił, kto jestem. Współcześnie ułożyłam się z Eliną, że będzie odgrywała rolę twojej żony, abym wiedziała, jak sobie względem niej postąpisz. Ta maskarada nie wprowadziła w błąd Jakóba, który podczas mojego obłąkania dowiedział się o wszystkim, ale mi nic o tem nie mówił, dopókim go sama nie zapytała. Kiedyś odjechał do Anglii, a ja pragnęłam mieć jasne wyobrażenie o swoich i twoich uczuciach, wówczas dopiero opowiedziałam Jakóbowi historję swojego życia, i gdy do mnie przemówił w duchu pojednania i chrześcijańskiej miłości, uczułam znowu odwagę w sercu i zapragnęłam być dobrą córką względem twojej matki i czekać cierpliwie, aż będę mogła sobie powiedzieć: Herman jest godzien być tak kochany, jak go kocham; dał mi bowiem niewątpliwie dowody wielkiej mocy duszy i sumienności, gdy postanowił wyrzec się

własnego szczęścia, byle naprawić złe, które jego duma wyrządziła.“

— I dla tego wytrzymałaś mię na próbie do ostatka? wtęcił Herman.

— Tak, mój wspaniałomyślny kochanku, odpowiedział Stefanią otaczając ramieniem jego szyję. Serce by mi pękło z bólesci, gdybyś się zachwiał i zawiódł moją wiarę w twoje uczucie honoru i powinności.

— Gdy się zastanawiam nad przeszłością, zdaję mi się, że wszystko jest snem, z którego lękam się zbudzić, rzekł Herman, pochylając się ku Stefani. Pomyśl, że półtora roku miał cię blisko siebie, że cię szalenie kochał, a jednak nie śmiałem wyciągnąć ramienia, by cię przycisnąć do piersi, ciebie, którą przed Bogiem i ludźmi miałem prawo swoją nazywać!

— Nie, Hermanie, to prawo utraciłeś. Elina została wzgardzoną, i tylko miłością mogłeś ją znowu pozyskać.

— Nie Elinę, lecz Stefanię kocham. Dla mnie będziesz zawsze Stefanią, bo pod tem imieniem zdobyłaś, opanowałaś moje serce. Jako Stefanię podziwiałem cię i dziś ubóstwiam.

Herman okrył pocałunkami piękne lica małżonki, potem spojrzął na nią i rzekł:

— Czy podobna żebyś się tak zmieniła! Jesteś taka piękna, kształtna, pełna wdzięku, szlachetności i wytworności w obejściu, tak niepospolitej i czarującej postaci, ty, coś było niepozornym i brzydkim dzieciakiem, z którym ze wstrętem połączyłem swe losy!

— Co we mnie rzeczywiście szlachetne i niepospolite, — to jest dziełem Jakóba. Jeśli jestem piękną i poważną, to natura mię tak ukształciła, gdy doszła pełni rozwoju fizycznego i moralnego.

— Powiedz mi jednak, skąd czerpałaś taką moc duszy jaką przez tak długi czas musiałem w tobie podziwiać?

— Byłaż to rzeczywiście moc duszy? Nie zdaję mi się, zdarzały się bowiem chwile, gdy...

Gdy myślałem, że twoje serce stopi lodową powłokę obojętności. To prawda, rzekł Herman, iż czasami mogłem zapuścić spojrzenie w otwierające się niebo, ale natychmiast zamykałaś bramy, zostawiając mię na pastwę męczarni niepewności.

— Bo pragnęłam do Hermana, który nie tylko moje słabe serce ale i szacunek z podziwieniem pozyskał, powiedzieć z prawdziwym uczuciem dumy:

— Jestem twoja!

— Tak, teraz jesteś moją! szepnął Herman przyciskając ją do serca.

ZAKOŃCZENIE.

Następnego poranku przed śniadaniem lord pierwszy wszedł do jadalnego pokoju, w nadzwyczajnie złym humorze i niedbale rzucił się na krzesło z biegunami.

Po chwili weszła Elina. Spojrzawszy na lorda, który z miną zrozpaczoną zapalczywie się kołysał, wybuchnęła głośnym śmiechem i zawołała:

— Co widzę! mylord nie jest w drodze do Sztokholmu, gdzie miał zobaczyć się ze swoją matką?

— Ciekawa rzecz, jak mogłem być teraz w drodze do Sztokholmu, kiedy pani tu wróciłaś? odpowiedział lord, nie przestając się kołysać.

— Przecież pan wczoraj rano wyjechałeś, rzekła Elina siadając na kanapie.

— Zupełnie jak pani, i dziwi mnie, dla czego pani się dziwisz żem podobnie powrócił.

— Ja miałam ważne powody do powrotu.

— Ja niemniej ważne.

— A jakie, jeśli wolno zapytać?

— Takie, że na krok pani nie odstąpię, dopóki mi nie oddasz swej ręki.

— A jeśli nigdy nie oddam?

— W takim razie całe życie w ślad za panią jeździć będę.

— Śliczna perspektywa! być ciągle ściganą przez excentrycznego Anglika!

— Łatwo pani tego unikniesz, sadzając go obok siebie. Alboż to tak trudno jest pani wymówić słówko: *Tak?*

— Kiedy wolę powiedzieć: *Nie*.

— Mylisz się hrabino; gdybyś miała po temu ochotę, tobyś mię dawno stanowczem *Nie* odprawiła z kwitkiem.

— Oho! może pan jeszcze powiesz, żem cię zachęcała do załotów i żem ci robiła nadzieję?

— A rozumie się, to święta prawda.

— Szkaradny jesteś, mylordzie! czyż nie sto razy prosiłam cię, abyś mię zostawił w pokoju, czyż nie mówiłam, że nigdy nie będę twoją żoną?

— Zapewne, ale tak prosząc, dawałaś mi pani do zrozumienia, żebym pozostał, a pozbawiając mię wszelkiej nadziei w słowach, czynami okazywałaś, że mogę się spodziewać wszystkiego. *Ergo* hrabino, nie pozostaje ci nic innego, jak podać mi rękę i powiedzieć: Bierz nagrodę za swoją nedorzeczną miłość.“ Zrób to jednak pani wcześniej, wprzód nim przyjdą twój brat, siostra i bratowa.

— Doprawdy? To pan już wiesz, że hrabia jest moim bratem?

— Ja wiem wszystko. Hrabia powiedział mi dziś rano, że jest mężem najczarowniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałem, a bratem największego trzpiota i załotnicy, jaką kiedykolwiek spotkać mi się zdarzyło. Wiem również i to, że pani przez całe pięć miesięcy od-

grywałaś rolę jego wzgardzonej żony — i notabene, odgrywałaś bardzo lichy, gdyż ja, widz niewtajemniczony, zajrzałem za kulisy i zaraz po przyjeździe do tego domu, odgadłem, że pani zamierzasz przedstawić jakąś scenę dramatyczną, bo przestałaś się nazywać panią Wicker, a przybrałaś nazwisko familijne Romarhierta. Współcześnie obudziło we mnie podejrzenie, że pani prosiłaś mię, abym zamilczał o jej pokrewieństwie z hrabią Runa i t. p. Milczałem, bo nam Anglikom milczenie nie trudno przychodzi, ale postanowiłem obserwować i niebawem poznałem, że tu dzieje się mistyfikacja, której ostateczny rezultat ten będzie, że pani oddasz mi swoją rękę. Cóż, nie miałem słuszności?

— Muszę przyznać, żeś się pan nie omylił, bo trzeba raz uwolnić się od pańskich prześladowań, rzekła śmiejąc się Elina i podała lordowi rękę.

— Tylko nie spodziewaj się pan zbyt spokojnego szczęścia! dodała.

— Nie hrabino, odpowiedział lord całując z pewną żywością drobną rączkę. Owszem, liczę na to, że będę miał zachwycające piekło w domu.

— W takim razie jestem zupełnie zadowolona.

Wszyscy mieszkańcy Kungsborga, prócz Stefanji, zebrali się w jadalnym pokoju.

— Czy nie zobaczymy królowej dnia dzisiejszego? zapytał lord hrabiego Hermana.

— Owszem, zapewne zaraz nadejdzie, odpowiedział hrabia.

Jakób zbliżył się do Eliny i rzekł z cicha ze swym pięknym poważnym uśmiechem:

— Muszę cię prosić o przebaczenie za jedną niesprawiedliwość.

— Doprawdy, w takim razie przebaczam ci zawczasu.

— Stefanija mi powiedziała, że jeśli hrabia nie wytrzyma próby, toś postanowiła nigdy nie uznać go za swojego brata, rzekł Jakób. Z pojednania ze Stefaniją chciałaś sądzić o jego uczuciu godności ludzkiej, a to Elino dowodzi, że niesłusznie uważałem cię za komediantkę bez serca i głębszych uczuć.

— Ach! mój drogi Jakóbie, odpowiedziała Elina, miałeś zupełną słuszność, posądzając mię o powierzchowność, gdyż w istocie jestem trzpiot niepoprawiony. Ale trzeba ci wiedzieć, że Stefanija jest nie tylko moją, ale i mojego szlachetnego wuja dobrodziejką. Gdy nieszczęśliwy przypadkiem stracił wszystko, co posiadał, Stefanija bez jego wiedzy ustąpiła mu połowę swego dziedzictwa po ojcu, tak, iż co teraz Herman otrzymuje po ojcu mego nieboszczyka męża, jest właściwie majątkiem Stefanji. Przyjaciółka, która mię z taką delikatnością obsypała dobrodziejstwami, która za mną przemawiała do matki i otworzyła mi długo zamknięte macierzyńskie objęcia, taka przyjaciółka ma prawo do najgorętszych i najszlachetniejszych uczuć mojego serca.

Herman słuchał z uwagą słów Eliny. Właśnie mówić przestała, gdy weszła Stefanija.

Każdy mimowolnie wykrzyknął z podziwienia, tak czarownie piękną była w jasno-perłowej jedwabnej sukni z amarantowymi wstążkami, które także zdobiły jej ciemne włosy.

Nikt z obecnych prócz Hermana, nie widział jej w innych jak tylko w czarnych sukniach; ale gdy ją znał jako Elinę Martenson, postać jej wówczas tak była różna od dzisiejszej, że mógł śmiało powiedzieć, iż po raz pierwszy widzi ją nie w żałobie.

Postąpił ku niej kilka kroków i rzekł, patrząc promieniejącymi oczyma:

Szaty wdowie zniknęły.

— Szczęście Stefanji zakończyło żałobę Eliny, odpowiedziała, zbliżając do jego ust swoje czoło.

— Pozwól mi pani powitać cię jako hrabinę Romarhierta i życzyć szczęścia, rzekł lord Charter całując rękę Stefanij.

A mnie, pozwól mylordzie powinszować, że ci się udało przemienić Elinę Wicker w lady Charter, odpowiedziała z uśmiechem Stefanija.

— Dziś dzień życzeń, rzekł cicho Jakób do Helfrydy. Tylko dla pani i dla mnie ich nie ma.

— Nie wszysej ludzie są do szczęścia stworzeni, odpowiedziała Helfryda. Ja też go nie szukam, lecz pójdę za pańską radą i żyć będę jedynie dla uszlachetnienia i ukształcenia swej duszy. Mam zamiar pojechać z Eliną do Anglii.

— A ja żyć będę pracą i wspomnieniem o tobie pan-

no Helfrydo, rzekł Jakób. Praca stanie się moim dyplomem szlacheckim.

Cel to pana godny, dodała Helfryda z głęboką powagą. Wiedzieliśmy, że syn znakomitej rodziny może być dumny i szczęśliwy nazywając swoją małżonką córkę gminu, którą jak Stefaniję uszlachetniły cnoty prawdziwie chrześcijańskie.

K O N I E C.

